

Zofia Mąkosa



MAKOWA
SPÓDZNICA



SIOSTRY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Zofia Mąkosa

MAKOWA
SPÓDNICA



SIOSTRY



Książnica

POLECAMY SERIĘ

MAKOWA
SPÓDNICA

KAMIEŃ W WODĘ



SIOSTRY

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt serii, okładki i stron tytułowych
ANNA SŁOTORSZ / ARTNOVO.PL

Ilustracje na okładce i we wnętrzu
© Polona.pl

Koordinacja projektu
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Skład
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Zofia Mąkosa, Publicat S.A. MMXXII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6285-4

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Epilog

Posłowie

Literatura, która w największym stopniu pomogła mi w tworzeniu świata przedstawionego w powieści

Przypisy

ROZDZIAŁ I





Krażący w górze myszołów na pewno coś dzisiaj upoluje. Kiedy wznosi się wyżej, w zasięgu wzroku ma całe Kolzig^[1] z zamkiem, młynem i nieczynnym kościołem, kilka strzech leżącej na południe Lipki, na północy odbijające niebo wody Jeziora Orchowego oraz leniwie płynącą rzekę, wzdłuż której przycupnęły chałupy Grünwaldu, kolejny młyn i kuźnia.

Piękne widoki ptakowi na nic, zniża więc lot, przemyka nad czubami drzew i nieruchomieje nad pustym polem.

Dwie kobiety dopiero co z niego zeszyły. Wczoraj wieczorem, za zgodą pana, zbierały tu upadłe podczas żęcia kłosa żyta, potem oddały je do ważenia, by się dowiedzieć, co są winne w zamian za podniesione z ziemi zboże – dzień dodatkowej pracy, kosz jaj, a może płat lnu. Dzisiaj nikt nie pilnuje, bo żeńcy przeszli na inne pola. Trud się kobietom opłacił. W fartuchu podwiniętym i związanym na plecach tak, by z przodu powstała torba, każda ma po kilka garści kłosów z długimi źdźbłami słomy.

Anna i jej córka Urszula przyszyły tu o świcie. Teraz słońce jest dość wysoko. Zanim wrócą do domu, będzie południe. Powinny się spieszyć, lecz bosa nogi coraz wolniej stąpają w miłkim piasku. Dobrze, kiedy w żniwa nie pada. Żle, że od tygodni w tej okolicy nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Są już blisko wsi. Wtem Urszula przystaje. Podnosi dłoń, by ochronić oczy przed oślepiającym słońcem, i patrzy w kierunku lasu.

– To Wiga – mówi do matki, wskazując palcem na przygarbioną sylwetkę. – Też szuka, ale niczego nie znajdzie. Byłyśmy tam wczoraj.

– Jakoś przeżyje. Tyle lat była sama w Karge. Bez niczyjej pomocy

urodziła Dorotę, odchowała ją, a potem wnuczkę. Nie musisz się o nią trapić. – Anna uspokaja córkę.

– Wciąż się gniewacie, matko? Przecież to nasza siostra.

– Nie posłuchała mnie. Powinna wrócić do ojca, kiedy po nią posłałam. Przyszła dopiero, jak spalili jej chałupę. To nie to samo, co posłuchać. Przez nią ja musiałam zajmować się Eliasem, a wiesz, jak go nie lubię.

– Nie musieliście do niego chodzić. Cała wieś winna opiekować się chorym i opuszczonym.

– To krewniak twojego ojca, dlatego wzięłam go na siebie.

– Ale minęły trzy zimy, odkąd wróciła. Moglibyście wreszcie jej darować.

Anna nie odpowiada. Doskonale wie, że Wiga nie jest tak całkiem zapomniana przez rodzinę. Córki, Ewa i Urszula, zaglądają do niej w tajemnicy przed matką. Czasem znika z domu świeżo upieczony chleb, a kiedy indziej ubywa w garnku polewki, choć się wydaje, że starczy na dwa dni. Udaje, że tego nie dostrzega. Nad Ewą nie ma już kontroli, bo jest samodzielną gospodynią, a postępowanie Urszuli toleruje, dopóki nie oznacza otwartego sprzeciwiania się matce. Może nawet, gdyby nie córki, sama poszłaby w końcu do Wigi.

Zagroda Eliasa Neulinga nie stoi, jak inne, przy drodze. Nie wiadomo, dlaczego chatę, stodołę i szopę wzniesiono nieco bliżej rzeki niż inne chałupy. Podczas deszczowej pogody wszystko wokół tonie w błocie, a wiosną, kiedy ziemia rozmarza, nie sposób przebrnąć te kilkadziesiąt kroków dzielące ją od innych domów. Dzisiaj trudno się domyślić jakichkolwiek przeszkód. Mimo suszy trawa jest tu zielona, warzywa w ogrodzie niezwiędnięte, a sama chata wygląda malowniczo wśród lnianych płócien rozłożonych na łące przez jakąś spóźnioną gospodynię^[2].

– Widzisz – Anna zwraca się do córki – mówiłam, że o Wigę nie trzeba się martwić.

– Nie widać starego. Zwykle czeka na nią przed chatą.

Anna zatrzymuje się i patrzy na ławkę ukrytą w cieniu okapu.

– Pewnie siedzi w chałupie. Tam chłodniej. – Powiedziawszy to, rusza dalej.

Urszulę dziwi nagły pośpiech. Wydaje się jej, że matka ucieka.

– Czemu nie lubicie Eliasa?

Starsza z kobiet nie odpowiada. Dopiero na progu swej chaty odwraca się do córki.

– Bo to zły człowiek – rzuca, jakby nie zamierzała niczego wyjaśniać.

– Co zrobił? – nalega Urszula.

– Nic.

– To czemu mówicie, że zły?

– Bo wiem.

– To przez niego kiedyś wzięliście Wigę do siebie?

Anna jakby nie słyszała. Przystaje, poprawia zawiązanie fartucha i rusza dalej. Urszula więcej nie pyta. Nie ma rady, kiedy matka się uprze.

Córka Anny nie jest młódką. Jej pierworodna wyszła za mąż za bednarza z Karge, a synowie na tyle wyrosli, że nadają się do pracy. To dlatego w środku dnia dom jest pusty. Obie kobiety nie mają czasu na wytchnienie. Trzeba raz-dwa rozniecić ogień i przygotować coś do jedzenia, a potem zanieść rodzinie posiłek na pole. Później także nie odpoczną. Zostaną ze wszystkimi i pomogą żniwiarzom, a kiedy zboże będzie zżęte, związane powrósłem w snopy i ustawione w kopy, razem z innymi kobietami pójda jedna obok drugiej i w wysokim ściernisku będą szukać zagubionych kłosów.

Anna się domyśla, dlaczego Urszula niewiele wie o ojcu Wigi, chociaż w tak małej osadzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Elias jest wyjątkiem, bo na jego temat zawsze się milczało. Tych, którzy mogliby wyjaśnić, w czym rzecz, dawno nie ma. Teraz wiekowy mężczyzna nikogo nie interesuje.

Prawdopodobnie rybak Elias jest w Grünwaldzie najstarszy. Niektórzy uważają, że Anna Villborn, wdowa po woźnicy, może być od niego niewiele młodsza. Wszyscy się za to zgadzają w jednej sprawie.

Anna wie najwięcej.

Nie tylko to, że Elias jest zły. Zna zioła, zaklęcia i odczynia uroki. Są tacy, co mówią, że potrafi zobaczyć przyszłość w wodzie albo ogniu lub odczytać ją z ręki. Czy to prawda? Nikt na własne oczy nie widział, za to nie ma w okolicy takiego, komu by nie pomogła. Wdowa Villborn jest znana z jeszcze jednego. Najlepiej doradza dziewczętom i młodzieńcom w sprawach zamążpójścia. Jeśli tylko chcą jej posłuchać, bo wiadomo, że młodzi często uważają, że wiedzą lepiej. Małżeństwa, za którymi się opowiedziała, żyją szczęśliwie i bez kłótni.

Nie tylko w sprawach życia ludzie się do niej zwracają. Na śmierci też zna się jak mało kto. Kiedy wiadomo, że ktoś z tego świata odchodzi, biegną po Annę, bo wierzą, że tylko ona dopilnuje, by wszystko było jak należy.

Pewnie dlatego wdowa Villborn nie może zapomnieć o pustej ławce przed domem Eliasa. „A co, jeśli umarł?” – Natrętna myśl towarzyszy jej do wieczora. Nawet przed sobą się nie przyznaje, że tkwi w niej odrobina nadziei i wielki niepokój. „Muszę w końcu pójść do Wigi, bo może stary zachorował i trzeba pomóc. Urszula ma rację. Czas się przełamać” – usprawiedliwia ciekawość.

*

– Ciotko, ty u mnie? – Wiga, która jeszcze przed chwilą próbowała zagonić kury do komórki, nieruchomieje ze zdziwienia.

Anna też się nie rusza. Obie są onieśmiałe. Odkąd Wiga wróciła, zerkały na siebie z daleka, jakby między mistrzynią a jej uczennicą istniała niewidzialna ściana.

Dwie bliskie sobie kobiety, a tak bardzo różne.

Wiga, młodsza, lecz postarzona przez garb i tragiczne przejścia, skażona ciemnością przez ojca, w istocie wygląda na starszą. Patrzy nieufnie, jakby spodziewała się ciosu.

Anna, mimo podeszłego wieku, jest szczupła i prosta jak struna. Duże

jasnoniebieskie oczy sprawiają, że jej pomarszczona twarz wydaje się piękna. Niczego nie ujmują jej smuga kurzu na policzku ani czoło podzielone poziomo na bladą i opaloną część. Przez srebrne, upięte z tyłu włosy biegnie równy przedziałek. Wbrew zwyczajowi nie ma w tej chwili chustki ani czepka na głowie. Idąc tu prosto z pola, ściągnęła przeпоconą tkaninę i trzyma ją teraz w dłoni.

Jeśli Wiga jest mrokiem, Anna mogłaby być światłością. Harmonię w jej wyglądzie psuje trudno uchwytne rysy surowości. Ktokolwiek na nią spojrzy, wie od razu, że trzeba być posłusznym albo czym prędzej zejść jej z oczu.

Obie pochodzą ze starych rodzin żyjących w tym miejscu, kiedy jeszcze na Grünwald mówiono Jesiona i zanim zaczęli tu przybywać osadnicy z zachodu. Ich dziadowie posługiwali się miękką szeleszczącą mową, taką samą, jaką mówi Michałka, żona bartnika.

Obie są zielarkami, każdy jednak uważa, że prawdziwszą jest Anna. Bo tylko ona zna to, co dla innych zakryte. Tak jak wiedziały jej matka i babka.

Wiga to zielarka wyuczona przez Annę. Wyuczona nigdy nie będzie wiedzieć. Nie potrafi odczytać przyszłości ze znaków. Nie zrozumie, co mówią ptaki, chmury i płynąca woda.

Onieśmienie mija.

– Przyszłam zapytać o twego ojca. Nie widziałam go dzisiaj na ławce – odzywa się Anna.

Wiga odwraca się bez słowa i prowadzi ciotkę do chaty.

Oczy pomału przyzwyczajają się do ciemności. Na prymitywnym wąskim łóżku leży Elias. Mimo duchoty jest przykryty baranim kozuchem. Nikłe światło padające do środka przez zwierzęcy pęcherz w okienku pozwala dostrzec twarz starca. Nienaturalny grymas, wytrzeszczone oczy wołające ratunku i bełkot wydobywający się z bezzębnych ust wystarczą, by się domyślić, co się stało.

– Wczoraj jeszcze widziałam, jak wstawał z ławki – wspomina Anna

półgłosem.

– Upadł po wieczerzy – wyjaśnia Wiga. – Przeniosłam go na łóżko.

– To nie powinno długo trwać. Nieraz widziałam ludzi, co nagle upadli i wyglądali jak on. Nie ma dla nich ratunku. Zwykle szybko umierają.

Gwałtowne poruszenie chorego i głośny nieartykułowany sprzeciw nie wywołują u kobiet żadnej reakcji. Stoją nad jego łóżem i rozmawiają o śmierci, jakby nie leżał tu żywy, słyszący człowiek.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie.

– Podłóż mu mchu pod plecy.

– Już to zrobiłam.

Ciszę znowu przerywa głos starca. Tym razem słowa daje się zrozumieć:

– Aaanaa... pooooooż...

Wzywana na pomoc kobieta odwraca się plecami do leżącego. Dostrzega lęk w oczach córki Eliasa. Waha się, potem wyciąga ręce i chowa w swoich dłonie Wigi.

– Już niedługo – obiecuje. – Bądź czujna.

„Już niedługo” – powiedziała ciotka Anna. Ile to jest *niedługo*? Minęły dwie noce, a on żyje. Karmi go, poi naparami z ziół dających uspokojenie, myje, zmienia płótna, w które się załatwia, i czeka. Bywa, że zamknie oczy i zaśnie na chwilę albo biegnie, by rzucić kurom ziaren, wydoić kozę lub przynieść warzywa na zupę. Wieczorem nasłuchuje wołania puszczyka, a raniem patrzy, czy ptaki się gromadzą wokół zagrody, lecz nie dostrzega żadnych znaków zapowiadających nadejście śmierci.

Od zapachu kopnącej świecy boli ją głowa. Dotyka czołem stołu. Przymyka powieki.

Ogarnia ją sen.

Jest w zimnym, ciemnym miejscu. Niczego nie widzi, lecz wie, że kiedyś tu była. Stoi oparta plecami o belkę. Długo stoi, ale boi się usiąść

na ziemi. Słyszy szelesty, popiskiwanie i skrobanie. Coś dotyka bosej stopy. Cofa ją instynktownie.

To niemożliwe. Nie ma już tej szopy. Spaliła się dawno temu. Wie o tym dobrze.

Przecież jest stara.

Nieprawda, jest dzieckiem. Tak małym, że ledwie może dojrzeć plamę mleka rozlanego na stole. To przez nią się tu znalazła. Była niegrzeczna, dlatego do jutra nie wolno jej jeść. Ale plama mleka była taka malutka. Myślała, że ojciec nie zobaczy. Nie wiedziała, że to pułapka. Wyciągnęła rękę, próbując umoczyć w niej palec... i wtedy napotkała spojrzenie ojca. Znowu była niegrzeczna. Zsikała się ze strachu. Kazał zdjąć koszulę, wytrzeć i mokrą włożyć z powrotem. Zrobiła, co kazał. Była niegrzeczna, dlatego nie chciał jej widzieć. Kazał iść do szopy. Boso po śniegu. W mokrej koszuli.

Zimno.

Brzeg koszuli zrobił się sztywny. Cała jest sztywna. Bolą stopy i dłonie. Już nie może stać. Osuwa się na ziemię. Coś przebiega koło twarzy.

Nerwowy dreszcz przeszywa ciało. Budzi się gwałtownie. Podrywa głowę. Ojciec! Porusza się pod kożuchem. Patrzy. Jego oczy są tak samo zimne i bezlitosne jak kiedyś.

Jak ta świeca kopci! I głowa boli...

Matka. Dawno jej nie widziała. Robią pranie nad rzeką. Słoneczne promienie przenikają przez czystą wodę, sięgając aż do żółtego piasku na dnie.

– Matko, czy to prawda, co ojciec mówił wczoraj po wieczery? Że mnie kuglarzom sprzeda i będą mnie prowadzić na łańcuchu jak niedźwiedzia?

– Nie. Ludzi się nie sprzedaje. – Rozmawiają półgłosem, chociaż ojciec jest daleko.

– Sprzeda. Wciąż to mówi.

– Nie bój się. Znowu jestem brzemienna. Urodzę chłopca. Wtedy ojciec

się zmieni. Teraz się gniewa, bo nie umiem urodzić mu syna. Ale się postaram. Zobaczysz.

– A jak umrze jak tamte?

– Nie umrze. Jak będzie syn, to nie umrze.

W obietnicy matki nie ma pewności. Wyczuwa to nawet dziewczynka o krzywych plecach. Matka się boi tak samo jak ona.

– Niechby mnie sprzedał.

– Czemu tak mówisz?

– Ojciec najmocniej się gniewa na mnie. Krzyczy, że lepiej, bym zdechła, zamiast garbem robić wstyd przed ludźmi. Jak zejdemu z oczu, będzie dla was dobry, matko.

– Nigdzie nie pójdziesz. Kto by ze mną prał i chodził na pole? Kto by jego synka najmilszego kołysał? Nie sprzeda i gniewać się przestanie.

Ręce matki wykręcają ojcowską koszulę, a jej łzy odrywają się od policzków i lecą w dół, łącząc się z rzeką. Dziewczynka myśli, że te, co spadły pierwsze, są już przy jazie, a może już uderzają w młyńskie koło, przyspieszając jego obroty. Nawet łzy matki muszą pracować, zanim rozplyną się w Jeziorze Orchowym.

Co to? Wiga zrywa się z ławy.

– Spałaś? – W otwartych drzwiach stoi Anna. Słońce już weszło, a świeca zgasła wypalona ze szczętem.

Nie czekając na odpowiedź, ciotka idzie do chorego.

– Żyje. – W jej głosie słyhać ulgę. – Długo się męczy. Widać na to zasłużył. Wigo, teraz nie mogę ci pomóc. Idę do żniw. Pańskie zboże w stodole, możemy żąć swoje. Przyjdem na noc, żebyś mogła pospać.

– Nie trzeba.

– To będziemy czuwać razem. Nie możemy pozwolić, żeby jego dusza została między nami. Musi trafić do piekła.

Kona.

Anna patrzy na Wigę, ale ta stoi jak skamieniała.

– Szybko, otwieraj skrzynię – ponagła, rzucając się do drzwi.

Do środka wpada nocne powietrze pachnące łąką i rzeką.

Teraz już obie otwierają wszystko, co zamknięte. Przewracają stołki i ławę. W momencie śmierci dusza konającego nie może napotkać przeszkód. Musi odejść swobodnie. A gdyby chciała przysiąc, by zostać z żywymi, nie znajdzie miejsca.

Anna wychodzi przed chatę. Noc jest jasna. Księżyc oświetla jej drogę do szopy i stodoły. Otwiera wszystkie wrota. Niech nic nie zatrzyma duszy Eliasa.

– Tylko nie płacz. – Ciotka ostrzega Wigę. – Ma odejść w spokoju.

Świeca się pali, a płomień chwieje się, wygina, wybucha, by zaraz przygasnąć.

Czy to przeciąg każe jej tak tańczyć, czy dusza opuszczająca ciało?

Choć Wiga tego nie mówi, jest wdzięczna Annie, że nie zostawiła jej samej. Strach, który skręca wnętrzości, byłby jeszcze większy.

Jęczenie i charczenie nagle się urywają. Twarz Eliasa zastyga w potwornym grymasie. Z otwartych ust wycieka strużka śliny. W oczach nie ma śladu przytomnego spojrzenia. Mimo że otwarte, robią wrażenie wpatrzonych w coś nie z tego świata.

– Skonał. – Głos Anny drży. Ogarnia ją nagły chłód. Wie, że teraz musi go dotknąć. Nabiera powietrza i wypuszcza je powoli. Podchodzi do umarłego. Kładzie palce na powiekach i je zamyka. Gdyby tego nie zrobiła, nieboszczyk mógłby na kogoś rzucić urok, a nawet zabrać go ze sobą. Zamyka mu usta, żeby nikogo nie zawołał. Dłoń ma mokrą od śliny. Nie może opanować uczucia obrzydzenia. Podbiega do wiadra i zanurza w nim rękę. – Wylej to później. Tylko nie blisko domu – ostrzega. – Najlepiej pod krzak czarnego bzu, tam, gdzie wylejemy wodę od obmywania. Jeszcze trochę z tobą posiedzę, a potem pójdę do siebie. Wrócę z Urszulą. We dwie wszystko zrobimy. Ty go nie dotykaj.

Chatę opuszcza o brzasku. Złocistoróżowa poświata na niebie

zapowiada pojawienie się słońca. Latem o tej porze mało kto na wsi śpi. O ileż przyjemniej pracuje się w polu, kiedy powietrze jest rześkie. Ciężkie westchnienie wydobywa się z piersi Anny. Dzisiaj pole nie dla niej.

– Czekaście, ciotko! Chcę o coś zapytać.

Wiga staje w progu.

– Pastor w Karge mówił, że wszyscy kiedyś wstaną z martwych. Prawda to?

– Przecież w Piśmie tak napisane. Sama słyszałam.

– Ojciec też wstanie?

– Chyba tak.

– Nie może.

– Nie bój się. Nasz Pan złęgo na świat nie wypuści.

Chciała uspokoić Wigę, dlatego tak powiedziała. Niczego nie jest pewna. Kiedy w Kolzig luteranie mieli swą świątynię i uczestniczyli w nabożeństwach, mogli w kazaniach usłyszeć o rosnącej mocy Szatana i o tym, że niektórzy ludzie są jego narzędziem. Jeśli Elias był kimś takim, to może Szatan ma dość wielką siłę, by w dniu Zmartwychwstania sprowadzić go z powrotem na ziemię? Jeszcze dzisiaj zapyta o to pastora, kiedy pójdzie powiedzieć o śmierci ojca Wigi.

Na razie zastanawia się, czy w nocy zrobiła wszystko jak trzeba. Wracając do domu, powtarza w myślach ostatnie wydarzenia. Sięga do wiedzy przekazanej przez matkę i babkę oraz tego, co nakazuje pastor.

Wchodząc na swoje podwórze, jest już spokojna. O niczym nie zapomniała. Teraz obraca myśli ku temu, co dalej. To też jest ważne.

Elias nie zadbał o deski na trumnę. Pewnie się bał, że jak już te deski będą w zagrodzie, śmierć prędzej po niego przyjdzie. Kłopot zostawił innym. Wiga się zachowuje, jakby sama umarła. Może nie powinna jej we wszystkim wyręczać, ale czy wtedy byłaby pewna, że dusza zmarłego nie została między żywymi?

Zaczęła, to i dokończy. Anna, zamiast do chaty, kieruje się z powrotem na drogę. Idzie do Kolzig, do Szymona, stolarza. Ma nadzieję, że nie zdążył jeszcze pójść na pole. Zamówi deski i przypomni, że ma zmierzyć umarłego prętem z czarnego bzu. W samej trumnie nie może być sęków, bo gdyby zrobiła się dziura, dusza wykorzystałaby otwór, by wrócić na ziemię. I o maku musi pamiętać. Całą garść wsypie do trumny. Niech dusza ma zajęcie. Będzie liczyć i liczyć, aż zapomni o świetle. Na wszelki wypadek, idąc za trumną, będzie mak sypać po drodze, bo gdyby jednak dusza się jakoś wydostała i chciała wrócić do domu, to jeszcze i ten mak będzie musiała policzyć. Tylko pastor nie może wiedzieć, bo się pogniewa. Nawet pogrzebu mógłby nie odprawić albo modlitwy nad grobem nie zmówić. Zanim się nad tym zastanowi, musi najpierw odszukać duchownego.

Odkąd cesarz kazał zamknąć kościół^[3], luteranie są jak sieroty. Pastor najpierw wyjechał, potem po cichu wrócił. Mieszka z rodziną tu, w Grünwaldzie, ale zwykle siedzi na zamku w Kolzig u Kittlitza. Tam odprawia nabożeństwa, niestety, nie dla wszystkich, tylko dla pana i służby. Kto chce, może poświęcić cały dzień i udać się do Karge albo do Wolsztyna. Tam władza cesarza nie sięga^[4].

Do Kolzig nie jest daleko. Zdąży zmówić kilka pacierzy i będzie na miejscu. Idzie się dobrze. Słońce wciąż za lasem, a miążki piasek przyjemnie chłodzi stopy. W połowie drogi dogania ją wóz ciągnięty przez woły.

– Wsiadaj! – woła Adam Kubisch zwany przez wszystkich Starym Doboszem. – Dzisiaj będę zwoził pszenicę z pola pana Kittlitza – oznajmia, kiedy ma już Annę na wozie. – A ty dokąd?

– Do Szymona. Zamówić trumnę dla Eliasa Neulinga.

– Zmarło się staremu... – Adam się zamyśla. – To Wiga została całkiem sama – odzywa się po chwili. – Co mówi? Zostanie w ojcowskiej chałupie czy wróci do Karge?

– Po co miałyby tam wracać? – Anna woli, żeby to Kubisch mówił. Woźnica nie jest złym człowiekiem, ale ma talent do roznoszenia plotek

i tworzenia całkiem nowych. Trzy lata temu właśnie on wrócił z Karge z wiadomością, że Wiga spalona za czary, a Dorotę utopiły wodne boginki z zemsty, bo zielarka zaklęciami odebrała im moc.

– W Karge miałyby ochronę – odpowiada Annie. – Wiadomo, że gdyby nie zarządca Unruga, z życiem by stamtąd nie uszła. Mówią – Adam zaczyna szeptać – że tajemnymi sposobami przywoływała z zaświatów duszę żony von Lesta. Dlatego miała od niego spokój i utrzymanie, a po wszystkim, zamiast ją ukarać, wygnał tych, na których chciała sprowadzić śmierć.

– Tfu, tfu! Co ty gadasz, Stary Doboszu! Lepiej zamilcz.

– To nie ja. Ludzie tak gadają.

– To nie powtarzaj. Jeszcze jakie nieszczęście na nas sprowadzisz. Co to? – Anna przerywa wyrzuty. – Patrz! – Wyciągnięta ręka wskazuje na las, zza którego właśnie wyłania się słońce.

Woźnica widzi zwyczajny wschód słońca. Czarne pasmo drzew, nad nim złote niebo, a w samym środku, między ciemnymi koronami, światło tak intensywne, że aż bolą oczy.

– Ogień? – pyta Anna. – Patrz dobrze, Doboszu.

– Gdzieżby. To tylko słońce. – Mężczyzna wzrusza ramionami i strzela batem nad głowami wołów.

Ona nadal nie może oderwać wzroku, choć teraz musi się oglądać.

– Dziwne. Jak ogień. I te drzewa niby płonący stos.

– Co mówisz, kobieto! – Woźnicę przebiega dreszcz. – Nie patrz tam. Mnie napominasz, a sama dziwnie gadasz.

Anna milknie zawstydzona. Są już blisko Kolzig, kiedy ponownie się odzywa:

– Wszystko przez to, że wciąż rozprawiają o czarownicach. Prawdziwych, nie takich jak Wiga. Mąż mojej Urszuli często chodzi do karczmy i przynosi stamtąd różne wieści. Ostatnio najwięcej o tych, co Złemu służą. Podobno pełno ich na świecie, dlatego tyle nieszczęścia.

– Słyszałem, że jak już złapią taką, co się ze Złym zadaje, to ją od razu

do ognia rzucają.

– Skąd wiedzą, czy się zadawała?

– Wiedzą. Głupi nie są.

– Czemu do ognia? Nie można inaczej?

– Mnie nie pytaj. Jestem tylko woźnicą. – Dobosz wzrusza ramionami. Wciąż jest obrażony, że Anna go upomniała. – Oto i chałupa Szymona. Zsiadaj.

Okazuje się, że stolarz już na polu. Tutaj nikt nie wyżyłby z samego tylko rzemiosła. Stolarz, rymarz, bednarz czy tkacz, każdy ma pole i zwierzęta. Wszyscy oni, mieszkając na ziemiach Kittlitz, muszą wypełniać powinności wobec właściciela. Żona Szymona i jej sąsiadka, wdowa po Macieju Fliegerze, wybierają się do zamku, bo pani kazała zrobić pranie. Dzieci wziąć ze sobą nie wolno, dlatego musi się nimi zająć siedmioletnia Elke, najstarsza ze stolarzowej dziatwy. Jest ich czworo. Najmłodsze jeszcze w kołysce.

– Tego małego, co go masz przy piersi, też nie możesz zabrać? – mówi ze zdziwieniem Anna. – Będzie głodny.

– Nic nie poradzę. Pani nie pozwala brać dzieci na zamek. Cudze ją denerwują, bo swoich się jeszcze nie doczekała. Chodzi przez to skwaszona i na służbę wyzywa albo cały dzień leży w łóżku, że niby ją głowa boli. – Mówiąc to, Szymonowa przewraca oczami. – Za dużo roboty, ciężko, ale bez roboty nie lepiej. Wzięłaby się sama za pranie, od razu głowa przestałaby boleć.

– Może ty, Anno, coś byś poradziła pani Kittlitz. Nam, wiejskim, pomagasz w chorobie, to jej też pomóż. – Martina Flieger mówi to z kpinią, ale zielarka tego nie zauważa.

– Takich jak ja na zamek nie wołają. Kiedyś chodziłam do sprzątania albo jak wy, do prania. Od starej już nie chcą niczego. Pora na mnie. – Anna podnosi się z ławy. – Powtórz Szymonowi, co ci mówiłam, tylko dokładnie. Ja jeszcze muszę znaleźć pastora, a potem znowu do Wigi.

Eliasa trzeba obmyć i ubrać do trumny. Powinien być gotowy na wieczorne czuwanie.

Droga powrotna dłuży się bez końca. Zmęczenie, głód, słońce i gorący piasek, w którym zapadają się stopy. Na polach są ludzie, lecz tu nikogo, kto mógłby podwieźć choć kawałek.

Kiedy wdowa po Hansie Villbornie wchodzi do swej chaty, jest blada, spragniona i czuje się bardzo stara.

– Matko! – Urszula podbiega do Anny. – Co wam? Usiądźcie albo najlepiej się połóżcie.

– Elias umarł. Trzeba go obmyć. Pójdiesz ze mną?

– Teraz? – Urszula się waha. – Dobrze. Miałam zanieść obiad na pole, ale zgoda. Powiem tylko dziewczynie od sąsiada, żeby ona zaniósła. I od razu niech pobiegnie do Ewy, żeby też przyszła do Eliasa. Wy się połóżcie. Ja z Ewą zrobię, co trzeba. Przecież nieraz chodziłyśmy obmywać umarłych.

Anna z uczuciem ulgi opada na ławę.

– Daj mi tylko kawałek chleba i mleko – prosi. – Dobra z ciebie córka, Uschi. I z Ewy też. – Stara kobieta się uśmiecha. – Wiem, że wszystkiego dopilnujecie.

Urszula nalewająca mleko z dzbanka do kubka smutno się uśmiecha. „Dawno mnie nie nazwała tak pieszczotliwie. Chyba się starzeje matczysko”.



Ciało ojca wczoraj spoczęło na cmentarzu, a Wiga nie czuje ulgi. Kiedy jeszcze była w Karge, wierzyła, że w chwili śmierci Eliasa Neulinga z serca spadnie jej kamień. Nic takiego się nie stało. Dzisiaj już wie, że, by pozbyć się ciężaru, musiałaby wydrzeć z głowy wspomnienia. A one tkwią tam uparcie, idą z nią na pole, do lasu i na torfowiska. Teraz też przyszły nad rzekę i nie dają spokojnie patrzeć w wodę.

Jest niedziela. Nie może pracą przytępić bolesnych myśli i tak się zatracić w zajęciu, żeby zapomnieć o ojcu i o Dorocie. Tu, we wsi, jeden obserwuje drugiego. Jeśli poszłaby do lasu, zastanawialiby się po co. Gdyby ktoś spostrzegł, że wyrывała chwasty, obwiniliby ją o burzę, która pewnie będzie w nocy. Dzisiaj może jeszcze wybaczą, że nie przyszła na potajemną wspólną modlitwę w stodole wójta, ale następnej niedzieli już by nie darowali.

Rzeka płynie spokojnie. Skąpe wodorosty na dnie falują pochylone w jedną stronę, jakby chciały się oderwać od korzeni i popłynąć z prądem. Wiga patrzy w wodę. Widzi odbicie twarzy starej kobiety. Dawno temu też patrzyła. Wtedy widziała dziewczynkę, a końcówka czarnego warkocza łączyła się z wodorostami i jak one pragnęła się wyrwać, by popłynąć, byle dalej od ojca.

Nagły dreszcz wstrząsa ciałem. Przecież woda zabrała Dorotkę. Ileż razy, szukając córki, patrzyła w czarną toń stawu, jakby przeczuwała, że ona tam czeka, by ją odnaleźć. Tyle szukania, błędzenia po bagnach, zagładania do lisich nor, a ona była blisko. „Kto skrzywdził moją córeczkę? – pyta w myślach. – Kto razem z nią wrzucił do wody kamień, by ukryć zbrodnię?”

Garbata kobieta coraz bardziej się pochyla. Gdyby kto spojrział z daleka, mógłby pomyśleć, że chce się utopić w płytkiej, leniwie płynącej rzece. A ona tylko wspomina.

Dorotka miała straszną śmierć, lecz nim spotkała złego człowieka, była szczęśliwa i kochana. To jedyna pociecha dla starej matki.

Wiga ogląda się na zagrodę ojca. Nie ma już domu, w którym się urodziła, i tamtej szopy. Wszystko spłonęło, kiedy na ziemię von Kittlitza napadli kozacy^[5]. Nową chatę, stodołę i obórkę postawiono za drugiej żony ojca. Była też trzecia, lecz żadna nie dała mu dziecka. Miał tylko garbuskę Wigę. Potwora, krzywe brzydactwo, które lepiej by zdechło, niezdare niezdatną do niczego, pokrakę, poczware... Ach, iluż imion używał, kiedy się do niej zwracał. Matkę bił, jej nigdy. Za bardzo się brzydził. Ona miała kary. Najgorszą była szopa i mieszkające w niej

szczury. Siedziała tam, nawet kiedy umierała matka. Sama by umarła, gdyby nie ciotka Anna. Wtedy też otwierała drzwi, by nic nie zatrzymało duszy. Ujrzała ją wciśniętą w kąt, przerażoną i zmarzniętą. Coś mówiła, ale Wiga nie rozumiała. Ciotka wzięła ją za rękę i zaprowadziła prosto do swego domu.

Do ojca wróciła dopiero trzy lata temu. Bała się go tak samo jak kiedyś, ale była silniejsza. Kiedy padła pierwsza obelga, ostrzegła go, że pewnego dnia użyje zaklęć i sprowadzi diabły, które żywcem wezmą go do piekła. Kiedyś by ją wyśmiał. Stary i słaby, naprawdę się przestraszył. Czasem nawet próbował być miły, lecz dla Wigi nie miało to znaczenia.

Wkrótce się ściemni. Nie wróci do chaty. Spędzi noc w obórce. Nie to, że się boi być tam, gdzie leżał nieboszczyk. Przeraza ją zapach. Mimo otwartych na oścież drzwi trupia woń wciąż unosi się w powietrzu. To przez upały. Nie pomogła balia pełna zimnej wody, na której postawiono trumnę. Ciało zaczęło cuchnąć już po kilku godzinach, a izbę wypełniły chmary tłustych czarnych much. Co odważniejsi czuwali w sieni. Reszta modliła się na zewnątrz.

Trawa na łące jest miękka, mimo to Wiga słyszy, że ktoś nadchodzi.

– Dlaczego nie okadziłaś chaty? – Anna jest zagniewana. – Powinnaś była zrobić to wczoraj wieczorem.

Córka Eliasa nie zamierza się tłumaczyć siadającej obok kobiecie. Zamiast tego pyta:

– Ciotko, czemu mnie wtedy wzięliście?

Wdowa Villborn nie musi się domyślać, o co Widze chodzi. Wie.

– Zajmowałam się twoją matką w chorobie. Przed samą śmiercią wyznała, jaki jest Elias i co wam robi. Błagała mnie, żebym cię od niego zabrała. Przysięgłam na krzyż, że się tobą zajmę.

– On pozwolił?

– Musiał. Powiedziałam mu, że inaczej powtórzę przed sądem, co mówiła twoja matka na łóżu śmierci o tobie i innych dzieciach.

– Innych dzieciach? – Przez ciało Wigi przebiega lodowaty dreszcz. –

Jakich innych dzieciach?

– Twoja matka urodziła cztery córki. Ty jesteś najstarsza.

– A tamte? Pamiętam przecież, że rodziły się martwe.

– Wszystkie żyły. Zabijał je zaraz po moim wyjściu.

– A ja? – Wiga szepcze. Gardło ma tak ściśnięte, że nie może mówić inaczej.

– Nie wiem, co myślał, że cię oszczędził. Byłaś pierwsza. Może wtedy jeszcze nie miał śmiałości? Chodź do chaty. – Anna pomaga Widze wstać. – Przyniosłam szałwię. Okadzimy razem. Jego już nie ma. Smaży się w piekle.



– Wystarczy.

– Kiedy znowu mogę przyjść?

– Powiedziałem, że wystarczy. – Oczy spoglądające na Rozalę spod siwych brwi są smutne. – Niczego już cię nie nauczę. Nie przychodź więcej.

– To nieprawda! Nie umiem! – Gniewny okrzyk odbija się echem od zamkowego sklepienia. – Chcę do was przychodzić... Chcę... – Dziewczyna nie kończy. Zaczyna pojmować, co się stało. – Pani Barbara? – pyta.

Mężczyzna nie odpowiada. Pochyliła głowę i udaje, że interesuje go jedynie rysunek.

– Naprawdę dużo umiesz – odzywa się po chwili. – Gdybyś była chłopcem... Tam – pokazuje na stolik pod ścianą – zobacz, leży nowy szkicownik. Weź go i rysuj, kiedy tylko będziesz mogła.

Rozala podchodzi do stolika i bierze książeczkę oprawioną w cieniutkie deseczki. Powinna podziękować, lecz w gardle wzbierają łzy. Zaraz wybuchnie płaczem albo gniewem. Nie chce urazić starego mistrza. Odwraca się więc na pięcie i bez pożegnania wybiega z komnaty. Szybko

pokonuje labirynt zamkowych korytarzy. Nie zważając na wołanie strażnika, wspina się po drewnianych zewnętrznych schodach ceglanej wieży. Umieszczone wysoko drzwi są zaryglowane, ale ona nie ma zamiaru wchodzić do środka. Opiera się biodrami o poręcz i patrzy przed siebie.

Tam, gdzie codziennie wstaje słońce, miała babkę i dom. Gdyby to było możliwe, pieszo wróciłaby do chaty pod lasem. Tylko że chata spalona, a babka przeniosła się do swego ojca, do Grünwaldu. Nie widziały się, odkąd to wszystko się stało. Babka nie pozwala na odwiedziny. Jedynym łącznikiem między nimi są powroźnik z Kolzig i jego żona, którzy dwa – trzy razy w roku zjawiają się w Zulich, żeby sprzedać wytwory swej pracy.

Łagodny wschodni wiatr osusza łązy. Rozala stoi jeszcze przez chwilę, patrząc na zamkowy sad i ogród, drogę biegnącą wśród podmokłych łąk i ludzi zmierzających w stronę miejskiej bramy. Bunt ustępuje smutkowi. Nie ma wyjścia. Trzeba wracać do domu, który stał się dla niej zamkniętą klatką. Mimo przygnębienia podnosi dumnie głowę, zbiega ze schodów i rusza w stronę miasta.

Śledzi ją wzrok kobiety stojącej przy uchylonym oknie. Drobną postać w ciemnozielonej spódnicy, z długim czarnym warkoczem przecinającym miodowy kubraczek, niknąca właśnie w jednej z uliczek, nie wygląda na niebezpieczną, mimo to jej widok burzy spokój damy. Co robił tu ktoś nienależący do zamkowej służby? A jeśli jest szpiegiem niosącym komuś wiadomość o jej przyjeździe?

Kobieta chowa twarz w dłoniach i potrząsa głową. Od lat żyje w nieustannym zagrożeniu, nic dziwnego, że zaczyna wariować. Przecież to może być dziecko służącej lub któregoś ze strażników. Oni wszyscy mają w mieście rodziny. Dzieci czasem przychodzą do rodziców. Nic w tym niezwykłego.

Ochłonawszy, dama siada na wyściełanym krześle i sięga po tamborek. Będzie haftować i czekać. Wszak od dawna jej życie składa się z czekania, tęsknoty, wypatrywania niebezpieczeństwa oraz modlitwy.

Tymczasem Rozala dociera do celu.

Siedziba państwa Haase w Zulich^[6] to budynek położony przy błotnistej ciasnej uliczce, nie lepszej i nie gorszej od pozostałych. Jedyne domy postawione przy rynku mają dużo światła, lecz na takie miejsce Tytusa jeszcze nie stać. Tak jak większość budynków wzniesiono go na konstrukcji z drewnianych bali i belek wypełnionej gliną zmieszaną ze słomą. Jest wąski i długi, a w środku ma korytarz wyłożony kamiennymi płytami. Z korytarza można wyjść na wspólne dla wielu kamienic podwórko zamknięte rzędem szop i komórek, a także bramą obliczoną na szerokość wozu. Na tyłach jest ulica biegnąca wzdłuż murów.

Państwo Barbara i Tytus Haase mieszkają tu zaledwie od dwóch niedziel. Jeszcze nie wszystkie pomieszczenia są zagospodarowane. Wcześniej budynek należał do kupca, stąd po obu stronach korytarza znajdują się komory służące niegdyś za magazyny oraz pomieszczenie będące kantorem, z którego właściciel sprawował nadzór nad pracownikami. Prócz tego jest tu duża świetlica, w której postawiono wielki stół i masywne krzesła oraz ciężkie szafy. Na dole ulokowane są kuchnia i spiżarnia – królestwo Helgi. Z kuchni można zejść do piwnicy cuchnącej wilgocią i pełnej pajęczyn, dlatego gospodyni jak dotąd nie sprawdziła, czy będzie korzystać z tego pomieszczenia.

Izby położone wyżej mają ściśle prywatny charakter. Są niewielkie, za to przytulne i wygodne. Niestety, dom wzniesiony naprędce zaraz po wielkim pożarze miasta przed blisko trzydziestu laty wymaga remontu, dlatego na razie państwo Haase rezydują na samej górze trzykondygnacyjnego budynku. Okno izby pana Haase wychodzi na podwórko. Otworzono je tylko raz. Natychmiast w pomieszczeniu pojawiła się chmara much, a smród z kupy gnoju i kloaczego dołu był wręcz powalający. Pani Barbara wolała więc izbę, z której jest widok na ciemną uliczkę. Tu przynajmniej może od czasu do czasu powyglądać przez okno, popatrzeć na ludzi i zajrzeć do kamienicy naprzeciwko.

Kupno domu było pierwszą decyzją podjętą wyłącznie przez pana Haase. Dotąd o wszystko, co dotyczyło dysponowania majątkiem, pytał

panią Barbarę. Żeniąc się z dużo starszą, zamożną wdową po wolsztyńskim balwierzem, zrezygnował z wolności, za to zyskał więcej, niż mógłby samodzielnie osiągnąć, pracując długie lata. Nawet nazwisko przejął po pierwszym mężu Barbary.

Wyprawdzka z Wolsztyna wiele zmieniła. Mimo że to pani Haase wróciła do rodzinnego miasta, mało kto postrzega Tytusa jako dodatek do bogatej żony. Bardzo szybko wyrobił sobie w Zulich dobrą opinię. Balwierzy golibrodów jest w mieście trzech, lecz tylko jeden zasługuje również na miano cyrulika. Z usług mistrza Haase korzystają bogaci i biedni, choć ci ostatni znacznie rzadziej. Od dwóch lat wołają go do zamku. Tytus przynosi ulgę w cierpieniu rodzinie urzędującego w zamku pana Jeremiasa Reimanna, załodze strzegącej miasta i gościom przybywającym tu coraz częściej. Zdarza się nawet, że posyłają po niego właściciele okolicznych posiadłości. Dzięki temu dobrze zarabia, lecz bardzo rzadko bywa w domu. Gdyby nie Rozala i odwiedzające ją raz w tygodniu krewne i przyjaciółki z dzieciństwa, pani Barbara nie miałaby żadnego towarzystwa.

– Zjawiała się jaśnie wielmożna pani. – Cokolwiek powiedziałyby Helga, gospodyni prowadząca dom państwa Haase, choćby brzmiało słodko, podlane jest fałszem. Rozala się dziwi, że pani Barbara dotąd nie zauważyła jej zmijowego języka. Przeciwnie, Helga cieszy się wielkim zaufaniem żony Tytusa. Dziewczyna jest przekonana, że nawet pan domu jest przez nią szpiegowany.

– Byłam u mistrza Brekera na lekcji rysunku.

– Mistrza! Mówią, że ten twój mistrz u żadnego prawdziwego mistrza nie zagrzał miejsca i dlatego niewyuczony. Teraz pijaczyna dożywa na łaskawym chlebie na zamku. Gdyby nie krewniak, zgniłby pod płótem.

– Był na wojnie i... – Rozala próbuje usprawiedliwić swojego nauczyciela.

– Każdy może tak mówić. – Helga lekceważąco wzrusza ramionami. – Przynieś drewna do kuchni – mówi, wręczając dziewczynie kosz. – Nasza pani tak się na ciebie naczekała, że sen ją zmorzył. Na szczęście koniec

z marnowaniem czasu na zbędne nauki. Z wróbla orła nie zrobisz. Odtąd, jak nie będziesz potrzebna pani, masz przychodzić do mnie.

Rozala nie może powiedzieć, że się tego nie spodziewała. Pani Barbara już dawno zaczęła jej okazywać swoje rozczarowanie.

Najpierw było jak w bajce. Tęskniła do babki i wolności, lecz w zamian dostawała tak wiele, że docinki Helgi i służącej Grety, z którą dzieliła łóżko, nie robiły na niej żadnego wrażenia. Uczyła się zachłannie i szybko pojmowała, czym wprawiała w podziw nie tylko panią Barbarę, ale i jej męża. Dni podopiecznej państwa Haase upływały na nauce, głośnym czytaniu, rozmowach oraz pomocy przy ubieraniu i rozbieraniu, myciu i innych codziennych czynnościach. Przyszła jednak chwila, kiedy Rozala poznała wszystko, czego mogła ją nauczyć opiekunka, i wtedy poczuła, że nagle stanęła po szybkim biegu. Pragnęła biec dalej, lecz coś trzymało ją w miejscu.

Pierwszy raz ujrzała gniew na obliczu pani Haase, kiedy na jej polecenie poszła po coś do apteki. Należąca do rodziny Krause apteka Pod Lwem, mieszcząca się przy placu ratuszowym, okazała się najpiękniejszym i najcudownie pachnącym miejscem, jakie kiedykolwiek Rozala odwiedziła. W środku było dwoje ludzi. Stanęła więc w kąciku, niby czekając na swoją kolej. W końcu tamci wyszli, a ona stała dalej z szeroko otwartymi oczami. Chłoneła widok bogato zdobionych szaf pełnych różnych specyfików, flakoników równo ustawionych na półkach, wagi z szalkami, malutkich moździerz, mis i miseczek. Przesiąkała przy tym zapachem ziół, przypraw, goździków, cynamonu, pieprzu i wanilii. Marzyła, by ta woń została na zawsze w jej włosach, skórze i odzieniu. Gdy aptekarz, pan Gregorius Krause, dowiedział się, że przysłała ją jego krewna, Barbara Haase, uśmiechnął się przyjaźnie, oprowadził ją po aptecę i jej zaplecze, a na koniec położył na dłoni lepką i słodką bryłkę o miodowo-korzennym smaku.

Kiedy Rozala wróciła do domu, najpierw opowiedziała o cudach, jakie zobaczyła w aptecę, po czym z rozpędu podzieliła się całkiem nowym marzeniem. Wyznała, że chciałaby tam pomagać, zajmować się ziołami

i maściami, a jeśli nie, to choćby sprzątać, byle móc tam przebywać.

– To już ci się u mnie nie podoba, niewdzięczna dziewczyno? – usłyszała.

– Podoba! – krzyknęła. – Ja tylko...

– Będiesz pomagać mnie i tylko mnie! Po to cię wzięłam. Zrozumiałaś?

– Tak. Nie gniewajcie się, pani. – Rozala rozplakała się i padła na kolana przed panią Haase. – Wybaczcie.

– No dobrze. – Uśmiech powrócił na oblicze pani domu. – Ważne, byś pojęła, gdzie twoje miejsce. Poczytaj mi teraz. Najlepiej poezję. Muszę ukoić nerwy.

Jesienią ubiegłego roku zdarzyło się, że Tytus został wezwany do zamku. Mieszkającemu tam krewnemu urzędnika zamkowego otworzyła się stara wojenna rana. W jego komnacie cyrulik ujrzał sztalugi, pędzle i płótna z niedokończonymi pejzażami. Zamiast zapłaty za usługę poprosił o kilka lekcji dla Rozali. Dzięki temu dziewczyna prawie cały rok spędziła w radosnym podnieceniu, bo albo czekała na dzień, kiedy pójdzie do zamku, albo rysowała pod okiem mistrza Brekera. Zmiana w nastroju wychowanicy cieszyła Tytusa, ale nie panią Barbarę. W końcu posłała do zamku Helgę z wiadomością, że nie życzy sobie dalszych lekcji.

– Pani się obudziła. Leć do niej. – Wołanie gospodyni dociera do drewnutni. Rozala wkłada do kosza ostatnie polano i szybkim krokiem zmierza do domu. Helga już czeka z tacą. – Zanieś pani mleko. Tylko się nie guzdraj na schodach, bo ostygnie.

Kobieta wie, co mówi. Nie da się szybko wspinać po schodach. Są wąskie, strome i nieoświetlone.

Barbara Haase siedzi przy oknie. Kiedy się lepiej czuje, wsparta na poduszce wygląda na ulicę. Co prawda nie ma tam niczego ciekawego. Pograżoną w wiecznym cieniu uliczkę wypełnia niemal nigdy nieschnące błoto. Przechodnie przemieszczają się z opuszczonymi głowami, skupieni na tym, by nie wdepnąć w łajno albo inne nieczystości. Są ludzie

odpowiedzialni za czystość miasta, a wyrzucanie odpadków lub wylewanie zawartości nocników na ulicę jest surowo karane, ale mało kto się przejmuje, dopóki udaje się niepostrzeżenie pozbyć śmieci.

– Gdzie byłaś tak długo? – Opiekunka zwraca ku Rozali gniewne oblicze.

– Najpierw u mistrza Brekera, a potem pomagałam gospodyni.

– Nieprawda. Gdybyś prosto z zamku przyszła do domu, tyle by nie trwało.

Milczenie Rozali potęguje wzburzenie pani Barbary.

– Miałaś być mi podporą w chorobie, towarzyszką rozmowy, córką prawie. Znalazłam w tobie ciekawość do nauki i talenty niespotykane u dziecka z nieprawego łoża. Wzięłam cię, jak stałaś, gołą i cuchnącą. Dałam dach nad głową, odzienie i chleb z pomastą. Zrobiłam z ciebie rozumnego człowieka. I na co mi przyszło? Rozumu używasz, lecz nie tak, jak przystało dziewczynie winnej mi wdzięczność. Stałaś się harda i nieposłuszna. Wydaje ci się, że możesz robić, co się podoba. Jeśli dalej tak ma być, lepiej wracaj do swojej brudnej chałupy.

Rozala chciałaby w złości coś odpowiedzieć, zamknąć za sobą drzwi i zbiec na dół po ciemnych schodach, stoi jednak zgarbiona, z wzrokiem utkwionym w czubki butów. Zdaje sobie sprawę, że nic lepszego niż pani Haase nie mogło jej w życiu spotkać. Dla takich jak ona nie ma dobrej przyszłości. Ilekroć odwiedzała babkę w Karge, widziała jej radość, że los dla wnuczki okazał się łaskawy. Teraz nie jest pewna nawet tego, czy babka by ją przyjęła.

– Wybaczcie, pani. Zrobię, co każecie, tylko mnie nie odsyłajcie.

Już nie stoi. Klęczy przy krześle pani Haase, całuje jej dłoń, a po policzkach płyną łzy. Kobieta nieufnie patrzy na pochyloną głowę, jakby się zastanawiała, czy poza Rozali jest szczerą, czy to tylko gra obliczona na skruszenie serca opiekunki.

– Wstań. Mam nadzieję, że nie udajesz. Pamiętaj, że skromność, cichość i posłuszeństwo to cechy miłe naszemu Panu. Weź Pismo i idź do

siebie. Czytaj, dopóki nie zapadnie ciemność. Kolacji nie dostaniesz. Post lepiej służy pobożnym rozmyślaniom. Przyjdź do mnie jutro z samego rana.

Izba Rozali znajduje się tuż obok. Mimo iż przypomina gołębnik, jest źródłem radości, bo to pierwsze w życiu pomieszczenie do własnej dyspozycji. Prócz łóżka ma skrzynię na odzież oraz miskę i dzban na stołku, na ścianie prosty drewniany krzyżyk, a tuż przy wejściu wisi metalowa półeczka służąca do stawiania świecy. Nic więcej.

Dziewczyna siada na brzegu łóżka, tuż przy małym, uchylonym teraz oknie. Otwiera Biblię i szuka. Powinna znaleźć fragment, który mówi o pokorze. Wie, że tego od niej oczekuje pani Haase i jutro o takie przemyślenia będzie pytała.

Zachodzące słońce maluje dachy i wieże miasta wszystkimi odcieniami złota i czerwieni. Rozala unosi głowę znad książki. Widzi tylko rozświetlony skrawek nieba. Wpatrzona w jasność, nie zdaje sobie sprawy, że użyczyła ona blasku jej twarzy. Zatrzymała się na białych policzkach, zagląda w ciemne oczy i barwi rudą poświatą niesforne włosy.

Wkrótce niebo gaśnie. W mroku nie da się czytać. Rozala odkłada Biblię i rozściela łóżko. Dzbanek na wodę jest pusty. Musi zejść na dół. W ciemnościach słyszy kroki. To pan Tytus. Blask świecy pada na zmęczoną twarz pokrytą ciemnym zarostem.

– Dlaczego chodzisz po ciemku? – pyta opiekun. – Kiedyś spadniesz i się połamiesz. Powiem Heldze, żeby dała ci świecę na górę.

– Nie trzeba. Jestem ostrożna.

– Czy moja małżonka już śpi?

– Nie wiem. Dzisiaj wcześniej mnie odprawiła.

– W takim razie sprawdzę – deklaruje Tytus, lecz nie rusza się z miejsca. Nie spieszy mu się do skwaszonej żony. – Byłem w zamku, u mistrza Brekera. Bardzo cię chwalił.

– Moja nauka skończona.

– Słyszałem. Mówił mi, że Helga przyniosła rano wiadomość od pani

Barbary. Żałuję, ale nic nie mogę na to poradzić. To ona decyduje o tobie.

Stoją przy rzeźbionej balustradzie na dotąd nieużytkowanym piętrze. Tytus dostrzega przygnębienie Rozali. Dotyka dłonią jej policzka.

– Nie smuć się. Może jej minie. A jak nie, wymyślimy coś innego.

Gest i słowa powinny przynieść otuchę, ale dzieje się odwrotnie. Dziewczyna czuje, że zaraz wybuchnie płaczem. Bez słowa łapie za poręcz i rusza w dół. Haase jeszcze przez chwilę za nią patrzy, próbując przy tym oświetlić jej drogę. Potem się odwraca i z westchnieniem wchodzi na górę.

Oboje nie wiedzą, że w ciemnościach na korytarzu przyczaiła się Helga. O każdym geście i wypowiedzianym słowie doniesie swej pani, ale najpierw musi się zastanowić, jaki sens nadać zwyczajnej rozmowie.



Zulich od prawie dwóch stuleci jest we władaniu brandenburskich Hohenzollernów^[7]. Miasto położone przy ważnym szlaku handlowym wiodącym z Poznania do Magdeburga mogłoby kwitnąć, gdyby nie liczne klęski, które spadały na nie w przeszłości. Pożary, powtarzające się co kilka lat zarazy, podczas wojny wyniszczające gospodarczo stacjonowanie wojsk, przemarsze dezertersów i towarzyszącej im rozbestwionej gawiedzi, a ostatnio, w czasie konfliktu szwedzko-polskiego, grabieże dokonane przez wdzierające się do Brandenburgii polskie oddziały mocno podkopały możliwości finansowe mieszkańców i ich wolę nieustannego odbudowywania tego, co zniszczył żywioł lub ludzie.

Zulich nie jest bogatym miastem, lecz dla Rozali jedynym, jakie kiedykolwiek widziała. Dawno przestała zwracać uwagę na smród i błoto bardziej zanieczyszczone niż na wsi. Dla niej ciemne uliczki wciąż są pełne zagadek i pytań, na które chciałaby poznać odpowiedź. Kamienne mury obronne wydają się ochroną nie do przebycia dla wrogów. Oba budynki bramne z podwójnymi ciężkimi wrotami i furtami to miejsca, przez które za przybywającymi do miasta kupcami wpada oddech

wielkiego świata.

Dzisiaj jest środa po Wniebowzięciu Marii Panny, a w Zulich ten dzień oznacza wielki jarmark. Noc była chłodna, ale teraz słońce zaczyna już grzać w plecy. Kupcy i rzemieślnicy rozkładający towary na straganach przestają zacierać zziębnięte dłonie i stają w pełnych oczekiwania pozach. Każdy klient wie, gdzie ma czego szukać. Rada miejska dawno ustaliła porządek, dzieląc rynek na mniejsze place. Na jednym z nich, wybrukowanym cegłą, handlują szewcy, na innym, wyłożonym deskami, można kupić tkaniny i potaćzyć podczas weselnych zabaw. Jeszcze inne miejsce służy kuśnierzom, kolejne sukiennikom spoza miasta. Wiadomo, dokąd pójść, żeby kupić garnki, mięso, ryby, warzywa, owoce, a także gotową odzież.

Tym razem wychowanica pani Barbary podąża za Helgą. Dotąd, kiedy tylko miała okazję, wymykała się sama, a kosz za gospodynią nosiła Greta. Jednak niedawno służąca wyszła za mąż i podziękowała za służbę. Wygląda na to, że teraz jej obowiązki przejmie Rozala.

Zakupy w mięsnej jatce nie należą do przyjemnych. Szczury czują się tu znakomicie. Mają pod dostatkiem jadła, a rzeźnik dawno przestał się nimi przejmować. Helga ogląda uważnie i obwąchuje każdy podany przez sprzedawcę kawałek mięsa, aż w końcu pakuje do kosza jagnięcinę, krwawą kiszkę i kilka kiełbasek norymberskich dla pana Tytusa. Opuściwszy cuchnące i pełne sennych much miejsce, udają się tam, gdzie handluje się rybą. Tu także lepiej wstrzymać oddech, dlatego gospodyni szybko płaci za dwa nieduże szczupaki, a potem obie z ulgą podążają do straganów z warzywami.

Tymczasem przybywa nie tylko kupujących i oglądających. Co kilka metrów można się natknąć na rękę żebraka wyciągniętą w proszalnym geście lub otrzeć o złodzieja próbującego ukraść sakiewkę. Tumult i krzyk przy kramie piekarza to informacja, że nie tylko sakiewki padają łupem. Chleb, rogalie i inne wypieki też trudno upilnować.

Coraz większy ścisk nie robi na Heldze żadnego wrażenia. Niska tęga kobieta prze do przodu niczym taran, rozpychając się i depcząc po

stopach. Jeszcze tuzin jaj i można wracać. Lecz zamiast do domu Helga idzie za głosem zapraszającym na przedstawienie kukielkowe. Małą scenę ustawiono tuż przy ścianie ratusza. Kurtyna jeszcze opuszczona, a już czeka tłum ciekawskich. Na razie na stojącej obok beczce przycupnęła małpka w zielonym kubraczku obszytym złotą tasiemką. Obgryza jabłko, raz po raz spoglądając na ludzi. Obok niej leży kapelusz. Za chwilę, kiedy przedstawienie się zacznie, nakrycie głowy posłuży do zbierania pieniążków – opłaty za występ. Helga nagle traci zainteresowanie widowiskiem. Rusza dalej, a rozczarowana dziewczyna musi iść za nią. Gospodyni sobie przypomniała, że na dnie kosza są noże do ostrzenia. Zanim wróca, trzeba znaleźć szlifierza. Jest! Stoi obok przenośnego warsztatu, jakby właśnie na nie czekał. Na widok Helgi szeroko się uśmiecha. Gospodyni państwa Haase to jego stała klientka, dlatego pyta ją o zdrowie, chwali urodę, uruchamiając jednocześnie kamienne koło szlifiarskie.

– Rozalka... – Ktoś ciągnie dziewczynę za rękaw.

– Pan Bartłomiej!

Mężczyzna, który przed nią stoi, ma na głowie filcowy kapelusz, mimo to jego twarz jest dobrze widoczna. Piuwe oczy wesoło spoglądają na Rozalę, a usta okolone zarostem się uśmiechają. Jedyne broda nie pasuje do młodzieńczego wyglądu. Od ciemnego tła wyraźnie się odcinają siwe pasma.

Obecność obcego natychmiast wzbudza zainteresowanie Helgi. Przestaje flirtować ze szlifierzem i staje obok Rozalki, jakby chciała bronić dziewczęcia przed bałamutem. W rzeczywistości zżera ją ciekawość.

Bartłomiej lekko skłania głowę przed gospodynią, ale zwraca się do dziewczyny:

– Szukałem was, jednak powiedziano mi, że mieszkacie gdzie indziej. Właśnie tam szedłem. Mam dla pana Haase maści od twojej babki.

– Musicie przyjść wieczorem. Teraz pan Haase jest w zamku – wtrąca się Helga. – Ja nie mogę wam zapłacić.

– Dobrze. To ja włożę ci wszystko do koszyka – zwraca się do Rozali – a cyrulik przed zachodem słońca niech przyjdzie z pieniędzmi do oberży za Bramą Świebodzińską. Mam jeszcze trochę wosku. Może mu się przyda.

– Przyjechaliście na jarmark?

– Gdzieżbym tak daleko na jarmark jechał. Dla mnie to strata czasu. Kiedy byłem tu po Zmartwychwstaniu, dostałem duże zamówienie na powrozy. Dzisiaj przywiozłem. Już się rozliczyłem, a wóz odstawiłem do oberży. Jutro z samego rana ruszamy z powrotem. Jest okazja jechać z kupcami. W większej grupie zawsze bezpieczniej.

– Pani Michałka jest z wami?

– A jest! Przecież by mi nie darowała, gdybym jej ze sobą nie wziął. Kramy teraz ogląda. Może ją spotkasz.

– Babka co mówiła?

– A czy ona w ogóle co gada? Babki Wigi nie znasz? Mruk z niej straszny. Dała maści i tyle. Jak wrócę, pewno będzie o ciebie pytać.

– I co powiecie?

– Że ładna z ciebie dziewczyna. – Powroźnik odśladnia w uśmiechu zdrowe równe zęby. – Niedługo poszukasz sobie męża. A może już z kimś jesteś po słowie? Powiedz, to babka się ucieszy.

– Co mówicie? Ani mi to w głowie. – Rozala się rumieni.

– Dość tego gadania. – Zdaniem Helgi rozmowa zeszła na niestosowne tory. – Idziemy – rozkazuje i, nie żegnając się z Bartłomiejem, odwraca się do niego plecami i zanurza w tłumie. Czuje się zlekceważona, więc odpląca tym samym. – Bartłomiej i Michałka – prychnęła. – Jestem ciekawa, który pastor zapisał w księdze takie imiona.

– Pewnie pastor z Kolzig. – Rozala drepce z tyłu posłusznie, choć chciała jeszcze porozmawiać z Bartłomiejem, a nawet zaczekać na jego żonę. Od niej na pewno dowiedziałyby się o babce więcej, niż powiedział jej powroźnik.

– Nie wierzę. Żaden pastor nie pozwoliłby dać dziecku pogańskiego

imienia.

Spiesząca się Helga nagle przystaje.

– A tam co się dzieje? – pyta, wyciągając szyję. – Widzisz coś?

Rozalka nie jest wysoka, więc i ona nie umie powiedzieć, co spowodowało przesunięcie się ludzkiej ciżby w stronę ratusza.

– Chodźmy! – Gospodyni wydaje komendę i z impetem wciska się między ciekawskich, nie reagując na gniewne okrzyki i kuksańce. W końcu zatrzymuje się w pierwszym szeregu gapiów.

Okazuje się, że dzieje się coś, przy czym bledną występy kuglarzy. Oto blisko pręgierza stoi para nieszczęśników – chłopak i dziewczyna, a przy nich kat. Urzędnik miejski właśnie rozwija papier i przygotowuje się do odczytania wyroku. Chociaż tłum milknie, głos mężczyzny dociera tylko do tych, co stoją z przodu. Ktoś ciągnie Rozalę za rękaw.

– Nic nie słyszę. Co zrobili? – pyta kobieta za jej plecami.

– Zgrzeszyli – wyjaśnia, mimo że i ona nie wszystko rozumie. – Nie mają ślubu, a zgrzeszyli. Będą stać przy pręgierzu do zachodu słońca.

Ciałem nieszczęsnej dziewczyny wstrząsa szloch. Kuli się ze wstydu i z zimna. Trudno dojrzeć jej twarz, bo zasłaniają ją rude pasma włosów, które się wysunęły z luźno zaplecionego warkocza.

Chłopak chce chyba, by wszyscy wokół myśleli, że nic to dla niego nie znaczy. Zadzierza wysoko głowę, śledząc przelatujące ptaki, jednak mocny rumieniec na policzkach i zaciśnięte szczęki wskazują, że to tylko poza.

Dotknięcie kata, mimo że delikatne, zdaje się sprawiać ból. Przez ciało skazanej przebiega dreszcz, a z ust wydobywa się głośny okrzyk.

Kat pozostaje niewzruszony. Prowadzi dziewczynę do pręgierza, odpowiednio ją ustawia, przywiązuje ręce do żelaznych kół, a na szyi zatrząskuje metalową obrozę. To samo robi z chłopakiem.

Kolej na tłum. Teraz on bierze w swe ręce wymierzenie kary grzesznikom. Nie wiadomo, kto pierwszy rzuca w kierunku pręgierza. Gapiów ogarnia obłęd. W stronę młodych grzeszników lecą wyzwiska, zepsute warzywa, ryby, jajka, koński nawóz i wszystko, co ma upokorzyć,

ale nie zabić. Wszak nie o śmierć tu chodzi, a o satysfakcję. O ileż lepiej będą się czuli bogobojna gospodyni albo pracowity kupiec, kiedy własną ręką ukarzą tych, co dali się złapać.

Rozala próbuje się wycofać, jednak tłum napiera i pcha ją w stronę pręgierza. Jest już na tyle blisko, że może zajrzeć w twarz rudowłosej dziewczynie. Ktoś splunął jej prosto w usta. Gęsta ślina spływa z warg na brodę, a ona nie może się wytrzeć. Kolejne splunięcia dosięgają oboje. Chłopak już nie zaciska szczęk. Głośno płacze, przeklinając swój los. Rozala napotyka spojrzenie rudowłosej. Dwie młode kobiety patrzą na siebie, jedna postawiona pod pręgierzem, druga współczująca i przerażona okrucieństwem tłumu. Rozala czuje, że nie może teraz odejść, nie może zabrać tamtej swego spojrzenia, musi tu stać i pozwolić rudowłosej czerpać siłę z jej oczu, dopóki oni nie przestaną.

Dziewczyna unieruchomiona żelazną obręczą na szyi i sznurem ma na sobie makową spódnicę.



Mimo że miasto śpi, noc jest pełna dźwięków.

Przez sufit docierają piski i tupot zwierzęcych mieszkańców poddasza. W malutkiej izbie też nie brakuje mysiego chrobotania i szelestów.

Rozala tuli lalkę.

Nieprawda. To lalka tuli Rozalę.

Mała niebieskooka kukła z warkoczami z włóczki, odziana w spódnicę koloru maków, dłońmi bez palców obejmuje szyję piętnastoletniej dziewczyny. Szkoda, że ręce nie są dłuższe, a lalka większa. Może wtedy mogłaby ukoić strachy i smutki sieroty.

Lalka nie jest zabawką. Ma na imię Dorotka.

*

Rozala znowu klęczy u stóp pani Haase. Tym razem niczym nie uraziła

swej opiekunki. Chce ją o coś prosić, a wie, że tylko dzięki pokorze może zyskać jej przychyłność.

Kobieta jest rozczarowana.

– Nie znałaś swojej matki. Byłaś mała, kiedy zginęła. Nie pojmuję, po co chcesz tam jechać.

Głowa dziewczyny, dotąd opuszczona, gwałtownie się podnosi. Barbara napotyka jej spojrzenie. Jakieś uczucie w nim zamknięte sprawia, że pomarszczona twarz pokrywa się rumieńcem wstydu.

– Minęły trzy zimy, odkąd pochowano mamę, a ja dotąd nie byłam na jej grobie – słyszy.

– Nic nie mówiłaś. Przecież bym ci nie broniła. Poczułaś potrzebę dopiero teraz, kiedy jesteś mi niezbędnie potrzebna. Greta odeszła, a Heldze ciężko wchodzić na górę.

– Wchodzi ze dwa razy dziennie, to i trzeci wejdzie. Rano zabiorę się z panem. Nazajutrz wieczorem będziemy z powrotem.

Pani Haase milczy. Przez uchylone okno słychać bicie dzwonu zapowiadającego zamknięcie miejskich bram.

– Znowu minął dzień. Na pewno był ciepły, pełen słońca i śpiewu ptaków, a ja od rana do wieczora patrzę w okno albo na ściany.

– Mogę wam poczytać albo zaśpiewam jaką piosenkę.

– Potem. Teraz posmaruj mi ręce. Tak mnie dzisiaj bołą, że nawet czepka nie mogę sobie poprawić.

Słoik z nową maścią przesłaną przez Wigę jest w pogotowiu. Rozala nabiera smarowidła, grzeje przez chwilę w dłoniach, a potem nakłada na wykręconą chorobą rękę opiekunki. Najpierw tłustą mazią pokrywa całą dłoń aż po nadgarstek, później naciera palce, zatrzymując się dłużej na każdym stawie. Błada skóra nabiera kolorów. Nawet policzki pani Haase stają się różowe. Rozala sięga po drugą rękę i powtarza czynności wykonane na pierwszej. Wreszcie na długą chwilę zamyka obie dłonie pani Barbary w swoich, jakby je otulała, a potem wraca do masowania. Teraz jej ruchy są delikatne niczym pieśczęta. Na zwykle napiętej twarzy

chorej pojawia się wyraz ulgi. Wyglądają się pionowe zmarszczki między brwiami, a usta przestają się zaciskać. Spod półprzymkniętych powiek obserwuje ręce dziewczyny, patrzy na jej pochyloną głowę, a w oczach pojawia się dawno nieobecne ciepło.

– Wiem, że pan Haase pokazuje ci swoje księgi i że cię wołał do pomocy, kiedy z oberży przynieśli postrzelonego szlachcica.

– Tak. – Dziewczyna nie jest pewna, do czego prowadzi ta rozmowa. Obawia się, że jest wstępem do kolejnych wyrzutów. Nie podnosi głowy, skupiając wzrok na dłoniach opiekunki.

– Kiedyś, jeszcze w Wolsztynie, mój pierwszy mąż też mnie czasem zabierał ze sobą do chorych. Niektóre niewiasty nie chciały, żeby je badał mężczyzna. Wtedy ja się przydawałam.

– A pan Tytus? Z nim też chodziliście?

– Tylko na początku. Chciałam, żeby ludzie nabrali do niego zaufania. Mnie znali, a jego słabo. Później zaczęłam chorować i już nie mogłam mu towarzyszyć.

– W czym pomagaliście?

– To zależało od rodzaju bóleści. Najczęściej przecinałam i opatrywałam wrzody. Mąż stał obok, ale tak, żeby nie widzieć wstydliwego miejsca, a ja patrzyłam i mówiłam, jak to wygląda. Potem on tłumaczył, co mam robić. Porody też mi się trafiały, ale tylko, kiedy miejscowa akuszerka nie mogła poradzić. Najgorzej było z poparzeniami albo ranami i złamaniami po biciu.

– Po biciu? Kto je bił?

– Ojcowie, mężowie, bracia, inne kobiety... Nikt sobie nie wyobraża, co może się dziać pod dachami bogobojnych mieszczan. Ilu kłamstw się przy tym nasłuchiwała. Że upadła, że spróchniałe schody, że taka nedorajda... One najczęściej umierały, bo wołali cyrulika, kiedy już było za późno.

Dłonie Rozali się zatrzymują. Masowanie na chwilę ustaje.

– Babka też coś takiego mówiła. Nie do mnie. Do siebie. Gniewała się tak, że nie mogła się powstrzymać. Najbardziej, kiedy umarła żona

bednarza. Poszła wtedy na cały dzień do lasu.

Pani Barbara jakby nie słyszała. Opiera się wygodnie i w milczeniu poddaje się zabiegowi. Skóra wchłonęła maść. Dziewczyna, sądząc, że opiekunka śpi, podnosi się z kolan.

– Jeszcze – domaga się pani Barbara, nie otwierając oczu.

– Nie można. To silne smarowidło. Jeszcze wam zaszkodzi. Owinę wam ręce baranią skórką, żeby ciepło nie uciekło.

– Dobrze, ale potem posmarujesz mi plecy na noc. Daj skórkę i idź do Helgi. Niech znajdzie ci zajęcie.

– Pani Barbaro...

– Czego jeszcze chcesz?

– Pozwolicie jechać z panem Haase do Karge?

– Jedź.



Tak się cieszyła na tę podróż, a tu deszcz. W izbie prawie ciemno. Przez grubą i mokrą szybę wpada jedynie odrobina światła. Szybko się myje i ubiera. Mimo wszystko ma nadzieję, że opiekun nie zrezygnował z wyjazdu.

Pan Tytus czeka na dole. Ma na sobie podróżny płaszcz i kapelusz.

– Jedziemy? – pyta mile zaskoczona. – Przecież pada.

– Ty możesz zostać. Ja obiecałem panu Lestowi, że się zajmę jego zębami. Do tamtejszego kowala nie chce iść, a pisał, że bolą go okrutnie. Przy okazji jeszcze komuś pomogę. Ilekroć przyjeżdżam do Karge, schodzą się ludzie. Deszcz nie taki mocny, nie rozpuści nas. – Tytus próbuje żartować, chociaż i jemu się nie uśmiecha jazda w taką pogodę.

Oboje wychodzą na ulicę. Wita ich bicie dzwonu zapraszającego na nabożeństwo i błoto rzadsze niż zazwyczaj. Każde coś niesie. Dziewczyna kosz z jedzeniem na drogę, a cyrulik skrzynkę z najpotrzebniejszymi przyrządami chirurgicznymi: instrumentami do usuwania zębów,

brzytwami, igłami i małą cynową miską do upuszczania krwi.

Tymczasem deszcz z nocnej ulewy przeszedł w mżawkę. Lekka poprawa pogody ośmieliła gryzonie. Szczury jak gdyby nigdy nic przemykają pod ścianami, walczą o resztki albo próbują dostać się do domów, drwiąc z pilnujących je kotów. Słychać nawoływania, skrzypienie kół wozów, chlupnięcia cieczy wylewanych wprost pod nogi albo na głowy przechodniów i przekleństwa tych, których dosięgły nieczystości. Kobiety z pustymi wiadrami na nosidłach podążają w stronę studni. Do nozdrzy trafia zapach świeżego chleba i smród z garbarni. Miasto się budzi.

Koń i wóz pana Tytusa czekają w jednym z gospodarstw tuż za murami. Cyrulik nie chciał tracić czasu na opiekę nad zwierzęciem, dlatego powierzył je pewnej wdowie i jej synowi. Oni dbają o siano, owies i stajnię, a Tytus im płaci. Także u nich postawił swój dwukołowy wóz, którym jeździ do pacjentów mieszkających daleko od miasta.

Syn wdowy już czeka w stajni. Wyprowadza konia i sprawnie zaprzęga do dwukółki. Jest tylko trochę młodszy od Rozalki, być może dlatego wciąż na nią zerka, jakby chciał sprawdzić, czy jego zwinność robi na niej wrażenie. Ona jednak nie zwraca na chłopaka uwagi. Minął początkowy zapach. Zaczyna się obawiać spotkania z Karge.

Buda rozpięta nad dwukołowym wozem chroni przed mżawką, mimo to Tytus i Rozala po godzinie są przemoczeni i umorusani. Koła pojazdu raz za razem zapadają się w błoto i wtedy oboje muszą zeskakiwać i pomagać zwierzęciu, popychając wóz lub podkładając gałęzie pod koła.

Ulewa kończy się niespodziewanie, choć za plecami podróżnych niebo jest nadal ciężkie i ciemne. W połowie drogi doganiają trzy duże wozy pełne towarów. Ich właścicielowi towarzyszy kilku uzbrojonych jeźdźców, dlatego cyrulik z dziewczyną dołączają do kupca, choć sami mogliby poruszać się szybciej.

Jadąc przez Chwalim, zauważają zmianę w wyglądzie wsi. Podupadła i prawie wymarła po zarazie, teraz wyraźnie ożyła. Przed opuszczonymi niegdyś chatami przechadzają się kury i gęsi, nad rzeką pasą się owce,

a gdzieś widać konie. Są też cztery nowe chaty. Trzy z nich już pokryto strzechą, a na ostatniej jakiś mężczyzna pracuje przy konstrukcji dachu.

– Osadnicy – mówi Tytus półgłosem. – Ciekawe, skąd przybyli.

Rozala nie odpowiada. Zawsze była ciekawa wszystkiego, co wokół, lecz tym razem zainteresowanie musi ustąpić obawie. Jakiś trudny do określenia lęk ściska jej wnętrze. Słowa wypowiedziane przez opiekuna przepływają przez nią, nie zostawiając najmniejszego śladu.

– Milczałaś całą drogę. Zwykle nie jesteś taka cicha. Czy coś się stało? – Tytus obraca głowę w stronę towarzyszki i uważnie się jej przygląda. – Może jesteś chora?

– Nie, nie. Ja tylko...

– Boisz się? Nie ma czego. Ci, co spalili chatę twojej babki, zostali wypędzeni. Tu ich nie spotkasz. Gdyby Wiga chciała przeciwko nim świadczyć, zapłaciliby życiem, a tak uratowali głowy.

– Nie pojmuję, dlaczego to zrobili. Przecież babka każdemu pomagała.

– Nie próbuj tego zrozumieć. Ciesz się, że tak się skończyło.

– A matka?

– Sama się utopiła. Może chciała przemyć twarz w stawie albo się potknęła i wpadła? – Tytus snuje fałszywe przypuszczenia, obawiając się wyjawienia prawdy.

Na szczątki matki Rozali natrafili, kiedy wyciągali ze stawu utopionego Brodę. Najpierw długo go szukali, a kiedy już ujrzeli ciało uwięzione tuż pod lustrem wody, odkryli też kości, przegniłą tkaninę o barwie przypominającej czerwień i kamień w sakwie jeździeckiej.

Dwie śmierci w tym samym stawie, lecz dla ludzi tylko jedna miała znaczenie. Broda dopiero co był wśród nich. Z Brodą się liczyli. Dostatnio ubrane potężne chłopisko budziło respekt. Wystarczyło jedno spojrzenie, a hałasujący w karczmie pijaczyna wycofywał się do kąta albo zniknął za drzwiami.

Zniknięcie Doroty, córki Wigi, stało się legendą opowiadaną przez

przędące wspólnie kobiety. Jego prawdziwość odrealnił upływający czas i różne nieszczęścia, które spadły na Karge i Unruhstadt. Znalezienie jej szczątków pozwoliło jedynie rozwikłać zagadkę. Stało się jasne, że nie porzuciła córeczki i nie poszła z żołnierzami albo poganiaczami byłą. Utopiła się, ot co. Skoro coś takiego spotkało Brodę, dlaczego nie mogło się przytrafić płochej dziewczynie w makowej spódnicy? Pytanie o kamień zadawali tylko nieliczni, lecz nawet im nie chciało się szukać odpowiedzi. Szybko zresztą powstała nowa legenda o topielicach mieszkających w stawie i wciągających w czarną głębinę ludzi napotkanych w lesie. I nie było już nikogo, kto by się ośmielił szukać w tamtej okolicy chrustu albo zastawiać sidła na ptaki.

O chrześcijański pogrzeb kości Doroty zadbała Agata, kucharka ze dworu. Najpierw po niedzielnym nabożeństwie zagadnęła pastora, a kiedy zaczął piętrzyć trudności, wcisnęła mu w dłoń srebrną monetę. Wówczas wszelkie zastrzeżenia zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a córka Wigi stała się kimś zasługującym na modlitwę i godne miejsce na cmentarzu.

Trzy lata temu Tytus, przekazując Rozali wiadomości od von Lesta, powiedział tyle, ile chciał. Odwiedzając przyjaciela w Karge, mógł niejedną raz wziąć ze sobą podopieczną, wołał jednak, by na miejscu nie usłyszała zbyt wiele. Tym razem się uparła i już nie mógł się wykręcić.

Unruhstadt tonie w słońcu. Na wielkim placu, na którym w przyszłości ma stanąć ratusz, pasą się kozy, a w wielkiej kałuży na środku kąpią się kaczki. Na obrzeżach rynku przybyło nowych domów. Jeszcze trochę, a wszystkie atrakcyjne parcele zostaną zabudowane. Unrug osiągnął cel – ma swoje miasto.

Na spotkanie wychodzi im Agata. Wyciera ręce w fartuch i z zakłopotaniem poprawia śnieżnobiały czepek. Wita się z Tytusem, a potem otwiera ramiona, by objąć Rozalkę. Nigdy dotąd nie była tak serdeczna dla wnuczki Wigi.

– Trochę mi Ciebie brakowało – tłumaczy nagły przypływ czułości. – Powinnaś częściej przyjeżdżać. Pan Haase był u nas już parę razy.

Dworska kuchnia wydaje się Rozali mniejsza niż kiedyś. Przydymione ściany wymagają odświeżenia, a stół poznaczony śladami noża mógłby opowiedzieć niejedną kulinarną historię. Są same, jak kiedyś, gdy dziewczyna uczyła się gotowania pod okiem kucharki. Haase tymczasem próbuje znaleźć von Lesta w gospodarstwie.

Wkrótce kolacja. Rozala zajęła się oczyszczaniem marchewki, a Agata próbuje rozmnożyć resztki pieczeni z peklowanej wieprzowiny. Ostatecznie decyduje, że na ciepło poda potrawkę składającą się z warzyw, kawałków mięsa i kaszy jaglanej.

– Gdyby pan Tytus napisał, żeby się dzisiaj was spodziewać, zrobiłabym coś lepszego. Dobrze, że w ogrodzie wszystkiego pod dostatkiem. Można przynajmniej żołądek oszukać jarzynami. Rozalka, wiesz, czemu pan Haase nie przysłał żadnej wiadomości?

Agata na próżno czeka na odpowiedź. Dziewczyna oskrobuje kolejną marchewkę, lecz duchem jest zupełnie nieobecna.

– Rozalka? – ponagla kobieta.

Coś wreszcie dociera do dziewczęcia. Podnosi głowę i patrzy na kucharkę nieobecny wzrokiem.

– Co mówiliście? – pyta.

– Nieważne. – Agata siada na ławie i przygląda się Rozalce. – Dziecko, co ci jest?

– Nic... Tylko się zamyśliłam.

– O czym myślałaś?

– O matce.

– To było dawno. Po co do tego wracać.

– Chciałabym wszystko o niej wiedzieć.

– Po kolacji mężczyźni będą sobie gadać, a my pójdziemy na cmentarz.

– A zęby?

– Wyrwane. Von Lest poszedł w końcu do kowala. Przecież by nie wytrzymał tyle czekać.

Cmentarz jest niedaleko. Też na wzniesieniu, tak jak pałac i dworskie gospodarstwo. Trzeba tylko pójść w stronę kaplicy, przeciąć drogę i zrobić jeszcze kilkadziesiąt kroków. Widać, że mało kto tu zachodzi. Gdyby nie drewniane krzyże, niektóre z podłużnych kopczyków nie byłyby widoczne. Tylko całkiem nowych mogił nie porasta trawa. Jeśli Rozala przyszłaby tu sama, nie byłaby w stanie odszukać grobu matki.

Maleńka, mniejsza od innych mogiłka jest tuż przy głównym przejściu. Z trawy ożywionej niedawnym deszczem wygląda kilka stokrotek. Drewniany krzyż, przybrudzony ptasimi odchodami, przechyla się na bok. Tyle zostało po Dorotce, córce Wigi.

Rozala milczy. Stoi wpatrzona w stokrotki. Agata próbuje odgadnąć myśli dziewczyny.

– Nie zostawiła cię. To nieprawda, co kiedyś mówili, że poszła w świat – pociesza. – Zawsze to wiedziałam. Ludzie gadali różne rzeczy, a przecież widzieli na własne oczy, jak cię matka kochała. Nigdy nie dała ci płakać. Bawiła się z tobą i wszędzie zabierała. Ona by cię nigdy nie porzuciła.

– To co się stało?

– Nie wiesz?

– Pan Haase mówił, że się utopiła i że teraz nikt nad staw nie chodzi, bo mieszkają w nim topielice. One ją wciągnęły.

– Pan Tytus tak ci powiedział? Widać chciał ci oszczędzić prawdy.

– Jaka jest prawda?

– To było jesienią. Dopiero co liście spadły z drzew. Matka gdzieś poszła, a cię zostawiła z babką. Już to było dziwne, bo zwykle brała cię ze sobą. Druga niezwykła rzecz, że włożyła odświętą spódnicę.

– Makową? – Rozala ani drgnie, lecz po policzkach spływają słone krople. Jedna za drugą.

– Tak, tę makową, którą wszystkich w oczy kłuła. Potem, kiedy roztrząsałyśmy to wszystko z Wigą, domyśliłyśmy się, że twoja mama

poszła na spotkanie.

– Z kim?

– Nie wiadomo. Może z twoim ojcem. Nigdy nawet nie pisnęła, kto nim jest. Domyślałyśmy się tylko, ale nasze przypuszczenia nie były nic warte.

– I co? Spotkała się z nim, a on nie chciał ani mnie, ani jej, i dlatego rzuciła się do wody?

– Można by tak pomyśleć, gdyby nie kamień.

– Kamień?! – Przeczcucie, które się pojawiło, kiedy usłyszała, że matkę znaleziono w stawie, nabiera mocy.

– Tak, kamień. Wcale nie taki duży. Był w podróźnej sakwie, którą ktoś przywiązał do twojej mamy. Najpewniej do szyi, ale były tylko kości, w dodatku pomieszane, bo jak wyciągali Brodę, ruszyli dno.

– On ją zabił? Mój ojciec?

– Nie wiem, czy tak było. Tylko się domyślam.

– I on tu gdzieś jest?

Obie patrzą ze wzniesienia na domy, rzekę, stogi siana, stada owiec spokojnie gryzących trawę, ludzi wracających z pól, grupę kobiet przy studni, kupca z pomocnikiem ładujących wóz przed jutrzejszą podróżą, dzieci zapędzające gęsi do komórki. Razem wdychają zapach dymu z kominów i słuchają szczekania psów, gęgania, porykiwania i nawoływań. Słońce już się schowało za drzewami, ale nadal jest dzień. Nie ma się czego bać, mimo to stoją przejęte grozą. Kojący dla innych widok w ich oczach jest tylko zasłoną, za którą ukrywa się morderca.

Pierwsza otrząsa się Agata.

– Nie bój się, jego tu nie ma – uspokaja pobladłą dziewczynę. – To nikt tutejszy. Nie pamiętam, by w tamtym czasie ktoś prócz pana Żychlińskiego jeździł konno z sakwami. Twoja matka zabrała tajemnicę do grobu. Wracajmy. – Kobieta obraca się w stronę dworu i lekko popycha Rozalę. – Nie chcesz chyba tu zostać na noc.

Następnego ranka podobny pejzaż, tylko z innego miejsca, obserwują

Tytus Haase i Baltazar von Lest zarządzający Karge w imieniu właściciela. Baltazar krzepko się trzyma, choć widać po nim upływ czasu.

– Są jakieś wieści od Jakuba? – Haase zadaje to pytanie od trzech lat i za każdym razem otrzymuje tę samą odpowiedź.

– Ma się dobrze.

– Wróci?

– Nie. – Baltazar potrząsa głową. – Szykują go do czego innego. Zarządzanie Karge to dla niego za mało. Nie pytaj. Więcej nic ci nie powiem – ucina.

– Nie mieliśmy wczoraj czasu, żeby jak zwykle posiedzieć do nocy przy winie. – Baltazar zaczyna nowy temat.

– Ludzie do późna przychodzili. Wszyscy w Karge i Unruhstadt nagle potrzebowali cyrulika.

– Było wielu, to prawda, ale jest ich trochę więcej niż tych dwudziestu, co widziałem w świetlicy. – Von Lest się uśmiecha. – Odkąd skończyła się zaraza, przybyło sporo osadników. Ci, co do Chwalimia przyjechali, zapowiadają, że na dniach dołączą do nich następni. Nawet swoją babę od ziół mają sprowadzić.

– Dobrze by było. Przychodzili wczoraj z różnymi chorobami, a ja nie jestem medykiem. Wolno mi tylko nastawiać złamania, ciąć wrzody, leczyć rany, upuszczać krew, rwać zęby i golić, ale od tego, co psuje się w środku, są medycy.

– Albo Wiga – żartobliwie wtrąca Baltazar.

– Albo Wiga – powtarza Tytus. – Tylko Wigi tu nie ma, a do medyków daleko. Dlatego dobrze, kiedy ludzie mają na miejscu mądrą babę, która zna się na ziołach i maściach.

– I zaklęciach – uzupełnia von Lest tym samym tonem.

– Zaklęcia nie zaszkodzą. Prędzej niemądre pomysły. Niedawno w Zulich ratowałem grabarza. Bolały go zęby, ale żałował pieniędzy na kowala, poszedł więc po radę do baby. Ona mu powiedziała, że na ból zęba najlepiej włożyć do gardła zdechłą mysz.

– Tfu! – Baltazar otrząsa się z obrzydzenia. – I co ten grabarz? Chyba jej nie posłuchał?

– Posłuchał, a jakże. Mało się nie udusił. Musiałem mu tę mysz wyciągnąć z gardła. Dość gadania, panie Lest. Powinniśmy ruszać w drogę powrotną. – Tytus odwraca się plecami do pastwisk, nad którymi unosi się poranna mgiełka, i rusza w stronę dworu.

– Weź panią Barbarę i przyjedźcie za dwie niedziele. Do pałacu ma zjechać cała rodzina Unrugów. Krzysztof z żoną i dziećmi, kilku krewnych i służba. Będą świętować razem z poddanymi. Wojna ze Szwedami się skończyła, a jego królewska mość podpisał tak wyczekiwaną zgodę. Unruhstadt ma już wszelkie prawa miejskie. Zabawa potrwa kilka dni. Będzie wielki jarmark, kuglarze, muzykanci i tańce.

– Nie chcę się widzieć z Unrugiem. Ilekroć go spotykam, kusi mnie, żebym się tu osiedlił.

– Przecież to dobry pomysł.

– Nie dla mnie. W Zulich jestem panem siebie, tu miałbym pana nad sobą. Jest jeszcze coś. Zaproponowano mi posadę fizyka miejskiego^[8]. Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Domyślam się, że chcesz odmówić, lecz się boisz, że panowie się obrażą.

– Jest tak, jak mówicie, panie Baltazarze. Spadłyby na mnie obowiązki ponad miarę. Mógłbym nie podołać, a wiecie, że jak się czegoś podejmę, to oddaję się temu całym sercem.

– Trudna decyzja przed tobą, chłopcze.

– Mam już trzy dziesiątki lat na karku, a wy nazywacie mnie chłopcem? – Haase wybucha śmiechem.

– Wybacz, ale dla mnie wciąż jesteś czeladnikiem, który w oberży kąpał i opatrywał ledwie żywego Jakuba. Od tamtej pory, Tytusie, wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

Haase, zawstydzony tym wyznaniem, pragnie czym prędzej zmienić temat. Okazja się nadarza, bo na ścieżce pojawia się Rozalka.

- A ty gdzie się podziewałaś? Trzewiki masz całe mokre! – woła do niej, niby zrzędząc.
- To tylko rosa. Zbierałam kwiaty.
- Po co? Zapowiada się gorączka. Zwiędną po drodze.
- Wiem. Zostawiłam je na grobie matki.



Gajowy Kittlitzta pozwolił Widze zbierać chrust w odległym lesie. Zrobił to specjalnie, bo nie miała niczego, czym mogłaby kupić sobie jego przychyłność. W dodatku po śmierci ojca jest samotna, a zdaniem tego człowieka z niczyją kobietą nie trzeba się liczyć. Wszak nie ma nikogo, kto by się za nią wstawił. Teraz, zamiast nosić suche gałązki z lasu w pobliżu Grünwaldu, musi chodzić aż za Kolzig.

Dzisiaj Wiga włożyła do płachty parę grubszych gałęzi, licząc na to, że nie spotka gajowego, a jeśli nawet, to nie sprawdzi, co ma w płachcie. Niestety, ciężar niesiony na plecach daje się we znaki bardziej niż zwykle. Zanim przejdzie przez całe Kolzig, musi chwilę odpocząć. Odkłada więc na bok balast, a potem siada w zaroślach oddalonych nieco od drogi. Ból pleców i bioder jest tak dotkliwy, że chwila na wytchnienie nie starcza. Na szczęście na trawie rosnącej między krzewami jest chłodno i wygodnie. Oparta o toból z chrustem przymyka oczy, marząc o kubku piwa albo choćby łyku wody ze strumienia.

Z drzemki budzi ją szczekanie psa. Zwierzę wybiegło z zagrody kowala po drugiej stronie traktu. Nie na nią szczeka. Prawdopodobnie nawet nie zauważył garbatej zielarki odpoczywającej w zaroślach. Ona za to widzi kowalową, która wyszła z chaty i najwyraźniej kogoś wypatruje. Po chwili niewiasta wraca do zajęć w obejściu, ale za moment znowu pojawia się na drodze. Za każdym razem towarzyszy jej nieduży czarny pies. Mija sporo czasu, zanim uszy zwierzęcia siedzącego akurat przy nodze swej pani staną się czujne, a nos zacznie łowić znajomy zapach. Nagle pies rusza w szalonym pędzie w stronę niewidocznej dla Wigi postaci. Kobieta też

kogoś ujrzała, bo najpierw wbiega do chaty, a potem razem z matką w pośpiechu wychodzą na drogę.

Po niedługim czasie Wiga dowiaduje się, kogo tak pilnie wypatrywała kowalowa.

To niewysoki, ale muskularny chłopiec. Kapelusz kryje twarz, mimo to zielarka rozpoznaje kowalowego syna. Młodzieniec uczy się zawodu w kuźni w sąsiednim Kontoppie^[9]. Pies, który wybiegł mu na spotkanie, teraz zatacza kręgi, czasem podskakuje, a jego szczekanie chwilami zmienia się w radosny skowyt.

Matka najwyżej miesiąc mogła nie widzieć syna, ale wita go, jakby wracał z dalekiej i niebezpiecznej podróży. On też otwiera ku niej ramiona, nie mogąc się doczekać, by ją przytulić. Potem obejmuje babkę, a ona go delikatnie głaszcząc po ramieniu.

Wiga rzadko widuje takie sceny. Na ogół każdy zachowuje się powściągliwie i przynajmniej publicznie nie okazuje uczuć. Tych troje nie podejrzewa, że ktoś ich obserwuje, dlatego pozwalają sobie na czułe gesty.

Kowalowa z synem i babką są już w domu. Odpoczywająca w zaroślach kobieta wyobraża sobie, jak matka stawia na stole smakołyki przygotowane dla chłopca. Przychodzi kowal, jego pomocnik i młodsze dzieci. Razem siadają do posiłku. Najpierw się modlą, potem chwytają za łyżki. Syci i szczęśliwi zaczynają rozmowę o tym, co tutaj i tam, gdzie był chłopak. Kowal pyta, czego się syn nauczył i czy długo jeszcze potrwa, zanim będzie mógł zdać egzamin czeladniczy.

Dzięki Annie Wiga trochę wie o rodzinnym życiu. Przez dziewięć lat siadała do stołu razem z jej córkami. Pamięta Hansa Villborna intonującego modlitwę, pochylone głowy i uczucie wdzięczności dla Zbawiciela za każde, nawet najbardziej lichy pożywienie.

Kobieta podnosi się z trawy z ciężkim westchnieniem. Wciąga na plecy płachtę z chrustem i wychodzi na drogę. Jeszcze kilka razy się zatrzymuje, by odpocząć. Robi to odruchowo, słuchając zmęczonego ciała, jednak jej myśli wciąż krążą wokół kowalowej i tego, jak czekała na syna.

Wiga nigdy nie musiała tak czekać na Dorotkę. Zawsze miała ją blisko. Nawet gdy szła do lasu albo na jarmark, była z powrotem, zanim matka zdążyła się zaniepokoić.

Przepadła tylko raz, i to na dobre. Wtedy zaczęło się czekanie. Nasłuchiwanie, wypatrywanie i szukanie. Każdy szelest mógł zapowiadać powrót Doroty. Krzyk ptaka, ciepły lub zimny wiatr, a nawet inny niż zwykle kształt dymu z komina był znakiem dającym nadzieję. Ileż razy, tak jak dzisiaj kowalowa, wychodziła z chaty i patrzyła, aż oczy zachodziły łzami. Teraz już nie szuka i nie wypatruje. Nauczyła się nie czekać. Wie, że Dorotka nigdy się nie pojawi na drodze, nie pomacha ręką i nie przytuli.

Co bardziej boli? Czekanie czy nieczekanie?

W czekaniu jest udręka niepewności, ale i nadzieja.

Nieczekaniu towarzyszy żal tak wielki, że trudno ją nazwać słowami.

Nieczekanie to pustka i brak przyszłości.

– Uta?

– Skąd znacie moje imię? – Dziewczyna siedząca dotąd na ławce Eliasa zrywa się przestraszona i cofa, gotowa do ucieczki.

– Słyszałam, jak matka na ciebie wołała.

– Chodźcie aż do mojej wioski?

– Wszędzie chodzę. Szukam rzadkich korzeni i zbieram chrust. Ciebie widziałam dwie niedziele temu, jak pędziłaś owce.

– Wszyscy wołają na mnie mała Girgin, po ojcu. Uta nikt we wsi na mnie nie mówi.

– To powiedz, żeby mówili.

– Czemu?

– Znałam jedną kobietę w Karge. Nikt nie wiedział, jak miała na imię. Wszyscy wołali na nią po mężu, Brodowa.

– Czemu to mówicie? Co z tą kobietą?

– Była nieszczęśliwa.

– Bo mówili na nią Brodowa?

– Nie tylko, ale myślę, że to źle, kiedy kobiety się godzą, żeby ludzie nie znali ich imion. Mężczyźni mają imiona, a my, choć tak samo dostałyśmy je na chrzcie, jesteśmy tylko córkami albo żonami Hansów, Samuelów i Wojciechów, i jeszcze owczarową, kowalową albo dziewczyną od krów.

Uta słucha, ale chyba nie pojmuje, co ma na myśli garbata zielarka. Patrzy na nią niepewnie, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, że przyszła. Wiga chętnie rozprawiałaby dalej, na szczęście zauważa zmieszanie dziewczyny.

– Co chciałaś?

– Przyszłam po zioła i zaklęcia.

– Idź do Anny albo Katarzyny.

– Do nich się boję.

– Czemu?

– Stara Villborn ma dziwne oczy. Jak spojrzę, to jakby człowieka widziała na wylot. Do niej nie pójdę.

– Na co ci zaklęcia?

– Nie widzicie mojej gęby? Kto mnie taką zechce?

Niestety, mała Girgin nie przesadza. Całe czoło, nos i policzki pokrywają ropiejące krosty.

– Tu też są! – Dziewczyna rozwiązuje troki przy koszuli, odsłaniając dekolt i ledwie pączkujące piersi.

– Ciesz się tym, co masz.

– A co ja mam? – Ucie zbiera się na płacz.

– Włosy. – Wiga kładzie dłoń na głowie dziewczyny. – Są takie, że królowa mogłaby ich pozazdrościć.

Uta zanurza dłonie w gęstych, złocistych lokach.

– Inne się ze mnie śmieją, że wyglądam jak owca.

- Nieprawda. Mówią tak przez zazdrość.
- Ale gębę mam naprawdę brzydką. Nikt mnie przez nią nie zechce.
- Jesteś za młoda na zamążpójście. Zdążysz wypięknąć – pociesza Wiga. – Dam ci kwiatków Świętej Trójcy do picia i korzenia łopianu do obmywania. Niedługo zima. Wiosną, kiedy będzie więcej świeżych ziół, jeszcze inne sposoby się znajdą.
- Ziół sama mogę nazbierać. Zaklęcia mi potrzebne.
- Zaraz cię nauczę i powiem, co i jak.
- Kiedy zrobię się gładka?
- Nie wiem.
- Zdążę do lata?
- Czemu do lata?
- Wtedy najłatwiej spotkać chłopca.
- Dziecko z ciebie. Nie spiesz się.
- Mam trzymaście wiosen! Już czas.
- Trzymaście? Moja wnuczka ma trochę więcej.
- Macie wnuczkę? Myślałam, że jesteście sama. Gdzie ona?
- W Zulich, na służbie.
- O! Jak ja bym chciała do miasta. Tu tylko owce i owce. Tam jarmarki i ładne suknie. I boso nie chodzą.

Wiga nigdy nie była w Zulich, ale wyobrażenie dziewczyny o mieście wydaje się jej bardzo naiwne. Słucha z pobłażaniem, myśląc już o czym innym.

Zostawiwszy na ławce dwie rzepy jako zapłatę, Uta poszła, ściskając zawiniątko z ziołami i w kółko powtarzając zaklęcia.

Wiga już nie myśli o nieczekaniu. Stoi na drodze i patrzy, aż oczy jej łzawią. Wie, że dzisiaj nikogo nie wypatrzy, lecz pewnego dnia zobaczy nadchodzącą Rozalkę i pomacha do niej ręką.



Każdej niedzieli, a czasem częściej, Rozala chodzi do kościoła na nabożeństwo. Jeszcze rok temu towarzyszyła pani Barbarze. Niestety, choroba oraz schody w nowym domu uwięziły opiekunkę w pokoju na poddaszu, dlatego teraz Helga jest jej aniołem stróżem. Trudno wyobrazić sobie lepszego. Gospodyni państwa Haase strzeże płocze dziewczę przed rozmowami ze służącymi z innych domów, zaczepkami ze strony młodzieńców i natarczywością żebraków, których zawsze pełno na kościelnym dziedzińcu.

Pani Barbara tęskni do świątynnej atmosfery i przemyśleń rozbudzanych kazaniami pastora. Nie mogąc uczestniczyć w nabożeństwach, pragnie choć usłyszeć, co mówił kapłan, lecz Helga, mimo że pomocna w wielu sprawach, tu nie przydaje się wcale. Jej relacje zamykają się na ogół w jednym zdaniu odnoszącym się do treści kazania. Pozostałe wrażenia dotyczą tego, kto co miał na sobie, czy gruby tkacz znowu smarkał zbyt głośno i czy świece paliły się równo. Takie wieści też są interesujące, lecz do bardziej uduchowionych rozmów potrzebna jest Rozala.

Dziewczyna czeka na rozpoczęcie nabożeństwa. Helga, jako jedna z najniższych, przepchnęła się do przodu, ciągnąc ją za sobą. Z miejsca, gdzie stoją wraz z innymi służącymi, widać kazalnicę, ławki i siedzących w nich mieszczan. Po prawej dominują białe lub czarne czepki oraz odkryte głowy dzieci, po lewej siedzą mężczyźni. Ich berety i kapelusze spoczywają na kolanach albo, jeśli jest miejsce, obok właściciela. Ponieważ jesienny poranek powitał mieszkańców Zulich suchym zimnym wiatrem, część wiernych przywdziała cieplejsze okrycia. To może tłumaczyć dziwną woń unoszącą się w kościele, będącą mieszaniną piołunu, bagnika i dawno niewietrzonych kaftanów.

Jedna z kobiet siedzących tuż przy przejściu wciąż obraca głowę ku męskiej części świątyni. Rozala rozpoznaje sylwetkę żony piekarza. Trzeciej, tak mówi Helga, i młodszej od najmłodszej córki swego męża.

„Kogo tak szuka? – zastanawia się dziewczyna. – Przecież jej mąż jest chory. Nie dalej jak wczoraj pan Tytus upuszczał mu krew”.

Na chwilę traci piekarczową z oczu. Wysoka chuda kobieta staje tuż przed nią, zasłaniając widok nie tylko jej, ale i Heldze. Gospodyni nie da sobie w kaszę dmuchać. Wolno, ale stanowczo napiera na kościstą przeszkodę. Jej wysiłek się opłacił. Zawada została odsunięta na bok. Znowu widać całe wnętrze.

Piekarczowa obraca głowę, a Rozala próbuje odgadnąć, kto jest obiektem zainteresowania młodej kobiety. Bez trudu rozpoznaje brązowe loki opadające na ramiona i czarny aksamitny kaftan. Pan Tytus siedzi nieruchomo. Na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest obserwowany.

Koniec oczekiwania. Chór intonuje chorał, a po chwili do śpiewu przyłączają się wszyscy wierni. Rozala śpiewa z innymi, podnosząc do góry głowę. Wydaje się jej, że słowa pieśni niczym ptaki szybują pod gwiaździstym sklepieniem, a potem wracają, uwalniając dusze wiernych z grzechu i czyniąc je czystymi i wzniosłymi.

Chorał się kończy. To sygnał, że odtąd nic nie powinno jej rozpraszać. Kiedy stawi się przed panią Haase, będzie musiała zdać jej dokładną relację z przebiegu nabożeństwa.

W domu państwa Haase niedziele są do siebie podobne. Po powrocie z kościoła Helga spieszy do kuchni, by przygotować śniadanie, a Rozala idzie od razu do pani Barbary, która najczęściej czeka na nią, modląc się w łóżku. Potem następują poranna toaleta, wybieranie sukni i czesanie.

Włosy chorej są słabe i cienkie, toteż można by je uczesać i upiąć w pięć minut. Jednak pani Haase życzy sobie, by pielęgnacja fryzury trwała tak długo, jak zdawanie relacji z nabożeństwa, a przede wszystkim omawianie kazania.

– Dzisiaj pastor czytał list apostoła Pawła do Efezjan. – Rozala rozpoczyna najważniejszą część niedzielnego poranka, stojąc za oparciem krzesła i kościanym grzebieniem czesząc włosy opiekunki.

– I cóż w nim było?

Dziewczyna się domyśla, że pytanie jest podchwytliwe, gdyż pani Barbara jak mało kto zna Pismo.

– Apostoł Paweł pisał, by zwlec z siebie starego człowieka i oblec się w nowego, stworzonego według Boga w sprawiedliwości i prawdzie.

Opiekunka łaskawym skinieniem głowy potwierdza prawidłowość odpowiedzi.

– Co jeszcze?

– Apostoł pisał do Efezjan, że mają mówić prawdę i nie grzeszyć, bo inaczej otwierają do siebie drogę diabłu. I żeby nie kradli, a wszystko zdobywali ciężką pracą i nie zapominali o potrzebujących. Pisał też, żeby byli dla innych uprzejmi i odpuszczali im winy, tak jak Bóg je nam odpuszcza.

– Dobrze zapamiętałaś. – Pani Barbara się uśmiecha. – A co o tym mówił pastor?

– Pastor tłumaczył, że list apostoła jest do wszystkich, nie tylko do Efezjan. Przypomniął, że dawno temu, w pierwszych latach chrześcijaństwa, był taki obyczaj, że przed chrztem zdejmowano stare szaty, a po chrzcie oblekano się w całkiem nowe. To znaczyło, że przez chrzest człowiek zostaje przemieniony i odtąd będzie żył w Chrystusie. Dlatego wszyscy mają być prawdomówni, uczciwi, pracowici i miłośni.

– To wszystko?

– Nie. Potem pastor mówił o diable.

– O diable? I cóż ten diabeł?

– Diabeł czyha na grzeszników. Wie, kto nie postępuje według Bożych przykazań, i cieszy się z takiego zachowania. Szatan krąży wokół człowieka niczym groźny lew i czeka stosownej chwili, żeby kogoś takiego doprowadzić do zguby. Taka chwila następuje, kiedy ulegamy pokusom, kłamujemy, złorzeczymy, kradniemy albo grzeszymy inaczej.

– A ty? Dajesz szatanowi okazję?

Rozala nieruchomieje. Zastanawia się nad odpowiedzią, lecz pani Haase inaczej odczytuje jej zachowanie.

– Stań przede mną, tak bym cię dobrze widziała. Jakim pokusom ulegasz? Mów!

Dziewczyna czuje się winna, choć nie rozumie dlaczego.

– Modłę się, jestem uprzejma, nie kradnę i nie czynię nikomu krzywdy – wyznaje po chwili. – Nie daję diabłu okazji.

– Popatrz na mnie!

Rozala podnosi głowę. Barbara próbuje dojrzeć w jej oczach kłamstwo, lecz nie znajduje w nich niczego prócz zawstydzenia.

– Załóż mi czepek.

To sygnał, że można wrócić za oparcie krzesła.

Rozala najpierw sięga po mały cienki czepek i wkłada go na głowę chlebobawczyni. Sprawdza, czy żaden włos się nie wydostał spod tkaniny, a potem bierze ze stolika następny. To duży czepek, osłaniający twarz przed kimś patrzącym z boku.

Teraz powinna zjawić się Helga ze śniadaniem, a zaraz potem pan Tytus, który niedzielne posiłki je razem z małżonką. Na razie nikogo nie ma. Ośmiela to dziewczynę do zadania pytania nurtującego ją od jakiegoś czasu.

– Pani, dlaczego nosicie czepek? Przecież u siebie w domu moglibyście zostać z odkrytą głową.

– Każda zamężna kobieta musi zasłaniać włosy. Nie wiedziałaś?

– Wszystkie bliskie mi niewiasty wkładały czepek albo chustkę. Wcześniej się nie zastanawiałam, czemu to robią.

– Nakrycie głowy jest znakiem poddania. Bóg stworzył Ewę dla Adama, a to znaczy, że kobiety są stworzone dla mężczyzn. Kiedy wyjdą za mąż, stają się sługami swych mężów. Mają im rodzić dzieci, dbać o dom i być wierne.

– Dlaczego mężowie nie muszą przykrywać włosów?

– Bo zostali stworzeni na obraz i chwałę Boga, a kobiety tylko na chwałę mężczyzn. Tak pisał apostoł Paweł w liście do Koryntian.

– To znaczy, że są gorsze? A jeśli nie chcą być nikomu poddane?

– Co znaczy „nie chcą”? Taka jest wola Boga. Gdyby każdy robił, co mu się podoba, zapanowałby chaos. Myślisz, że chciałam takiego życia, jakie mam teraz? Otóż nie! Ale przyjąłam z pokorą wolę moich rodziców, kiedy wybrali mi męża, i wciąż ją przyjmuję, choć nieraz mi ciężko.

„To po co mnie uczycie? Na co mi się to przyda, jeśli tylko mężowi mam służyć?” – Tego pytania dziewczyna nie śmie zadać swej opiekunce. Zresztą nie zdąży, bo ciężkie kroki Helgi już słychać na schodach. Za chwilę zjawi się pan Haase, a Rozala zejdzie do kuchni, by zjeść posiłek z gospodynią.



Barbara Haase lubi latać. A lata tylko wtedy, gdy Rozala posmaruje jej plecy maścią od babki Wigi. Coś takiego jest w owym smarowidle, że ból mija, a zamiast niego pojawia się sen uwalniający od ciężaru ciała trapionego przez choroby. W tym śnie pani Barbara się unosi i leci. Nie musi machać rękami i w ogóle nic robić. Po prostu rozkłada ramiona, by poczuć się jak ptak, i jak on szybuje nad drzewami, jeziorami, nawet nad rynkiem, ratuszem i elektorskim zamkiem. Lasy pod nią mienią się wszystkimi kolorami jesieni, wody są granatowe, a niebo tak niebieskie, że kiedy się budzi, bołą ją oczy i głowa, a serce bije tak szybko, że strach.

Pani Barbara chciałaby latać bez przerwy, lecz powstrzymuje ją przed tym rozsądek. Został już tylko mały garnuszek maści. Nie wiadomo, kiedy do miasta przyjedzie powroźnik z Kolzig. Trzeba więc oszczędzać.

– Rozalka! – Gniewne wołanie niesie się po całym domu, mimo to dziewczyna nie przychodzi. – Rozalka, chodź do mnie! Prędko!

Odgłos kroków na schodach nie zapowiada nadejścia dziewczyny. Ktoś stąpa ciężko i uważnie. Gdyby to była Rozala, biegłaby szybciotko i wpadła do izby zdyszana.

– To ty, Helgo. – Pani Haase lubi swoją gospodynię, lecz teraz bardziej pragnie widzieć wychowanicę. – Gdzie znowu się podziała ta dziewczucha?

– Dopiero co posłałam ją po wodę. Czego potrzebujecie, to wam podam.

– Wszystko mnie boli – narzeka Barbara. – Popatrz – mówi, wyciągając rękę.

Helga ze współczuciem pochyła się nad powykręcanyimi palcami, w miejscach stawów usianymi guzami i obrzękami.

– Widzisz, jak ja cierpię? Mój małżonek chodzi do ludzi z pomocą, a dla mnie nie ma czasu.

– Pan Haase na takie choroby nie ma rady. Trzeba sprowadzić medyka z Grünbergu – radzi Helga.

– Już był. I co to dało? Nic! Na niczym się nie zna. Tylko talary umie liczyć.

– Przyjdzie dziewczyna, to zaparzy ziół i zrobi ciepły okład. Zawsze wam pomaga.

– Idź już. Jej każ tu przyjść. – Zrezygnowana kobieta ucina rozmowę i przymyka oczy, dając do zrozumienia, że chce zostać sama.

Rozala zdjęła z ramion nosidło i oparła je o studnię. Tak jak wszyscy wokół staje na palcach i wyciąga szyję, by zobaczyć karetę, która od strony Bramy Zielonogórskiej zmierza w kierunku zamku. Do pojazdu zaprzęgnięto cztery konie, a to znaczy, że nie byle kto nim podróżuje. Na woźnicę w liberii i towarzyszących karecie jeźdźców niewielu zwraca uwagę. Wszyscy usiłują odgadnąć, kto siedzi w środku. Herb umieszczony zwykle na drzwiczkach tu jest przykryty czarnym kwadratem zlewającym się z barwą pojazdu, a okna zasłonięto ciemną tkaniną.

– Książę Fryderyk?^[10] – zastanawia się stojący obok otyły mężczyzna. Odór czosnku i piwa sprawia, że otaczający go gapie starają się odsunąć, przez co być może widzi więcej niż inni. – Nie – mówi, nie wiadomo, czy do siebie, czy do ludzi stojących w bezpiecznej odległości. – Nasz książę nie podróżowałby w ukryciu. On by pozdrawiał swych poddanych. To

musi być ktoś inny. Ciekawe kto.

Ze strony gapiów padają nazwiska różnych hrabiów i książąt, lecz w rzeczywistości nikt nie ma pojęcia, kogo wiezie karetą wjeżdżająca na zamkowy dziedziniec. A tam już nikt z miasta niczego nie dojrzy, bo siedzibę elektora otacza mur. Nie taki wysoki jak mury miejskie, lecz wystarczający, by zasłonić przed wzrokiem ciekawskich jej królewską mość Luizę Marię Gonzagę, żonę polskiego króla Jana Kazimierza.

Mieszkańcy Zulich wracają do swoich zajęć. Kobiety stojące w kolejce do studni zachowują się nerwowo. To albo służące, które spodziewają się awantury za spóźnienie, albo gospodynie, którym mężowie będą robić wymówki, że obiad niegotowy. Jedna z nich, około trzydziestoletnia wysoka i chuda niewiasta, próbuje się wcisnąć przed Rozalę. Kiedy indziej może by potulnie przepuściła bezczelną babę, ale nie dzisiaj. Helga i pani Haase nie darują jej, że zmitrężyła tyle czasu. Daje kuksańca w kościsty bok, a kiedy to nie pomaga, chodakiem o drewnianej podeszwie staje jej na stopie. Grad nieobyczajnych słów z ust tamtej wprawia w zdumienie nie tylko dziewczynę. Kobiety przy studni biorą w obronę dziewczątko o niewinnym spojrzeniu, a zachowująca się grubiańsko służąca zostaje wygnana na koniec kolejki.

Rozala wraca z pełnymi wiadrami. Powinno być jej przykro po tym incydencie, a nie jest. Przeciwnie, mimo że dźwiga dwa pełne wiadra uczone do nosidła, idzie wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Znowu czuje się Rozalką z Karge, która wspinała się na drzewa po wronie jaja.

Nie jest dobrze zbyt wysoko podnosić głowę, bo wtedy nie widzi się tego, co pod nogami. Na przykład można nie zobaczyć głodnego kota, który, licząc na jakieś resztki, podbiega do zadzierającej nosa dziewczyny.

Upadek jest bolesny. Woda wylana, ramiona obite nosidłem, a suknia powalana końskim łajnem.

Zbiera się powoli. Najpierw lekko oszołomiona siada na środku ulicy i rozgląda się za wiadrami. Kot, który powinien się przestraszyć i czmychnąć, czai się pod ścianą, ciekawy, co dalej.

– To przez ciebie! – syczy Rozala. – Złapię cię i obedrę ze skóry.

Zwierzę nie wygląda na przejęte. Zabawnie przekrzywia burą głowę, jakby słowa dziewczyny brał za dobrą monetę. Jest młody. Zapewne urodził się późną wiosną, a teraz próbuje przeżyć, kradnąc odpadki innym kotom, szczurom i psom.

– Długo będziesz tak siedzieć?

Rozala spogląda w górę. Stoi nad nią Helga z miną niewróżącą niczego dobrego.

– Pani mnie po ciebie posłała, bo doczekać się nie mogła. A tu proszę! Siedzi sobie w końskim gównie i gapi się na kota. Rozum postradałaś?

– Już, już. Muszę tylko pójść po wodę, bo się wylała. – Buńczuczny nastrój się ulotnił. Dziewczyna jest na powrót pokorna.

– Jeszcze tego brakuje, żebyś znowu przepadła. Sama pójde, a ty się pospiesz. Pani czeka!

Rozala niezgrabnie wstaje. Boli ją nadgarstek. Jedną ręką próbuje oczyścić suknię, ciesząc się, że wyjątkowo na ulicy nie było błota, i po chwili znika w drzwiach domu państwa Haase. Szczęście w nieszczęściu, że upadła niemal w progu.

Reszta dnia to walka z bólem i wysłuchiwanie pretensji o to, że poszła, gdzie się włóczyła i nie można na niej polegać. Głównie mówi Helga. Pani się tylko dokłada.

Powrót pana Haase wydaje się wybawieniem. Cyrulik zabiera ją do izby na dole. Dopiero tam przy zapalonych świecach ogląda i obmacuje spuchnięty i zaczerwieniony nadgarstek.

– Chyba nic poważnego się nie stało. Zaraz cię nareperuję. – Tytus próbuje pocieszać podopieczną żony. – Za cztery niedziele będziesz jak nowa.

– Cztery niedziele?! – Helga chciała tylko podsłuchać, ale nie może się opanować. – Ona przez cztery niedziele nie będzie nic robić? Wszystko na mojej głowie? Nie, tak nie może być! Odchodzę!

Tytus jakby nie słyszał narzekań gospodyni. Nawet się do niej nie

odwraca. Niespodziewanie wykonuje jakiś ruch. Przeszywający krzyk zamyka Heldze usta. Nieprzytomna Rozala osuwa się na ławę.

– Po wszystkim. – Dopiero teraz Haase zwraca się do kobiety stojącej w progu. – Niedługo się ocknie. Mówiłem, że ją nareperuję. Teraz tylko zawinę rękę w płótna, żeby nią nie ruszała.

– Nie ruszała? – Heldze nie mieści się to w głowie. – Darmo chleb będzie jadła?

– Helgo, nie twój to będzie chleb! – Cyrulik podnosi głos. – Idź do pani i powiedz jej, co się stało. Słyszała krzyk i pewnie się niepokoi.

Rozala leży na ławie. Wygląda, jakby spała. Tytus sięga po bandaż, ale coś sprawia, że zastyga z płótnem w dłoni. Przygląda się omdlałej dziewczynie. „Nie zauważyłem, kiedy przestała być dzieckiem” – dziwi się w myślach.

Drgnienie powiek zapowiada przebudzenie. Otwierają się oczy okolone długimi czarnymi rzęsami. Spoglądają zupełnie przytomnie. Najpierw widzą pogrążone w cieniu belki na suficie, potem obracają się ku świecy w cynowym lichtarzu, a na koniec łączą ze spojrzeniem Tytusa. Gdyby wczoraj ktoś go zapytał, jakiego koloru są oczy Rozalki, najpierw by się zastanawiał, a potem odpowiedział, że chyba czarne. Teraz wie, że to nieprawda. Są jak czysta woda w ciemnym leśnym stawie, przez którą przenikają promienie słońca. „To światło świecy wywołuje takie złudzenie” – domyśla się cyrulik, mimo to nie umie oderwać wzroku od dziewczyny.

– Co mi zrobiliście?

Teraz Tytus robi wrażenie obudzonego ze snu.

– To, co było trzeba – odpowiada zmieszany. – Kości musiały wrócić na swoje miejsce. Dlatego bolało.

Rozala próbuje poruszyć ręką. Grymas na twarzy pokazuje, że to niełatwe.

– Daj. – Cyrulik sięga po spuchniętą dłoń. – Jakiś czas poboli – uprzedza. – Jeżeli nie będziesz tą ręką ruszała, minie prędzej. Ciasno ci ją

owinę, to od razu będzie lepiej.

Unieruchomienie nadgarstka nie trwa długo. Rozala powinna już wyjść, ale chyba nie ma ochoty. Rozleniwiona dawno niedoznaną troską i dotknięciami sprawiającymi dziwną przyjemność rozgląda się zaciekawiona po pomieszczeniu, które od tygodni było zamykane na klucz. W izbie pełniącej niegdyś funkcję magazynu na towary wszystko się zmieniło, odkąd ostatnio tu zaglądała. Ściany są pobielone, pod nimi stoją częściowo wypełnione regały, na środku długi solidny stół, a nad nim podwieszony do sufitu świecznik. Przy jednej ze ścian dwa łóżka, a w nich pękate sienniki.

– Po co to wszystko? – pyta zdumiona.

– To izba cyrulika. – Haase nie potrafi ukryć dumy. – Podczas mojej czeladniczej wędrówki nieraz takie widziałem. Szanowani cyrulicy mieli w swoich domach izby dla rannych.

– Przecież was wołają, jak coś się stanie. Chcecie, żeby do was przynosili ludzi?

– Nie zawsze, bo wtedy zabrakłoby łóżek, ale czasem chory potrzebuje opieki cyrulika przez wiele godzin. Pamiętasz tego szlachcica, co go ktoś postrzelił w oberży? Trzy razy na dzień musiałem do niego chodzić. Traciłem czas i pieniądze.

– Pieniądze? Nie zapłacił wam?

– Zapłacił tylko za leczenie. Za łóżko i opiekę pieniądze wziął oberżysta. Gdybym wtedy miał taką izbę, mnie by zapłacił.

– Ale wtedy musielibyście przy nim siedzieć, a zarabiacie też na mieście.

– Dobrze mówisz. – Tytus się uśmiecha. – Do opieki zatrudnię sługę. Sam nie podołałbym wszystkiemu.

Kroki Helgi na schodach zwykle łatwo rozpoznać. Są ciężkie i głośne, jakby gospodyni pragnęła zakomunikować całemu światu, jak bardzo jest utrudzona. Tym razem Helga zeszła tak cicho, że nie usłyszeli jej ani Tytus, ani Rozala. Nie wiadomo, jak długo podsłuchiwała, stojąc

w ciemnościach. Niczego zdrożnego nie mówili, jednak kiedy stanęła w progu, zarumienili się oboje.

– Pani cię woła.

– Już idę. – Dziewczyna się zrywa i w poczuciu winy pędzi do góry, nie zważając na ciemności.

Haase rzuca Heldze niechętnie spojrzenie.

– Chciałaś czegoś jeszcze?

Gospodyni nie unika wzroku Tytusa. Nie musi nic mówić. Wyraz jej oczu nie wróży niczego dobrego.



Tkanina rozpięta na tamborku i igła ze srebrną nicią leżą zapomniane w koszyku. Ich właścicielka nie ma czasu na haftowanie. Dzisiaj nie czeka i nie tęskni. Tylko modlitwy nie opuściła. Wszak dzięki wstawiennictwu Matki Bożej odzyskała syna. Nie tylko modlitwą i bólem kolan Matce Zbawiciela wynagrodzi. Kiedy odzyska majątek męża, ufunduje kościół, a na razie nie żałuje złota klasztorowi, w którym rezyduje od lat. Tu, w Zulich, jest od tygodni. Jakub już dawno miał do niej dołączyć, ale Marie zalecała ostrożność. Chciała wszystko tak zorganizować, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. I choć przebywanie w zamku heretyka do miłych nie należy, nie może narzekać na brak gościnności. Niczego prócz syna jej nie brakowało. Teraz ma go przy sobie. Julię de Gondi, wdowę po markizie de Fontenay-Trésigny, przepełnia uczucie radości i wdzięczności, a dawno niewidziany uśmiech nie znika z ust od rana.

Ta, która kiedyś haftowała, dzisiaj nie może oderwać wzroku od syna. Odkąd trzy lata temu dostała wiadomość o jego odnalezieniu, była z nim tylko dwa razy. Spotkania aranżowane przez zaufanego polskiej królowej zawsze odbywały się w tajemnicy, każde w innym miejscu. Na szczęście trwały wiele tygodni, więc mogła się synem nacieszyć.

To jest wyjątkowe. Tym razem Jakub towarzyszy samej Ludwice Marii. Jej królewska mość często udaje się na zachód Europy. Rzeczpospolita

nękana wojnami potrzebuje sojuszników, a nikt tak skutecznie nie nawiązuje kontaktów dyplomatycznych jak królowa. Bywa, że jej wyprawy mają charakter oficjalny, kiedy indziej woli podróżować incognito. Gdyby nawet ktoś ją śledził, nie dostrzeże niczego dziwnego w tym, że postanowiła zatrzymać się na nocleg w elektorskim zamku i że jeden z dworzan nagle zachoruje, skutkiem czego odłączy od towarzyszy, a potem zostanie w Zulich, by odzyskać siły.

Prowadzona półgłosem rozmowa toczy się między kobietami. Jakub tylko się przysłuchuje. Wciąż nie opanował francuskiego tak dobrze, by wszystko rozumieć. Poza tym ma wątpliwości. Przypuszcza, że sekrety, potajemne spotkania, podejrzenia są wynikiem obsesji. Wydaje się mu, iż matka, okrutnie doświadczona przez los, popadła w lekki obłęd. Niby żyje jak każdy, ale wszystkich podejrzewa i nieustannie ogląda się za siebie. Porozmawia z nią, kiedy królowa uda się w dalszą podróż.

Atmosfera podczas wieczerzy z rodziną zamkowego urzędnika jest sztywna i sztuczna. Domowników krępuje obecność królowej. Więcej w rozmowie prawienia uprzejmości niż poruszania ciekawych tematów. Za to potrawka cytrynowa podana do gotowanego kurczaka smakuje tak wybornie, że jej królewska mość każe wołać kucharza, by go pochwalić. Pogawędka władczyni z rezolutnym sługą rozładowuje napięcie i sprowadza rozmowę na potrzebę edukacji wśród ludu. Królowa, która jest osobą gruntownie wykształconą, interesuje się różnymi dziedzinami nauki i stoi za powstaniem pierwszej polskiej gazety^[11], jest zdania, że zbyt małą wagę przykładają do edukacji dziewcząt. Choć sama jest katoliczką, zauważa pomysły protestantów w tej dziedzinie. W Polsce w przypadku dziewcząt pochodzących z niezbyt zamożnych rodzin katolickich jedyną nadzieję na zdobycie pogłębionego wykształcenia daje wstąpienie do klasztoru. Dlatego Maria Luiza sprowadziła do Warszawy szarytki i powierzyła im edukację dziewcząt bez konieczności podejmowania decyzji, co chcą robić w przyszłości.

– Wasza królewska mość – milczącemu dotąd mistrzowi Brekerowi udaje się przełamać nieśmiałość – sam niedawno miałem do czynienia

z sierotą przygarniętą przez małżeństwo świątłych luteranów. Dziewczątka pochodzące z ciemnego ludu okazało się pojętną uczennicą. Jej opiekun mówił mi, że przez trzy lata nauczyła się biegle czytać, pisać i nabrała ogłady równej mieszczańskim córkom. To niewątpliwa zasługa małżonki opiekuna, lecz nie bez znaczenia są ukryte talenty, które owa istota wcześniej posiadała.

– Czy to ktoś z zamkowej służby, mistrzu Brekerze? Chętnie ją zobaczę.

– Nie, najjaśniejsza pani. Jest z miasta. Na prośbę opiekuna dawałem jej lekcje rysunku.

– Dawałeś, czyli to już skończone. Nie okazała się aż tak zdolna?

– Przeciwnie, najjaśniejsza pani. To pilna i utalentowana osobka. Chętnie uczyłbym ją dalej. Niestety, jej opiekunka to niewiasta dotknięta wieloma chorobami i pomoc oraz towarzystwo dziewczyny są jej niezbędne. Lekcje trzeba było zakończyć.

– Szkoda. Lecz obowiązki wobec opiekunów są na pierwszym miejscu.

W zamku panuje cisza. Królowa udała się już do swojej komnaty, bo skoro świt wyrusza w dalszą drogę. Jakub zostanie z matką. Za kilka dni, kiedy jej królewska mość będzie wracać do Warszawy, młodzieniec znów dołączy do jej straży.

Dla niego pora na sen jest zbyt wczesna. Przechadza się po komnacie, myśląc o dziewczynie, o której rozmawiano przy stole. Właściwie nawet nie o niej, a o Rozali. Próbuje sobie przypomnieć tę, którą pożegnał cztery lata temu, kiedy opuścił Karge razem z panem Unrugiem. W głównej siedzibie rodu w Międzychodzie miał się nauczyć zarządzania majątkiem, a potem wrócić do Karge i zastąpić Baltazara von Lesta. Nie spodziewał się, że nastąpi to szybko, lecz nie pomyślał wtedy, że jego życie tak się odmieni.

O Rozali prawie zapomniał. Dopiero dzisiaj wróciły wspomnienia o czarnowłosej dziewczynce przychodzącej do dworu w Karge razem z dziwną garbatą babką. Nie może sobie przypomnieć, co go ciągnęło do

tej małej. Co sprawiało, że rozumieli się bez słów? Dlaczego na jej widok porzucił zabawę z kolegami i biegł jej śladem?

Ciekawe, czy Rozala znalazła odpowiedzi na swoje pytania. Wciąż je zadawała i gniewała się, kiedy nie umiał na nie odpowiedzieć. Kiedy trochę podrośli, a pan Lest zaczął go uczyć, coś się popsulo. Rozala zazdrościła mu, że rozumie, co mówią znaki. Jakub się uśmiecha. „Literey nazywała znakami. Myślała, że to zaklęcia. Była taka niemądra”.

Czuł się wtedy nieszczęśliwy. Pragnął do kogoś należeć, a był niczyj. Nie miał nawet wspomnień z czasów, kiedy pan Baltazar i pan Unrug, i jeszcze ktoś trzeci znaleźli go na drodze gdzieś w Brandenburgii.

Pan Baltazar... Nie doceniał jego opieki. Chciałby go zobaczyć i powiedzieć mu, że nie miał racji.

Ogarnia go gwałtowne pragnienie odwiedzenia Karge. Wszak dwór to jedyne dzieciństwo, jakie pamięta. Von Lest, choć szorstki, był mu prawie jak ojciec, a kucharka Agata nieraz piekła dla niego i Rozali słodkie bułki z suszonymi wiśniami.

Pojechałby choćby jutro. Konno obróciliby w jeden dzień. Tu wojna się skończyła, drogi są znów bezpieczne, a z pojedynczym zbrojcem bez trudu sobie poradzi. Nie darmo ćwiczy fechtunek. Tylko jak przekonać matkę?! Przy jej obsesji to chyba niemożliwe. Najchętniej zamknęłaby go na klucz i usiadła pod drzwiami. Stryj na pewno dawno zapomniał o jego istnieniu, jeśli w ogóle kiedykolwiek zamierzał go zabić.

Dojrzewa w nim szalona myśl. Jeśli matka się nie zgodzi, ucieknie!

Wbrew temu, co sądzi Jakub, Ludwika Maria nie położyła się spać. Zaprosiła do swej komnaty przyjaciółkę, Julię de Gondi, wywodzącą się z wpływowego rodu książąt Retz, wdowę po markizie de Fontenay-Trésigny, matkę Jakuba.

Służąca dyżurująca na krześle pod drzwiami, oparłszy głowę o ścianę, śni o przystojnym pomocniku kucharza. Księżyc, który rozpoczął swą wędrówkę po niebie, wschodząc nad odległymi łąkami, teraz użycza chłodnego blasku wieży kościoła, a one wciąż nie mogą się rozstać.

Znowu są Marie i Julie, tak jak przed laty w Paryżu.

Wspominają bale, paryskie salony, nadzieje na małżeństwo Marie^[12] z Gastonem Orleańskim, bratem króla, potem więzienie, w którym zamknięto ją na polecenie królewskiej matki, by nie dopuścić do mariażu. Z nich dwóch to Marie była bardziej błyskotliwa, inteligentna, sprytna i skłonna do intryg, lecz gdyby nie Julie, załamałaby się kompletnie, kiedy uwięziono ją w twierdzy Vincennes, a później na trzy lata umieszczono w klasztorze. Przyjaciółki, nie chcąc się narazić matce Ludwika XIII, całkiem się od niej odwróciły, tylko Julie, wykorzystując rodzinne koneksje, słała listy, a czasem ją odwiedzała. Później Marie, przywrócona do łask, pokochała wielką i jedyną w życiu miłością młodego, wesołego i ambitnego Henryka d'Effiat, markiza de Cinq-Mars. Kiedy jednak ambicje i udział w spisku przeciwko kardynałowi Richelieu zaprowadziły ukochanego na szafot, znowu tylko w Julie przyszła polska królowa znalazła oparcie.

Nagła śmierć męża Julie podczas polowania była pierwszym z serii tragicznych zdarzeń, które dotknęły przyjaciółkę królowej. Karol, młodszy brat markiza de Fontenay-Trésigny, utracjusz i gwałtownik, uznał śmierć brata za okazję do przejęcia tytułu i majątku. Na przeszkodzie stało istnienie następcy, czyli małego Jakuba. Zaczął więc dybać na jego życie. Los syna Julie nikogo nie obchodził, bo król Ludwik XIV był tylko chłopcem, a sprawująca rządy w jego imieniu Anna Austriaczka sama miała wielu przeciwników. Dlatego wdowa po markizie postanowiła schronić się wraz z dziećmi w klasztorze na wschodzie Francji i stamtąd zabiegać o pomoc swej możnej rodziny.

Przygotowania do ucieczki odbywały się w największej tajemnicy, lecz Karol miał swoich szpiegów. Uciekinierzy byli prawie u celu, kiedy podczas podróży napadli na nich wynajęci zbójcy. Tylko przypadkowi zawdzięcza Julie, że została przy życiu. Sztylet, którym ugodził ją bandyta, natrafił na biżuterię schowaną w woreczku pod bielizną. Markiza straciła przytomność, ale przeżyła. Pożałowała, kiedy ujrzała martwe ciała córeczki, niani, woźnicy i dwóch jeźdźców, których wzięła do ochrony.

Trzyletniego Jakuba nigdzie nie było. Od tej pory ani Karol, ani ona nie ustawiali w poszukiwaniach. Karol zajął zamek, przejął tytuł i dotąd panoszy się na podstępnie zagarniętych ziemiach. Julie, korzystając z osobistego niemałego majątku, pomieszkuje w zaprzyjaźnionym klasztorze i czeka na stosowny moment, by wraz z Jakubem stanąć przed królem i opowiedzieć, jak zostali skrzywdzeni. Nie wątpi, że Ludwik XIV wymierzy złoczyńcy sprawiedliwość, a tytuł i majątek przypadną prawowitemu następcy.

– Jak zawsze nie dość mi rozmowy z tobą, Julie, ale rano wyjeżdżam. – Królowa podnosi się z krzesła, dając do zrozumienia, że czas się rozstać. – Da Bóg, następną kolację zjem z księciem Fryderykiem. Muszę odpowiednio się prezentować, a w moim wieku żaden puder nie ukryje zmęczenia.

– Elektor brandenburski musi cię bardzo lubić.

– Ha! Utopiłby mnie i mego małżonka w łyżce wody. Wciąż knuje za naszymi plecami z Lubomirskim. Nie w smak mu królewskie pomysły na reformy i wzmocnienie władzy w Rzeczpospolitej.

– Dlaczego więc gości ciebie i nas w swoim zamku w Zulich? Czemu się z nim spotykasz?

– Dyplomacja, moja droga. To zbyt zawile, żeby ci teraz tłumaczyć. Wkrótce wstanie słońce. Muszę choć trochę się zdrzemnąć.

– Och, wybacz mi, samolubnej! Już daję ci spokój. Pozwól się ucałować na pożegnanie. – Markiza bierze królową w objęcia. – Marie, nigdy nie zapomnę, co zrobiłaś dla mego syna i dla mnie.

– To nic. – Królowa robi krok do tyłu, by wyzwolić się z uścisków. – Tylko nadal nie mogę pojąć, jakim sposobem trzyletnie dziecko uniknęło śmierci i jak potem się znalazło w Brandenburgii. A gdyby nawet było jakieś rozumne wyjaśnienie, to spotkanie go i rozpoznanie przez Luizę Skórzewską można uznać za cud.

– Różnie to sobie tłumaczyłam. – W oczach Julie pojawiają się łzy. – Może mordercy nasłani przez Karola go nie zabili, bo chcieli dostać większą zapłatę. Może coś się stało i plan się nie powiódł. Cokolwiek bym

przypuszczała, będą to tylko domysły, których nikt nie potwierdzi. Już nie zaprzętałam sobie tym głowy. Dobrze powiedziałaś. To był cud, o który latami się modliłam do Matki naszego Zbawiciela. Wierzę, że to ona go ocaliła, postawiła na drodze dobrych ludzi, którzy otoczyli go opieką, a w końcu do mnie doprowadzili. To cud, Marie! Przestań dochodzić, jak i dlaczego. Uwierz w cud!



Jakub spodziewał się odmowy, ale nie przypuszczał, że matka wpadnie w histerię.

Dawniej marzył o rodzinie, tej prawdziwej, w której krew z krwi, matka, ojciec, rodzeństwo i kuzynowie. Złościł się na los, który mu zabrał to wszystko włącznie z przeszłością i uczynił podobnym do samotnego liścia płynącego z prądem wody. Lecz czy teraz jest lepiej?

Schowany przed złowieszczym stryjem, pędzi żywot więźnia w jednym ze starych zamków na Śląsku. Nie wolno mu samodzielnie się oddalać, listy dostaje wyłącznie od matki, od rana do późnego popołudnia ma lekcje, bo matka chce, by wiedzą i umiejętnościami dorównywał francuskim arystokratom. Po lekcjach jazda konna, szermierka i strzelanie, i tak każdego dnia od trzech lat. Jego jedynymi towarzyszami są stary dziwak – właściciel zamku, trzech nauczycieli i zakonnik przysłany z Francji, by ukształtować go w duchu katolicyzmu. Wszyscy oni chwalą go za czynione postępy, a jego dręczy myśl, że chociaż ma osiemnaście lat, coraz mniej wie o życiu i ludziach.

Dzisiejsza prośba, by sam lub ze sługą mógł odwiedzić von Lesta w Karge, została odrzucona przy akompaniamencie wyrzutów, okrzyków i łez. Opuścił szlochającą matkę i zaszył się w wieży. Chyba polubi to miejsce. Wietrznie tu i chłodno, ale niedogodności wynagradza widok na cztery strony świata. Patrząc na wschód i na północ, za murem widzi łąki i pasące się na nich zwierzęta, pojedyncze chaty, obracające się śmigła wiatraków, a także szlak, którym mógłby podążać do Karge. Od południa

i zachodu może spoglądać na Zulich. Ten obraz przyciąga go najbardziej. Nie ze względu na domy, ulice, wieże i rozległe pola w oddali. Wszędzie dostrzega ludzi, którzy wydają mu się wolni.

Tuż za niewysokim murem oddzielającym miasto od zamkowego dziedzińca jest mały placyk, a na nim rozłożyły towar kobiety handlujące warzywami i owocami. Kilku łobuziaków specjalnie robi zamieszanie, by, korzystając z nieuwagi przekupek, napełnić kieszenie jabłkami i twardymi zimowymi gruszkami. Uciekających ścigają wyzwiska i groźby. Gniew jednak szybko mija, bo oto na placyk wchodzi niska tęga kobieta w szerokiej brązowej spódnicy, przepasana białym fartuchem i otulona ciepłą szarą chustą. Za nią podąża dziecko. Nie, teraz, kiedy są bliżej, widać, że to dziewczyna o drobnej budowie. Ona też ma chustę, ale tylko na ramionach. W ręku trzyma kosz. Tęga pomału napełnia go marchewką, rzepą i jabłkami. Na koniec dorzuca główkę kapusty. Dziewczę się ugina pod ciężarem, ale gospodyni nie zwraca na to uwagi. Rozgląda się jeszcze, budząc nadzieję zachwalających swój towar przekupek. W końcu rezygnuje i odchodzi, a za nią jasnowłosa dziewczyna z koszem trzymanym oburącz.

Jakub wraca do poprzedniego otworu okiennego. Znowu patrzy na szlak do Karge. Kusi go droga i perspektywa chwilowej wolności. Już wie, co robi. Jutro zaraz po otwarciu bram zejdzie do stajni, osiodła swego konia i ucieknie. Matka jakoś przeżyje jego kilkugodzinną nieobecność.

Na dzisiejszy wieczór też ma plan.



Rozala nie śpi. Ręka boli, że płakać się chce, ale to da się znieść. Gorsza jest obecność obcej dziewczyny w malutkiej izbie i w wąskim łóżku. Najchętniej uszczypnęłaby ją w wypięty zadek. Jeśli tego nie robi, to tylko przez pamięć na własne siniaki po uszczypnięciach Grety.

Podła Helga! To jej sprawka. Rozala nie wie, skąd się wzięła Petra.

Zjawiała się w kuchni po śniadaniu i powiedziała:

– Jestem.

A Helga na to:

– Dobrze. Ona – wskazała na Rozalę – pokaże ci, gdzie będziesz spała. Jeśli masz coś ze sobą na zmianę, możesz tam zanieść. – I znowu do Rozali: – Zaprowadź ją.

– Dokąd?

– Do góry. Będziecie spały razem. Co sobie myślałaś? Że jak jaśnie pani będziesz miała dla siebie komnatę? A może cały dom by ci pasował? Ciesz się, że pani się zgodziła na najęcie drugiej dziewczyny. Mogło być tak, że Petra miałyby łóżko dla siebie, a ty wróciłaś do babki. No, rusz się wreszcie. Potem zajrzyj do pani. Może już nie śpi i czeka na ciebie.

Przez resztę dnia Helga ignorowała obecność Rozali. Do miasta wzięła ze sobą Petrę. Potem odzywała się tylko do niej. Kiedy po obiedzie przyszły w odwiedziny znajome pani Barbary, Rozala została odesłana na dół, lecz tam nikt jej nie potrzebował. Wyjrzała więc na ulicę, ale i tu nic ciekawego się nie działo. Jedynie kot winowajca szukający resztek ruszył w jej kierunku, jakby zobaczył starą znajomą. Czym prędzej zatrzasnęła drzwi, bo za kota już na pewno by ją wyrzucili.

Pod wieczór, podczas drzemki pani Barbary, wślizgnęła się na środkowe piętro. Nareszcie zaczął się tam dawno obiecany remont. Pani Haase wciąż robiła mężowi wyrzuty o to, że dba tylko o siebie i zamiast przygotować dla niej wygodne i niżej położone pomieszczenia, najpierw urządził izbę dla chorych, a ją trzyma pod dachem. Chyba chce, żeby zamarzła zimą, bo na górze nie ma pieca.

Na koniec dnia, już przy wieczery, usłyszała Helgę mówiącą niby do siebie, że świat jest pełen darmozjadów. Najgorsze, że naprawdę czuje się jak darmozjad.

Petra nie chrapie, ale wydaje jakiś dziwny, powtarzalny dźwięk. Coś jakby gwizdanie. Rozala robi energiczny obrót i potrząsa ramieniem

dziewczyny.

– Przestań. Obudź się. Słyszysz? Bo cię uszczypnę!

Zupełny brak reakcji wyprowadza Rozalkę z równowagi. „Nie zniosę tego! Ona jest jak skała. Nie do ruszenia. W dodatku czuje się jak u siebie, a jest u mnie. Wszystko przez Helgę. Ona to wymyśliła”.

Tylko Dorotka może coś poradzić. Zdrowa ręka wędruje pod siennik. Kukła jest trochę sponiewierana, ale wystarcza dotknięcie szmacianych dłoni, by Rozala poczuła się lepiej. Teraz leżą twarz przy twarzy. To nic, że jest ciemno. Dziewczyna doskonale zna spojrzenie niebieskich oczu, rumiane policzki i usta ułożone do pocałunku. Gładzi palcami makową spódnice, a myśl mimo woli wędruje do mogiłki w Karge. Stokrotki... Ciekawe, czy jeszcze kwitną...

Śni o matce, która wygląda jak duża lalka. Idą razem do chaty babki Wigi. Rozala mówi o tym, że babka się ucieszy i że już nigdy się nie rozstaną. Matka się nie odzywa, ale ważne, że jest. Nagle radosny nastrój zakłóca tętent konia. Ktoś je ściga. Uderzenia kopyt o ziemię są coraz bliżej.

To on! Chce zabić Dorotkę!

Trzeba uciekać!

Na stryszku jest duszno i ciasno. Schowały się tam razem z babką.

On wali pięścią w drzwi. Może to nie pięść, a kamień?

Gdzie jest Dorotka? Gdzie mama? Czemu jestem na stryszku tylko z babką?

Matko!!!

Świta. Wraca trzeźwość myśli. Petra rusza się niespokojnie. Nareszcie przestała pogwizdywać. Dorotka wędruje pod siennik. Rozala drży z zimna, mimo to jak co dzień klęka przed krzyżem i półgłosem odmawia poranną modlitwę. Co dziwne, właśnie to budzi jasnowłosą dziewczynę. Potargana i zapuchnięta od snu zsuwa się z siennika, klęka obok Rozalki i dołącza do pacierza. Potem dziewczęta zaplatają warkocze, myją twarze i ręce, wciągają spódnice na koszule, w których spały, wkładają sukienne

kaftaniki i przepasują się płóciennymi fartuchami. Petra nie ma butów. Jeśli chodzi o Rozalę, to nieraz chciałaby biegać bosą, lecz pani Barbara życzy sobie, by nosiła trzewiki. Dlatego dziewczyna wciąga jeszcze pończochy, zawiązuje je pod kolanami i dopiero teraz wsuwa stopy w trzewiki.

Prawie nie rozmawiają. Wychowanica państwa Haase nadal czuje się urażona, że nowa służąca zamieszkała w jej pokoiku, a Petra jest małomówna z natury.

Na dole w kuchni Helga dalej nie zauważa Rozali.

– Słyszałaś w nocy hałasy? – pyta Petrę.

– Nie.

– Ona śpi jak kamień – wtrąca się Rozala.

– Rannego przynieśli. Całego we krwi. Tak walili w drzwi, że umarłego by obudzili. Nie wiem, jak można było nie słyszeć – rzuca Helga w przestrzeń. – Na korytarzu jest krew. Trzeba posprzątać. Ja się do tego nie dotknę.

– Nie zauważyłam krwi, ale pewnie przez to, że tam ciemno. – Rozala odzywa się niepytana. – Zaraz pójdziemy. Petra mi pomoże. Umyjemy podłogę. A ten chory żyje?

– Jeszcze tego brakowało, żeby tu u nas ducha wyzionął! Nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Gospodyni udaje urażoną.

– Zajrzę do izby pana Haase i zobaczę. Przyjdę pani powiedzieć.

– Jak chcesz, to idź. Ja w ogóle nie jestem ciekawa.

Wbrew temu, co mówi Helga, łatwo poznać, że w tej chwili to właśnie chciałaby wiedzieć najbardziej.

Drzwi do izby cyrulika nie są zamknięte. Rozala delikatnie je popycha i wślizguje się do środka. Od razu wyczuwa zmieniony zapach. Wcześniej pobielone ściany pachniały wapnem, a podłoga wodą z octem. Teraz doszła inna woń. Wydzielają ją zakrwawione płótna tworzące stertę przy łóżku. Dzięki zapalonym świecom jest tu o wiele jaśniej niż w innych pomieszczeniach. Haase niby kobieta przepasany fartuchem pochyła się

nad leżącym człowiekiem. Na odgłos kroków się odwraca. Dopiero teraz Rozala dostrzega krwawe plamy na białej tkaninie. Światło trzymanej w ręku świecy pada na zmęczoną, jakby postarzałą twarz cyrulika. Dziewczyna nie jest pewna, czy wolno jej podejść bliżej. Tytus wyczuwa wahanie.

– Chodź – zachęca. – Popatrz na niego.

– Żyje?

– Żyje, ale będzie, co Bóg da.

– Kto to?

– Nie wiem. Nietutejszy. Nie bój się. Podejdz. – Cyrulik wyciąga rękę, jakby pragnął jej pomóc podjąć decyzję. – Chcę, byś się mu przyjrzała.

Dłoń pana Tytusa pozwala przełamać niepewność. Rozala stoi przy łóżku i wpatruje się w trupio blade oblicze. Cyrulik obserwuje zmianę wyrazu jej twarzy. Szok i niedowierzanie malujące się na obliczu dziewczyny potwierdzają jego domysły.

– A niech was wszyscy... – Helga z trudem się powstrzymuje. Wiadomo, że w dzisiejszych czasach wzywanie diabła może się źle skończyć. W niedalekim Grünbergu już spalono parę takich, co to zawołały Szatana, a on do nich przybiegł w te pędy. Lepiej się ugryźć w język, niż ze Złym tańcować.

Gospodyni niosąca śniadanie pani Barbarze zdążyła pokonać kilka schodów, kiedy rozległo się walenie w drzwi wejściowe. Musi się cofnąć i otworzyć, a tymczasem mleko zdąży ostygnąć.

– Hantaby^[13] nie widzisz? – rzuca ze złością, uchylając drzwi. – Koniem jesteś, żeby tak kopać?

Mężczyzna nie odpowiada. Cofa się, odsłaniając stojącego za nim urzędnika zamkowego, pana Jeremiasa Reimanna, i towarzyszącą mu postać otuloną czarnym płaszczem z kapturem.

– Czy to prawda, że w nocy przyniesiono do was rannego człowieka? – Głos pana Reimanna brzmi tak groźnie, że Helga truchleje.

– Nie wiem... Zawołam pana. Zaraz... – wyrzuca z siebie bezładnie.

– Jestem. – Za plecami gospodyni rozlega się głos pana Tytusa. – Czym mogę służyć tak dostojnemu gościowi?

– Mistrzu Haase, doniesiono nam, że może u ciebie przebywać syn tej oto damy.

– Syn? – Zdumienie Tytusa nie ma granic. – Jak to? Jakub odnalazł rodzinę?

Gwałtowne poruszenie i bolesny okrzyk z ust zakapturzonej osoby zdają się poświadczać trafność przypuszczeń. Cyrulik cofa się, robiąc przejście, a potem prowadzi gości do chorego.

Markiza, ujrawszy syna na posłaniu i jego twarz bielszą od poduszki, rzuca się ku łożu i pada na kolana. Haase, odgadując jej zamiary, w ostatniej chwili chwyta ją za ramiona.

– Nie wolno! Proszę się na niego nie kłaść, nie przytulać, a najlepiej w ogóle nie dotykać! Ledwo powstrzymałem krwotok.

– W jakim jest stanie? – Pan Reimann nie ulega emocjom.

– Nóż napastnika ześlizgnął się po żebrach, czyniąc powierzchowne, lecz rozległe szkody. Pocięta jest także dłoń, którą się zapewne osłonił. Zanim go do mnie przyniesiono, stracił dużo krwi. To jest największy kłopot. Potrzebuje dobrej opieki i modlitwy.

– O, tak! Modlitwa go ocali. Będę klęczeć przed krzyżem dzień i noc, jak wtedy, gdy zaginął. – Markiza długo wpatruje się w ukochane oblicze, a potem wstaje z kolan i obraca się w stronę Reimanna. – Natychmiast zabieram go do zamku. Proszę przysłać wóz i ludzi.

Tytus unosi wysoko brwi. Nie tyle niemczyzna inna od tutejszej dziwi cyrulika, ile zupełne lekceważenie jego obecności. Nawet słowa skierowane do urzędnika i ich ton wydają się władcze i naznaczone pychą.

– Nie wolno go ruszać – wtrąca się stanowczo. – Rana się otworzy i już nic nie poradzę.

– Mój syn ma chorować w tych warunkach? Nie pozwolę!

– A ja nie pozwolę, byście, pani, w imię niezrozumiałej dla mnie dumy

zabili chłopca, którego pomogłem ratować przed laty.

Dopiero teraz markiza zaszczyca Tytusa spojrzeniem.

– Jak to?

– To długa opowieść, a ja nie mam czasu. Wezwano mnie do innego chorego. Pani, proszę, nie róbcie niczego, co Jakubowi zaszkodzi. W mieście nie ma innego cyrulika, który mógłby się nim zająć tak dobrze jak ja. Pan Reimann potwierdzi, bo też korzysta z moich usług. Jak Bóg da, trochę mu się polepszy, możecie go zabrać do zamku, sprowadzić kogo mądrzejszego albo zrobić, co się wam podoba. Teraz proszę, byście mnie posłuchali.

– Ale on nie może... Tu grozi mu niebezpieczeństwo. Ci, którzy chcieli go zabić, spróbują raz jeszcze.

– Straże pochwyciły owego rzezimieszka, ale mogę przysłać ludzi do pilnowania.

Słowa urzędnika nieco uspokajają kobietę.

– Niech tak będzie. Zostanę z Jakubem – oznajmia. – Będę go pielęgnować i tu modlić się o jego zdrowie.

Helga, podsłuchująca za uchylonymi drzwiami, łapie się za głowę.

– Jeszcze ona mi tu potrzebna – wyzywa szeptem. – Odejdę. Jeżeli jeszcze tej nadętej damie będę musiała usługiwać, na pewno odejdę.

Dwóch ludzi przy frontowych drzwiach pilnujących zarazem okna i jeden przy bramie wiodącej na podwórze powinno wystarczyć. Markiza, która co jakiś czas podnosi się z klęczek, by całkiem nie zeszywnieć, sprawdza gotowość strażników, wychylając głowę zza drzwi. Czasem do izby zachodzi cyrulik. Po południu z zamku przyniesiono obiad, a później wieczerzę, ale zjadła tyle co ptaszek i wróciła do pacierzy.

Jakub nadal jest nieprzytomny, w dodatku zaczął gorączkować. Haase uspokaja jego matkę, mówiąc, że to normalne, lecz sam jest zaniepokojony. Czeką, aż Helga przygotuje odwar z kory wierzbowej. Ma tu kilka ksiąg, które nabył za niemałe pieniądze. Jedną z nich właśnie

czyta, nie zwracając uwagi na kobietę klęczącą przy łożku. Ona zaś najwyraźniej chciałaby porozmawiać, bo nieustannie zerka na cyrulika, a na jej twarzy brakuje skupienia. Wreszcie kreśli znak krzyża.

Głośne chrząknięcie skłania Tytusa do uniesienia głowy znad księgi.

– Szukacie tam sposobu uleczenia mego syna?

– Niezupełnie. To „Kanon medyczny” wielkiego perskiego uczonego. Niewiele tu wiadomości dla cyrulika, ale całe mnóstwo dla medyka i człowieka ciekawego wszelakiej wiedzy.

– Jesteście więc ciekawi wiedzy?

– Tak, pani.

– Nie spodziewałam się spotkać kogoś takiego w małym mieście na końcu cywilizowanego świata.

– Podczas czeladniczej wędrówki byłem w różnych miejscach. W jednych gadali po francusku, a w innych po niemiecku. Kiedy wracałem do rodziców, akurat kończyła się wojna. To, co widziałem po drodze, trudno nazwać cywilizowanym światem.

– To wtedy spotkaliście mojego syna?

– Tak.

– Możecie mi o tym opowiedzieć?

– Na pewno słyszeliście tę historię niejedną raz od Jakuba.

– To nie to samo. On jej przecież nie pamięta. Zna tylko opowieści zasłyszane od innych. Chciałabym ją poznać od kogoś, kto widział wszystko na własne oczy. Skoro się nie kładzicie do snu, to poświęćcie mi choć kawałek nocy. Tak niewiele mam wspomnień o moim dziecku. – Markiza pozbyła się dumy. Patrzy na Tytusa błagalnym wzrokiem jak zwykła matka kochająca dziecko.

– Nie pytajcie, gdzie to było. Nie pamiętam – zaczyna Haase. – Wiem, że długo szedłem. Skończyłem nauki, ale nie miałem pieniędzy na egzamin. Moi rodzice uciekli przed wojną na wschód. Chciałem do nich dołączyć. Powiedziano mi, że najlepiej iść przez Frankfurt, bo tam jest most przez Odrę. Pytałem więc ludzi i szedłem dalej, aż pewnego

wieczoru znalazłem się w jakiejś nędznej oberży. Sakiewkę miałem pustą, ale właściciel pozwolił się przespać na ławie. Nie zdążyłem zamknąć oczu, kiedy do środka weszło trzech szlachciców. Przestraszyłem się. W czarnych płaszczach i kapeluszach zrobili na mnie wrażenie nie z tego świata. W oberży był jeszcze jeden w podobnym odzieniu. Z początku myślałem, że to ich kompan, ale się myliłem.

Jedynym bagażem tych trzech był tobolek niesiony przez najstarszego. Kiedy położył go na ławie, materiał się rozchylił i ujrzałem twarz. To było dziecko. Jedno z najbardziej wynędzniałych, jakie widziałem. Myślałem, że nie żyje, ale ono spało.

Głośne łkanie przerywa opowieść. Tytus odrywa wzrok utkwiony dotąd w płonącej świecy i kieruje go ku markizie.

– Mam przestać?

– Nie! Ależ nie! Wybaczcie. Ja to wszystko sobie wyobrażam i myślę o moim biednym chłopcu, że taki mały, głodny i bezbronny. Ach, przez co on musiał przejść. Mówcie, proszę, i nie zwracajcie uwagi na moje łzy.

– Panowie kazali nakarmić dziecko, a potem ja je wykapałem i opatrzyłem. Jego skórę pokrywały wrzody i strupy. Zrobiłem, co trzeba. To wszystko.

– Wszystko? – Kobieta jest rozczarowana. – Naprawdę nic więcej nie możecie powiedzieć?

– Co chcecie wiedzieć? Może coś sobie przypomnę.

– Czy ubranie, które miał na sobie, mogło nosić jakieś wskazówki? Było chłopskie albo cienkie, delikatne?

– Nie wiem. Pamiętam, że były w nim wszy, dlatego od razu poszło do ognia, a oberżysta dał chłopcu swoją koszulę. Byliśmy w oberży jeszcze parę dni. Wiało i padało, nie sposób było ruszyć w dalszą drogę. Miałem szczęście, bo dzięki szlachcom jadłem i piłem do syta. Nie wiem, co by było, gdybym musiał tam siedzieć bez grosza przy duszy.

– A Jakub?

– Z każdą chwilą mu się poprawiało. Wszyscy się dziwiliśmy, że jest

taki mocny. Już drugiego dnia jadł za dwóch, aż musiałem go hamować, boby się jeszcze pochorował. Co dalej, musicie zapytać Baltazara von Lesta z Karge, bo tam trafił Jakub, albo Rozalkę.

– Jaką Rozalkę?

– Pani Barbary i moją wychowanicę. Jest tu z nami w Zulich. Pochodzi z Karge. Jako małe dziecko bawiła się z Jakubem.



Markiza obserwuje dziewczynę spod półprzymkniętych powiek. Udaje, że się zdrzemnęła, ale to pozór. Od razu się obudziła, chociaż Rozala weszła do izby niemal bezszelestnie. Kobieta jest czujna. Nic nie ujdzie jej uwadze.

Rano ją przepytала. Wyciągnęła z niej wszystko, co mogła pamiętać o Jakubie. Nie takich wiadomości się spodziewała. Wykradanie jaj z wronich gniazd, kąpiele w rzece, uganianie się za psami i bójka z synem stajennego. Jedynie to, że pomagał tej dziewczce poznawać litery, może uznać za zajęcie godne jej syna.

Jest troskliwa, to pewne. Dbą o Jakuba jak należy. Mimo to nie potrafi jej polubić. Może przez zbytnią swobodę i brak unizoności, którym zapewne winne jest pochodzenie. Nieraz widywała takie zachowanie u służących. Wystarczyło łagodne traktowanie albo miłe słowo, a od razu im się wydawało, że są równe szlachetnie urodzonym.

Dziewczyna przyniosła napar z mocno pachnących ziół. Macza w nim gałganek i zwilża spierzchnięte usta Jakuba, wyciera jego pokrytą potem twarz i robi zimne okłady. Każdy ruch lewą ręką sprawia jej ból, lecz jedynie zmarszczenie brwi i skrzywienie ust pokazują, że coś jej dolega.

Tak samo cicho, jak weszła, po kilku minutach znika za drzwiami. Markiza zostaje z synem sama. Tak jest najlepiej.

To już trzeci dzień, jak czuwa przy Jakubie. Rano cyrulik powiedział, że gorączka zaczęła spadać. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Kryzys minął. Powinna pójść do zamku, by odświeżyć garderobę, lecz się stąd nie

ruszy, dopóki syn nie otworzy oczu. Chce w tej ważnej chwili być przy nim i trzymać go za rękę.

Słyszysz kroki. Tym razem to cyrulik. Widzieli się dzisiaj, można więc pominąć powitalne uprzejmości. Za Tytusem wchodzi dziewczyna trzymająca miskę. To ta druga, jasnowłosa, która zachowuje się odpowiednio do swego stanu. Nie podnosząc głowy i na nikogo nie patrząc, stawia naczynie przy łożu chorego, zza parawanu zabiera nocnik, z którego korzysta markiza, i wycofuje się za drzwi. Po chwili znowu pojawia się tamta. Są z cyrulikiem umówieni, bo mężczyzna nie protestuje, kiedy staje za jego plecami i obserwuje każdy ruch. Odbiera od niego zakrwawione bandaże, patrzy na dłonie delikatnie ściągające opatrunki, a potem słucha, kiedy on, pokazując palcem na ranę, wyjaśnia coś półgłosem.

Dama boi się podejść. Zawsze mdlała na widok krwi. Nie zniosłaby widoku okaleczonego ciała. Opiera się o ścianę, przykładając do nosa chustkę nasączoną solami trzeźwiącymi, jednocześnie zazdroszcząc Rozalce, że słyszy to, co do niej dociera za ledwie w strzępkach. Wreszcie nie wytrzymuje:

– Mistrzu Haase, może i mnie coś powiecie.

– Wybaczcie, sądziłem, że nie chcecie znać szczegółów. Tłumaczyłem Rozali, jak wygląda rana, która goi się w sposób rokujący wyzdrowienie, a jak można rozpoznać, że dzieje się coś niedobrego.

– Jak goją się rany Jakuba?

– Dobrze. Nóż przeciął skórę i mięśnie. Byłoby gorzej, gdyby uszkodził jakieś organy. Najwyraźniej chłopak zasłonił się ręką, przez co nóż, zamiast się wbić, zsunął się po żebrach.

– Dlaczego się nie budzi?

– Przez to, że stracił dużo krwi, ale ocknie się lada chwila.

Kiedy Rozala wychodzi, zabierając ze sobą brudne bandaże, markiza de Fontenay-Trésigny zadaje kolejne pytanie:

– Po co uczycie tę dziewczkę? Robicie jej krzywdę. Będzie nie wiem co

sobie wyobrażać.

– Potrzebna mi pomoc, a ona w lot wszystko pojmuje i, jak widzieliście, nie brzydzi jej ani nie przeraża widok krwi.

– Powinniście przyuczać chłopca. Zostałby jak wy cyrulikiem. Ona może być najwyżej sługą.

– To wychowanica pani Barbary i moja. Nie dla niej los sługi. Nie mamy dzieci, dlatego godnie ją wywianujemy i dobrze wydamy za mąż.

– Dlatego jest taka...

– Jaka? Czy w czymś wam uchybiła?

– Skądże znowu. Nie pozwoliłabym na to. Ona tylko zbyt śmiało spogląda.

– Jest wszystkiego ciekawa. Uważam, że to zaleta, nie wada.

Jeśli markiza zamierzała ciągnąć tę rozmowę, już o tym nie pamięta. Jej uwagę przykuwa ruch głowy na poduszce i towarzyszący mu głośny jęk.

– Jakubie! Obudziłeś się, dzięki Bogu! – W mgnieniu oka kobieta dopada do łóżka rannego, klęka i chwyta jego dłoń. – Jestem przy tobie, synku. Jestem... – Łzy przeszkadzają jej mówić. – Matka Boska się za tobą wstawiła. Prosiłam ją o to dniami i nocami. Boże! Jestem taka szczęśliwa!

Nawet Tytus czuje się wzruszony szczęściem markizy, choć nie dzieje się nic niezwykłego. Pozwoliwszy matce nacieszyć się synem, obserwuje chorego zza jej pleców.

Chłopak jest oszołomiony. Rozgląda się po nieznanym miejscu, patrzy na zapłakaną matkę, wreszcie dostrzega cyrulika. Zastanawia się, potem otwiera usta. Próbuje coś powiedzieć, lecz z gardła wydobywa się jedynie nieartykułowany dźwięk.

– Chce pić, proszę mnie do niego dopuścić. – Tytus sięga po specjalny kubek z wyprofilowanym dzióbkiem i odsuwa damę. Delikatnie unosi głowę chorego i go poi.

– Pan Haase... Skąd...?

– Poznałeś mnie. – Cyrulik czuje się prawie tak szczęśliwy jak

markiza. – Wszystko ci powiem, a ty za wiele nie gadaj, póki nie wydobrzejesz.

Oczy Jakuba znowu się zamykają.

– Słabnie!

– Przeciwnie, markizo, zasypia. Sen mu potrzebny. Najlepiej zostawmy go w spokoju. Powiem Heldze, żeby nagotowała rosółu z gołębi. Nie ma nic lepszego na wzmocnienie. Kiedy syn się obudzi, przyślę Rozalę, żeby go nakarmiła.

– Sama to zrobię. To mój syn.



Błoto na ulicy za sprawą mrozu zmieniło się w twardą, pełną grud i kolein drogę, równie trudną do przebycia jak wtedy, gdy pada deszcz. Rozala stara się stąpać po wąskich deskach ułożonych wzdłuż ścian domów, lecz i to nie jest proste. Trudno się na nich wyminąć i niełatwo utrzymać równowagę. Dziewczyna w brązowej spódnicy okryta chustą zdąża na rynek. Dzisiaj nie ma targu, ale w podcieniach domów okalających plac na chętnych zawsze czekają towary należące do mieszkających tam kupców.

Idzie sama, bo Helga i Petra piorą bandaże, prześcieradła i koszule Jakuba. Ma kupić kilka gołębi na rosół i warzywa, a potem zajść do apteki po pachnące woskiem mazidło pomagające w gojeniu ran. Pan Haase często używa maści robionych przez babkę Wigę albo Michałkę, żonę powroźnika, ale te, które kiedyś przywiózł Bartłomiej, dawno się skończyły.

Kupno warzyw załatwia szybko. Wkrótce w koszu lądują martwe gołębie. Została apteka. Robi obrót na tyle nieostroźnie, że spódnicą potraça brzozową miotłę opartą o filar. Ta przewraca się z hałasem. Już się po nią schyla, kiedy powstrzymuje ją okrzyk:

– Nie dotykaj!

– Czemu? Chciałam podnieść – tłumaczy się rozgniewanemu sklepikarzowi.

– Do niego mówiłem. Ty możesz.

Wcześniej nie zauważyła tego mężczyzny. Musiał poruszać się bardzo cicho. Teraz stoi przed nią z miną winowajcy.

Nie jest wysoki, mimo to wygląda na bardzo silnego. Mocna szczęka i spłaszczony zapadnięty nos mogłyby należeć do okrutnika, gdyby nie pełne skruchy spojrzenie małych szarych oczu.

– Wybaczcie, panienko. Nie chciałem przestraszyć.

– Nie przestraszyłam... – Rozala nie kończy. Dopiero teraz do niej dociera, kim jest mężczyzna. Czarny przybrudzony kaftan, ramię przewiązane żółtą tkaniną i rękawiczki – one mówią najwięcej. Człowiek, któremu nie wolno gołą ręką dotknąć żadnego towaru ani nikogo spośród uczciwych ludzi. Rękawiczki chronią przed przypadkowym kontaktem, a żółta szmata jest widocznym z daleka ostrzeżeniem.

Kat!

Rozala obraca się na pięcie i nie oglądając na nic, rzuca się do ucieczki. Nie biegnie jednak daleko. Zatrzymuje się w bezpiecznej odległości i ukryta za rogiem budynku obserwuje człowieka z żółtym znakiem na ramieniu. Mężczyzna coś kupuje, pokazując sklepikarzowi palcem, czego potrzebuje, a tamten podaje mu towar na łopacie. Potem rusza dalej, a za nim biegnie pies.

Kat w Zulich nie ma zbyt wiele pracy zwyczajnej dla kata, toteż, by zarobić na zapłatę od rajców, wykonuje brudną robotę innego rodzaju. Przez większość dni w roku zajmuje się czyszczeniem dołów kloacnych, sprzątaniem najróżniejszych miejskich brudów i wywożeniem ich za miasto, wyłapywaniem bezpańskich psów i grzebaniem samobójców w niepoświęconej ziemi. Każdy w Zulich zna charakterystyczną sylwetkę mężczyzny idącego obok wozu ciągniętego przez siwego wołu o potężnych rogach. Już sam zapach wydobywający się z transportowanej sterty odpadków, a nierzadko z padłych zwierząt, wystarcza do odstraszenia przechodniów. Od roku katu towarzyszy pies – niezbyt wyrosnięty kundel o brązowawej, miejscami skleionej w strąki sierści.

Mężczyzna ma na imię Michael, ale nikt tak do niego nie mówi. W ogóle nikt z nim nie rozmawia. Dostaje polecenia i je wykonuje. Mieszka za murami, w chałupie wzniesionej w pobliżu szubienicznego wzgórza. Nie ma przyjaciół, sąsiadów ani żadnego ludzkiego towarzysza. Każdy, kto ma pieniądze, by postawić w karczmie piwo, nawet szpetny, zawszony albo owrzodzony, znajdzie kompanów. Michael ma pieniędzy więcej, niż jest w stanie wydać, lecz nie wolno mu przestąpić progu karczmy. Zresztą nie miałyby po co, bo nikt się z nim nie napije. Taki jest los każdego kata.

Dziadek Michaela był katem w Grünbergu. Zajęcie odziedziczył po nim syn, który swego syna też przyuczył do katowskiej roboty. To u katów zwyczajna rzecz, że fach zostaje w rodzinie. Michael też chciałby mieć syna, lecz nie po to, by zrobić z niego kata. W marzeniach jego potomek jest medykiem albo cyrulikiem – kimś szanowanym i oczekiwany, człowiekiem, którego dotyku nikt się nie boi.

Na marzeniach się jednak skończy, bo nie ma kobiety, która chciałaby Michaelowi urodzić syna. Na rękach gotów by ją nosić, kwiaty pod stopy sypać, byle została jego żoną i dała mu potomka.

– Choćby ta dziewczuszka, co miotłę przewróciła. Widziałeś, jaka ładna?

Pytanie skierowane do siedzącego naprzeciwko psa pozostaje bez odpowiedzi. Zwierzę przechyla głowę, próbując odgadnąć, co trapi jego pana.

– Wiem, co myślisz. Za młoda. Dziecko prawie. Trzeba starszej szukać. Tylko gdzie ją znaleźć?

Delikatne postawienie uszu i skierowanie ich do przodu sygnalizuje gotowość do niezbyt forsownego poszukiwania wybranki dla pana.

– Spokojnie. Tu jej nie znajdziemy. Bo wiesz... Tu żadna dziewczyna ani wdowa mnie nie zechce. Kiedyś kat miał łatwiej. Jak spodobała mu się kobieta skazana na śmierć, mógł ją ocalić, ogłaszając, że bierze ją sobie za żonę. Jeśli sędziowie na to przystali, kat brał ślub i odtąd miał rodzinę. Tak było z moją babką. Nie wierzysz?

Pies znowu przekrzywia głowę, a coś w wyrazie jego pyska wskazuje

na powątpiewanie. Na wszelki wypadek odwraca uwagę, drapiąc się za uchem i burząc przy okazji spokój kolonii tłustych pcheł.

– No tak. Zauważyłeś, że zapomniałem powiedzieć, iż kobieta czasem wolała śmierć niż małżeństwo z katem. Masz rację. Bywało i tak. Najbardziej chciałbym, żeby mnie dziewczyna pokochała. Ojciec mówił, że zanim przyszedłem na świat, zdarzyło się coś takiego w Breslau.

Pies, który być może miał nadzieję na przechadzkę, zrezygnowany wyciąga się na podłodze, kładąc głowę na łapach. Dla zachowania pozorów zerka na pana, udając, że słucha, chociaż o kacie z Breslau słyszał już niejeden raz.

– Ojciec dał mi imię po tamtym kacie – kontynuuje opowieść mężczyzna. – Michael mu było. Też się go wszyscy bali, chociaż nie był szpetny. Taka jedna Magdalena do niego przychodziła po sznur wisielca albo co innego^[14]. I się pokochali. Może do mnie kiedy przyjdzie dziewczyna z warkoczami do pasa? Nie musi być Magdalena. Co tak patrzysz z ukosa? Że same stare baby przychodzą, i to ukradkiem, a potem zmykają, jakby je sto diabłów goniło?

Pies, dotąd znudzony, zrywa się na nogi i nadstawia uszu.

– Ktoś idzie? – Kat podnosi się z zydła. – Może to ona?

Głośne wołanie zmusza Michaela do opuszczenia ciepłej chaty. W bezpiecznej odległości stoi chłopak na posyłki.

– Macie przyjść do więzienia. Sąd będzie więźnia przepytawał.

Kat skinieniem głowy daje znać, że zrozumiał. Wraca tylko po rękawiczki i kaftan. Pies zdążył wyjść i gdzieś pognał. Mężczyzna z ciężkim westchnieniem idzie do pracy, której nie lubi bardziej od czyszczenia kloacznych dołów.



Po kilku dniach pobytu za granicą polska królowa wraca do Warszawy. Na nocleg zatrzyma się w Zulich. Markiza musi wrócić do zamku, by spotkać się z przyjaciółką. Czyni to niechętnie, gdyż to oznacza rozstanie

z Jakubem. Mogłaby wziąć go ze sobą. Zdaniem cyrulika przewiezienie rannego już by mu nie zaszkodziło, ale na pewno sprawiłoby wiele niepotrzebnego bólu.

Markiza w towarzystwie sługi zdąża do zamku. Jakub śpi, kobiety mimo niedzieli są zajęte codziennymi obowiązkami, a Tytus jest u żony. Co prawda Haase każdego dnia odwiedza panią Barbarę, nigdy jednak nie robi tego we wczesnych godzinach popołudniowych.

Kobieta patrzy na męża nieufnie, zastanawiając się, co go tu przywiodło. Może chodzi o częste, przedłużające się wizyty u starego piekarza i spowodowane czymś poczucie winy? Helga niejedną raz zastanawiała się głośno, czemu pan osobiście chodzi pielęgnować odleżyny chorego. Wystarczyłoby pokazać, co i jak, służącej albo młodej piekarskiej.

– Barbaro, twoje pokoje gotowe. – Tytus uśmiecha się do żony. – Jutro możesz się przeprowadzić.

– Wreszcie! Nie lubię tego gołębnika. Ani tu ładnie, ani wygodnie, a teraz jeszcze zimno. Wstydzę się, kiedy ktoś do mnie przychodzi. Żal mi tylko, że sama nie mogłam wszystkiego urządzić.

– Będzie ci się podobać.

– Na cóż to wszystko, jeśli nie mogę wychodzić. Ból jest nieznośny. Maści mi bardziej potrzebne niż przenosiny.

– Zaraz pójdę do apteki.

– To na nic. Jedynie te od Wigi pomagają. Dlaczego nie pošlesz kogoś do Grünwaldu?

– To nie takie proste. Musiałby umieć wyjaśnić, o jakie maści chodzi. Nie wiadomo, czy Wiga je ma i czy w ogóle jeszcze tam jest.

– Pojedź sam.

– Teraz, kiedy krótko jest jasno, straciłbym trzy dni. Nie mogę. Opiekuję się synem markizy. Innych chorych też muszę mieć na uwadze.

– Piekarską też?

Tytus ledwie widzi twarz żony osłoniętą dużym czepcem. On sam nie

potrafi ukryć rumieńca, mimo to próbuje się bronić. – Zajmuję się piekarzem, nie piekarsową. Stary Ludwig ma rany od długiego leżenia.

– Przestań! Nie znoszę kłamstwa. Nie myśl, że jak tu siedzę, to o niczym nie wiem. Skoro wzięłaś starą kobietę za żonę, nie mogło się skończyć inaczej. Sama jestem sobie winna, bo nie chciałam, żeby przepadły narzędzia i sława mego zmarłego męża. Podobało mi się być żoną wziętego cyrulika i chodzić z nim do chorych. Ty też byłeś w potrzebie. Bez grosza przy duszy, za to z talentem. Dlatego przyjąłeś moją propozycję. Przecież się nie łudzę, że mnie kochałeś.

– Barbaro... – Tytus próbuje ująć szczupłą rękę żony, lecz ona cofa ją gwałtownie.

– Nic nie mów! Zachodź do piekarszowej albo do tej wdowy, u której trzymasz wóz, ale rób tak, żeby nikt nie widział.

– Przed Helgą nie ukryję niczego. – Haase próbuje żartować.

– Dość! Nie chcę twojej litości, ale ponizenia też nie! Jeśli Helga widzi, widzą też inni. Może tego nie wiesz, ale w Zulich kiedyś ścięto młynarza za niewierność.

– Dobrze. Rozumiem. Pozwolisz teraz, że cię opuszczę?

– Maści.

Barbara unosi głowę. Teraz Tytus dobrze widzi wymizerowaną bladą twarz w obramowaniu białego czepca. Oczy żony patrzą nieustępliwie.

– Pomyślę – mówi, pochylając się do jej ręki. – A co do tego, o czym mówiliśmy wcześniej, obiecuję...

– Nie obiecuj, czego nie dotrzymasz. – Pani Haase tym razem nie cofa dłoni. – Chcę maści. Nie myśl o tym za długo.

Tytus nieczęsto bywa w swojej izbie. Spędza tam tylko noce.

Gołe ściany i podłoga, skrzynia, łóżko, krzesło i wisząca półka z przegródkami to wszystko, co się w niej mieści. Pomieszczenie wygląda na puste i niezamieszkałe. Ulubionym miejscem cyrulika jest izba dla chorych na dole. Tam trzyma swoje księgi i ma wszystko, co go

interesuje. Tym razem jednak od żony udał się prosto do swego pokoju na poddaszu.

Naprawdę chce pomyśleć. Rozmowa z Barbarą głęboko go poruszyła. Nie może zapomnieć spojrzenia, jakim go pożegnała.

Zawinił, nie ma co do tego wątpliwości. Przysięgał żonie wierność, tymczasem od dawna żyje w grzechu. Nie tylko młoda piekarczowa i wdowa zza murów nie skąpią mu swych wdzięków. Podoba się kobietom i z tego korzysta. Niedobrze. Wystarczy, że wyda się jeden romans, a każdy rajca, sukiennik, tkacz, garncarz i piekarz zerwie z nim kontakty. Przez uleganie pokusom może stracić wszystko, co do tej pory osiągnął. Koniec z grzesznym życiem. Od dzisiaj będą mu obojętne znaczące spojrzenia, rozchylone usta i odsłonięte piersi.

Powziąwszy mocne postanowienie poprawy, wraca do sprawy maści. Pomysł, jak ją rozwiązać, spada nań niczym olśnienie.

– Barbaro! Wiem! – woła, wpadając do izby naprzeciwko.

Pani Haase chyba się nie spodziewała tak szybkiego powrotu męża. Pierwszy raz Tytus widzi ją tonącą we łzach. Zatrzymuje się w progu zakłopotany.

– Barbaro... – powtarza, tym razem niepewnie.

Kobieta odwraca twarz w stronę okna.

– Co wiesz?

– Wiem, jak zdobyć dla ciebie maści. Poślę Rozalę do babki.

– Jak? Puścisz ją konno albo pieszo? Samą? Nie pozwalam.

– Co tydzień na rynku jest jakiś kupiec z Karge. Poślę ją z nim do von Lesta. Dam list, żeby wysłał ją z kimś do Grünwaldu. Wróci po kilku dniach z kupcami.

– Po kilku dniach? – Pani Haase jest rozczarowana. – Dobrze. Zgadzam się, skoro nie ma innego sposobu – mówi po chwili. – Petra będzie mi pomagać.

– Barbaro, teraz ja mam do ciebie prośbę. Kiedy Rozalka wróci, oddasz mi ją?

– Jak to? Co mówisz? Co to ma znaczyć? – Pani Haase jest tak oburzona, że mimo bólu podnosi się z krzesła. – To przecież dziecko!

– Och! Nie miałem na myśli niczego zdroźnego. Wybacz, że źle się wyraziłem. Chcę Rozali do pomocy. Jest zręczna i szybko się uczy. Ty pierwsza dostrzegłaś jej zalety i nauczyłaś ją wszystkiego, co potrafi. Ja mógłbym uczyć ją dalej z korzyścią dla nas obojga. Gdybym z nią chodził do niewiast, tak jak kiedyś z tobą, jeszcze chętniej by mnie wołano.

Barbara milczy. Tytus bierze to za dobry znak, bo żona zastanawia się, rozważa, nie odmawia od razu. Chcąc wzmocnić argumenty, dorzuca jeszcze jeden:

– Gdybym nie chodził sam, łatwiej ustrzegłbym się pokus.

Nieświadoma tego, że na górze waży się jej przyszłość, Rozala przycupnęła na krześle w izbie na dole i czeka, aż Jakub się obudzi. Helga wygoniła ją z kuchni, bo tak niezręcznie chwyciła gliniany garniec, że wypadł jej z rąk i rozbił się o kamienną posadzkę.

Wyzwiska gospodyni niewiele ją obeszły. Kuchnia, w której wolno jej tylko obierać warzywa, podawać rondle, przynosić wodę, zmywać statki^[15] i wylewać pomyje, w ogóle nie jest zajmująca. Tu, w izbie cyrulika, może patrzeć na grzbiety ksiąg i zastanawiać się, do czego służą różne przyrządy. Najciekawsze jest jednak myślenie o tym, co powie Jakub, kiedy ją zobaczy.

Była tu parę razy, odkąd przyjaciel się obudził, lecz jego matka, strzegąca go przed światem, tak siadała, by niczego prócz niej nie mógł zobaczyć. „Jakże musiała cierpieć, zostawiając go samego – myśli Rozala nie bez złośliwości. – Chyba nie sądziła, że nie skorzystam z okazji”.

Ciszę panującą w izbie zakłóca jedynie chrobotanie myszy i chrząszcz drążący korytarze w belce pod sufitem. Dźwięki, które wydaje, doprowadzały markizę do szaleństwa. Rozala ich prawie nie słyszy. Nie takie hałasy pamięta z chaty babki Wigi.

– Kim jesteś? – W półmroku Jakub widzi tylko sylwetkę dziewczyny siedzącej na krześle. – Zapal świecę i podejdź – prosi.

Rozala się nie odzywa. Staje przy łóżku ze świecą w dłoni i czeka.

– Kim jesteś? – Jakub powtarza pytanie. – Czemu nic nie mówisz?

Dziewczyna pozwala na siebie patrzeć, jednocześnie sama przygląda się Jakubowi. Zmienił się, to pewne. Twarz straciła dziecięcą miękkość i bardziej przypomina oblicze mężczyzny niż chłopca, którego obraz został w jej umyśle. Lekko zaróżowione policzki i brodę pokrywa kilkudniowy złotorudy zarost. Jasne włosy zlepione potem zasłaniają czoło i opadają na gęste ciemnozłote brwi. W niebieskich oczach młodzieńca czai się pytanie.

Rozala się uśmiecha.

– Nie poznajesz mnie?

– Nie spotykam zbyt wielu dziewczyn. Kiedyś znałem... – W oczach Jakuba pojawia się błysk zrozumienia. – Rozalka?!

Głowa i ramiona chorego, gwałtownie uniesione, natychmiast opadają przy akompaniamencie głośnego jęku.

– Nie ruszaj się! Jeszcze tego brakuje, żeby przeze mnie otworzyła się rana. Leż spokojnie, bo pan Tytus mnie stąd wygoni.

– No przecież! Jak mogłem tego wcześniej nie poskładać. Von Lest mówił, że mistrz Haase wziął cię do Zulich na służbę. Zapomniałem. – Bolesny grymas wykrzywia usta młodzieńca, a na czole pojawiają się krople potu.

– Zawołam pana Tytusa.

– Nie. Nic mi nie jest. Tylko jak mówię, rana boli. Nawet kiedy oddycham, ją czuję. Posiedź przy mnie. Powiedz, co tu robisz, co z babką i czy masz jakieś wieści z Karge. Chciałem tam pojechać. Nie udało się. Mów. Ja będę słuchał.

Opowieść Rozali ciągnie się do wieczora. Jakub słucha, tak jak dziecko słucha baśni. Oczami wyobraźni widzi Karge, płonąca chatę Wigi i Agatę stojącą nad grobem Doroty. Czuje tęsknotę i zagubienie dziewczynki zabranej od babki i jej radość z przeczytania pierwszych słów. Nie pamięta, kiedy ją wziął za rękę. Prawdopodobnie stało się to w chwili, gdy

ogarnęło go to samo uczucie, które towarzyszyło im obojgu w dzieciństwie. Była to niezmacona niczym pewność, że do siebie należą.

– Mistrzu Haase, gdzie Rozalka?

– U góry. Pomaga mojej małżonce.

– Przyjdzie tu dzisiaj?

– Na pewno. Nie zdołałbym jej zatrzymać. – Tytus jest w dobrym humorze. Doszedł z Barbarą do porozumienia. Co prawda nie będzie dokładnie tak, jak tego pragnął, ale w głębi duszy nie spodziewał się żadnych ustępstw.

– Możecie jej powiedzieć, że na nią czekam?

– Cóżes taki niecierpliwy, Jakubie? Jeszcze wczoraj rano leżałeś niczym kłoda, a dzisiaj jakby nowe życie w ciebie wstąpiło.

– Królowa po śniadaniu wyjedzie i wtedy wróci matka.

– I przegoni Rozalę? O to ci chodzi?

Milczenie młodzieńca potwierdza domysły cyrulika. Markiza, wychodząc wczoraj, zapowiedziała powrót w południe. Jeśli Jakub i Rozalka mieliby porozmawiać, to rzeczywiście nie zostało zbyt wiele czasu.

– Zaraz pójdę na górę. Sprawdzę, może pani Barbara już jej nie potrzebuje.

Dzisiaj ważny dzień dla pani Haase. Przenosi się piętro niżej, do odnowionych pokojów. Na pewno będzie oczekiwać pomocy w ich urządzeniu. Wszystko tam już jest – niezbyt ciężkie meble, stoły, krzesła, ławy, kilimy na ścianach i ciepłe chodniki pod stopy. Wiadomo jednak, że trzeba będzie to wszystko poprzestawiać i poprzesuwać wedle upodobań pani Barbary.

– Rozalko – Tytus zagaduje dziewczynę schodzącą z książkami na niższe piętro – Jakub chciałby cię widzieć.

– Zaraz do niego pójdę. Tylko najpierw muszę przenieść książki pani Haase do jej nowej sypialni.

– Jeszcze jedno. Przygotuj się do podróży. Za dwa dni pojedziesz z kupcami do Karge, a stamtąd do babki Wigi. Pani Barbara pilnie potrzebuje maści.

– Wiem. Już mi mówiła. Kazała raz-dwa wrócić. Drogi ścięte mrozem, to cztery dni powinny wystarczyć. Szkoda tylko, że mam wyjechać akurat, jak się Jakub obudził.

Wszyscy zajęci małą przeprowadzką, a Rozalka, zamiast pomagać jak Helga i Petra, zniknęła w izbie cyrulika.

– Teraz ty – przypomina Jakubowi. – Obiecałeś, że o sobie opowiesz.

– Niczego nie wiesz?

– Tylko tyle, że pan Unrug zabrał cię do Międzychodu. Potem zapadłeś się pod ziemię. Pytałam pana Haase i panią Agatę, ale nic mi nie powiedzieli.

– Bo to tajemnica.

– Nie możesz jej zdradzić?

– Tobie tak. Przecież nie pojedziesz do Francji, do mojego wuja.

– Mów! – ponagla dziewczyna. – Zaraz mnie zawołają albo pani markiza wróci.

Chłopak nie opowiada tak szybko ani tak barwnie jak Rozala. Co parę chwil odpoczywa, bo ból przeciętej skóry i mięśni jest bardzo dokuczliwy. Mimo to dziewczyna poznaje historię Jakuba zaczynając się gdzieś w dalekim kraju, a mogącą znaleźć swój koniec w pobliżu oberży w Zulich. Teraz to ona sięga po jego dłoń i jej nie puszcza, dopóki gwałtowne wkroczenie markizy nie kładzie kresu rozmowie dwojga przyjaciół.

Dlaczego właśnie splecione palce przyciągnęły wzrok matki Jakuba? Nie wiadomo. Przecież mogła spojrzeć na twarz, skontrolować czystość pościeli lub sprawdzić, czy do końca zjadł śniadanie. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Ważne były tylko te palce.

– Wynoś się. – Głos brzmiący niczym syk żmii paraliżuje oboje. – No

już, rusz się. I nie chcę cię tu więcej widzieć. Zrozumiałaś?



„Wiosną wyruszę do Breslau”. Z tym postanowieniem obudził się o świcie. Od rana stara się mieć dobre myśli. Dzień jest piękny. Ulice przedmieścia zwykle są pełne błota, taplających się w nim świń i psów uciekających na sam widok kata. Dzisiaj mróz uczynił błoto twardym, a suchy wschodni wiatr przegonił fetor unoszący się nad kupami gnoju.

Michael rażno kroczy obok wozu, mimo że czeka go wykonanie wyroku. Nie przejmuje się zimnem szczypiącym policzki i ukradkowymi spojrzeniami.

– Wiosną wyruszę do Breslau – powtarza półgłosem, nie chcąc zapomnieć, dlaczego dzień jest taki dobry.

Przy Bramie Zielonogórskiej jakieś zamieszanie. Dwa wozy zablokowały przejazd. Nie da się ruszyć ani w jedną, ani w drugą stronę. Kat przez chwilę próbuje odgadnąć, co rozsierdziło kłócących się woźniców. W końcu stwierdza, że nic go to nie obchodzi. Gdyby nie wół i wóz, ominąłby ciekawskich i skierował się do furty zwanej Pasterską. Musi jednak poczekać. Chociaż niecierpliwi woźnice przekrzykują się i spierają o miejsce w kolejce, jego spokoju nic nie zakłóca. Może przez to skupić się na tym, co dobre i ładne. A tu najładniejsza jest brama – długi, pięknie zwieńczony wysoki budynek, od strony wjazdu pokryty freskiem przedstawiającym Pasję Chrystusa. Najdłużej przygląda się Zbawicielowi dźwigającemu krzyż. Dochodzi do wniosku, że i on niesie przez życie swój krzyż. Jest nim samotność. Ale to już długo nie potrwa, bo wiosną wyruszy do Breslau i poprosi o rękę córki tamtejszego kata. Ożeni się i odtąd będzie mu lżej. Skąd pewność? Wczoraj usłyszał, jak nowy strażnik, który przybył z Breslau, powiedział kompanom o córce kata szukającej męża. Dotąd nikogo nie skusiły ani jej uroda, ani posag. Córki kata, jak i jego samego, nikt nie chce.

Nie tylko Michael uważa, że dziś dobry dzień. W mieście panuje

ożywienie. Kupcy się cieszą, bo od rana handel idzie lepiej niż zwykle. Do Zulich przybyli chłopci z okolicznych wsi, są nawet jacyś ludzie z za Odry. Doprawdy dzień to niezwykły. Od dawna nie było tu takiego widowiska. Dzisiaj zostanie ścięty zbój, który omal nie zabił młodego szlachcica. Egzekucja odbędzie się na szubienicznym pagórku. Można było ściąć go na rynku, ale to za wielki honor dla zwykłego obwiesia. Poza tym rynek nie pomieściłby wszystkich chętnych.

Kat czuje ulgę. Skończą się niepotrzebne męki łotra torturowanego od kilku dni.

Kaprawy Hans, nazywany tak z racji nieustannie ropiejących oczu, nie jest nikim nowym. Pojawił się w Zulich przed pięcioma laty i zamieszkał u siostry – ubogiej wdowy. Miał jej pomagać, wciąż ścigał na jej głowę nowe kłopoty. Pijaństwo i burdy w karczmach sprawiły, że nie omijały go przegrzeź, chłosta i inne kary. Nikogo z jego kompanów nie zdziwiło, że pewnego wieczoru wyszedł z oberży za naiwnym gołowąsem wyglądającym na szlachcica. Młodzian miał mocno w czubie, choć wypił niewiele. Jeszcze w środku przy kwaśnym miejscowym winie bełkotał, że z samego rana ucieknie od matki, która zabiera mu wolność.

Straże złapały Kaprawego Hansa niemal na gorącym uczynku. Nie zdążył nawet wyrzucić skradzionej sakiewki. Nóż umazany krwią był niczym gwóźdź do trumny. Łotr tłumaczył potem, że nie zamierzał zabijać. Dzieciak ledwie trzymał się na nogach, ale sięgnął po szablę, a z szablą Hans nie chciał mieć do czynienia, toteż niechętny użył noża.

Niby wszystko jasne. Tortury niepotrzebne. Obwieś od razu po wyroku mógłby pójść w ręce kata, ale we wszystko wmieszała się matka szlachcica. Za jej namową pan Jeremias Reimann nakazał szczegółowe badanie przyczyn napaści, dama była bowiem przekonana, że Kaprawego Hansa ktoś wynajął i że miał francuskich wspólników.

I choć Michael był pewien, że zadawane męki niczego nie wykażą, musiał słuchać poleceń. Nie pomogła demonstracja katowskich narzędzi, która często na samym początku rozwiązuje język przepytowanego. Na nic rozciąganie, przypalanie, zgniatanie palców śrubami i szarpanie ciała

kleszczami. Jeśli o kim Kaprawy wspomniał, to o takich samych jak on łapserdakach z karczmy. W końcu sąd miejski wydał wyrok. Dzisiaj Hans zostanie ścięty.

Wóz kata zajeżdża już przed miejskie więzienie. Od razu zebrali się przy nim tłumy gapiów. Kolejni właśnie wchodzi przez pobliską Bramę Świebodzińską. Po chwili w drzwiach więzienia pojawiają się strażnicy trzymający skazanego pod ramiona. Widzowie z uznaniem witają wyraźne oznaki tortur. Okaleczonego, poparzonego i posiniaczonego ciała nie jest w stanie zasłonić czysta biała koszula. Strażnicy oddają półprzytomnego nieszczęśnika stojącemu na wozie katu, a ten bez wysiłku podnosi go do góry i sadza na desce położonej w poprzek wozu. Teraz musi go jakoś umocować, by nie spadł i był dobrze widoczny. Wkrótce Kaprawy Hans, opleciony sznurami wrzynającymi się w ciało, siedzi tak prosto, jakby dosiadał rumaka.

Właściwa część widowiska zaczyna się od obwiezienia skazańca ulicami miasta. Każdy powinien widzieć, co spotyka tych, którzy łamią boskie przykazania. Trzask bata nad uchem wołu i wóz rusza. Podąża za nim pochód mężczyzn, kobiet i dzieci. Głównie to plebs, lecz można między nimi dostrzec kilku szanowanych rzemieślników i kupców.

Zapobiegliwi, pragnący mieć dobry widok, już dawno zajęli najlepsze miejsca przy szubienicznym pagórku. Tymczasem wóz przejeżdża przez Bramę Zielonogórską, mijają szpital i cmentarz, domy rzemieślników rozlokowanych na przedmieściu i w końcu dociera do celu. Sędziowie, burmistrz i pastor już tu są. Tłum gęstnieje. Sprzedawcom piwa, bułek, kiełbas, niezliczonych kawałków sznurów wisielców, cudownie uzdrawiających maści z tłuszczu samobójców i proszków z kości skazańców coraz trudniej przedzierać się z towarem. Żebracy wyciągają dłonie po datki, a złodzieje niepostrzeżenie urzynają sakiewki. Serce miasta i okolicznych wsi teraz bije przy szubienicznym pagórku.

Helga się spóźniła. By cokolwiek zobaczyć, okrążyła ciżbę i wkrada się do obejścia kata. Czuje się trochę nieswojo, lecz pragnienie obejrzenia widowiska jest silniejsze niż wszelkie obawy. Przenosi drabinę spod

obórki wołu i opiera ją o chatę. Wspina się tak wysoko, jak to możliwe, i wyciąga szyję. Z jej ust wydobywa się westchnienie ulgi. Miejsce kaźni ma jak na dłoni.

Równie dogodną pozycję zajęła markiza de Fontenay-Trésigny. Wraz z elektorskim urzędnikiem, panem Jeremiasem Reimannem, stoją na specjalnie przygotowanej platformie, w grupie obserwatorów chronionych przez strażników.

Dwóch pachołków właśnie wprowadza nieszczęśnika na podest. Podtrzymują go jeszcze podczas odczytywania wyroku. Potem pozwalają opaść na kolana. Hans głośno szlocha i prosi o przebaczenie. Została już tylko modlitwa i Michael może przystępować do dzieła. Zawiązuje skazańcowi oczy. W tym momencie dzieci milkną, psy przestają szczekać, a żebracy zawodzić. Zapada cisza. Kat na szeroko rozstawionych nogach bierze zamach. Opadaniu miecza towarzyszy przejmujący grozą świst. Głowa Hansa leci w dół i toczy się po zamarznętej ziemi, znacząc czerwonymi smugami sztywne źdźbła trawy. Drgające i chlustające krwią ciało bezwładnie zsuwa się z podestu.

Cisza trwa. Nie ma braw na zakończenie udanego przedstawienia.

Spotkania ze Śmiercią nie powinno się oklaskiwać.

Gawiedź rozchodzi się w zamyśleniu. Ugór wokół szubienicznego pagórka pustoszeje. Jedynie kat ma jeszcze zajęcie. Zwłoki i głowę wiezie w kierunku wykopanego wczoraj dołu. Blisko miejsca kaźni jest cmentarz dla potępionych – skazańców i samobójców. Nikt nie przynosi tu kwiatów ani nie spieszy z modlitwą. Kaprawy Hans będzie miał godne siebie towarzystwo.

Kat zaraz skończy i wróci do chaty, a Helga nie może się ruszyć. U stóp drabiny waruje brązowy pies. Każdy ruch gospodyni państwa Haase wywołuje w psim gardle groźne bulgotanie.

Kat zniknął z pola widzenia, za to pies nadstawia uszu i obraca głowę. Turkot wozu po twardej grudzie i posapywanie wołu nieuchronnie zapowiadają najgorsze.

I oto się staje.

Helga wciska twarz w strzechę, o którą oparta jest drabina. Nie chce widzieć kata.

Michael przechyla głowę tak samo jak jego pies. Nie może uwierzyć, że w jego obejściu pojawiła się kobieta, i to dokładnie w dniu, który ma być dobry. Czy trzeba lepszej wróżby? Nie musi już jechać do Breslau. Wszak ta niewiasta sama do niego przysłała, a jej szerokie biodra obiecują całą gromadę synów.

Dłoń w rękawicze pieśczośliwie głaszcząc psią głowę, a rozmarzony wzrok błądzi po suto marszczonej spódnicy.

– Od rana coś mi mówiło, że to będzie piękny dzień – mówi kat, wyciągając rękę ku tej, którą zesłał mu los.



– Masz nie chodzić do chorego. Markiza nie pozwala. Petra niech do niego zagląda. – Tyle zdążyła powiedzieć Helga, spiesząc się na egzekucję.

Rozala posłusznie skinęła głową, lecz kiedy tylko za gospodynią zamknęły się drzwi, udała się do kuchni, gdzie służąca zabierała się do zmywania po obiedzie.

– Daj – powiedziała do Petry, biorąc z jej rąk garnek z gorącą wodą. – Ja to zrobię. Ty możesz iść do rodziców. Na pewno się ucieszą.

Jasnowłosa dziewczyna była tak zaskoczona, że stała bez ruchu z rękami uniesionymi, jakby wciąż trzymała garnek. Nie mogła pojąć, dlaczego ktoś może chcieć myć brudne garnki zamiast nic nie robić.

– Nie bój się. Nie powiem Heldze.

Jako że na obliczu Petry nie pojawiła się żadna myśl zwiastująca zrozumienie, Rozala sięgnęła po chustę wiszącą na kołku, zarzuciła ją na plecy dziewczyny i lekko pchnęła w stronę drzwi.

– Biegnij! Czas ucieka.

Udało się! Petra popędziła opustoszałą ulicą w stronę przedmieścia za

Bramą Świebodzińską, a Rozalka zabrała się do pracy. Mimo że ręka nadal dokuczała, nigdy dotąd nie zmywała tak ochoczo jak dzisiaj. W ciągu dwóch pacierzy w kuchni zapanował porządek. Dziewczyna zdjęła mokry fartuch, przygładziła włosy i wyszła na korytarz. Postąpiła chwilę, nasłuchując, czy pani Barbara się nie obudziła i nie woła, a potem wślizgnęła się do izby cyrulika.

– Śpisz?

Pytanie jest zbędne. Jakub, oparty o wysoko położone poduszki, siedzi, czekając na przyjaciółkę.

– Wiedziałem, że przyjdiesz.

– Skąd? – droczy się Rozalka, siadając na brzegu łóżka.

– Bo dobrze cię znam.

W spojrzeniu Jakuba pojawiło się coś nowego. Coś, co niepokoi Rozalę i każe jej uciec wzrokiem na bok. Wraca jednak i przyjmuje wyzwanie. Przełamując nieśmiałość, przygląda się przyjacielowi. To, co widzi, bardzo się jej podoba. Wysokie czoło, na które opada kilka kosmyków jasnych włosów, grube brwi, a tuż pod nimi głęboko osadzone niebieskie oczy i zarost skrywający bladość cery.

– Ściąłeś włosy. Kiedyś miałeś dłuższe. Wiązałeś je z tyłu.

– Matka mówiła, że mój ojciec też tak robił, dlatego chcę mieć krótkie. Nie jestem nim.

Rozala milczy, zaskoczona gniewnym tonem.

– Kiedyś cię narysowałam – wyznaje po chwili. – Mistrz Breker z zamku dawał mi nauki.

– Pokaż.

– Nie teraz. Musiałabym pójść na górę. Pani mogłaby się obudzić.

– To nie idź. Szkoda czasu. Matka może wrócić. Poszła z panem Reimannem na egzekucję – wyjaśnia, choć Rozalka dobrze o tym wie. – Jest zła na ławników. Uważa, że tego rzezimieszka przepytowano zbyt krótko i że został wynajęty przez stryja Karola, żeby mnie zabić.

– Co, jeśli ma rację?

– To i tak za późno. Bez głowy nic nie powie. – Jakub próbuje żartować. – Matka wszędzie węszy spisek.

– I już zawsze będziecie się ukrywać i uciekać?

– Królowa ma jakiś plan. Nawet mnie matka go nie zdradziła. Boi się, że mógłbym coś powiedzieć mistrzowi Haase.

– Co? On miałby na ciebie czyhać?

– Wiem, że nie, ale ona nikomu nie wierzy. Dajmy już temu spokój. Nie jesteś ciekawa egzekucji?

– Nie. Kiedyś widziałam, jak przy pręgierzu na rynku kat ucinął złodziejowi rękę, a kiedy indziej zamknął w żelazną obręcz dziewczynę i chłopaka. Potem śniło mi się to wszystko. Jakubie...

– Co? – Chłopak ujmuje dłoń Rozali spoczywającą na pościeli.

– Pan Haase wysyła mnie jutro do babki do Grünwaldu. Może mnie nie być ze cztery dni.

– Tak długo?! – Palce Jakuba się zaciskają.

– Może i dłużej. Nic nie wiem o babce. Ostatnie wieści miałam latem. Wiele mogło się zdarzyć. Boję się, że jej tam nie ma. Co ja wtedy zrobię?

– Pojadę z tobą! Ucieknę. – Jakub zrywa się gwałtownie i równie szybko z głośnym jękiem opada na poduszki. Dłoni Rozali nie puszcza. Trzyma ją mocno, jak przed chwilą.

– Głuptasie! Miałabym z tobą kłopot. Jesteś obolała i w dodatku słaby jak pisklę.

– Ja słaby?

– Puść! Boli! – Dziewczyna cofa rękę, broniąc się przed żelaznym uściskiem. – Wrócę za cztery dni i znowu się tu zakradnę. Cicho... Ktoś wszedł do korytarza.

Oboje zastygają w oczekiwaniu. Kroki są coraz bliżej.

– A jeśli to ktoś z nożem do ciebie? – szepcze Rozala.

– Niemożliwe. Przy drzwiach jest strażnik. – Jakub uspokaja, ale blednie.

– Na pewno go zabił.

– Nie strasz! – Chłopak zaczyna się gniewać. – Ty... – uważnie przygląda się twarzy Rozalki – robisz to specjalnie. Natrząsas się ze mnie.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Pan Haase wrócił. Od razu poznałam jego kroki.

Na potwierdzenie tych słów w drzwiach pojawia się cyrulik.

– Co wam tak wesoło? Za miastem jakiś nieszczęśnik stracił głowę, a wy macie uciechę.

Jakub i Rozala poważnieją.

– On chciał mnie zabić. Nie będę go żałował – usprawiedliwia się młodzieniec.

Haase wzdycha.

– Mimo to wesołość nie uchodzi. Gdzie Helga? Zaglądałem do kuchni, ale jej tam nie ma.

– Na szubienicznym pagórku. Poszła popatrzeć – wyjaśnia Rozala.

– Wracając od chorego, widziałem z daleka, że tam już nie ma nikogo.

Słychać kolejne stuknięcie otwieranych drzwi i dźwięk stąpania po kamiennych płytach korytarza.

– To Petra – informuje Rozalka, jakby widziała przez drzwi. – Rozpoznaję kroki wszystkich domowników – wyjaśnia zdziwionemu Tytusowi.

– Ciekawe, gdzie podziała się Helga – zastanawia się cyrulik. – Lada chwila zapadnie ciemność, wieczerza niegotowa, a jej nie ma. Zapal świece, Rozalko, i idź do pani Barbary. Wkrótce wróci markiza. Lepiej, żeby cię tu nie zastała.

Rozala wchodziła właśnie po schodach, kiedy po raz kolejny otworzyły się drzwi. Z impetem wpadła przez nie Helga. Przekreśliwszy klucz w zamku, z głośnym płaczem przemknęła przez korytarz i wbiegła do kuchni. Również te drzwi zamknęła za sobą z hukiem.



Człowiek z Unruhstadt, który miał dowieźć Rozalę do Wigi, kazał jej zsiąść z wozu na rozstaju dróg.

– Tam jest Grünwald – powiedział, pokazując palcem na dwie zagrody ledwo widoczne za kępą wysokich krzewów. – Nie znam twojej babki. Zapytaj ludzi – poradził i odjechał.

Jeszcze przed chwilą złota kula słońca wisiała nad horyzontem. Teraz w tym miejscu widać tylko czerwonożółtą poświatę. Nie minie wiele czasu, a zrobi się ciemno. Rozalka jest zupełnie sama na nieznanym pustkowiu. Z lękiem spogląda w stronę ciemnej linii lasu. Żyjąc w mieście, zapomniała, jak to jest mieszkać blisko zwierząt i leśnych duchów. W jednej chwili przypomniały się jej wszystkie opowieści o strzygach, upiorach i całkiem prawdziwych wilkach. Krótki kożuszek i chusta już nie chronią przed zimnym wiatrem, który na polnej drodze rozpędza się bez przeszkód.

Strach i zagubienie pomału biorą w posiadanie umysł dziewczyny.

– Idźcie precz, złe myśli! – mówi głośno, by dodać sobie otuchy, i rusza w stronę zabudowań. Minąwszy kępę krzewów, zauważa, że chałup jest więcej. Mimo to po miejskiej ciasnocie ma wrażenie pustki.

Jedna z chat wygląda dostatniej od innych. Na środku podwórza króluje studnia z żurawiem. Właśnie ktoś nabiera wody. Może tam się dowie, gdzie szukać babki.

– Boże dopomóż! – woła do młodziana zajętego pracą.

Zamiast odpowiedzieć po chrześcijańsku, chłopak się gapi, jakby zapomniał języka w gębie.

– Pokażcie, która chałupa babki Wigi. Zaraz się ściemni, a ja nie wiem, dokąd iść – dopowiada na wszelki wypadek.

– Coś ty za jedna?

– Wnuczka babki Wigi. Powiedzcie, gdzie ona.

– Pójdę po moją babkę.

– Po co? Pokażcie tylko, która to chata.

Chłopak nie słucha. Szybkim krokiem zmierza do domu. Ktoś jednak usłyszał rozmowę, bo na progu pojawia się kobieta opatulona w wielką chustę.

– Babko! – woła do niej młodzieniec. – Ona szuka ciotki Wigi. Powiedzieć jej?

– Podejź! – Niewiasta gestem ręki przywołuje nieznajomą. – Ktoś ty? – pyta, kiedy jest już blisko.

– Rozala – odpowiada dziewczyna, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Kobiecie to jednak wystarcza. Wyraz czujności znika z jej twarzy.

– Rozalka, wnuczka Wigi. Mogłam się domyślić. Kto inny by jej szukał. Zaczekaj, wzuję buty i cię zaprowadzę.

Idąc, zerkają na siebie ukradkiem, jednak ciepłe chusty nie sprzyjają bliższemu poznaniu. Skręcają w ścieżkę między dwiema chatami, mijają stodoły i stogi siana i wychodzą na otwartą przestrzeń.

Nad chatą stojącą na brzegu łąk widać smugę dymu. Wiatr targa siwą wstęgą, nagina ją ku dachowi, rozpędza, obraca i znowu gnie.

– Tam mieszka babka? – Rozala jest zaskoczona. Spodziewała się skrajnej nędzy, chałupy chylącej się ku upadkowi, a widzi co prawda małą, ale nielichą chatę krytą strzechą, z kominem z gliny zarobionej ze słomą i towarzyszącymi jej szopą i stodółką.

– Dom został po ojcu – wyjaśnia nieznajoma kobieta, jakby zgadywała myśli dziewczyny.

– Nie żyje?

– Akurat były żniwa, jak umarł.

– Babka jest sama?

– Co mam ci mówić. Wszystko zobaczysz.

Im są bliżej, tym większy jest żal Rozalki. „Jak to? Babce się dobrze żyje, a mnie nie chce?”

Wiga siedzi przy ogniu i przedzie na wrzecionie. Na okapie paleniska

postawiła łożową świeczkę, by lepiej widzieć. Tak jak kiedyś w Karge, szuka zarobku na zimę. Tyle że tu o niego trudniej.

Karge i rozwijające się Unruhstadt doznały wielu nieszczęść, lecz nie da się ich przyrównać do Kolzig, Grünwaldu i reszty włości pana Kittlitz. Odkąd Wiga pamięta, tu zawsze żyło się ciężko. Dotąd nie udało się podnieść po napaści kozaków przed laty. Tylko garstka szczęściarzy lub bardziej przedsiębiorczych jakoś sobie radzi. Ojciec Wigi należał do jednych i drugich. Uroda i talent do uwodzenia pozwoliły mu omotać najpierw jedną, a po jej śmierci drugą posażną pannę z okolic Grünbergu. To za ich pieniądze odbudował chatę po pożarze i kupił nową łódź. On sam też nie był leniwy. Dopóki miał siły, dzierżawił część jeziora i odcinek rzeki. Łowił ryby, sprzedawał je okolicznym, a w chłodniejszą porę jeździł na jarmarki. Był chałupnikiem, więc nie miał pola, za to zatrudniał się u innych. O swoje obejście dbał jak mało kto. Cokolwiek się zepsuło, od razu naprawiał. Ludzie go szanowali, choć niewielu lubiło, lecz tylko Anna wiedziała, jaki jest naprawdę.

Opada ręka trzymająca wełnianą czesankę. Kobieta nasłuchuje. Ktoś się zbliża. Idzie śmiało, nie skrada się, więc nie ma czego się bać. Z zaciekawieniem spogląda na otwierające się drzwi. Kto stoi za plecami ciotki Anny? Czyżby to...

Wiga zrywa się z zydlu. Wrzeczono i czesanka zsuwają się po spódnicy na klepisko.

Rozala powinna teraz wyjść zza bezpiecznych pleców nieznannej kobiety, lecz stoi, przygwożdżona żalem o zapomnienie i odtrącenie.

– Rozalka!

Anna odsuwa się na bok.

– Rozalka? – W głosie Wigi słychać zarówno radość, jak i zmieszanie, bo czemu wnuczka tak stoi jak całkiem obca?

A ona nie ma już usprawiedliwienia. Nie może udawać, że nie do niej to wołanie. Przypada do babkowych kolan i jak kiedyś chowa twarz w fałdach burej, pachnącej owczą wełną spódnicy. Mija żal. Jest tylko babka i ciepło jej dłoni na głowie.

Gdzie się podziała nieznajoma? Kiedy wyszła? Obie nie zauważyły, jak Anna, otuliwszy się chustą, zanurzyła się w wieczornym mroku.

Siedzą przy ogniu. Rozalka wyciąga ręce ku płomieniom. Zmarzła, siedząc wiele godzin na wozie. W glinianym garnczku parzą się kwiaty lipy, a w saganie ustawionym na drybanku bulgoce zupa z kaszą i warzywami.

Rozala całą drogę układała sobie w głowie, o czym będzie rozmawiać, o co zapyta i co sama opowie. Teraz jednak milczy. Nie chce psuć błogiej chwili, patrzenia w ogień i spokoju, jakiego dawno nie doznała.

– Chciałabyś ze mną zostać? – Wiga pierwsza przerywa ciszę.

– Mogłabym? Przecież nawet nie chcieliście, bym was odwiedzała.

– Masz do mnie żal... – Kobieta opuszcza głowę. – Myślałam, że tam ci lepiej.

– Źle mi nie jest, ale chciało mi się do was. Najbardziej wtedy, gdy pan Haase powiedział, że znaleźli mamę.

– Wtedy... Dopiero co tu przyszłam. Żył mój ojciec.

– On nie pozwolił, żebym was odwiedzała?

– Pytał o ciebie. Ludzie mu powiedzieli, że mam wnuczkę. Chciał, żebym cię sprowadziła.

– To dlaczego...

– Był złym człowiekiem! – Wiga zrywa się z miejsca, a wielki garbaty cień pada na klepisko. – Był zły! – powtarza z gniewem. – Nie chciałam, byś go zobaczyła. Wystarczy, że ja go pamiętam.

– Skrzywdziłby mnie?

– Nie. Był słaby i się mnie bał. Przymilałby się do ciebie, udawał, może nawet poszedłby z tobą nad rzekę i pokazał, jak łowić ryby. Nie mogłam na to pozwolić. Nie chciałam, byś myślała, że był dobry.

– Co wam zrobił?

– Nie powiem. Nie mogę. Wciąż o nim śnię, ale wiem przynajmniej, że kiedy umrę, nikt go nie będzie pamiętał.

– Babko, czemu Bartłomiej i Michałka? Helga, gospodyni pani Haase, powiedziała, że pastor nie dałby nikomu takich imion.

– Bo może i nie dał. Jeśli na chrzcie dostali inne, to nikt już nie wie jakie. U nich zawsze tak było, że mieli imiona z dawnych czasów. Od ciotki Anny wiem, że pradziadowie Bartłomieja już tu byli, kiedy stawiano pierwszy zamek, i zawsze na najstarszego w rodzinie mówiło się Bartłomiej, a kiedy brał sobie żonę, to nikt nie pytał, jak jej na imię, bo wiadomo było, że to nieważne. Musiała być Michałka. Ta Michałka jest spod Wolsztyna. Bartłomiej specjalnie tam pojechał, żeby znaleźć sobie żonę.

Wiga i Rozalka wstały, kiedy tylko zrobiło się jasno. Nie rozpałały ognia. Babka sypnęła kurom ziarna i wydoła kozę. Napiły się mleka i ruszyły w drogę. Co prawda to nie wiosna ani lato, kiedy chcąc kogoś zastać w chałupie, trzeba przyjść o świcie albo samym wieczorem, ale jeśli chodzi o Bartłomieja, to jego trudno spotkać o każdej porze.

Gdyby kogoś zapytać, czym zajmuje się Bartłomiej, mogłaby paść odpowiedź, że to zwykły chłop idący orać pole każdej wiosny. I byłaby to prawda. Lecz taką samą prawdę miałoby w sobie wyjaśnienie, że jest znanym w okolicy powroźnikiem. Prawdą byłoby również, gdyby powiedziano, że to bartnik wspinający się na drzewa i podbierający miód i wosk leśnym pszczołom. Z powodu tego ostatniego zajęcia Wiga i Rozala idą do Kolzig.

Dziewczyna szła szybciej, lecz musi uważać na babkę, która podpira się kijem i stawia stopy wolniej niż kiedyś.

Zamek pana Kittlitz widać z daleka. Murowana budowla jest raczej niedużym pałacem niż zamkiem. Nie otaczają go mury ani fosa. Wszyscy jednak się przyzwyczaili tak nazywać siedzibę właściciela Kolzig i okolicznych wiosek. Rozala jest tu pierwszy raz, więc przechodząc obok, próbuje zajrzeć w okna i na dziedziniec. Z tyłu, tak jak w Karge, i tu jest gospodarstwo. Od strony spichlerza dobiega rytmiczny dźwięk. To uderzenia cepów. Po zakończeniu pilnych prac polowych przyszedł czas

na omłoty.

Luterański kościół przedstawia smutny widok. Świątynia ucierpiała podczas wojny, a drobne naprawy, bo tylko na takie było stać ubogich parafian, niewiele pomogły. W końcu katolicki cesarz, który jak może, utrudnia życie protestantom, nakazał zamknięcie niekatolickich kościołów. I tak świątynia tutejszych wyznawców luteranizmu niszczeje i zapada się do środka.

Bartłomieja nie trzeba szukać. Z daleka widać sylwetkę mężczyzny w kapeluszu. Pracuje na poboczu drogi przy wkopanych na stałe drewnianych stojakach. Przepasany jest fartuchem, z którego wystaje pęk czesanych konopnych włókien. Między zębami owych stojaków podobnych do odwróconych grabi przewleczone są cienkie sznurki. Bartłomiej właśnie kończy pleść jeden z nich. Kiedy będzie gotów, zacznie łączyć cienkie sznury w jeden gruby powróż.

– Mam zamówienie na sznur do dzwonu. Takiego w domu nie zrobię. Muszę tutaj – wyjaśnia Widze i jej wnuczce. – A ty, Rozalko, skąd się tu wzięłaś?

– Dawno nie było was w Zulich, a maści się pani skończyły. Posłała mnie do babki, póki śniegu nie ma. Gdybym nie zdążyła, trzeba by czekać do wiosny. Mistrz Haase też potrzebuje mazideł. Najbardziej tych, co je wasza Michałka robi. Takich pachnących miodem. Zapłatę mam ze sobą. – Dziewczyna pokazuje sakiewkę.

– Każdy grosz się przyda – mówi ucieszony Bartłomiej. – Michałka jest brzemienna.

– Kto będzie chodził z wami do lasu?

– Jeszcze nie wiem. Mógłbym brać ze sobą jakiegoś chłopaka. Nie musi nic umieć, tylko pomagać mi w dźwiganiu.

– Mnie byście wzięli?

– Was, Wigo? – Mężczyzna jest zakłopotany. – Nic do was nie mam, ale wy mi nie pomożecie. Nie weźmiecie ciężaru na plecy i w lesie też za mną nie nadążycie.

– Znam las nie gorzej od was. – Wiga nie daje za wygraną. – Jestem silna i wytrwała w pracy, a na dźwiganie mam swoje sposoby.

Bartłomiej udaje, że się zastanawia, chociaż nie wyobraża sobie chodzenia z Wigą do barci.

– Jeszcze niedawno najmowałam się do noszenia rudy^[16]. – Garbata kobieta próbuje zwiększyć swoje szanse.

– Chodziliście do rudy? Nie było wam ciężko?

– Przecież mówię, że jestem wytrwała.

Widze zależy na każdym zarobku. Nie wyjaśniła Rozali, że chata ojca naprawdę należy do pana, bo postawiona na jego ziemi. Jeśli chce w niej pozostać, musi na to zapracować albo zapłacić panu. Chodzi więc na pola i do noszenia rudy, zbiera upadłe kłosa, żołądź, nasiona traw, zioła i wszystko, czym może zapełnić brzuch swój, kozy i czterech kur. Kiedy nie ma roboty u ludzi, zbiera chrust na opał, lecz inaczej niż w Karge, tu każda gałązka jest policzona i musi zostać odpracowana.

Choć w Karge miała niekiedy, teraz ma nieporównanie gorzej. Tu dużo mniej ludzi^[17], a w samym Grünwaldzie aż trzy baby od ziół, zaklęć, odczyniania uroków i porodów. Anna Villborn, jej córka Urszula, dopiero na końcu Wiga. Mało kto do niej przychodzi. Jedni, bo się przyzwyczaili do tamtych, inni się boją, że Anna się obrazi i rzuci urok. W Karge zawsze poratowała Agata, tu czasem zajrzy ciotka Anna albo Urszula, ale to nie to samo. Co więcej, każda kobieta w okolicy zna się na ziołach na tyle, żeby je zebrać w odpowiedniej porze i w lekkich chorobach pomóc swojej rodzinie. Bieda zmusza do oszczędzania.

– Podołam – mówi, próbując spojrzeć powroźnikowi w oczy. Jednak Bartłomiej dalej się waha. Nie idzie tylko o to, że Wiga mogłaby nie dać rady. Boi się, co ludzie powiedzą na widok garbatej dziwaczki u jego boku. Do pogardzania Wigą mało kto głośno się przyznaje. W końcu o swojej, czyli córce Eliasa i wychowanicy Anny Villborn, nie wypada źle mówić, ale jedno spojrzenie, lekceważący uśmiech, przypadkiem rzucone słowo wystarczą, by dać do zrozumienia, co się myśli naprawdę.

– Przyjdźcie zapytać, jak skończy się zima, a teraz chodźmy po maści

dla cyrulika.

– Zimą mogłabym pleść dla was sznury. – Zielarka rzuca nową propozycję.

Bartłomiej kręci głową nad uporem zdesperowanej baby, ale nie odmawia.

– Może coś się dla was znajdzie – mówi, otwierając drzwi do chaty.

Straciły dużo czasu, zachodząc do domu powroźnika. Michałka nie dała się zbyć. Posadziła Rozalkę i Wigę za stołem, poczęstowała serem, chlebem i ciepłym piwem z miodem, a przy okazji wyciągnęła z dziewczyny wszystkie wiadomości. Musiała więc Wiga ponownie wysłuchać opowieści o cudownym odnalezieniu Jakuba, zbójcu, który go omal nie zabił, i karze dla złoczyńcy. Nawet Bartłomiej odłożył na później splatanie powroza. Przysiadł się do stołu i zadawał pytania. Żałował tylko, że Rozala nie widziała samej egzekucji, bo chciałby poznać wszystkie szczegóły.

Teraz w żadnej karczmie w okolicy nie odmówią Bartłomiejowi poczęstunku i ani jedno spotkanie przy przedzeniu albo darciu pierza nie obędzie się bez Michałki.

Takie wieści trafiają się raz na kilka lat. Przekazywane z ust do ust, przetwarzane w wyobraźni kolejnych opowiadaczy, będą żyły własnym życiem, dopóki nie zdarzy się coś nowego.

Bartłomiej, licząc na to, że dowie się czegoś jeszcze, zaoferował podwózkę do Karge. Stamtąd Rozala wróci do Zulich z zarządcą von Lestem, pan Baltazar bowiem, usłyszawszy o Jakubie, zapragnął go natychmiast zobaczyć.

Wiga odprowadziła wnuczkę do drogi. Dziewczyna, zaopatrzona w zapas wszelakich maści i ziół oraz nakazów, kiedy, co, ile i co przy tym szeptać, wsiadła na wóz Bartłomieja.

Ciemne oczy Wigi napełniają się łzami. Ledwie widzi oddalający się pojazd i drobną sylwetkę otuloną chustą.

Jak dobrze byłoby mieć ją przy sobie. Jak miło płynęłyby wieczory

przy sobótkowej córce Doroty. Mimo to, skazując się na samotność, nie zachęcała jej, by została. Wszak już dawno wybrała dla wnuczki inny, lepszy los. Ona sama może czuć się szczęśliwa, bo ma na kogo czekać.

Tak, tak. Czekanie, choćby długo trwało, jest lepsze od nieczekania.

Już nie widać wozu. Schował się za gęstymi krzewami tarniny. Nie ma co stać na drodze. Zimno tu i pusto. W chałupie nie lepiej. Zapomniała zarzucić żar popiołem. Trzeba będzie na nowo rozpalać ogień.

„Co to? Ktoś idzie... Rozalka wraca?”

Słyszysz, jak otwierają się drzwi do sieni.

– Ciotko! Jesteście?

– To ty, Paul. – Wiga jest rozczarowana, choć bardzo lubi najmłodszego wnuka Anny.

– Matka mnie po was przysłała. Mieliście przyjść na przedzenie.

– Ach! Zapomniałam. Dopiero co wyprawiałam Rozalkę. Już, już, biorę wrzeczono i idę z tobą.

– Ciotko...

– Co tam?

– Nie mówcie do mnie Paul. Tylko wy mnie tak nazywacie.

– To jak mam mówić? Przecież tak ci dali na chrzcie.

– Ojcu babki Anny było Paweł, dlatego tak kazała na mnie wołać. Mnie się to podoba. We wsi jest czterech Pauli, a Paweł jeden.

Zielarka z wrzeczionem w jednej ręce i kądzielą w drugiej stoi przed chłopakiem, zadzierając głowę. Młokos jest wysoki i chudy. Wąs mu się jeszcze nie sypie, ale już biega za dziewczętami.

– No to prowadź mnie do waszej chaty, Pawle. – Oczy Wigi się śmieją. – Jeszcze nigdy nie szłam przez wieś z ładnym chłopcem.



W chacie Anny Villborn jest ciepło, nawet zbyt ciepło. Na palenisku płonie ogień, a z kociołka zawieszzonego na haku bucha pachnąca rzepą

para. Jednak zapach warzywnej polewki nie jest w stanie pokonać woni kapusty kiszanej się w kłodach. Niedługo kapusta zostanie wyniesiona do sieni, ale tymczasem potrzebuje ciepła do fermentacji, dlatego domownicy na razie muszą się pomęczyć.

Anna i Urszula niecierpliwiły się, czekając na Wigę, bo były ciekawe, co powie o wnuczce i jej życiu w mieście. One same rzadko wyprawiają się poza ziemie Kittlitz. Czasem, w ważne dla luteranów święta, udają się na nabożeństwo do Karge albo do Wolsztyna. W Zulich nigdy nie były.

W izbie, prócz Anny i Urszuli, jest jeszcze Katarzyna. To najmłodsza córka jednej z sióstr wdowy Villborn. Mieszka w Kolzig, ale dzisiaj będzie spała u ciotki Anny. Mąż Urszuli, Johann, i starsi synowie, bliźniacy, jeszcze nie wrócili z lasu, gdzie się zatrudnili przy wyрубie. Powinni już być w domu, ale najpewniej zaszli do karczmy.

Wiga lubi Katarzynę, bo przypomina jej wnuczkę. Nie z wyglądu. Ta tutaj ma szerokie biodra i pełne piersi, a spod czepka nieustannie wysuwają się jej jasne pasma włosów. Siostrzenica Anny ma w sobie tę samą ciekawość co Rozalka. Mówią, że ojciec, niegdyś pisarz przy luteranńskiej parafii, nauczył ją czytać. Wiga nie zdziwiłaby się, gdyby pewnego dnia Katarzyna włożyła makową spódnice. Na razie dziewczyna wypytuje Wigę o Rozalę. Żałuje, że nie zdążyła jej zobaczyć i zapytać o miasto. Na pewno dowiedziałaby się dużo więcej.

Niestety, opowieść Wigi jest bardzo oszczędna. Każde zdanie trzeba z niej wyciągać. Więcej słów pada z ust Anny i jej córki podczas komentowania, niż jest ich w zwierzeniach garbatej zielarki. Paweł się nie odzywa. Dokłada jedynie do ognia, nadstawiając uszu. W końcu domownicy, nie przerywając przedzenia, przerzucają się na rozmowę o pani Kittlitz i jej chorobie.

Powrót mężczyzn nieco zakłóca pracę, bo Urszula musi odłożyć wrzeczono i podać im chleb oraz polewkę.

Chłopcy jedzą, aż im się uszy trzęsą, lecz Johann nie ma apetytu. Mąż Urszuli uchodzi za wcielenie łagodności, dlatego jego podenerwowanie budzi zdziwienie żony i teściowej. Wreszcie Urszula nie wytrzyma.

– Coś się stało? Masz złe wieści?

Johann odkłada łyżkę, którą tylko mieszał w zupie.

– Pan Kittlitz podwyższył wszystkie opłaty. Nie dość, że przez suszę niewiele zboża się zebrało, to więcej będziemy musieli oddawać. W karczmie aż huczy, a karczmarz zły, że bez kija nie podchodzi.

– Które czynsze pan podwyższył? – dopytuje niecierpliwie Urszula. – Narzekasz, a ja nie wiem, czy warto się denerwować.

– Wszystkie! Za chałupę i uprawianą ziemię, za łąki i wypasanie, za ogrody, za korzystanie z bielarni lnu, za pola, ogrody i sady, które leżą odłogiem, za drewno na opał i na budowę, za mielenie zboża, za dzierżawę rzeki... Jeszcze mam gadać?

– Wystarczy. Wiem, za co płacimy w pieniądzu i w naturze. Dobrze, że u nas ma kto robić, to część z tego odpracujemy, ale co ma powiedzieć wdowa z małymi dziećmi? A wydawało się, że ludzki z niego pan... – Urszula wzdycha, wracając do przędzenia.

– W Kolzig gadają, że to przez cesarza – wtrąca się Katarzyna. – Szykuje się do wojny z sułtanem^[18], dlatego gromadzi złoto. Nakłada podatki na panów, a oni na nas.

– Rozalka mówiła, że w Zulich to samo. Jej pan też pomstował, ale nie na cesarza, a na księcia Fryderyka – wtrąca się Wiga.

– Księżę Fryderyk też się szykuje na sułtana? – dziwi się Urszula.

– Każdy ma jakieś tłumaczenie, byle nas, biedaków, gnębić. – Anna ma nadzieję, że to już koniec narzekania, okazuje się jednak, że milczący dotąd bliźniacy też mają coś do powiedzenia.

– Wiosną zaciągniemy się z Tobiaszem do cesarskiego wojska – oznajmia Samuel. – Nie będziemy robić na pana Kittlitz. Zdobędziemy łupy na Osmanie i wrócimy bogaci.

W izbie zapada cisza. Anna patrzy to na Urszulę, to na Johanna, oczekując jakiejś reakcji. Ponieważ rodzice bliźniaków wyglądają, jakby ich zamurowało, babka przejmuje rządy.

– Nigdzie nie pójdziecie. A jak przyjdzie wam do głowy nie posłuchać,

nie dostaniecie błogosławieństwa. Żaden z moich wnuków nie będzie zabijał, łupił i oddawał się żołnierskiej rozpuście. Zostaniecie tutaj i będziecie uczciwie pracować. Opuście tę chatę dopiero, gdy znajdziecie sobie żony albo kiedy Pan was do siebie zabierze.

Gdyby nie pełne ulgi westchnienie Urszuli, można by pomyśleć, że wszystkich z izby wymiotło. Nawet Paweł przestał podkładać do ognia i patrzy wyczekująco na braci. Oni chyba nie mają nic do powiedzenia. Opuzczone głowy nie pozwalają rozpoznać żadnego uczucia. Nie wiadomo, czy się wstydzą, czy są zagniewani.

Kobietom łatwiej. Mogą udać, że nie mają czasu na zbędne słowa. Każda chwyta za swój pęk czesanki i wprawia wrzeciono w wirowanie. Johann i synowie czują się niezręcznie. Ojciec chłopaków zdaje sobie sprawę, że jak zwykle okazał się słaby. To on powinien powiedzieć to, co teściowa. Po co się odezwała, zanim zdążył zebrać myśli? Zawstydzila go. Kiedy nareszcie ta kobieta się zestarzeje, opadnie z sił i pozwoli jemu i Urszuli poczuć się u siebie? Ma ochotę ją zganić, lecz zamiast tego podnosi się z ławy.

– Zajrzę do wołów. Podrzucę im słomy – oznajmia i wychodzi.

Gdyby nie liczyć szurania, pokaszływania, pociągania nosem, trzaskania płonących polan i szumu wirującego wrzeciona, można by uznać, że nic nie maści ciszy panującej w izbie.

Palce Wigi kontrolują skręt i grubość konopnej nici, ale jej myśli wędrują do dawno zapomnianej chwili. Przed laty ciotka Anna przyprowadziła ją do tej samej izby. „Od dzisiaj to wasza siostra” – powiedziała do dwóch dziewczynek bawiących się z małym kotkiem. Ewa i Urszula spojrzały na brzydką i przeraźliwie chudą krzywą dziewczynkę w brudnej koszuli, a potem zrobiły jej miejsce przy ogniu. Nie odezwały się do niej, mimo to, siedząc obok nich, czuła, że już nie jest sama. Nie wie, co na to powiedział mąż Anny, Hans Villborn. Pewnie nie miał nic do gadania, tak samo jak Johann. Później różnie bywało. Czasem, kiedy matka nie widziała, siostry jej dokuczały, ale nigdy się nie poskarżyła. Anna traktowała je wszystkie tak samo surowo. Uczyła tego, co powinna

wiedzieć zielarka i akuszerka. Kiedy podrosły, brała je kolejno do rodzących kobiet i do chorych, tłumaczyła, zadawała pytania i przestrzegała. Osobno i raczej niechętnie mówiła o zaklęciach. Z nich trzech Wiga pojmowała najwięcej. Ewa najmniej. Może dlatego, że najstarsza, szybko zaczęła oglądać się za chłopcami, a najmilsza była jej zabawa w gospodynię, nie w zielarkę.

Trudno powiedzieć, kiedy Wiga przestała pruć. Paweł pierwszy zauważył leżącą na kolanach kądziel i nieobecny wzrok garbatej ciotki.

– Odprowadzić was do chaty? – zapytał.

Z początku zdawała się nie słyszeć, potem zamrugła jak obudzona ze snu i spojrzała na Pawła.

– Tak. Pora na mnie – odpowiedziała.



Nocą silny wiatr strącił z drzew resztę liści. Za wiatrem nadciągnęły ciężkie ciemne chmury.

Koło południa z Lipki^[19] przybiegła do wdowy Villborn dziewczyna z prośbą o pomoc. Jej matka już długo się męczyła, nie mogąc urodzić dziecka. Miejskowe kobiety nie dały sobie rady, więc Anna opatuliła się chustą, wzięła skózaną sakwę z ziołami i ruszyła przed siebie. Na rozstaju dróg ujrzała zbliżający się wóz ciągnięty przez chudą szkapę. Pojazd skierował się do Kolzig, ale zanim ją minął, zdążyła zajrzeć pod czarny kaptur osłaniający twarz mężczyzny. Nie było niczego nadzwyczajnego w jego obliczu. Gładko ogolone obwisłe policzki, pełne usta i świdrujące spojrzenie przypominały jej mnicha, który zaraz po wojnie z polecenia cesarza odwiedzał okoliczne wsie, żeby spisać żyjących tam katolików. Może to przez ponurą pogodę albo zbyt długi sen Annie się wydało, że to nie jakiś niezajomy człowiek, a sam Zły, co przybrał ludzką postać.



W drodze powrotnej do Zulich Baltazar pytał Rozalkę o Jakuba, ale chyba wiedział więcej od towarzyski podróży, bo wkrótce umilkł.

Dwukólkę i konia zostawili u wdowy na przedmieściu, a resztę drogi pokonali pieszo. Pierwsze, na co Rozala zwróciła uwagę, to brak strażnika przy wejściu. Człowiek, którego przysłano z zamku, by zapewnić Jakubowi bezpieczeństwo, zniknął. Złe przecucie kazało jej przyspieszyć kroku i wpaść z impetem do izby cyrulika.

Pusto! Nie ma nikogo. Na łóżku tylko siennik bez pościeli.

– Gdzie Jakub? Coś mu się stało?

Na wołanie dziewczyny nikt nie odpowiada. Zaskoczony von Lest stoi w progu i rozgląda się bezradnie. Czyżby przyjechał na próżno?

Zza kuchennych drzwi wychyla się głowa Helgi. Gospodyni chyba się czegoś obawia, bo najpierw lustruje korytarz, zagląda za plecy Rozalki i uspokojona opuszcza bezpieczne miejsce za drzwiami.

– Po co te krzyki? Wystarczyło, że pojechałaś na wieś, od razu całą ogładę straciłaś – zrzędzi, wycierając ręce w fartuch. – Wczoraj zabrali go do zamku. I chwała Bogu. Niech tam piorą jego koszule, wynoszą nocnik i codziennie osobno gotują dla panicza. Mam tego dość. A kto tam stoi? – Helga mruży oczy, próbując rozpoznać towarzysza Rozali. – Krewniaka nam ze wsi przywiozłaś? Ostrzegam, że jeść nie dam. Niech idzie do oberży.

– Jestem Baltazar von Lest. – Groźny głos mężczyzny wypełnia korytarz. – Gdybym miał w Karge tak grubiańsko zachowującą się służącą, prędzej dałbym ją do pasania świń, niż dopuścił do ludzi.

Prawdopodobnie cała czerwień świata zabarwiła policzki Helgi. Nie wie, co ze sobą począć. Dyga w unizonej pozie, otwiera i zamyka usta i gładząc fartuch, obraca głowę w stronę drzwi, za którymi najchętniej by się skryła.

– Wołaj pana Haase!

Rozkaz przerywa ciąg bezsensownych czynności. Gospodyni robi krok, jakby chciała wypełnić polecenie, lecz zaraz znowu zastyga.

- Pan Haase u chorego. Jest tylko pani, ale ma gości.
- Jak pan wróci, powiedz mu, że poszedłem do zamku.
- Mogę z wami? – W ciemnym korytarzu trudno dostrzec czyjeś spojrzenie, ale Rozalka na wszelki wypadek z błagalną miną szuka oczu von Lesta skrytych w cieniu kapelusza.
- Pójdę sam. Ty idź do swojej pani. Na pewno czeka na maść.

Zza drzwi izby pani Barbary słychać głosy. Rozala nie jest pewna, czy może wejść. Na próżno próbuje rozpoznać gości opiekunki. W końcu naciska klamkę.

Barbara Haase siedzi na swoim zwykłym miejscu przy oknie, a naprzeciwko rozsiadła się nieznana, około dziesięcioletnia dziewczynka. Młoda dama w czarnej sukni stojąca za oparciem jej krzesła zagląda dziecku przez ramię, patrząc w otwartą książkę.

Pani Haase na widok Rozali podnosi palec do ust, pokazując, że ma być cicho. Nie pozostaje jej więc nic innego, jak oprzeć się o ścianę, czekać i zastanawiać się, co ta sytuacja może dla niej oznaczać.

Tymczasem dziewczynka głośno czyta. Przy każdym potknięciu tamtej na twarzy Rozalki pojawia się grymas. Za to kobiety wsłuchane w cienki głosik zdają się nie posiadać z zachwyty. Na koniec pani Barbara klaszcze w dłoń i woła:

– Wspaniale, Agnes! Pięknie! Widzę, że będę miała z ciebie pociechę. Rozalko, przyznaj, że Agnes pięknie czyta – mówi, obracając się w stronę poblądłej dziewczyny. Na szczęście odpowiedź jej nie interesuje. Jakby o czymś nagle sobie przypomniała, pyta: – Masz maści?

Oparta o ścianę Rozala zdobywa się tylko na kiwnięcie głową.

– Dużo? Wystarczy do wiosny?

Kolejne skinienie.

– Dobrze. Na razie idź do Helgi. My tu mamy coś do omówienia.

Gdyby nie niefortunne zdarzenie na korytarzu, Helga nie szczeniłaby Rozalce złości. Jest jednak tak speszona, że w ogóle nie ma ochoty

się odzywać. Pochylona nad szerokim cebrzykiem, szoruje rondel, chowając wciąż zarumienioną twarz.

– Pani gospodyni, dajcie, ja to zrobię. Wy sobie odpocznijcie. – Mówiąc to, dziewczyna bierze z jej rąk naczynie i drapak, zapominając, że ma oszczędzać rękę.

Kiedy Helga z westchnieniem siada na ławie, Rozala wyciera dłonie w fartuch, stawia przed gospodynią cynowy kubek i nalewa piwa.

– Widzę, że jesteście utrudzeni. Napijcie się, ja dokończę zmywanie, a potem zamiotę. – Wróciwszy do pracy, niepytana rozpoczyna opowieść o tym, jak dotarła z kupcami do Karge, czym ją pani Agata nakarmiła, co nowego w Unruhstadt, jak następnego ranka przygodny chłop zabrał ją do Grünwaldu i co widziała u babki. Mówiąc, zerka raz po raz na Helgę, badając jej nastrój.

Tymczasem kobieta dolewa sobie piwa i słucha coraz chętniej, dlatego Rozala ośmiela się zadać pytanie:

– Pani gospodyni, kto jest na górze u pani Haase?

– Krewniaczka z Crossen^[20]. Biedaczka niedawno owdowiała i szuka pomocy, bo rodzina męża ogołociła ją ze wszystkiego. Nie mieli nawet względu na sierotę, co po zmarłym została. Pan Krause ją przygarnął. Pomaga mu w aptece.

– Słyszałam, jak jej córka czytała pani Barbarze.

– Tak? Może. Pani lubi słuchać czytania. Wiesz przecież.

Domyślając się, że niczego już z Helgi nie wyciągnie, Rozala zbiera się do wyjścia na podwórko, żeby wylać wodę. Przy drzwiach się zatrzymuje.

– Pani gospodyni, czy Jakub coś mówił, jak go zabierali do zamku?

– Jak mówił, to nie do mnie. Jego matka też dobrego słowa nie rzekła, a tyle było roboty przy chłopaku. Ugotuj, nakarm, poduszkę popraw, wypierz. Choć szeląga by za to dała. Pobożna taka, pół dnia na kolanach, ale biednego człowieka nie widzi. – Helga się rozkręca, szczęśliwa, że Rozala nie wspomina o tym, jak został potraktowany von Lest.

– Idą! – Dziewczyna przerywa potok skarg. – Odprowadzę je do drzwi,

a potem pójdę do pani.

Kobieta w czerni i jej córka wyszły przed chwilą, a Rozala wciąż stoi na korytarzu, starając się złapać w nozdrza ledwie uchwytny zapach goździków. Mogłaby pracować w aptece, lecz miejsce już zajęte. Agnes prawdopodobnie zastąpi ją przy pani Barbarze, do pomocy w kuchni i przy sprzątanii wystarczy Petra. „A ja? Co będzie ze mną? Wrócę do babki? A czy ona mnie chce?” Głos dzwonka kładzie kres mnożącym się pytaniom. To pani Haase. Rozalka biegnie do góry szybciej niż zwykle. Czy tam czeka jakaś odpowiedź?



Jeszcze nie było śniegu, a już przyszła odwilż. Twarda gruda na powrót stała się błotem, wilgoć niczym pot spływa z dachów i ścian, mokre są kamienne płyty na korytarzu i gliniane garnce w spizarni. Najgorzej jest o poranku. Taka szarość za oknem, że ludzie budzący się ze snu zastanawiają się, czy to na pewno dzień. Trudno pracować w warsztatach, jeszcze trudniej handlować. Komu by się chciało wychodzić z domu i brnąć w szarej mazi albo skakać przez kałuże gnojówki, by kupić rybę albo groch.

Żadna mieszcza, która ma dziewczynę do pomocy, nie wychyla nosa za próg domu. Jeśli kogo można spotkać na ulicy, to jedynie służące, nosiwodów i czeladników. Nawet żebracy gdzieś się pochowali. Po co mieliby wychodzić, jeśli nie mogą liczyć na jałmużnę?

Tylko Rozala sama pyta, czy trzeba coś przynieść, kupić lub zanieść wiadomość. Dokądkolwiek by szła, wybiera drogę w pobliżu zamku. Za furtę może wejść, bo każdy strażnik zna dziewczynę od cyrulika, która przychodziła do mistrza Breкера. Raz nawet udało się zawędrować na piętro, tam gdzie są komnaty elektora i jego gości, ale odstraszył ją widok mężczyzny siedzącego przy jednych z drzwi. Dzięki temu pomiarkowała, w którym z pałacowych pokoi jest Jakub.

Teraz od razu kieruje się za mury i fosę. Zatrzymuje się pod dębem

i czeka z nadzieją, że chłopak otworzy okno i ją zobaczy. Czasem zadziera głowę i przemyśliwa, jak by tu wleźć na drzewo z kieszenią pełną żołądzi i celnymi rzutami nakłonić go do wyjrzenia. Boi się jednak, bo co by było, gdyby to markiza otworzyła okno? Awantura gotowa.

By dać przyjacielowi znak, że o nim myśli, w ziemi porośniętej wątlą krótką trawą wyryła takie same znaki jak te, które pisali na piasku w Karge. Nie ma pojęcia, czy je odczytał, lecz za każdym razem, kiedy stamtąd odchodzi, poprawia je, pogłębiając napis. Teraz każdy, kto spojrzy przez okno, musi dojrzeć wielkie litery składające się na imiona:

JAKUB ROZALA

Dzisiaj także wybiera się za fosę. Ma iść do szewca, zapytać, czy buty pana Tytusa są już gotowe. Szewc co prawda mieszka w okolicy Nowej Bramy, czyli całkiem nie po drodze do zamku, ale dla Rozali nie byłby to żaden kłopot, gdyby nie mgła.

Grudniowej mgły nie lubią na wsi, bo wiadomo, że zwiastuje nieurodzaj i mnogość polnych szkodników. W mieście też by woleli, żeby było dużo zboża, a mało myszy. Cokolwiek złego dzieje się na polach, odbija się to na mieszkańcach miast. Rosną ceny, spada sprzedaż, do niejednego zamożnego dotąd domu zagląda niedostatek, a ulice wypełniają się nędzaczami.

Takiej mgły jak dzisiaj Rozalka jeszcze nigdy nie widziała.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Nawet Helga czuje zagrożenie. – Panu buty nie są pilnie potrzebne.

– Ale ja mogę iść. Znam drogę na pamięć.

– Mówią, że masz mądrą babkę, a nie wiesz, że w taki czas niespokojne dusze wracają na ten świat? – Gospodyni się denerwuje. – Wyjrzyj za drzwi. Co widzisz? Ten świat czy inny? Rozpoznajesz, co swoje, co obce?

– Jak to?

– No przecież w taką mgłę wszystko się miesza. Nasz świat i świat umarłych – mówi zniecierpliwiona Helga. – Nigdzie nie pójdziesz, bo jak się sama nie zgubisz, to do domu jakiegoś potępieńca za sobą

przywleczesz. Nie dość, że w zwykłe dni na ulicy muszę się za siebie oglądać, to jeszcze ty chcesz nowe kłopoty sprowadzić na moją głowę.

– Czemu się oglądacie za siebie?

– Nie twoja sprawa – ucina gospodyni.

– A gdybym poszła z Petrą? – Rozala nie daje za wygraną.

– Nie. – Głos dobiegający spod okna, gdzie służąca przebiera groch zaatakowany przez małe chrząszcze, brzmi tak stanowczo, że mija jej ochota na opuszczenie bezpiecznego domu.

W czterech ścianach dzień mija spokojnie. Tytus zatopiony w księgach, pani Barbara dzięki maści z tajemnym składnikiem śni o lataniu, a Helga, Rozala i Petra sprzątajają spiżarnię, w której załęgły się szkodniki.

Tymczasem mgła niepostrzeżenie rzednie, aż w końcu całkiem się rozwiewa.

Zapada wieczór.

Błogą ciszę burzy stukot kołatki. Za drzwiami stoi posłaniec z zamku z lampą w ręce^[21].

– Markiza wzywa do panicza Jakuba – przekazuje wiadomość i nieproszony wchodzi na korytarz. – Mam zaczekać – mówi do Helgi spoglądającej ze zgrozą na ubłocone buty.

– Co się stało? – Rozala nie może opanować ciekawości. – Jakubowi się pogorszyło?

– Nie wiem. Mam tylko przyprowadzić mistrza Haase.

Nikt nie zauważył, kiedy Rozalka, zamiast pójść do łóżka, ukryła się w izbie cyrulika. Nie pytała nikogo o zgodę. Przecież to nie sprawa Helgi, że ona musi się dowiedzieć, co dolega Jakubowi.

Siedzi w ciemnościach i drży z zimna, najpierw myśląc o przyjacielu, potem o mgle i mieszanii się światów, duszach potępionych i innych dziwach. Nawet jeśli myśli są nieprzyjemne, łatwiej je znieść, gdy się leży, zwłaszcza gdy dołek w sienniku to ten sam, w którym spał Jakub.

– Co ty tu robisz?

Lampa w rękach pana Haase kołysze się nad jej głową.

– Położyłam się tylko na chwilę. Niechcący zasnęłam. – Dziewczyna próbuje się tłumaczyć. – Chciałam zaczekać.

– Na co?

– Bo nie wiem, co z Jakubem.

– Zdrow.

– To czemu markiza wołała do niego?

– Za parę dni będą wyjeżdżać. Chciała wiedzieć, czy syn wytrzyma długą podróż.

– Coście powiedzieli?

– Może jechać. Rana prawie zagojona.

Tytus widzi, jak twarz Rozali się zmienia. Dawno u nikogo nie widział takiego rozżalenia.

– Idź spać. Jutro pójdziesz ze mną do szpitala – próbuje ją pocieszyć.

– Ja?

– Ty. Jest tam żebraczka z czyrakiem na nodze. Mnie nie daje się dotknąć, bo musiałyby zdrzeć spódnicę.

– A do zamku mnie weźmiecie?

– Już tam nie pójde. Nie do Jakuba.

– Chciałabym go zobaczyć. – Światło świecy odbija się we łzach wypełniających ciemne oczy.

Tytus walczy ze sobą, choć nie pojmuje sensu tej walki. Bo czemu nie miałby przekazać tego, o co prosił chłopak?

– Jakub chciał uciec od matki, by się z tobą pożegnać, ale ona, nie bacząc na mnie, rzuciła się przed nim na kolana, błagając, by nie opuszczał zamku.

– I co?

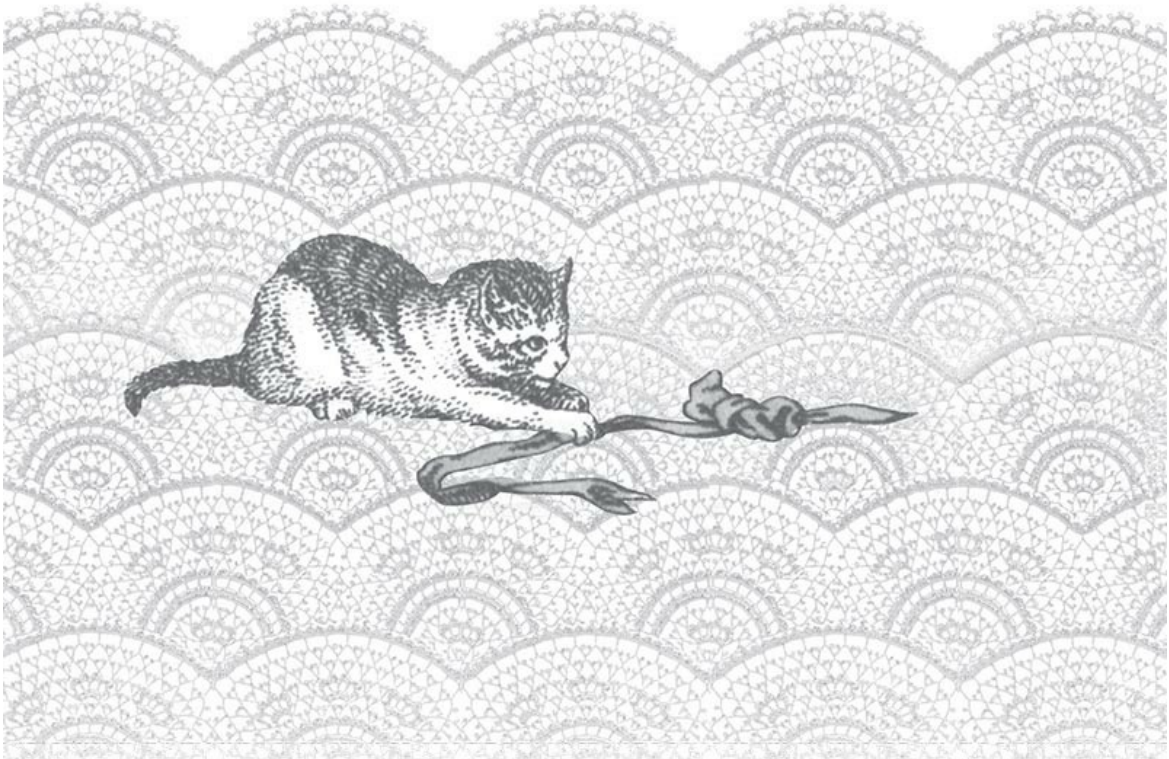
– Syn winien być posłuszny.

Nadzieja zamienia się w gruzy. Rozala osuwa się na łóżko. Drobna, przygarbiona i wypełniona nieszczęściem sylwetka budzi w Tytusie takie

współczucie, że wbrew temu, co sobie postanowił, siada obok, obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie.

– Nie płacz – szepce jej do ucha. – Jakub prosił, bym ci powtórzył, że wróci. Masz na niego czekać.

ROZDZIAŁ II





W tej chwili Wiga jest szczęśliwa. Siedzi na tobołku na skraju lasu i obserwuje dwa wróble wadzące się o piórko zagubione wśród zeszłorocznych liści. Noc minęła bez dręczących snów, a wczoraj córka Urszuli, mieszkająca teraz w Karge, przywiozła wieści od Agaty i słodki kołacz na dodatek.

Gdzieniegdzie w lesie jeszcze leży śnieg, ale z pól zima już odeszła. Niedługo trzeba będzie zacząć gromadzić opał i zapasy jedzenia na następną, teraz jest krótki moment na wytchnienie, na wystawienie twarzy ku słońcu, poddanie się pieszczocie ciepłego wiatru i wsłuchanie w ptasie trele.

Agata w końcu kupiła dom w Unruhstadt i prosi, by ją odwiedzić. Wiga zamierza to zrobić zaraz po żniwach. Pewnego letniego dnia wyruszy o świcie, dzięki czemu dotrze do celu przed wieczorem. Na drogach teraz bezpieczniej. Wiadomo, że zawsze można trafić na zbójców, ale kilka lat bez wojny zrobiło swoje. Nie ma już wałęsających się żołnierzy szukających łatwej zdobyczy.

Na Śląsku, a także w niedalekiej Brandenburgii, gdzie żyje Rozalka, ludzie narzekają na rosnące podatki, lecz wojsk wroga już bać się nie muszą. W Karge też spokój. Poddanych Jana Kazimierza dalej nękają wojny, ale toczą się daleko na wschodzie. Nowe miasto Krzysztofa Unruga rośnie z miesiąca na miesiąc. Luteranie ze Śląska szukający miejsc, w których mogliby swobodnie czcić Zbawiciela oraz zajmować się handlem albo rzemiosłem, chętnie osiedlają się w Unruhstadt.

Wiga już się nie boi Karge. Żli ludzie zostali wygnani, a z nowych mało kto o niej słyszał. Mogłaby nawet tam wrócić, bo Agata na pewno nie odmówiłaby jej kąta u siebie, ale po co? Sześć zim minęło, odkąd po

spaleniu chaty przysłała do Grünwaldu i zamieszkała u ojca. Jego już nie ma, za to są ciotka Anna, Urszula i Paweł. Dzięki nim wie, co to znaczy mieć rodzinę. Nie musi każdego zimowego wieczoru spędzać w samotności. Może do nich pójść z wrzecionem i słuchać opowieści. W żniwa, kiedy każde ręce są potrzebne do pracy, nie mówi, że pomoże, tylko zrywa się o świcie i staje do podbierania obok Urszuli. Nawet chleb wolno jej zagniać z Anną i jej córką i pójść razem na chrzciny wnuka Ewy. Mało kto ośmieli się zawołać za nią „garbuska!”, bo wie, że będzie miał do czynienia z Anną, jej siostrą, córkami i synami Urszuli na dodatek.

Nawet do ojcowej chałupy przywykła. Pod koniec tej zimy pierwszy raz do niej przyniosła zielone wygrzebane spod śniegu. Źdźbło trawy było silne i jak ona miało w sobie chęć do życia. Gdy wychodzi na cały dzień albo kładzie się spać, jak kiedyś w Karge, na podłodze stawia miseczkę z pożywieniem dla domowych opiekunów – duszków mieszkających w ciepłym kąci przy palenisku. Nigdy ich nie widziała, ale wierzy, że są, i na wszelki wypadek tam nie zagląda. Mogłyby się rozgniewać i zezłościwić.

Chłód ciągnący od ziemi i wilgoć nie dają dłużej siedzieć. Wstaje i otrzepuje paprochy z odzienia. „Kiedyż przyjdzie Bartłomiej? Już dawno powinien tu być” – myśli niecierpliwie. Niepotrzebnie. Opleciony powrozami i obładowany różnymi sprzętami mężczyzna właśnie się zbliża od strony Kolzig. Umówili się na skraj boru. Dalej pójdą razem.

Bartnik oddaje Widze część swego bagażu. Idzie przodem, nie patrząc za siebie. Początkowo nie był zadowolony z towarzystwa zielarki i zapewne, gdyby nie Michałka, szybko by się jej pozbył. Żona się jednak uparła. Nie chciała się zgodzić, by sam chodził do barci. „Przecież zawsze mówiłeś, że dla bezpieczeństwa i wygody trzeba być we dwóch – powiedziała. – Weź Wige. Może na niewiele się zda, ale ja będę spokojna”.

W głębi duszy Bartłomiej przyznaje, że Wiga jest przydatna, nie tylko dlatego, że w razie niebezpiecznego zdarzenia może zawołać pomoc.

Zielarka dobrze zna las. Śmiało idzie tam, gdzie nawet Michałka bała się chodzić. Wszak bór jest pełen dziwnych szelestów, ostępów dzikiej zwierzyny, źródeł zamieszkanym przez leśne nimfy i zwodniczych wołań prowadzących na bagna zbłąkanych wędrowców. Wiga w miejscach budzących lęk tylko szepce pod nosem, czasem się okręca albo mruży dziwne melodie bez słów.

Barcie, do których teraz idą, wypatrzyła ona, kiedy zbierała zioła na wielkiej polanie. Było to ubiegłej wiosny. Powiedziała mu o pszczołach, a on najpierw sprawdził, czy znalezisko jest warte długiej wędrówki, a potem poszedł do von Kittlitzza zapytać, czy może zająć kolejny bór^[22]. Uzyskawszy jego zgodę, wrócił, by właściwymi tylko dla niego nacięciami oznaczyć swój teren. Późną jesienią, kiedy spadły z drzew liście, znalazł jeszcze kilkanaście pni nadających się na barcie, wspiał się na drzewa i za pomocą odpowiednich narzędzi powiększył i wygładził istniejące już otwory. Jeśli się uda, zasiedlą je nowe pszczele rodziny zwabione suchym plastrem z pszczelego wosku.

Dzisiaj Bartłomiej zamierza sprawdzić, czy pszczoły zaobserwowane rok temu przetrwały zimę, a z pustych barci usunąć zalęgłe tam robactwo. Najpierw jednak z glinianej butelki, którą przyniósł w sakwie, nalewa mleko do małej miseczki i kruszy do niego słodką bułkę.

Zielarka nie pyta po co. Chodzi z Bartłomiejem na tyle długo, by wiedzieć, że to poczęstunek dla rojnicy – stworzenia podobnego do żmii. Każdy bartnik chce ją mieć w swoim borze. Jej obecność gwarantuje powodzenie. Kiedy mieszkająca w pobliżu rojnica wydaje z siebie pszczeli rój, ten nie odlatuje, a od razu zasiedla wolną barć. Zniechęcenie do siebie rojnicy jest równoznaczne ze ściągnięciem nieszczęścia na bartnika i jego pszczoły.

Wiga nigdy nie widziała owego stworzenia. Czasem jakaś żmija umknęła jej spod nóg, lecz czy była rojnicą, tego nie wie.

Szacunku do pszczół rodzice uczą dzieci od małego. W sadach, ogrodach i na miedzach pracowite owady są wszechobecne. Wiga pamięta, jak matka ją upominała, by nie zabijała pszczół. Mówiła, że te

stworzenia pracują na chwałę naszego Pana, robiąc воск na świece do kościoła, i tak jak ludzie mają dusze. Może dlatego nikt nie mówi o śmierci pszczoły inaczej, niż że umarła.

Barcie są na obrzeżach lasu otaczającego dużą polanę. Mężczyzna będzie pracował u góry, dlatego korzysta z leziwa^[23]. Gdy jest już na odpowiedniej wysokości, siada na ławeczce z lipowego drewna, którą wniósł na plecach. Ławka również jest przymocowana powrozami do pnia. Ponieważ potrzebuje narzędzi, opuszcza na dół końcówkę liny, a Wiga czekająca na ziemi przywiązuje do niej wiaderko ze wszystkim, co bartnik wcześniej przygotował.

W Karge też był bartnik, ale przy pracy widywała go rzadko, i to z daleka. Wiedziała, że nie lubił, kiedy ktoś się kręcił w pobliżu, podczas gdy on zaglądał do barci. Szanowała to i nigdy nie wchodziła mu w paradę. Dopiero teraz może napatrzyć się do syta, a nawet do przesytu. Takie stanie pod drzewem i czekanie na polecenia oraz przenoszenie leziwa i narzędzi bartniczych bywa nudne. Wiga najchętniej poszłaby na polanę, poszukała rzadkich ziół, korzeni albo nazbierała chrustu, ale musi być na miejscu. Dlatego ma ze sobą tobolek z kądzielą i wrzeciono. Kiedy jej się dłuży, przędzie.

– Co to? – woła przestraszona niespodziewanym uderzeniem tuż obok jej stopy.

– Zatwór^[24] spadł! – krzyczy z góry Bartłomiej. – Mówiłem wam, żebyście nie stali za blisko drzewa. Mogliście dostać w głowę. Byłoby po was – zrzędzi bartnik.

– Trzeba było uważać – mruczy Wiga po cichu, ale wycofuje się na bezpieczną odległość.

Kolejne drzewo i następna barć. Potem następna, i tak do popołudnia. Dłużej nie zostaną, bo mogliby nie zdążyć wyjść z lasu przed wieczorem. Wtedy nawet zaklęcia Wigi by nie pomogły. Leśne licho zaprowadziłoby ich na bagna, a tam byłoby po nich.

Wracają w milczeniu, tak jak przyszli. Zielarka trochę się obawiała tego chodzenia z Bartłomiejem, bo to gaduła, a w lesie się nie gada. Jednak

pierwszego dnia zauważyła, że bartnik wie, jak się zachować. Nie odzywa się bez potrzeby, nie pohukuje jak niektórzy i nie płoszy zwierzyny.

Już są tam, gdzie spotkali się rano. Teraz każde rusza w swoją stronę. Światło powoli zmienia barwę. Słońce kończy wędrówkę i za chwilę schowa się za lasem. Jeszcze trochę, a Wiga zejdzie z drogi na ścieżkę prowadzącą do chaty na łące. Zatrzymuje się na moment. Patrzy w niebo, ogarnia wzrokiem pola i zasypiający las. Nigdzie nie dostrzega złowróżbnych znaków.



– Jesteście głodni?

– Jesteśmy! – odpowiadają głosy z ciżby.

– Wszyscy? Chyba nie, bo słyszę niewielu. Zapytam jeszcze raz. Jesteście głodni?

– Jesteśmy!!!

Tym razem okrzyk wydobywa się z wielu gardeł. Wołają nawet ci, którym głód dotąd nie dokuczył.

– Łakniecie chleba, sera i mięsa. Czy tak?

– Tak! Chcemy chleba! Daj nam jeść!

– Ja mogę was nakarmić jedynie Bożym Słowem. O chleb musicie sami się postarać.

– Jak? Przecież siejemy i zbieramy. Pracujemy od rana do nocy, a wciąż nie starcza nam chleba. Powiedz, święty mężu, co mamy robić, by nie chodzić z pustym brzuchem! – woła człowiek stojący najbliżej.

Na razie odpowiedź nie pada. Mężczyzna nazwany świętym mężem wraca do kwestii religijnych. Słuchają go chętnie, bo są spragnieni duchowej strawy, tak samo jak mięsa i sera. Wszystkie świątynie luterzańskie w okolicy cesarz przekazał katolikom, a że katolików jak na lekarstwo, stoją zamknięte i pomału zamieniają się w ruinę. Nabożeństwa odprawionego w godnych warunkach nie zastąpi czytanie Pisma po

domach i stodołach. Pan Kittlitz sprowadził wygnanego pastora z powrotem, ale ten wrócił jakby przygaszony.

„Może znaczenie duchownego zależy od wielkości świątyni? – zastanawia się otoczona ludźmi Anna Villborn. – Z tym, co ma kościół jak pałac, bardziej się liczą niż z pastorem z drewnianą kaplicą? A taki jak nasz, bez niczego, pewnie myśli, że nie ma za co go szanować”.

Dzisiaj w Kolzig jest targ. Żaden wielki jarmark. Paru chłopów sprzedających warzywa, kury, owce i świnie. Jedna baba z płótnami, druga z serem i dwóch kupców – gruby z Karge i chudy z Wolsztyna. U nich można nabyć prawie wszystko, poczynając od guzika, na końskiej uprzęży kończąc.

Wdowa Villborn przyszła do Kolzig kupić sukno na nową spódnicę. Niedługo Święto Zmartwychwstania Pańskiego. Całą rodziną pojedą wozem do Wolsztyna na nabożeństwo. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby jej przyszło stanąć między mieszczkami w takim połatańcu. Mogła sama zimą utkać, ale ani ona, ani Urszula nie chciały przeganiać Johanna z jego ulubionego kąta, żeby rozstawić krosna.

Anna już ma sukno. Stoi z nim pod pachą i słucha kaznodziei. Ponad dwa lata temu, kiedy spotkała go na rozstaju dróg i zajrzała pod czarny kaptur, pomyślała, że to Zły. Dzisiaj nie budzi w niej tak skrajnych uczuć, nadal jednak przenika ją chłód, gdy na niego patrzy. Ma ochotę przestać go słuchać i odejść, ale jakaś siła trzyma ją w miejscu.

– Ciotko. – Ktoś lekko ciągnie rękaw kubraka. – Ciotko, chodźcie ze mną.

Kobieta ogląda się zaskoczona. To Adela, wnuczka jednej z jej sióstr, służąca w zamku. Idzie za nią, zadowolona, że nareszcie coś odrywa ją od kaznodziei.

– Co chciałaś? – pyta, kiedy już są poza ciżbą.

– Nie ja. Pani Kittlitz mnie do was posłała. Akurat miałam iść do Grünwaldu, ale pomyślałam, że zajrzę na targ i może was spotkam. I jak raz się udało.

- Czego twoja pani chce ode mnie?
- Tego, co wszyscy. Byście ją uleczyli.
- Powiedz swojej pani, że ja się na chorobach bogatych nie wyznaję. Niech pośle do miasta po medyka.
- To nie wiecie, ciotko, że u pani byli już medycy aż z Breslau i skądś tam jeszcze? Nie pomogli.
- Oni nie pomogli, a ja mam twoją panią uleczyć? Powiedz, że nie przyjdę, bo moje zioła tylko wiejskim babom pomagają.
- Ciotko – Adela ma łzy w oczach – nie mogę pani tak powiedzieć. Od razu mnie wyrzuci ze służby.
- Nie chcę, żeby cię krzywda przeze mnie spotkała. Pójdę, choć wcale nie mam chęci.

Żona właściciela majątku nie jest lubiana. Nikt ze służby nie pamięta, by kiedykolwiek się uśmiechnęła albo powiedziała życzliwe słowo. Zawsze niezadowolona i narzekająca, a jej choroby są tematem rozmów we wszystkich wioskach należących do Kittlitz, a nawet dalej.

Zamek jest tuż-tuż. Cotygodniowy targ odbywa się na pobliskim placu, dlatego zielarka i młodziutka służąca niebawem stają przed obliczem Barbary von Kittlitz.

Szczupła, niemal pozbawiona piersi i bioder kobieta nawet nie patrzy w stronę zawołanej zielarki. Gdyby nie uczesanie i ubiór, mogłaby uchodzić za młodzieńca. Czarna, zapięta pod szyją suknia i zaciśnięte usta nadają jej surowy, wręcz odpychający wygląd.

- Możesz odejść – zwraca się do Adeli.

Zostają same. Anna nadal stoi przy drzwiach, a pani przy zimnym kominku ze wzrokiem utkwionym w obraz wiszący na ścianie. Mimo woli wzrok zielarki wędruje tam, gdzie patrzy szlachcianka. Rodzina uwieczniona na płótnie wydaje się szczęśliwa.

- Mówią, że potrafisz uzdrowić – odzywa się Barbara von Kittlitz po długim milczeniu.

- Jednym pomagam, innym nie. Nie robię niczego wbrew boskiej

woli. – Wdowa Villborn mówi wolno, ważąc każde słowo.

– Z góry się usprawiedliwiasz?

– Mówię, jak jest.

– Uleczysz mnie?

– Jeśli taka będzie wola naszego Pana.

– Znowu unikasz odpowiedzi? Jak śmiesz bawić się ze mną jak kot z myszą? Zapominasz, kim jestem.

– Pani, nie śmiałabym się z wami bawić. Znam swoje miejsce. Nie chcę tylko robić fałszywej nadziei. Żyję dość lat na tym świecie, by wiedzieć, że możemy tyle zdziałać, ile Bóg nam przeznaczył.

– Zatem uważasz, że mnie Bóg przeznaczył suche łono?

– Jestem Anna – zielarka ledwie hamuje gniew – wdowa po woźnicy Hansie Villbornie. Zajmuję się ziołami, pomagam kobietom przy porodach i robię maści na różne bóle. O to, co komu Bóg przeznaczył, pytajcie pastora albo tego kaznodzieję, co stoi teraz na wozie i mówi, że karmi ludzi Bożym Słowem.

Pani Kittlitz po raz pierwszy odrywa wzrok od obrazu i obrzuca zielarkę spojrzeniem. Ze zdziwieniem zauważa, że stara, lecz całkiem jeszcze krzepka kobieta nie spuszcza wzroku. Patrzy odważnie żonie właściciela w oczy, czekając, co dalej. Twarz szlachcianki stopniowo zmienia wyraz. Zaciśnięte wcześniej usta zaczynają drżeć, a w oczach pojawiają się łzy.

– Masz dzieci?

– Dwie córki.

– Syna nie?

– Nie. Mam dobre córki.

– A one? Czy mają dzieci?

– Tak.

– Widzisz? Odkąd pamiętam, w moim rodzinnym domu mówiło się, że jedynym zadaniem kobiety jest urodzenie i dobre wychowanie dzieci. Ty

masz swoje córki. Dobrze je wychowałeś. Kogo ja mam wychować? Po co żyję, jeśli nie mogę urodzić dziecka? Każda dziewczucha w Kolzig ma albo będzie miała dzieci, tylko nie ja! Za co taka kara? Modłę się, czytam Pismo, rozmyślam nad słowami naszego Pana, daję jałmużnę... Co jeszcze mam zrobić, by zmienić przeznaczenie? – Krótki, nagle urwany szloch przerywa zwierzenia. Barbara Kittlitz odwraca się plecami do Anny i zastyga na chwilę. Stoi tak przez jakiś czas, potem unosi głowę i znowu spogląda w oczy zielarki. Na powrót jest dumną żoną właściciela.

– Czemu milczysz? – pyta zaczepnym tonem. – Wezwałam cię, bo mówią, że nie ma lepszej od ciebie. Udowodnij, że mają rację. Ulecz mnie.

– Jutro przyniosę ziół i powiem, co z nimi robić. Macie mi jednak coś obiecać.

– Dobrze zapłacę.

– Zapłata się należy, to wiadomo. Mnie chodzi o co innego.

– Mów.

– Jeśli leczenie się nie uda, nie będziecie mnie obwiniać i nijaka kara mnie za to nie spotka.

– Obiecuję.

– Mogę odejść?

– Idź.

Anna jest już przy drzwiach, kiedy pani Kittlitz, jakby nagle ożywiona, stawia krok w jej stronę.

– Stój!

Wdowa Villborn się zatrzymuje, ale nie obraca. Czeka.

– Jeśli z ziołami się nie powiedzie, spróbujesz zaklęć? Mówią, że potrafisz uleczyć zaklęciami.

Anna zastanawia się nad czymś głęboko.

– Nie potrafię – odpowiada w końcu i przestępuje próg, nie oglądając się na panią Kittlitz.

Na placu nieopodal zamku ludzie nadal otaczają wóz kaznodziei. On sam już zszedł na ziemię. Teraz przyjmuje dary. Biedny czy nie, każdy stara się przypodobać świętemu mężowi. Podchodzą do niego po kolei, wręczając woreczki z grochem albo kaszą, garnuszki z omastą, ktoś podaje pęto kiełbasy, ktoś inny polec wędzonej słoniny i gomółkę sera, a chudy kupiec z Wolsztyna wciska w garść srebrną monetę. Kaznodzieja Rotpilz z nabożną miną odkłada podarunki na wóz, dziękuje i błogosławi, a oni odchodzą, nie wiedząc czemu przekonani, że jego dotknięcie ma moc przyciągania pomyślności.

Wdowa zatrzymuje się i patrzy, jak ten, co niedawno usłyszał od ludzi, że są głodni, bezwstydnie bierze od nich resztki pożywienia zaoszczędzonego na przednówek.

Już niewiele zostało na placu. Kaznodzieja zauważa kobietę trzymającą się na uboczu, która ściska coś pod pachą. „Czyżby miała coś dla mnie? – zastanawia się. – Chyba nie śmie podejść”. Uśmiecha się do niej dobrotliwie i przywołuje gestem dłoni. Ona robi kilka kroków w jego stronę. Dopiero wtedy w jej dużych bladoniebieskich oczach dostrzega oskarżenie.

Z twarzy Rotpilza spada maska samarytanina.

– Nie patrz na mnie! Odejdź, czarownico! – woła, wyciągając wskazujący palec w jej stronę.



– Ciotko, coście tacy zafrasowani?

Wiga, przechodząc obok zagrody Anny, dostrzegła gospodynię w ogrodzie. Zamiast rzucać ziarno do spulchnionej gleby, stoi zamyślona, jakby zapomniała o świecie.

– Nazwał mnie czarownicą.

– Kto?

– Kaznodzieja. Ludzie słyszeli, jak na mnie woła: „Czarownico!”. Patrzyli, jakby się mnie bali.

– Kiedy to było?
– Dwa dni temu.
– To już nie pamiętają – uspokaja Wiga.
– Paweł dzisiaj słyszał, jak gadali.
– Pogadają i zapomną.
– Ciebie w Karge też najpierw nazywali czarownicą, a potem spalili ci chatę.

– Ja im dałam powód. Zakopałam kobyli czerep pod progiem kłusownika.

– I na mnie znajdą powód, jeśli zechcą.
– Nie bójcie się, dobre czasy nastały, to i ludzie mniej skorzy do gniewu.

Zdziwienie Anny jest tak duże, że zapomina o strachu.

– Dobre czasy? O czym mówisz?

– Zima była jak trzeba, nie za długa i niezbyt mroźna. Na przednówku ludzie mają jeszcze trochę zapasów... I żadnych złych znaków nie widziałam. – Wiga upiera się przy swoim.

– Nie obcujesz na co dzień ze śmiercią, to i znaków nie widzisz.

– Nie moja wina, że tylko was i Urszulę wołają. Do mnie mało kto przychodzi. Niedługo całkiem zapomnę, czegoście mnie kiedyś uczyli.

– Co ja poradzę, że ludzie do mnie przywykli? Mogłaś siedzieć w Karge i tu nie przychodzić.

Johann, zięć Anny, stanął w progu chaty i przysłuchuje się kłótni. Uśmiecha się z satysfakcją. Dawno powiedział Urszuli, że nie powinna się zadawać z Wigą. Taka krewniaczka może tylko zaszkodzić. Teściowej też mu nie żal. Za bardzo się rządzi. Czas, by ktoś utarł jej nosa. Choćby ten kaznodzieja. Dobrze, że ją postraszył.

– Samiście kazali mi przyjść, bo ojciec słaby.

– Akurat mnie posłuchałaś? Przyszłaś, jak cię wygnali.

– Nikt mnie nie wygnał! A jak będę chciała, to wrócę do Karge. Mam

do kogo!

– A wracaj sobie. Najlepiej od razu, bo grochu przez ciebie nie mogę posiać. Czego tu przylazłaś? Już mi się stąd zabieraj!

Urszula, usłyszawszy podniesione głosy, też wyszła przed chałupę. Tymczasem Wiga zdążyła już zniknąć za rogiem.

– Matko! Co się dzieje? Z kim ta kłótnia?

– Z Wigą.

– Co? – Urszula łapie się za głowę ze zdziwienia. – O co żeście się powadziły?

Anna przypomina sobie wypowiedziane przed chwilą słowa. W końcu patrzy zdziwiona na córkę.

– O nic – odpowiada. – Chyba jakiś zły duch nam w głowach namieszał.

– To czym prędzej musicie się pogodzić.

– Ja mogę, ale nie będę jej prosić o wybaczenie. Ona pierwsza winna się ukorzyć.

– Jak tak, to już wiem, że znowu będziecie ze trzy lata chować urazę. I o co? O nic. Czy warto o nic głowę sobie zatruwać? Czasem was, matko, nie pojmuję.



Różne zioła nosi Anna do zamku. Jeśli coś nad nimi szeptem, to tylko w swojej chacie. Przy pani trzyma usta zamknięte. Żona właściciela nie budzi zaufania. Czasem zielarce żał tej bogatej kobiety. Ma wszystko, tylko nie to, czego pragnie najbardziej. Raz powiedziała, że lepiej byłoby urodzić martwe dziecko niż nie urodzić wcale. Kiedy indziej, że zazdrości nawet tym matkom, którym dzieci umarły, bo one przynajmniej dały dowód, że nie są jałowe. Gdyby pani Kittlitz była zwykłą babą, Anna opowiedziałaby jej, jak płaczą i cierpią matki tracące dzieci, albo próbowałyby pocieszyć, że jeszcze nie wszystko stracone. Czasem właśnie

za mocne pragnienie sprawia, że nic się nie udaje. Łono nie jest wyschnięte, tylko tak ściśnięte od tego pragnienia, że dziecko nie może się w nim zagnieździć. Jeszcze nad czym innym zastanawia się zielarka. Pan Kittlitz lubi się zadawać z innymi kobietami. To żadna tajemnica. Nikt jednak nie słyszał, żeby z pańskiej poządliwości urodziło się jakie dziecko.

Są rzeczy, o których Anna wie, a innych się domyśla. Może medyk z miasta odważyłby się powiedzieć o nich głośno, lecz wiejska mądra baba musi trzymać język za zębami, jeśli nie chce mieć kłopotów.

Wiosna w pełni. Ptaki w gniazdach wysiadują jaja, a ludzie cierpiący niedostatek na przednówku ratują się, te jaja podbierając. W nadrzecznych szuwarach i mokradłach, jak o żadnej innej porze roku, można spotkać dzieci, kobiety, a nawet dorosłych mężczyzn, którzy powinni o tej porze być na polach. Anna też by poszła. Pobrodziłaby w zimnej wodzie, wyczuła stopami miękkość trawy, dała się opryskać spłoszonej kaczce, wsłuchiwała w oburzone ptasie krzyki i poczuła w ustach smak surowego jaja. Potem popatrzyłaby na swe stopy, dziwiąc się jak każdego roku, że takie inne, czyste i białe.

Niestety, dzisiaj proste wiejskie przyjemności jej niepisane. Znowu idzie do zamku. Z samego rana przyszła Adela z wiadomością, że pani krwawi i że woła do siebie. Znowu zioła nie pomogły. Pani okropnie rozgniewana. Kopnęła nocnik, wszystko się rozlało i Adela, nim wyszła, musiała wytrzeć i zmyć podłogę.

Anna idzie drogą do Kolzig, lecz nie jest pewna, czy dobrze robi. Może nie powinna była brać się do leczenia pani Kittlitz. Przecież od razu przeczuwała, że nic z tego nie będzie. Idzie jednak, bo żal drugiej kobiety, nawet takiej, co kopie nocniki. Jeśli złość już jej przeszła, zapyta, czy chce jeszcze próbować. Jak nie, niech zapłaci, jak obiecała, i więcej jej nie zobaczy.

Barbara Kittlitz znowu stoi bokiem i patrzy przed siebie. Skórę szyi pokrywają czerwone plamy, a palce dłoni splecionych na podołku są białe od zaciskania.

– Na nic twoje zielsko. – Już nawet nie gniew, a ledwie hamowana wściekłość płynie z ust szlachcianki. – Mówili, że pomagasz kobietom w chorobach, a mnie nie chcesz.

– Nie ponaglajcie, pani. Dopiero dwa razy krwawiliście, odkąd pijecie napary z moich ziół i wygrzewacie przyrodzenie parą z panięńskim ziele^[25].

– No właśnie! Inna baba powiedziała, że panięńskie ziele dobre na pozbycie się dziecka, a nie na jego urodzenie. Oszukałaś mnie!

– Głupia baba, która powiedziała wam coś takiego. Kazałam do wrzątku dawać jedynie garstkę. Pokazałam waszej służącej ile. Za wiele by zaszkodziło, garstka jest w sam raz.

– To kto winien? Służąca?

– Nikt. Jesteście, pani, zbyt niecierpliwa. Tu trzeba spokoju i wytrwałości.

– Już dosyć się naczekałam. Kiedy mam mieć dzieci? Jak będę stara niczym żona Abrahama?

– Nie wiem. Nie chcecie mnie, dobrze. Niech was leczy inna baba. Zapłaćcie i sobie pójdę.

Pani Kittlitz jakby nie słyszała. Nadal stoi bez ruchu, jedynie czerwone plamy z szyi wypełzły na twarz.

– Pani, zapłaćcie.

– Niby za co?

– Obiecaliście. Przychodziłam do was z Grünwaldu i swoje zioła dałam.

– Wynoś się! Nic nie dostaniesz. – Gniewne oblicze młodej kobiety zwraca się ku zielarce. – Na co jeszcze czekasz? Mam kazać obić cię kijami?

Nikt dotąd tak Anny nie upokorzył. Nie dlatego nie rusza się z miejsca, że uparła się czekać na zapłatę. Ona po prostu nie może uwierzyć, że została potraktowana jak byle włóczęga albo moczymorda w karczmie. Dopiero po chwili, ślaniając się na nogach, opuszcza komnatę.

Na placu targowym przy zamku kaznodzieja Rotpiliz głosi ludowi

objawioną mu prawdę.

Wdowa Villborn chciałaby przejść niezauważona, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. Musi natychmiast usiąść. Stary garncarz z Grünwaldu, który czekał na zydelku na klientów, zobaczywszy słaniającą się sąsiadkę, zerwał się i ustąpił miejsca słabującej kobiecie.

– Mówicie, że owce wam zdychają, krowy nie dają mleka, a myszy zjadają zboże. Czemu tak jest? Dlaczego was to spotyka? – Rotpilz podejmuje dialog.

– Mnie kuna wydusiła wszystkie kury! – Ktoś uzupełnia listę nieszczęść.

– Moja baba rodzi nieżywe dzieci! – dodaje inny.

– To kara boża! – wykrzykuje garncarz z Grünwaldu.

– Może i macie rację. Módlcie się i nie grzeszcie. Pan znowu obdarzy was łaską. – Intonacja głosu kaznodziei zdaje się zadawać kłam wypowiedzanym słowom.

– Przecież się modlimy!

– W takim razie grzeszycie. – Rotpilz uśmiecha się przebiegle. Chyba sobie kpi z rozmówców.

– Nie! Robimy to, co Pan nakazał.

– To może grzeszy kto inny. Wystarczy się dobrze rozejrzeć. Tak! Tak! – woła kaznodzieja, widząc, jak ludzie zaczynają się obrzucać nieufnymi spojrzeniami. – Dobrze patrzcie i słuchajcie. Wtedy zrozumiecie. A jak nie, niedługo tu znowu przyjadę. Wtedy odkryję przed wami prawdę. Chcecie poznać prawdę?

– Tak! – wydobywa się z wielu gardeł.

– To pomóżcie. Wędruję od wioski do wioski, głosząc Słowo Boże, ale gdzie spać i jeść muszę. Moja kobyła także. Nie dacie mi na przeżycie, pojedę tam, gdzie ludzie mniej skąpi.

– Święty mężu, przynieśliśmy dary. Nie opuszczaj nas! Błagamy!

Usłyszawszy to zapewnienie, Rotpilz, jak poprzednio, schodzi z wozu na ziemię i wyciąga rękę, by brać i błogosławić. Na wdowę siedzącą na

zydelku tym razem nie zwraca uwagi.



Żebraczka z Zulich jest znana z tego, że przepowiada pogodę. Z początku nikt nie brał poważnie prognoz kobiety przybyłej nie wiadomo skąd, lecz wystarczyło, by parę razy miała rację, a planujący podróż kupcy zaczęli przysyłać do niej sługi z zapytaniem, czy warto wyruszać.

Rozala nigdy nie miała potrzeby pytać biednej kobieciny o cokolwiek, dopóki nie postanowiła odwiedzać babki przynajmniej raz w roku. Ostatnio widziały się wczesną jesienią. Zaraz potem babka miała iść z Bartłomiejem do barci na podbieranie miodu. Jej nieobecność mogła potrwać nawet trzy niedziele, dlatego razem odprowadziły do zagrody Urszuli kozę na przechowanie i zaniósły tam kury.

Nie jest tak, że Rozala przez cały rok nie ma o babce żadnych wieści. Na jarmarkach w Zulich pojawia się coraz więcej ludzi z Karge i Unruhstadt. Niektórzy jeszcze pamiętają garbatą zielarkę, a jeśli do tego mają krewniaków w Kolzig albo Grünwaldzie, to całkiem sporo można się od nich dowiedzieć.

Kilka dni temu żebraczka przepowiedziała dłuższą przerwę w deszczach nawiedzających okolicę od wiosny, dlatego Rozalka, uzyskawszy zgodę cyrulika i jego żony, zabrała się z kupcami wracającymi do Karge. Noc spędziła u Agaty, a z samego rana ruszyła pieszo do Grünwaldu, zaopatrzona na drogę w ciasto i przestrogi.

Z początku trochę się bała samotnej wędrówki. Idąc środkiem traktu, wciąż wypatrywała niebezpieczeństw kryjących się za krzakami i grubymi drzewami. Wystarczyło jednak, że ściągnęła trzewiki, a pod stopami poczuła zapamiętane z dzieciństwa chłód i wilgoć ziemi, by ogarnął ją spokój.

Zapomniawszy o zbójcach czających się w przestrogach Agaty i dybiących na cześć i życie niewinnych dziewcząt, raźnie kroczy przed siebie, otoczona zapachem ziół kwitnących na śródleśnych łąkach. Nie

pamięta o wilkach i niedźwiedziach, nie myśli o utopcach i leśnych boginkach. Czasem tylko zadziera wysoko głowę i próbuje dojrzeć dzięcioła rytmicznie uderzającego w pień drzewa albo żółto-czarną wilgę gwizdzącą zapamiętałe w koronie starego dębu. Jakże jej tego brakowało! Żyjąc w pośpiechu, zapomniała, jak dobrze czasem iść przez las w pojedynkę.

W pojedynkę?

Czy aby na pewno jest tu sama?

Jakiś niepasujący do innych dźwięk dotarł przed chwilą do jej uszu.

Rozgląda się uważnie. Nic się nie zmieniło prócz tego, że słońce, które jest wyżej niż rano, z coraz większą mocą rzuca migocące plamy na drogę i kałuże.

Znowu to słyszy.

Nie z głębi lasu. Zresztą mogłaby nie wiem jak się wysilać, a i tak wzrok nie przedarłby się przez gęstsze kruszyny, czeremchy, paproci i pokrzyw. To coś jest za nią.

Ogląda się, lecz dalej niczego nie widzi. Spokój się gdzieś ulotnił. Ptasie trele przeszkadzają w nasłuchiowaniu, a leśne duchy ukryte za krzakami czekają na sposobność, by ją dopaść i zaciągnąć do wilgotnego jaru, skąd nie będzie ucieczki.

Jeszcze trochę, jeszcze kawałek, niedługo będzie błotna łąka. Może spotka tam ludzi koszących trawę na siano. Przyspiesza, prawie biegnie...

Nie ma nikogo prócz motyli.

Przed nią znowu gęsty las. Trzeba przez niego przejść, a potem już tylko pola, a tam na pewno ktoś będzie.

– Nie! Nie będę uciekać! – woła zdesperowana. – Odejdź! Daj mi spokój! – krzyczy, odwracając się i biorąc zamach sakwą z kołaczem.

Była szybka. Nie zdążył się ukryć. Jest tak samo zaskoczony jak ona.

W plamie słońca stoi kot i wlepia w nią zielone spojrzenie. Nagle z jego pyszczka wydobywa się długie, żalosne miauuuuuu...

To ten dźwięk, który ją ścigał. Przerażające, budzące grozę miauu!

Rozala wybucha śmiechem.

– Aleś mnie przestraszył, niecnoto. Skąd się tu wzięłeś?

Kot nie ucieka, ale jest nieufny.

– Zgubiłeś się, biedaku. – Dziewczynie robi się żal chudziny. – Musiałeś być przy ludziach, bo inaczej byś za mną nie szedł. Chodź, dam ci coś. – Rozalka siada na mchu, wsuwa rękę do sakwy i łamie odrobinę ciasta. – Masz. – Podaje kotu. Ten jednak nie rusza się z miejsca. – Boisz się? To i lepiej. Zostawię ci kawałek kołacza na piasku. Zjedz, ale za mną nie idź. Znajdź sobie kogoś innego. Ja cię do miasta nie zabiorę.

Kiedy się znowu obejrzała, kot łapczywie jadł ciasto. Za zakrętem zwierzę znikło jej z oczu. Po chwili wyszła na otwartą przestrzeń. Już nie las ją otaczał, a łąny pełne poszarzałego od deszczu zboża, pola zielonych konopi wysokich i gęstych niczym dzika puszcza, i ugory, a na nich dzieci pasące krowy. W oddali za kępami krzewów zobaczyła strzechy Grünwaldu.

Jakieś przeczucie kazało Widze wyjść tego dnia na drogę i wypatrywać. Tym razem nie na próżno. Choć zmęczone wysiłkiem oczy zaczęły łzawić, jednak zdołała ją dostrzec, kiedy wyłoniła się z lasu. Nie widzi wyraźnie, lecz wie, że to ona. Jej wnuczka. Skąd? Nie potrafi wyjaśnić. Wie i już. Dopóki Rozala nie dotrze do celu, babka będzie stać i czekać, prowadząc ją wzrokiem.

Letnie słońce ledwie się przebija przez gęsty opar, lecz jego ciepło działa. Ziemia napita deszczem oddaje wilgoć powietrzu. Cały Grünwald tonie we mgle. Rozala czekająca na babkę na ławce Eliasa próbuje rozpoznać, czyje chałupy majaczą w oddali.

Jakże piękny jest poranek na wsi. Tu przy chacie nie ma żadnych niemiłych zapachów. Nie czuć gnoju, bo u babki go prawie nie ma. Podobnie jak cuchnącego dołu kloacznego. U babki chodzi się w krzaki za stodołką. Na wsi nawet błoto jest czystsze, bo nikt tu nie wyrzuca na drogę skorup i nie wylewa nieczystości. Odchody zwierząt zgubione na

drodze, jeśli wyschną, od razu są zebrane, bo przydadzą się w sadzie i ogrodzie.

Jeszcze wcześniej. Do otoczonego polami, lasami i łąkami Grünwaldu płynie ptasia i owadzia muzyka. Rozala, wsłuchana w gwizdy, trele i brzęczenie, myśli o tym, że chciałaby każdego ranka wychodzić z chaty na pole, stąpać boso po rosie i wdychać czyste powietrze.

– Porobione. Możemy iść.

Babka stoi w progu gotowa do wędrówki. Najwcześniej wróca po południu, dlatego w torbie niosą chleb i ser. Jeśli będą spragnione, napiją się wody z rzeki. Idą w stronę folwarku Jeschane^[26]. Na polu kapusty należącym do Kittlitzta pojawiły się gąsienice. Trzeba je zebrać, zanim narobią wielkich szkód i zdążą się rozmnożyć.

W Jeschane mieszka Ewa, starsza córka Anny. Ona też będzie dzisiaj na polu.

– Babko, czemu ciotki wczoraj do was nie przyszły? Zawsze przychodziły, kiedy was odwiedzałam.

– Powadziłyśmy się z Anną. A jak ona nie pójdzie, to nikt się jej nie sprzeciwi.

– O co poszło?

– O nic. Ciotka tego dnia była nieswoja, bo ją jakiś obcy nazwał czarownicą.

– To mogliście darować.

– Ja nie zaczęłam.

– Babko...

– Może nawet pierwsza bym się odezwała, ale nie wiem, co ona na to. Jak się odwróci, to będzie jeszcze gorzej.

– A gdybym ja najpierw poprosiła ciotkę Ewę, a po robocie pobiegła do chaty Villbornów i powiedziała, żeby przyszli na wieczór, bo mam nowe wieści z miasta?

– Próbuje. Nie myśl, że mi dobrze chować urazę. I do Katarzyny zajdź.

– Katarzyny?

– Siostrzenicy Anny – wyjaśnia Wiga. – Niedawno się wydała za tutejszego chłopaka. Mieszka tam, gdzie bocianie gniazdo na stodole. Rozweseli nas. Lubi się śmiać.

Praca na polu niby nieciężka, bo trzeba tylko znaleźć gąsienice, zabić je, obejrzeć liście, czy są na nich jakieś skupiska żółtych jajeczek, rozgnieść je i przejść do następnej kapusty. Po niedługim czasie niknie powstała w głowie Rozali romantyczna wizja wsi spokojnej, pachnącej i zanurzonej w ptasiej muzyce. Bolać plecy, słońce pali, a końca roboty nie widać.

Ewa pierwsza daje hasło do odpoczynku. Wybierają zacienioną polanę w pobliżu jazu spiętrzającego wodę dla młyna oraz kładki, po której można przejść na drugi brzeg rzeki. Najpierw gaszą pragnienie, potem na lnianym ręczniku rozkładają, co która przyniosła, i posilają się w milczeniu. Ewa już na polu obiecała, że przyjdzie. Ona najmniej boi się matki. Mieszka na swoim, więc gdyby nawet Anna się boczyła, przetrzyma.

Polana nadaje się na odpoczynek, bo chłodno i blisko rzeki, ale na rozmowę już nie tak bardzo. Przeszkadza w niej szum wody, dźwięk pracującego koła i hałas dobiegający z wnętrza młyna. Mimo to Ewa próbuje zaspokoić ciekawość.

– Rozalko, a ty za mąż się nie wybierasz? Już byś się nadawała.

Wiga, którą zaczęła ogarniać senność, natychmiast nadstawia uszu.

– Niespieszno mi do zamążpójścia, ciotko.

– Minie twój czas i sama zostaniesz.

– Babka mówi, że mam osiemnaście wiosen. Jeszcze mogę poczekać.

– A masz chociaż kogoś w Zulich? Chodzisz na tańce albo do ludzi?

– Nie mam nikogo, a tańce mi nie w głowie. Pomagam mistrzowi Haase. Panią Barbarą się zajmuję, bo coraz bardziej chora. – Rozala kieruje rozmowę na mniej wstydlivy temat. – Są dni, że wcale nie wstaje z łóżka. Nie tylko kości ją bolą, ale i febra^[27] trzęsie.

– Na febrę mam dobry sposób – mówi ucieszona Ewa. – Weźmiesz nitkę konopną i zmierzysz nią psa od głowy po ogon.

– Skąd ja psa wezmę? Co któryś się w mieście pokaże, od razu go kat łapie.

– Na pewno jakiegoś znajdziesz. I jak go już zmierzysz, ale pamiętaj, to ma być konopna nić, nie żadna inna, zawiążesz ją swojej pani na szyi. Jak siedem dni minie, zabierzesz nitkę i owiążesz nią drzewo, i będzie po chorobie.

Rozala udaje, że uważnie słucha, ale zna panią Barbarę. Na pewno żadnej nitki nie da sobie zawiązać.

Tymczasem Wiga pochrapuje. Senność wróciła, kiedy został zarzucony temat zamążpójścia. Ewa też kładzie głowę na tobołku, szykując się do drzemki. Jedynie Rozalka, choć przymknęła oczy, wcale nie ma ochoty na sen.

Temat zamążpójścia wciąż wraca w rozmowach z panią Haase. Z jednej strony opiekunka strzeże cnoty dziewczęcia, kontrolując jej ubiór i zajęcia, z drugiej za pośrednictwem swych krewnych i przyjaciółek wciąż szuka kandydata na męża dla Rozali. Przez niejasny status dziewczęcia sprawa nie wygląda dobrze. Nie będąc córką Barbary, nie ma prawa do spadku ani nawet do wiana, a obietnice państwa Haase pozostają tylko pustymi słowami, dopóki nie zostaną spisane. Proponowanym kandydatom, a właściwie ich rodzinom, nie podoba się pochodzenie Rozali. Wstyd byłoby się przyznać przed ludźmi do synowej z babką podejrzaną o czary, zamordowaną matką i nieznanym ojcem. Charakter i zajęcia też nie są bez znaczenia. Po co komu żona, która umie czytać, pisać i upuszczać krew? Czy taka niewiasta da się zamknąć w domu przy mężu, dzieciach i krosnach na przykład? Czy będzie słuchać, co mąż powie? Nie narobi krzyku, kiedy jej przyłoży, choćby miał rację?

Dziewczyna na ogół w milczeniu słucha wywodów pani Barbary. Nie odzywa się, bo i tak nikt nie bierze pod uwagę jej opinii. A ona myśli, że wolałaby się utopić, niż wyjść za mąż za kogoś, kto by zakazał jej robienia tego, co lubi, i z kim nie miałaby o czym rozmawiać. Najważniejszego nie

zdradza nikomu.

Rozala czeka na Jakuba.

Zaledwie słońce zaczęło zachodzić, przyszły wszystkie. Anna, jej córki – Ewa i Urszula, a także siostrzenica Anny, Katarzyna. Razem z Wigą i Rozalą sześć kobiet. Za wiele, by wygodnie się rozsiąść w małej izbie.

– Chodźmy na łąkę! – Katarzyna nie boi się ludzkich oczu. – Położymy się w trawie i będziemy gadać.

– Mokro. – Wiga hamuje zamiary młodej mężatki. – Po deszczach na łące stoi woda.

– Coś znajdziemy. O, tam! – Katarzyna pokazuje niewielkie wywyższenie. – Tam na pewno jest sucho.

Normalnie Anna nie zgodziłaby się na takie pomysły. Bo kto to widział rozsiadać się na widoku, i to bez żadnego zajęcia. Kobieta nie powinna siedzieć, nie przędąc albo nie tkając. Może jeszcze łuskać groch, szyć lub zająć dłonie czym innym pożytecznym. Gadanie i siedzenie po próżnicy wcale się Annie nie podoba, obiecała sobie jednak, że się nie odezwie, dopóki jej Wiga nie przeprosi. Przyszła tu tylko dlatego, że ją Rozala ładnie poprosiła. Z ciekawości także, ale do tego się nie przyzna.

Siedzą w kole. Mają na sobie białe letnie koszule, a na nich brązowe albo szare lniane spódnice. Katarzyna i Rozala rzuciły czepki na trawę. Każdy może zobaczyć jasne, swobodnie opadające na ramiona włosy pierwszej i czarne, zaplecione w gruby warkocz drugiej. Na środku stoi okrągły koszyk pełen czereśni. Po owoce sięgają wszystkie, ale tylko dwie najmłodsze wypluwają pestki wprost na trawę, zamiast skromnie chować je w garści, a potem rzucić za siebie, kiedy nikt nie patrzy.

Wdowa Villborn jest zgorszona. Ewa i Urszula zerkają na matkę, obawiając się, że zaraz wybuchnie, a Wiga ma w oczach takie szczęście, że nawet niestosownie zachowujące się dziewczęta nie są w stanie go zmącić.

Przychodzi czas na opowieść.

Rozala jest teraz najważniejsza. Poprawia spódnicę, prostuje plecy i zaczyna mówić. Najpierw o pani Barbarze i jej chorobie, potem o tym, jak w czytaniu została zastąpiona przez Agnes, i czego się nauczyła od cyrulika. To okazuje się najciekawsze. Nawet Katarzynie trudno uwierzyć, że pomocnica cyrulika nierzadko sama odwiedza jego podopieczne, czasem upuszcza krew i przecina wrzody na chorych nogach żebraczek. Z tymi ostatnimi najczęściej ma do czynienia. Najpierw raz w tygodniu chodziła z mistrzem Haase do szpitala, gdzie są sami nędzarze albo tak chorzy, że pozbyto się ich z domu. Tam jest tak, jakby wszystkie choroby, na leczenie których ma zgodę cyrulik, spotkały się w jednym miejscu. Czyraki, ropiejące rany, guzy, martwe mięso na stopach, złamania, zepsute zęby, kołtuny – cokolwiek dane ludziom na udrukę, dostała Rozala, by się uczyć. Po roku zaczęła sama chodzić do szpitala. Teraz bywa proszona do mieszczańskich małżonek, lecz nie opuszcza żebraczek i bezdomnych. Mistrz Haase postępuje bardzo sprytnie, bo kiedy jego pomocnica przychodzi sama, nie bierze zapłaty za usługę. W razie czego żadna nie powie – zapłaciłam, a źle zostało zrobione.

– Nie boisz się? – pyta Katarzyna.

– Boję. Zdaje mi się, że niewiele umiem. Nie chciałabym zrobić komuś krzywdy.

– Nie o to pytam. Nie boisz się, że cię posądzą o czary?

– O czary? Mnie? Przecież ja bez zaklęć... – Okrągłe oczy Rozali stają się większe niż zwykle.

– Gdziekolwiek pojedziesz, do Karge, Wolsztyna albo do Schlawy, wszędzie tylko o tym rozprawiają. Kupcy, co wracają z dalekich miast, przywożą stamtąd straszne wieści. Mówią o niewiastach, które z polecenia Złego szkodziły innym. – W głosie Katarzyny nie ma cienia poprzedniej wesołości.

– Mnie nic nie grozi. Nie mam ze Złym żadnych układów – broni się Rozala.

– Zamilczcie, głupie! – Wdowa Villborn nie może tego słuchać. – Jeszcze go z piekieł przywołacie w złą godzinę. Cicho sza...

Skruszone dziewczęta milkną. Wszystkie ogarnia dziwny niepokój.

Katarzyna czuje się winna.

– Czekajcie – mówi, podnosząc się z trawy – pobiegnę do swojej chałupy i zaraz wrócę.

Wkrótce pojawia się znowu. Idzie przez łąkę z dużym dzbanem pokrytym drobną rosą i z cynowym kubkiem.

– Mam piwo! – woła z daleka, a kiedy siada między nimi, dodaje: – Trzymam je w chłodnej piwniczce, co ją jeszcze dziadek mego Hansa wykopał w sadzie. Pijcie – zachęca, podając kubek Annie.

Piwo niewiele pomaga. Ugasiły pragnienie, lecz dalej nie mają ochoty na rozmowę.

– Słyszycie? – Ewa wyciąga szyję i nadstawia uszu.

– To Stary Dobosz gwizdże na okarynie.

– Ładnie. – Wnuczka Wigi się uśmiecha. – Znam słowa do tej melodii. Zimą w szpitalu była kobieta, która, choć sama chora, umiała wszystkim czas, śpiewając.

– A ty nam zaśpiewasz?

Rozalka nie daje się prosić. Ma niezbyt silny, za to czysty i dźwięczny głos. Pieśń opowiada o dziewczynie, która żegna ukochanego idącego na wojnę. Mija jeden rok i drugi, a on nie wraca. Czekanie staje się coraz trudniejsze. W końcu sama wyrusza w świat, by go szukać. Nie licząc upływających lat, przemierza wioski i miasta, wypytując o niego ludzi. Pewnego dnia, chcąc napić się wody ze stawu, zauważa odbicie twarzy starej kobiety. Na koniec serce pęka jej z żalu, bo życie minęło, a nie znalazła ukochanego.

– Jakie to smutne. – Urszula ociera łzy brzegiem spódnicy. – Mógłby teraz Adam zagrać co wesołego.

Stary Dobosz też ma chyba dość smutku, bo wraz z zapachem ziół i chmurą komarów płynie do nich skoczna melodia.

– Zatańczmy, siostry! – Katarzyna zrywa się pierwsza, zachęcając inne, by wstały.

Jest już prawie ciemno, więc nie muszą się bać niezyczliwych spojrzeń, mimo to starsze nie mają odwagi. Tylko Rozalka dołącza do dziewczyny kołyszącej się w rytm muzyki. Biorą się za ręce i kręcą w koło. Z początku robią to w milczeniu, by nie uronić niczego z cichej melodii. Tak się jednak zapamiętują w tym krążeniu, obrotach i podskokach, że nie zauważają, iż Stary Dobosz przestał grać. Dopiero gdy nie mają już sił, ze zmęczenia osuwają się na mokrą od rosy trawę, głośno przy tym się śmiejąc. Kręci im się w głowach, a ziemia pod plecami się kołysze. Leżą upojone radością, tańcem i sobą nawzajem.

Rozalce przychodzi do głowy, że bardzo brakuje jej siostry. W dzieciństwie, jeśli przebywała z innymi dziećmi, byli to przeważnie chłopcy. Matki dziewczynek rzadko pozwalały córkom bawić się z wnuczką garbatej dziwaczki. Odkąd zamieszkała w Zulich, jej towarzystwem są dorosłe kobiety. Petra ma swój świat i nie pragnie w nim widzieć Rozali, podobnie jak służące z okolicznych domów. Gdyby nawet udało się z którąś zaprzyjaźnić, pani Barbara szybko zakończyłaby niestosowną jej zdaniem znajomość.

Katarzyna jest mężatką, w dodatku starszą o kilka lat, lecz jeśli do kogoś Rozala mogłaby powiedzieć „siostró”, to tylko do niej.

Wieczór jest duszny i parny. Mokre od potu koszule lepią się do pleców.

– Do wody! – Katarzyna rzuca komendę, już biegnąc w stronę rzeki. Rozalka puszcza się za nią. Reszta podąża w tempie stosownym do wieku.

Rzeka, spiętrzona na jazie przy młynie, tu rozlała się szeroko. Jest tak płytko, że gdyby kto chciał się utopić, musiałby usiąść albo się położyć. Mimo to dziewczyny zostają przy brzegu. Spódnice od razu nasiąkają wodą i robią się ciężkie. Trzeba się od nich uwolnić. Zostają w samych koszulach. Katarzyna pierwsza nabiera wody w dłonie i pryska w stronę Rozali. Ta się odplaca z nawiązką. Potem obie zwracają się przeciwko ciotkom. Bitwie na krople towarzyszą śmiech, krzyki i popiskiwanie. Nawet Anna się zapomniała. Nie zważa na to, że cała wieś słyszy te hałasy. W pewnej chwili oblewa Wigę. Ta rzuca jej zdziwione spojrzenie,

ale nie pozostaje dłużna. „Chyba się pogodzili” – myśli ucieszona Urszula, wycierając twarz.

„Co je opętało?” – zastanawia się Stary Dobosz, którego hałasy zwabiły w pobliże Wigowej szopki.

„Jak mogą się śmiać, kiedy niedzielę temu pochowałam męża?” – Młoda kobieta płacze, siedząc na progu chaty.

„Jeszcze jakie лихо z lasu wywabią. – Gospodyni pastora jest przestraszona. – Te młode jeszcze można zrozumieć, bo płocze, ale żeby stara Villborn...”

– Zboża szare od deszczu, gąsienice jedzą kapustę, grzmi i błyska w oddali, a one tańczą – mówi do żony stary garncarz. – Czyżby się cieszyły z naszych nieszczęść?

*

Kiedy Wiga i Rozalka wróciły do chaty, zauważyły, że pierwszy raz domowe duszki wyjadły przeznaczony im ser do ostatniego okruszka. Wiga się nawet ucieszyła, bo nigdy dotąd nie miała tak jasnego dowodu na ich istnienie.

Nad ranem obudził Rozalkę daleki pomruk burzy. Od twardej ławy bolał ją cały bok, ale za plecami czuła miłe ciepło. „Babka mi podgrzewacz włożyła – pomyślała sennie. – Niemożliwe. Babka nie ma podgrzewacza” – uświadomiła sobie. Ostrożnie obróciła się w stronę ściany. Biało-czarny kotek, którego spotkała w lesie, również się obudził. Spojrzał na nią wyczekująco, ale chyba nie wyczytał w jej oczach żadnej groźby, bo nawet nie drgnął.

– Idź do babki – mruknęła dziewczyna, stawiając nadąsane zwierzątko na klepsku i popychając je w stronę łóżka Wigi. – Ją musisz ogrzać, bo inaczej po tobie.



Jak łatwo przekroczyć granicę między łaską a niełaską, najlepiej rozumie

pani Barbara. Nie narzeka, kiedy Rozala pomaga Tytusowi. Mąż nieraz się zwierzał z korzyści, jakie ma z pojętej uczennicy. Pani Haase boi się jednak, by ludzie nie zaczęli gadać. Wystarczy, że jakiś zawistny cyrulik albo niezadowolona pacjentka zaczną rozpuszczać plotki, a dobre czasy mogą się skończyć. Wolałaby pozbyć się dziewczyny, wydając ją za męża. Niech Tytus sam sobie radzi albo niech weźmie do terminu jakiegoś chłopaka.

Jako że widoków na zamążpójście jak dotąd nie ma, pani Barbara robi, co może, by dbać o reputację Rozali. Zanim dziewczyna wyjdzie do miasta, nawet jeśli wybiera się tylko na rynek po kapustę, musi się pokazać opiekunce. Ta ogląda uważnie suknię i czepek, czy czyste i skromne. Nawet wyraz twarzy ma mieć ułożony specjalnie na tę okazję. Nie wolno jej patrzeć w oczy mężczyznom, nie powinna się śmiać, a nawet uśmiechać. Jak ją kto zagadnie, najlepiej wcale nie odpowiadać, a jeśli już musi, to krótko i cicho.

Rozala cierpliwie słucha opiekunki, odpowiednio układa usta przed lustrem, chowa warkocz i starannie wsuwa pod czepek niesforne pasemka włosów. Czasem tylko sobie wyobraża, że idzie przez miasto z odkrytą głową, śmiało patrzy ludziom w oczy, a wiatr tańczy w jej makowej spódnicy.

Wczoraj wróciła od babki, a dzisiaj już spieszy za mury, gdzie za Bramą Zielonogóorską miasto prowadzi szpital. Jest to zwyczajny przytułek dla ubogich, z tą różnicą, że co jakiś czas zagląda tam medyk albo cyrulik.

Radość ze spotkania z babką, ciotkami i Katarzyną mąci jedynie nieobecność mistrza Haase.

– Pan wyjechał na wieś – powiedziała Helga, nie kryjąc satysfakcji.

Prócz zapasu ziół i mazideł od babki dla pani Barbary Rozalka ma nową maść dla pana Tytusa. Zrobiona z wosku, kwiatów konopi i oleju lnianego goi rany lepiej niż te, których dotychczas używał. Pragnęła o tym porozmawiać, bo jej twórczyni, Michałka, ma wiele pomysłów na wykorzystanie konopi, pszczelich pyłków, miodu i wosku.

Mistrz Haase ma wrócić dopiero za dwa dni, a ona już chciałaby mu opowiedzieć o odkryciach Michałki, o Katarzynie i o kłótni babki z ciotką Anną o nic. Na razie to pani Barbara, a potem Helga i Petra wysłuchały relacji z wyjazdu.

Czekanie na mistrza wypełnią jej różne zajęcia. Na jutro Helga przygotowała stos prania i zapowiedziała szorowanie ługiem drewnianych podłóg. Zanim Petra pójdzie do rodziców na żniwa, trzeba wykonać najpilniejsze prace.

Dzisiaj Rozalka idzie odwiedzić starą Christę i sprawdzić, jak mają się rany na jej stopie. Nie wiadomo, kiedy znowu wyrwie się za mury.

Czyżby ktoś umarł? Przed szpitalem leży brązowy kundel kata. To znak, że jego pan jest w środku. Wizyta kata nie jest tu niczym nadzwyczajnym, bo grzebanie nędzarzy należy do jego obowiązków, lecz Rozalka jeszcze nigdy go w tym miejscu nie spotkała.

Okazuje się, że wszyscy żyją, a kata wezwano do złożenia kości jakiegoś biedaka, który złamał nogę. Akurat żadnego z cyrulików nie ma w mieście, Michael zaś mieszka niedaleko i w dodatku zna się na kościach, bo nieraz je łamał kołem. A że dotknie nieszczęśnika, to trudno. Niech się cieszy, że ktoś go poskłada.

Zmieniwszy opatrunek na nodze Christy, Rozalka, zwabiona krzykiem dochodzącym z sali dla mężczyzn, zatrzymuje się w ciemnej sieni, a potem wkracza do zakazanego dla niej rewiru. Tak samo jak w sali dla niewiast, tu też unoszą się roje much i panuje trudny do wytrzymania zaduch. Przy upale otwarte okno ułatwia życie jedynie owadom.

Gdyby nie obecność kata, wchodzącą między mężczyzn dziewczynę przywitałyby sprośne okrzyki. Przy mężczyźnie znanym z zadawania śmierci potencjalni żartownisie leżą bez ruchu niczym włochate otrupki udające, że dawno zdechły.

Na widok Rozalki kat błyskawicznie łapie pierwszą z brzegu szmatę i przykrywa przyrodzenie pacjenta pozbawionego pantalonów. Delikwent akurat stracił przytomność, więc, pomijając brzęczenie much, w sali panuje kompletna cisza. Wyczekujące spojrzenie muskularnego

mężczyzny powinno skłonić dziewczynę do wycofania, lecz ciekawość jest silniejsza.

– Mogę popatrzeć, jak składacie kości?

Kat ma minę, jakby nie rozumiał, co do niego mówi.

– Usiądę z boku. Nie będę wam przeszkadzać – obiecuje Rozala.

– To nie jest widok dla niewiasty. Czemu chcesz patrzeć?

– Może kiedyś będę musiała zrobić to, co wy teraz?

Michael wydaje się jeszcze bardziej zdziwiony.

– Nie będziesz musiała. Niewiasty nie zajmują się kośćmi.

– Pozwólcie, proszę.

Wzruszenie ramion traktuje jak przyzwolenie. Podchodzi bliżej i już chce przycupnąć na pustym sienniku, kiedy powstrzymuje ją gniewny głos:

– Nie siadaj!

– Dobrze. Będę stała.

– Weź zydel. Siennik może cię zeżreć.

Wystarczy jedno spojrzenie, by się domyślić, o co chodzi. Konopna tkanina jest siedliskiem dziesiątków wygłodniałych pcheł czekających na żywiciela. Wszy też nie brakuje. Są jeszcze inne osobniki, mniej znane, lecz równie spragnione krwi.

– Dopiero co ich obiad poszedł na żebry. Chyba nie chcesz go zastąpić?

– Nie. – Dziewczyna się uśmiecha, przysuwając stół. – Przez chwilę zapomniałam, gdzie jestem. Często tu bywam i zwykle uważam, gdzie siadam. A i tak, kiedy wracam do domu, sprawdzam, czy czegoś nie przyniosłam. Moja pani by mi nie darowała.

– Już wiem. Jesteś tą dziewczyną od cyrulika. Słyszałem, jak strażnicy w więzieniu o tobie gadali.

– Co takiego mówili?

Kat wygląda na zmieszanego.

– Powiedzcie.

– Źeś słaba na umyśle.

– Co? Ja? Dlaczego?

– Bo żadna inna niewiasta nie chodzi do żebraczek. Mówią jeszcze, że wcale się krwi nie boisz.

– I dlatego źle o mnie myślą?

Katu przychodzi do głowy, że niepotrzebnie się wygadał. Dziewczyna ma minę, jakby miała się rozpłakać.

– Chciałaś patrzeć, to patrz. Ten tu zaraz się obudzi, a ja z tobą gadam zamiast go dobrze obejrzeć.

– Co zrobiliście, żeby nie czuł?

– Zdzieliłem go w łeb. Nie za mocno. Zaraz dojdzie do siebie.

Michael przystępuje do działania. Złamane kości nie przebiły skóry. Zza wieloletniego brudu wyglądają co prawda sinoczerwone krwiaki, a cała noga jest spuchnięta, ale wszystko powinno się dobrze skończyć. Silne dłonie kata obmacują kończynę. Raz po raz coś uciskają, jakby zmuszały kości do powrotu na swoje miejsce. Jeszcze sprawdza, czy wszystko trafiło, gdzie powinno, i unieruchamia nogę dwiema deseczkami i podartym płótnem.

– Idź już.

– Dlaczego?

– Bo ja też wychodzę, a nie będzie dobrze dla ciebie, jak nas razem zobaczą.

– Pójdę, lecz chcę, żebyście wiedzieli, że już się was nie boję.

Michael się uśmiecha. Nie pamięta, kiedy ostatnio ktoś był dla niego miły. Podoba mu się ta dziewczyna. Wcale nie uważa, że jest słaba na umyśle. Szkoda, że się już zaręczył. Może ta by poszła za niego?

– Zobacz, jakie to wszystko dziwne – mówi wieczorem do brązowego psa, który, położywszy głowę na przednich łapach, odpoczywa na brzuchu i patrzy panu w oczy. – Nie miałem nikogo, a wystarczyło, że przestałem narzekać, i życie się do mnie uśmiechnęło. Najpierw ta gruba kucharka, co wlażała na drabinę. Popatrzyłem na jej zadek i takie mnie wzięło

pragnienie na płodzenie synów, że od razu byłem gotów się z nią zenić. Tylko że ona uderzyła w krzyk i lament. Musiałem ją sam z drabiny zdjąć, bo inaczej do dzisiaj by się jej trzymała. Po co mi taka strachliwa niewiasta. W dodatku, jak w końcu stanęła na ziemi, się wydało, że z przodu nie taka młoda jak z tyłu. A kiedy wreszcie tej wiosny wybrałem się szukać żony, znalazłem chętną dziewczynę. Córka kata z Breslau, już nie dzierlatka, ale do rodzenia synów się nada. Chociaż powiem ci, że ta tutaj bardziej by mi pasowała.

Pies chyba się zgadza z panem, mimo że w Breslau nie był. Wstaje na nogi i ogląda się na drzwi, jakby dawał do zrozumienia, że pan powinien od razu pójść do tej, która mu się bardziej podoba.

– Nie, mój drogi. – Kat studzi psie zapały. – Jestem po słowie. Jesienią ślub z Magdaleną. Zobacz – twarz Michaela rozpływa się w uśmiechu – jestem Michael, a moją żoną będzie Magdalena. Wszystko tak, jak we wspomnieniach ojca. Tylko że my będziemy szczęśliwi.

Rozalka, nieświadoma rozważań mężczyzny z chatki przy szubienicznym wzgórzu, korzysta z ostatnich promieni zachodzącego słońca. Zajmuje teraz dawny pokój pani. Jest w nim stół i wygodne krzesło. Umieściła je przy oknie otwartym teraz na oścież. Szkicuje twarz Jakuba. Sangwina brudzi brązem palce, a dłoń, która wyszła z wprawy, nie słucha poleceń. Dziewczyna się denerwuje, wrywa kartkę i wyrzuca. Próbuje ochłonać. Znowu sięga po szkicownik. Zanim słońce schowa się za dachy miasta, portret Jakuba będzie gotowy.



Tytus powierzył konia i dwukólkę synowi wdowy i nie zachodząc do jego matki, przekroczył miejską bramę. Sam sobie się dziwi, bo niby co miałoby go ciągnąć do domu. Żona co prawda słabuje, ale jakoś daje sobie radę z pomocą służącej. Pilnych pacjentów nie było, a jeśli nawet, znaleźli już pomoc u kogo innego.

Dom wita go ciszą, wonią łągu i duszonej jagnięciny. Zagląda do izby

przeznaczonej dla chorych. Nikogo. Wypada zatem zobaczyć się z żoną. Ogarnięty nagłym zmęczeniem, wolno wspina się po schodach. Jest już przed wejściem do pokojów Barbary, gdy jego uwagę przykuwa smuga światła padająca z niedomkniętych drzwi na górnym piętrze. Namyśla się przez chwilę, a potem wchodzi wyżej. Zagląda przez szparę. Nie widzi nikogo, mimo to przekracza próg. Białe czepek leżący na skrzyni obok szarej spódnicy, a także czysty fartuch zapewne czekają na jutrzejsze wyjście do miasta. Przez grube, oprawne w ołów okienne szybki przenika słońce. Jasna plama ciągnie się od stołu przez kolorowy chodnik na podłodze i sięga aż do wyjścia. Gdyby nie to, nie zwróciłby uwagi na leżący na jej drodze szkicownik. Jest otwarty. Jakub na portrecie wygląda tak samo jak przed trzema laty.

Skąd wzięło się to niemiłe uczucie? Przecież lubi Jakuba i życzy mu jak najlepiej.

Zamyka za sobą drzwi i wycofuje się na schody. Czas zajrzeć do Barbary.

Od niej też ktoś wychodzi.

To Rozala z jabłkiem w dłoni.

Dziewczyna pokonuje dwa wiodące na górę schodki i zdziwiona podnosi głowę.

– Mistrzu Haase, wróciliście! Nikt was nie słyszał. Dawno jesteście?

– Dopiero co przyszedłem. Zaniósłem coś do swojej izby i spieszę do pani Barbary, żeby się przywitać.

– Czeka na was.

Schody są strome i wąskie. Trudno się na nich minąć, nie dotykając się wzajemnie. Oboje czują się zawstydzeni bliskością trwającą tyle co jeden oddech. Trącona niespodzianie dłoń trzymająca jabłko upuszcza nadgryziony owoc, a ten toczy się po stopniach aż na sam dół.

Pani Barbara czuje się lepiej, więc i nastrój ma lepszy. W ładnej ciemnozielonej, zdobionej koronkami sukni podejmuje kolację aptekarza Gregoriusa Krause z małżonką. Główną potrawą jest gulasz jagńczy

z warzywami podlany czerwonym winem. Helga i Petra uwijają się przy gościach, a Rozala w izbie na dole po raz setny czyści narzędzia. Gospodyni coraz rzadziej woła ją do pomocy w kuchni. Boi się, że pomocnica cyrulika obcująca z żebraczkami może ją czymś zarazić.

Ileż można polerować cynowe miseczki, nożyki, brzytwy, obcęgi i piły do obcinania kończyn! Rozala z ciężkim westchnieniem odkłada narzędzia na miejsce i sięga po jedną z ksiąg Tytusa. Ryciny przedstawiające mięśnie, kości i wnętrzności człowieka przyprawiłyby o mdłości każdą niewiastę, ale nie ją. Wpatrzona w ilustracje, nie słyszy kroków wychodzących gości ani nadejścia pana Haase.

Chyba się nie spodziewał jej tu zastać. Stoi w progu, nie wiedząc, czy wejść. Pękata butelka z winem i zwykły cynowy kubek mówią wszystko o tym, jak Tytus zamierza spędzić resztę wieczoru.

– Wybaczcie... wzięłam księgę, bo byłam ciekawa...

– Nie zabraniam ci patrzeć w księgi, jeśli tylko pojmujesz, co czytasz.

Teraz, kiedy usiadł naprzeciwko, a jego twarz znalazła się w kręgu światła rzucanego przez świecę, dziewczyna dostrzega, że oczy mu błyszczą bardziej niż zwykle.

– Nie pijcie więcej – radzi. – Idźcie spać.

– Nie jestem pijany – oburza się Tytus. – Piłem tylko do kolacji.

Oparty plecami o ścianę, wbija w nią wzrok, mrużąc oczy. Rozali się zdaje, że jak ona księgę, tak mistrz Haase chce przeczytać jej myśli. Czuje się nieswojo. Opuszcza powieki, ale po chwili je unosi. Nic się nie zmieniło.

– Napijesz się wina?

– Ja? Nie!

– Czego się boisz?

– Niczego. Nigdy nie piłam wina.

– Tym bardziej się napij.

– Już późno. Pójdę.

– Nie.

Kiedy zdążył złapać jej dłoń? Przecież była szybka. Nie więzi jej w żelaznym uścisku. Przeciwnie, bez trudu mogłaby się wyrwać. „Czemu to robi? Dlaczego moimi palcami dotyka swego policzka? Jest rumiany i ciepły, a ukłucia zarostu są takie przyjemne”.

– Idź.

Osamotniona dłoń chowa się w fałdach spódnicy.

– Śpijcie dobrze, mistrzu Haase.

– Czeka! Na półce obok ampulek na destylaty leży list do ciebie. Posłaniec przyniósł go przed wieczorem.



Kot wylegający się na plamie słońca padającej przez otwarte drzwi obserwuje Wigę. A jest na co patrzeć, bo zielarka przez cały ranek coś warzyła na ogniu, a teraz, postawiwszy na podłodze garnek z parującą treścią, spomiędzy płonących dREW wygarnia na łopatę gorące kamienie. Chlup! Przestraszony kociak niknie w krzakach. Chlup! Kolejny kamień tonie w wywarze z konopnego siemienia. Cała izba wypełnia się parą.

Wiga z otwartymi ustami klęka nad garnkiem, nakrywa głowę szmatą i mocno oddycha. Trwa to tylko chwilę, bo nie sposób wytrzymać w takiej gorączce. Kolejne wdychanie pary odbywa się już bez nakrywania. Kolana bolą, twarz płonie, ale jak inaczej się pozbyć robaka z zęba? „Może już wypadł? – Zgląda do wnętrza garnka, lecz nie widzi niczego prócz nasion i kamieni. – Jeszcze potrzymam – decyduje i znowu pochyła się nad wywarem. – Palcem sprawdzę – postanawia i dotyka bolącego zęba. – Rusza się. Widać robak całkiem go przeżarł. Trzeba by do kowala, żeby wyrwał. Nie, przecież niedziela. Każe czekać”. Udręczona bólem, próbuje ruszyć z posad dziurawe zębisko. Rusza się coraz bardziej. Już! Wypluwa krew do garnka i kładzie się na podłodze. Nie może przemóc senności. Ostatkiem sił dowleka się do łóżka i od razu zasypia.

Tymczasem Bartłomiej i Michałka o świcie wybrali się do Karge na

nabożeństwo. Jutro mężczyzna wyrusza na kłeczbę, czyli leśne miodobranie. Każdy bartnik w tym szczególnym czasie stara się mieć czyste sumienie, bo tylko takie zapewnia spokój ducha. Pszczoły lubią ludzi pogodnych i życzliwych. To im będą się darzyć.

Po nabożeństwie nie od razu wsiadają na wóz. Trzeba porozmawiać ze znajomymi, a na straganie kupić podarunki córeczkom czekającym u sąsiadki na powrót rodziców.

Przed kaplicą zgromadziło się więcej ludzi niż zazwyczaj. Niektórzy przyszli specjalnie, bo się dowiedzieli, że na nabożeństwie będzie sam Krzysztof Unrug z najstarszym z synów. Teraz popatrują z daleka na właściciela rozmawiającego z burmistrzem Unruhstadt i trzema rajcami. Zarówno Unrug, jak i jego dwunastoletni syn od stóp do głów odziani są w czerń. Niedawno umarła pani Marianna. Rodzina jest w żałobie. Co wrażliwsze kobiety ocierają łzy, patrząc na chłopca sierotę. A nie on jedyny został bez matki. Pani Unrug dała mężowi ośmioro żyjącego potomstwa.

Niedaleko Unruga Bartłomiej dostrzega Baltazara von Lesta, zarządcę dworskiego majątku. Ostatnio widział go wiosną. Wtedy wyglądał zdrowiej. Teraz jakiś skurczony, jakby go coś w środku bolało.

Kucharka Agata, też cała w czerni, rozmawia z kobietą, ale wciąż popatruje na zarządcę.

Spod kaplicy rusza w pieszą wędrówkę spora grupa wiernych. Po nabożeństwie trzymali się razem, rozmawiali tylko ze sobą, a teraz odchodzą pospiesznie, jakby czuli się obco. Mężczyźni w niskich czarnych kapeluszach i ciemnoniebieskich spodniach wpuszczonych w buty z cholewami, a kobiety w czarnych albo ciemnoniebieskich spódnicach i czarnych kaftanach, spod których wystają białe koszule. Najbardziej od innych niewiast odróżniają je niewielkie usztywnione czarne czepki zakończone wstęgą zawiązaną w kokardę.

– Kto to? – Bartłomiej zagaduje bednarza, zięcia Urszuli. – Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

– To osadnicy pana Unruga. Od niedawna są w Chwalimiu.

Tamtejszym katolikom to nie w smak, bo teraz luteranów jest więcej.

– Czemu z naszymi nie gadają?

– Jeszcze nie potrafią. O! – Bednarz patrzy na Michałkę kupującą upominki dla córek. – Twoja baba dogadałaby się z nimi.

Żona bartnika jakby słyszała, że o niej mowa, ogląda się, a jej ładną szczupłą twarz rozjaśnia uśmiech. Bartłomiej przyzywa ją ręką.

– Musimy jechać – oznajmia rozczarowanej kobiecie.

– Chciałam jeszcze popatrzeć.

– Kiedy indziej. Co kupiłaś dziewczynkom?

– Gliniane gwizdawki.

Bartnik ma ochotę zakląć, bo nie znosi hałasu. Miarkuje się jednak. Wszak nie po to od rana sposobi duszę do miodobrania, by teraz wszystko zepsuć.

– Dobrze, Michałko – mówi z uśmiechem. – Nie będzie mnie w domu przez trzy niedziele. Niech sobie gwizdzą.

Bartłomiej niepotrzebnie poganiał żonę, bo słońce dopiero co minęło Kontopp, a oni już są blisko Grünwaldu.

– Zajrzę do Wigi. Zapytam, czy na jutro gotowa.

– Już ci nie spieszno?

Bartnik znowu ćwiczy duszę.

– Nie bocz się na mnie – prosi. – Widziałem, że wczoraj stara chodziła z opuchniętą gębą. Sprawdzę, czy ze mną pójdzie. Jak nie, na gwałt muszę kogoś znaleźć.

Wiga najwyraźniej czuje się lepiej. Zastają ją akurat, jak ciągnie na postronku opierającą się kozę, pod pachą ścisła pstrą kurę, a za nią podąża czarno-biały kotek.

– Czyżby szykował się potop? – mówi ze śmiechem Bartłomiej.

– Idę z nimi do Urszuli. Przecież samych nie zostawię.

– A ząb? Byliście u kowala?

– Sama poradziłam. Dziura tylko została. Nie wierzycie? Mogę

pokazać.

– Nie mamy czasu. – Michałka ratuje męża z opresji. – Spieszymy się do dzieci. Pewnie nas wyglądają.

We wrześniu, w czas kłeczby, bartnicy opuszczają rodziny i idą do boru na dłużej. Nie o to chodzi, że chcą sobie oszczędzić codziennej wędrówki, bo nie zawsze barcie są daleko od wioski. Pszczoły mieszkają tam, gdzie mają dużo pożytku, na przykład w drzewach rosnących nad nadrzecznymi łąkami. Wabią je lipy, dęby, jesiony i graby. Oblatują śródleśne polany i wrzosowiska. W głębi puszczy, gdzie drzewa gęste, a słońce tylko w koronach, pszczoły spotyka się rzadko.

Kłeczba wymaga użycia różnych sprzętów i jest bardzo pracochłonnym zajęciem, dlatego szkoda czasu i wysiłku na próżne chodzenie tam i z powrotem. Na dłuższy pobyt bartnik musi mieć schronienie. Najczęściej jest nim szałas albo bartna buda. Bartłomiej ma budy w dwóch borach. W trzecim czeka na niego sklecony naprędce szałas. Kiedy wykona pracę w jednym miejscu, przeniosą się do następnego. Będą się tak przemieszczać, dopóki kłeczba się nie skończy, a barcie nie zostaną zabezpieczone na zimę.

Do mieszkania w bartnej budzie trzeba się przygotować. Nieduży krępy konik Bartłomieja ciągnie wóz, a na nim, prócz Wigi i bartnika, zwoje lin, narzędzia, dębowe beczułki, kadłubki^[28] na miód, tłuczek z brzozy, sito z lipowego łyka, garnek do podgrzewania wosku oraz zapasy, okrycia i wszystko, co potrzebne do przetrwania w lesie.

Wóz dalej nie przejedzie. Teraz wszystko trzeba przenieść na plecach. Kiedy pojazd jest już pusty, Bartłomiej wraca z nim do wsi, a Wiga przystępuje do porządkowania budy. Zanim mężczyzna przyjdzie pieszo, wszystkie pająki i jaszczurki zostaną wygnane, buda wymieciona, a obiad dojdzie w garnku nad ogniskiem.

Umorusana i zmęczona zielarka zagląda do kaszy. Jeszcze twarda. Można spokojnie oprzeć się o drzewo, posiedzieć i pomyśleć. Wraca senność, która ją wczoraj opanowała podczas wypędzania robaka z zęba.

Głowa opada, a oczy, które wpatrywały się w ogień, się zamykają.

– Chowaj się, córko. Ojciec wraca – docierają do niej czyjeś słowa. Są tak wyraźne, jakby ktoś mówił wprost do jej ucha.

Wiga, jeszcze półsenna, zrywa się na nogi i chce uciekać. Rozgląda się wokół. Przypomina sobie, gdzie jest.

– Kto to powiedział? – woła w korony drzew. – Matko, czy to wy?

Bór odpowiada jej szumem wiatru w gałęziach.

Kolejne dni, choć podobne do siebie, nie niosą nudy. Bartłomiej najpierw przygotowuje narzędzia, potem wkłada specjalny strój – kapotę z samodziału, pod którą ma jeszcze ze dwie koszule płócienne, dwie pary samodziałowych portek, na nogi łapcie z lipowego łyka, na głowę chustę, na nią jeszcze kapelusz, twarz obwiązuje drugą chustą, tak by widać było tylko oczy, na koniec rękawy i doły nogawek zawiązuje lipowym łykiem.

Wspina się do barci, odymia pszczoły i podbiera im ciężkie plastry. Wiga ugniata je tłuczkiem w dębowej beczulce, a kiedy po dwóch–trzech dniach miód ze zmiżdżonych plastrów wycieknie i opadnie na dno, wystarczy wyjąć szpunt, by wypłynął. Wiga podstawia wtedy kadłubki, a kiedy są pełne, szczelnie je zamyka. Wosk z resztą miodu trzeba lekko podgrzać i wtedy można go jeszcze wycisnąć przez rzadkie konopne płótno.

To zajęcie Wiga lubi najbardziej. Ogarnia ją uroczysty nastrój, kiedy w umyte w strumieniu dłonie bierze płócienną kulę, a spomiędzy jej palców wypływa prosto do garnca gęsty, ciemny miód zmieszany z pierzgą i pyłkiem, a tak wonny, że żadne kwiaty nie mogą się z nim równać.

Wosk i miód są jednak cenne. Po rozliczeniu się z panem Kittlitzem Bartłomiej będzie mógł sprzedać wosk z przeznaczeniem na świece do kościołów. Chętnie go kupią stolarze, garncarze, ludwisarze, złotnicy, rymarze i wielu innych rzemieślników. Można go będzie użyć do maści gojących rany albo kołaczem woskowym^[29] zapłacić za inny towar. Miód zaś to lekarstwo i wzmocnienie dla chorych, dopiero na końcu słodka

przyjemność. Mówią, że pan Kittlitz prawie całą daninę miodną przeznaczają na trunki, w których znajduje szczególne upodobanie.

Trochę miodu i wosku dostanie Wiga jako zapłatę. Prócz tego przez trzy niedziele ma utrzymanie, bo kasza, mąka, proso, groch, warzywa – to wszystko należy do Bartłomieja. W wolnych chwilach chodzi na żołędzie. One także, o ile są w rewirze bartnika, należą do umowy między nim a panem. Bartnik zastawia sidła na ptaki i drobne zwierzęta, a w strumieniu łowi ryby. Dzięki temu niczego im nie brakuje.

Bywa, że któreś idzie do swojej chaty sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pewnego dnia za wracającą ze wsi Wigą przyszedł kot. Odganiała go przez całą drogę, ale nie posłuchał. Obawiała się, że bartnik się rozgniewa, lecz on tylko spojrzął i znowu zajął się pracą.

Noce są już bardzo chłodne. Pierwsze przymrozki zwarzyły liście i teraz przy najłżejszym podmuchu spadają na ciemnozielony puszysty mech. Las ubiera się w najpiękniejsze barwy. Przyszła jesień.

Widze żal, że czas miodobrania wkrótce się skończy. Nie tylko o utrzymanie chodzi. Bartłomiej w lesie nie gada, mówi tylko, co trzeba zrobić. Mimo to lubi z nim być, patrzeć, jak się modli i jak powściąga gniew, kiedy się coś nie powiedzie, i jak wybiera igliwie z brody. Nie budzą w niej lęku leśne duchy pohukujące nocą za drzwiami budy. Czuje się bezpieczna z ciepłym kotem u boku i głośno chrapiącym mężczyzną pod przeciwległą ścianą.



W Kolzig w dzień targowy zawsze można spotkać Starego Dobosza. Odkąd owdowiał, jeszcze bardziej niż kiedyś lubi być między ludźmi, rozmawiać, zbierać wieści, a potem przekazywać je dalej.

Dzisiaj też się przechadza, ogląda świnię, płótna i wełnę albo zanurza rękę w worku z grochem, niby sprawdzając, czy nie ma robaków. Jego uwagę zwraca grupka kobiet o czymś rozprawiających. Staje więc przy gospodyni z jajami i serem, a ucha nadstawia w stronę niewiast.

Rozmowa toczy się wokół niespodziewanej śmierci małego dziecka wójta z Jesiony. Wieczorem spokojnie zasnęło, a rano nie żyło. Dzieci często umierają z powodu chorób albo wypadków, ale żeby tak z niczego? To nie do pojęcia. Kobiety próbują znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale nic mądrego nie przychodzi im do głowy. Rozstają się przejęte smutkiem i obawą o własne potomstwo.

Garncarz z Jesiony woła Dobosza do siebie. Nudzi mu się, bo nikt niczego nie kupuje. Chwilę narzekają z sąsiadem na biedę i nieurodzaj, ale widok przechodzącej Katarzyny, siostrzenicy zielarki Anny, skłania ich do zmiany tematu. Otóż wdowa Villborn rozpowiada, że pani Kittlitz dotąd nie zapłaciła za zioła. Była już trzy razy prosić, ale pani jej do siebie nie wpuściła, tylko kazała powiedzieć służącej, że wdowa ma się wynosić. Garncarz uważa, że Anna powinna iść z tym do pana. Nikomu się teraz nie przelewa, a wiadomo, że jeden z bliźniaków Urszuli żeni się w Boże Narodzenie. Każdy grosz się przyda.

Omówiwszy ten temat, mężczyźni przechodzą do cielaków, które zdechły gospodarzowi z Kolzig. W jeden dzień zdechły trzy. Jak to wyjaśnić?

– Ktoś musiał źle spojrzeć – odzywa się gruby kupiec z Karge zbierający się już do odjazdu.

– Znaczą ktoś ma urocne oczy?

– A co, może nie? O tej garbusce, co najpierw była u nas, a teraz siedzi w Grünwaldzie, było wiadomo, że jak spojrzy, odbierze krowom mleko albo co gorszego ściągnie.

– O Widze mówicie? – upewnia się garncarz. – Kto wie...

– To nie ona. – Z tonu głosu Starego Dobosza można wywnioskować, że w ogóle nie dopuszcza takiej możliwości. – Kiedy te cielaki zdechły, była z Bartłomiejem w barciach. On by jej ze sobą nie brał, gdyby miała urocne oczy.

– Mówię, co słyszałem. – Kupiec się obrusza. – Na mnie czas.

Już chce pakować towar, kiedy na plac zajeżdża kaznodzieja. Jego

przybycie zawsze budzi zainteresowanie, toteż nawet jeśli ktoś zamierzał udać się do domu, teraz zostaje.

Przywiązawszy konia do słupka, mężczyzna staje na wozie i ogarnia wzrokiem targowisko. Na jego nalanej twarzy maluje się niezadowolenie. Spodziewał się, że ludzi będzie więcej, nie zamierza jednak odjeżdżać z pustymi rękami.

Zagaja, mówiąc jak zwykle o Bogu, lecz co innego ma chyba na myśli. Przychodzi czas na tak lubianą przez Rotpilza rozmowę.

– Powiedzcie, czyście się dobrze rozglądali!

Odpowiada mu milczenie.

– Nie pamiętacie, co wam ostatnim razem mówiłem? – Na twarz kaznodziei wypływa pobłażliwy uśmiech. – Nie słuchacie, nie pamiętacie, a potem skarżycie się na swój los. O, wy prostaczkowie, trzeba wam kogoś, kto poprowadzi i powie, co macie czynić.

– Prowadź nas, święty mężu, powiedz, co robić! – Swym zawołaniem garncarz daje sygnał, że słuchacze nareszcie zaczynają odpowiednio reagować.

– A jakże, powiem. Po to tu jestem, by was ratować. Ale najpierw chcę wiedzieć, czyście zdrowi.

Zaskoczeni chłopci popatrują jeden na drugiego. Co za niemądre pytanie. Kto słyszał, żeby być zdrowym? Jeśli nawet brak ciężkiej choroby, to kości dokuczają od roboty albo chociaż nagniotki bołą.

– Wszyscyśmy trochę chorzy. Wiadomo. – W końcu ktoś odpowiada.

– Stodoły macie pełne?

W tłumku otaczającym wóz wzrasta niepewność. „Co ten człowiek gada?” – myśli ten i ów. Przecież wie, że przez deszcze pół zboża się zmarnowało. Nawet słoma licha. Strach zwierzyńnie dawać, bo może się pochorować.

– Jacyś nieswoi dzisiaj jesteście. Skoro tak, nic tu po mnie. Jadę dalej...

– Nie odjeżdżajcie! – Baba z jajami uderza w płacz. – Nie zostawiajcie nas. Tyle wszędzie nieszczęścia, że nie chce się gęby do gadania otwierać.

Rotpilz wyraźnie się ożywia.

– Jakie nieszczęście? Mówcie. Po to jestem, by was wysłuchać.

Ci, co stali i milczeli, zaczynają się nagle przekrzykiwać. Jedni, bo chcą udobruchać kaznodzieję, inni naprawdę pragną podzielić się swoją troską. Kilka minut wystarczy, by na Rotpilza spadł deszcz żalów na nieudane zbiory, rzepę gnijącą z nadmiaru deszczu, grad, co latem wybił całe pole wysokich jak drzewa konopi, na choroby prześladujące owce od wiosny, świnię, które się zapodziały w lesie podczas wypasania pod dębami, na zły los rybaka, co się na jeziorze zaplątał w sieć i utonął, a wdowę z dziećmi musi teraz cała wieś karmić, na niezrozumiałą śmierć niemowlęcia z Grünwaldu, dziwną chorobę cielaków, które zdechły jednego dnia, na kłótniwą babę niedającą żyć mężowi, gąsienice na kapuście i wysychające wymiona krów.

– Skąd to wszystko? – Rotpilz udaje zdziwienie.

– Kara boska!

– Wciąż to samo! Kara boska spotyka grzeszników, czyli grzeszycie!

– Wiadomo, każdy po trochu.

– Grzeszycie tak, żeby aż trzy cielaki za karę tracić? – zastanawia się kaznodzieja.

– Aż tak to nie.

– To się teraz zastanówcie, czy te nieszczęścia przytrafiły się wam z woli Bożej.

Nagle w rozmowę rozwijającą się po myśli Rotpilza wtrąca się dopiero co przybyły mężczyzna.

– Chłopak pastora nie żyje! – woła.

Do narzekających przed chwilą na słabe zbiory i wyschnięte wymiona krów dociera, że nie ma nieszczęścia ponad to, które spotkało ich duchownego.

– Też w kołysce, jak tamto? – dopytują z ciekawością ci, którzy nie znają rodziny pastora.

– Sześć wiosen mu było.

– Czemu umarł?

– Nie wiadomo. Mówią, że od niedzieli febra nim trzęsła.

Smutna wiadomość jest dla Rotpilza niczym woda spadająca na młyńskie koło.

– Widzicie? Nie wiadomo! A jak myślicie, za co gniew Boży mógł dosięgnąć waszego pastora?

Odpowiada mu milczenie. Trudno znaleźć tak bogobojnego człowieka jak on.

– Pojmuję, dlaczego nic nie mówicie. Dobrze wiecie, że pastor nie zasłużył na karę. Raczej nagrody od Boga mógł się spodziewać. Kto więc zamieształ w boskich planach? Kto ma taką moc, by Bogu przeszkadzać?

Rotpilz wodzi wzrokiem po twarzach i już wie, że niektórzy zrozumieli. Nie odpowiadają, bo boją się wymówić jego imię.

– Dobrze myślicie. Nie tacy z was prostaczkowie. Mądrze myślicie – chwali, choć nie każdy wie za co. – Wasze nieszczęścia są dziełem Szatana! – woła głośno, podnosząc ręce w teatralnym geście.

Chłód ogarnia ludzi stojących wokół wozu kaznodziei. Ten i ów głośno przełyka ślinę. Szatan? Tu? Między nami? A może? Jeśli tak, to gdzie się skrył?

– Pana piekiel nie ujrzyście między sobą! Próżno szukacie rogacza z kopytami. On potrafi przybierać różne postacie, czasem nawet miłe dla oka.

– To jak go mamy rozpoznać?

– Szukajcie jego sług! Na pewno są między wami.

– Gdzie? – Kobiety, mężczyźni, a nawet nieco większe dzieci spoglądają nieufnie na sąsiadów.

– Są tacy, co potrafią rozpoznać sługi Szatana. Poślijcie po kogoś do Grünbergu. Tam wiedzą, jak wytropić diabelskie nasienie. Nie dalej jak rok temu spalili dziesięć czarownic.

Znowu milkną. Niepokój rośnie, bo jak możliwe, że to, o czym mówiło się w karczmie albo zimą przy przedzeniu, jest już blisko. Przecież do

Grünbergu najwyżej ze dwa dni pieszej drogi! Niby wiedzieli, że mówią prawdę ci, co przynoszą wieści o czarach, ale to była taka sama prawda, jak o ludziach z dwiema głowami w zamorskich krainach. Gdzieś tam są, lecz tu nigdy nie dotrą.

– To co mamy robić? Przecież nas w Grünbergu nikt nie posłucha.

– Idźcie do swojego pana. On będzie wiedział, co robić.

Ciemna deszczowa chmura, która nadciągnęła od zachodu, zakończyła występ kaznodziei. Ludzie tak szybko się rozeszli, że mało kto obdarował go jajkami albo monetą. Wysilił się nadzwyczaj, a tak niewiele dostał w zamian. Odjechał niezadowolony, obiecując sobie, że nigdy więcej jego noga nie postanie wśród ludzi niepotrafiących okazać wdzięczności.

ROZDZIAŁ III





Coś się stało z ludźmi. Zachowują się inaczej niż jeszcze dwie niedziele temu. Stary Dobosz jest smutny. Ostatnie tańce przed adwentem, a w karczmie w Kolzig pusto. Kiedyś mógł deszcz lać się z nieba, a młodzi i starzy przychodzili z pobliskich wsi, żeby się zabawić. Dzisiaj ze trzy pary kręcą się na środku, ale i w nich nie widać wesołości. Skąd zresztą miałyby się wziąć, skoro okaryna Dobosza zawodzi zamiast się cieszyć.

W Kolzig, Grünwaldzie i Lipce ludzie się pozamykali w obejściach. Robią, co trzeba, ale do innych nie chodzą. Nawet baby, które zawsze spotykały się na przedzenie i na opowieści, siedzą każda w swojej chacie.

Karczmarz też przygnębiony. Najlepszy zarobek był zawsze po Bożym Narodzeniu, po Zmartwychwstaniu i przed adwentem. Wygląda na to, że ostatni w tym roku stracony. Ze zmartwienia, a nie z hojności przyniósł z piwnicy dzban z winem. Nalewa sobie i Doboszowi, by mimo wszystko dmuchał w okarynę. Może kto jeszcze zajrzy, zostanie, wypije i potańczy.

Paru stałych gości siedzi w kątach. Mają już dobrze w czubie, więc albo zaczną zwadę, która skończy się bójką, albo chwiejnym krokiem pójdą do chałupy.

– Doboszu, napijcie się wina i powiedzcie coś ciekawego – zachęca karczmarz. – Może młodzi posłuchają, jak to jest na wojnie.

– Czy kto chce słuchać o wojnie? Młodym wojaczka w głowie, bo myślą, że parę razy machną szablą i od razu z workiem złota wrócą do domu.

– A nie? – odzywa się jeden z tancerzy, który usiadł właśnie na ławie. – Lepiej iść wojować i godnie zginąć niż całe życie chodzić za pługiem, a potem zdechnąć jak bydlę.

– Godnie zginąć? Na wojnie bardziej będziesz bydlęciem niż tutaj. Nic nie wiesz o wojnie, ale ja ci nie będę opowiadał. Żaden młody nie uwierzy, jak sam się nie przekona.

Karczmarz znowu nalewa staremu wina. Chce jakoś zatrzymać Dobosza, bo bez niego nawet ta garstka gości się rozejdzie.

– Kiedy wojowaliście w innych krajach, spotkaliście gdzieś czarownicę?

– Czarownicę? Co żołnierza czarownica obchodzi?

– Mówią, że dużo ich na świecie. Mogliście jaką spotkać.

– Tam nie spotkałem i tu ich nie ma. Ten Rotpiliz, co na targu czasem gada, tylko ludziom miesza w głowach.

– Rotpiliz prawdę mówi! – Już wszyscy skupili się blisko karczmarza i Dobosza. – Dawno temu ojciec widział, jak jedną w Zulich spalili. Są wiédźmy! Są na pewno! – Młody pokrzykuje, chcąc dodać słowom powagi.

Karczmarz zadowolony, że rozmowa nabiera rumieńców, idzie po następny dzban do piwniczki, a młodzi zaczynają rozprawiać o czarownicach i o tym, jak je rozpoznać. Alkohol dodaje im animuszu. Na trzeźwo baliby się gadać o lubieżnych starych babach, które w zamian za przyjemność ze Złym szkodzą ludziom, lecz pijana wyobraźnia nie zna obaw.

Stary Dobosz też pociąga z kubka. Skoro karczmarz mu nie liczy, nie będzie odmawiał. Zawsze to on wiódł prym w opowieściach. Widać koniec jego królowania. Czas na osiłków, co nigdzie nie byli i niczego nie widzieli, a i tak są pewni swego.

– Doboszu – trąca go w bok młodzian o czerwonej gębie – powiedzcie, kto u nas do Szatana lata na miotle? Na pewno wiecie.

– A wiem. – Głowa starego się chwieje. Musi ją podeprzeć ręką. – Wiem – bełkoce. – Widziałem nasze baby z Grünwaldu, jak na brzozowych drapakach leciały na górkę w Lipce.

Wybuch śmiechu dodaje Doboszowi fantazji.

– Najpierw kąpały się w rzece koło chaty Eliasa Neulinga, żeby nie cuchnąć, jak będą miały okoliczność z rogatym kochankiem, potem wzięły miotły między nogi i fru...
– Które to były? Powiedzcie!

Prośba pozostaje bez echa. Głowa Dobosza jest zbyt ciężka, by mogła ją utrzymać jedna ręka.

Młodzi, którzy dopiero co zaczęli się dobrze bawić, zbierają się do wyjścia, a karczmarz układa grajka na ławie. Nie pierwszy raz stary spędzi tu noc. Rano pójdzie do siebie.

Nie wrócił Dobosz do swej chaty w Grünwaldzie. Rano zabrali go do zamku i zamknęli w piwnicy. Niczego nie wyjaśnili. Rzucili trochę słomy, dali dzbanek z wodą i kawał chleba. Potem nikt do niego nie zajrzał. Nie pomogły krzyki i bicie pięściami w drzwi. Został sam w zupełnych ciemnościach, nie rozumiejąc, co się stało.

W czasie, gdy stary uwięziony w piwnicy płakał, krzyczał i błagał, pan Kittlitz czekał na odpowiedź ze śląskiego Löwenbergu^[30]. Wysłał tam gońca z pilną wiadomością do Urzędu Ławniczego, że zagrodnik Adam Kubisch, zwany Starym Doboszem, opowiadał, iż widział kobiety z jego wioski udające się na spotkanie z Szatanem. Pytał, co ma dalej robić, bowiem jak dotąd nie miał do czynienia z takimi sprawami.

– Wolałbym, żeby mi nie doniesiono o gadaniu Dobosza w karczmie. – Kittlitz przemierza komnatę tam i z powrotem. – Pastorze, niech pan coś powie.

Pastor potrząsa głową ze zboląłą miną.

– Nie można udać, że nic się nie dzieje, kiedy jakieś ciemne siły zamieszkały w twoich dobrach, panie.

– Ciemne siły?

– Niektóre zdarzenia mogły być dziełem przypadku, lecz śmierć dzieci... – Ściśnięte gardło nie pozwala duchownemu mówić.

Kittlitz czeka, aż pastor się uspokoi. Patrzy ze współczuciem na posiwiąłą głowę. Oboje z żoną pragną potomstwa. Barbara nawet bardziej niż on. Zrobiłaby wszystko dla posiadania dziecka. To, jak jest zdesperowana, nie pozwala mu się przyznać, że być może on jest przyczyną jej cierpienia. Boi się, że zamieniłaby jego życie w piekło. Woli więc, by ona czuła się winna.

– Jesteście, panie, odpowiedzialni za swoich poddanych – odzywa się znowu kapłan. – Nie możecie ich dusz oddać na zatracenie. Szatan jest silny, a będzie silniejszy, jeśli nie potrafimy stawić mu czoła.

– Ale to będzie oznaczać stosy?

– Może wystarczy sprawę wyjaśnić. Napisaliście przecież do Löwenbergu. Czekać na odpowiedź. Zrobicie, co wam poradzą. Jeśli będą potrzebne stosy, nie wasza to decyzja, a Urzędu Ławniczego.

Pukanie do drzwi przerywa rozmowę.

– Goniec przybył – oznajmia służący.

– Dawaj go!

Młodzian, choć zmęczony i brudny, nie dał sobie na wytchnienie ani chwili.

– Szybko się uwinąłeś – chwali Kittlitz. – Potem cię nagrodzę. Idź do kuchni. Niech cię nakarmią, a potem się prześpij.

Pan zamku długo czyta odpowiedź Urzędu Ławniczego. Jeden, a potem drugi raz. Pastor też chciałby ją poznać, lecz Kittlitz nic nie mówi. W końcu duchowny zdobywa się na odwagę:

– Panie, co napisali?

– Mam powołać sąd, żeby przesłuchał Kubischa. Jeśli będzie milczał, oddać go katu, by rozwiązał mu język.

– Kata trzeba będzie sprowadzić.

– Nie kat jest kłopotem, a to, co powie Kubisch.

– Boicie się, że powie, które kobiety służyły Szatanowi? Przecież to dobrze. Uda się zło zdusić w zarodku.

Johann von Kittlitz milczy. Wpatruje się w list, jakby chciał z niego wyczytać przyszłość. Przeczuwa, że skończyło się dotychczasowe życie. Na jego barkach spoczął ciężar odpowiedzialności za dusze poddanych. Nie chce tego, lecz, wierząc w Boga, nie może lekceważyć Szatana. Z ciężkim westchnieniem odkłada list i każe wołać pisarza.

Gundermann, kat z odległego o niecałe dwa dni drogi Zbąszynia, wiedział, że są w potrzebie. Inni kaci nie dali się wynająć. Ten z Zulich w Boże Narodzenie bierze ślub w Breslau, a z Grünbergu ma pełne ręce roboty.

Pan Kittlitz i wójt Kolska bardzo się zmartwili, kiedy usłyszeli, że za każde pojedyncze spalenie, powieszenie lub ścięcie poprzedzone torturami trzeba będzie katu zapłacić cztery srebrne talary, a chłosta jest płatna dodatkowo. Prócz tego Gundermann zażądał dla siebie ciepłej izby, dla konia miejsca w stajni, obfitego pożywienia dla siebie i równie dobrego dla konia, piwa, ile zapragnie, i dwie kwarty wina do każdej wieszery. Dowiedziawszy się, że wynajmujący nie dysponują odpowiednimi narzędziami do tortur, zgodził się wziąć swoje, ale od razu podał stawkę za ich wydzierżawienie.

Trudno, nie ma wyjścia. Trzeba zacisnąć zęby i ponieść koszty. Pozostaje tylko nadzieja, że Kubisch kłamał albo że wie o jednej, najwyżej dwóch czarownicach.

Pewnego dnia na początku grudnia na zamkowy dziedziniec wjechał wóz z płócienną budą. Wysoki barczysty mężczyzna z twarzą zniekształconą bliznami po ospie zeskoczył na ziemię i się rozejrzał. Kiwnął dłonią obleczoną w rękawiczkę na chłopca stajennego, oddał mu lejce i bez słowa wszedł do zamku drzwiami dla służby.

Stary Dobosz już ze trzy razy stawał przed sądem złożonym z wójta Kolska i przysięgłych ławników sądowych. Wielogodzinne przesłuchania nie przyniosły żadnego rezultatu. Oskarżony nie pamiętał, co mówił w karczmie po pijaku, i żadnych bab na miotłach nie widział. Wszystko się zmieniło, gdy spojrział w oczy katu.

Adam Kubisch siedzi na stołku w przyzamkowej kuźni i trzęsie się

z zimna i strachu. Potężny mężczyzna w skórzanym kaftanie nie zwraca uwagi na przerażonego starca. Ze stoickim spokojem rozkłada cęgi, szczypcę, nożyce, igły, dłuta i bicze. Na koniec przynosi szeroką ławę z żelaznymi obręczami przymocowanymi w takich miejscach, że można się domyślić, do czego służą.

W zacisznym kącie, tam, gdzie powiewy grudniowego wiatru nie są zbyt dokuczliwe, przygotowano miejsca dla sądu i pisarza, którego zadaniem będzie protokołowanie zeznań. Świeca postawiona obok niezapisanej księgi pali się niespokojnym chybotliwym płomieniem. Urzędnik już jest. Czeka na sędziów, po raz kolejny sprawdza, czy pióro dość ostre i czy starczy inkaustu w kałamarzu. Wszystko, byle nie patrzeć w stronę kata.

Nareszcie są. Nie wszyscy. Jest tylko wójt i trzech ławników. Inni się wykręcili brakiem czasu. Nie od razu zajmują miejsca. Rozglądają się, a na ich twarzach maluje się zaskoczenie. Jak mamy pracować wśród kowalskich narzędzi, uważając, by nie dotknąć okopconych ścian? Dlaczego kazano nam przyjść właśnie tutaj, gdzie nawet nie ma drzwi? Zamarzniemy, zachorujemy i Bóg wie co jeszcze. Czy nie należy się nam odrobina szacunku i wygody? Wszystko przez upartego jak osioł Dobosza. Powinien był od razu powiedzieć, co wie, i byłoby po sprawie. Rzucają oskarżycielskie spojrzenia na skurczonego starca.

Przesłuchanie się zaczęło. Zadają te same pytania, co poprzednio. Odpowiedzi padające ze zsiniałych ust też nie różnią się od udzielonych przed dwoma dniami. Nie ma wyjścia. Nie będą przecież siedzieć tu bez końca. Wójt, będący jednocześnie przewodniczącym sądu, głową daje znak katu.

Dobosz się nie opiera. Złapany za ramiona i prawie uniesiony ze stołka, wisi teraz na belce, podciągnięty na linie oplatającej nadgarstki. Bose stopy ledwie dotykają cegieł podłogi. Pytają jeszcze raz. Nie czują się dobrze, widząc mękę znanego im dobrze kompana od dzbana z piwem, grajka i opowiadacza wojennych historii. Niechby się przełamał, niechby powiedział cokolwiek, wydał choć jedną babę, wtedy puszcza go wolno.

Na widok pierwszej krwawej pręgi na plecach starca robi się gorąco tym, którym dopiero co dokuczał chłód. Po drugim, jeszcze mocniejszym smgnięciu biczem z ust Dobosza wydobywa się przeraźliwy jęk, a potem długo wyczekiwana obietnica:

– Powiem! Nie bijcie! Powiem wszystko!

– Czy znasz czary? – Pytanie ledwie przechodzi wójtowi przez usta. Strach go ogarnia, jakby wypowiedziane słowo czyniło go współnikiem ciemnych mocy.

– Znam.

– Od kogo?

Opuszczona głowa Dobosza nie pozwala zajrzeć mu w oczy i poznać, czy mówi prawdę.

– Od mojej żony.

– Kłamiesz. Twoja baba nie żyje.

– To było dawno, z osiem wiosen temu...

– Mów, jak poznałeś czary.

Dobosz się namyśla. Kiedy sędziowie zaczynają się obawiać, że konieczne będzie kolejne smgnięcie biczem, starzec zaczyna opowiadać:

– Jednego wieczoru przysłała do mnie i powiedziała, że pokaże mi coś pięknego i weselszego od najbardziej udanego odpustu. Spytałem, gdzie to jest, a ona, że trzeba tam pojechać. Wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z domu. Na podwórzu czekał na nas biały koń. Wsiedliśmy na niego, a on nas powiózł na górę pod krzyżem. Zobaczyłem tam pana w rycerskich szatach siedzącego na królewskim tronie. Ten pan powiedział, że jeśli chcę być z nimi, muszę się wyprzeć tego, któremu dotąd służyłem. Jeśli to zrobię, będę miał wspanialszego pana i niczego w życiu mi nie zabraknie.

– I co zrobiłeś? Wyparłeś się naszego Pana, Boga Wszechmogącego?

– Wyparłem.

Wszystkich, łącznie z pisarzem, ogarnia zgroza. A więc to prawda! Diabelski spisek istnieje!

Wójt aż ugina się pod brzemieniem Doboszowych słów.

– Wołaj pana! – krzyczy do chłopaka, który akurat zajrzał do kuźni.

Błada twarz von Kittlitzta staje się jeszcze bledsza. Nadzieja na rychłe zakończenie procesu właśnie się rozwiła. Lęk go ogarnia na myśl, z jakimi mocami będzie musiał się zmagać. Siada na ławie obok pisarza i daje znak, że sędziowie mogą wrócić do przepytywania.

– Co było dalej?

– Dalej? – Starzec trzęsie się z zimna i bólu.

– Co zrobiłeś, kiedy już wyparłeś się Boga Wszechmogącego? Czy złożyłeś przysięgę nowemu panu? Temu, który siedział na tronie?

– Tak, tak, złożyłem.

– Co potem?

Dobosz omal nie spada z krzesła, taki jest słaby.

– Dajcie pić – prosi.

Wójt ogląda się na Kittlitzta. Lekkie skinienie głową odczytuje jako zgodę.

– Co potem? – Po przerwie na ugaszenie pragnienia wójt powtarza pytanie.

– Zaprosił mnie do stołu i najadłem się do syta.

– A dalej?

– Kazał mi grać do tańca na okarynie.

– Do tańca? Nie mówiłeś, że ktoś jeszcze tam był. Kto tańczył?

Dobosz się zastanawia, niby sobie przypominając, a w głowie Kittlitzta na moment pojawia się podejrzenie, że stary zmyśla.

– Tańczyła królowa czarownic, oblubienica czarnego pana.

– Poznałeś ją? To któraś z naszych bab?

Znowu chwila namysłu.

– Gospodyni proboszcza. Ona jest królową czarownic.

Jeśli powiedział to, licząc, że w tak nieprawdopodobną wiadomość nikt nie uwierzy, bardzo się pomylił. Wójt ogłasza krótką przerwę. Sędziowie

wychodzą na zewnątrz, by ochłonać. Już nie przeszkadza im zimno. Wiadomość jest wstrząsająca. Szatan umieścił swoją pomocnicę przy samym pastorze! Jest gorzej, niż można było przypuszczać.

Wracają do przepytывania, a pisarz starannie odnotowuje każdą odpowiedź. Na koniec dnia von Kittlitz oraz każdy z sędziów ma w głowie przerażający obraz tego, co przez lata działo się pod ich bokiem, a oni niczego nie zauważyli. Jak mogli być tacy ślepi? Jak mogli dopuścić, by kobiety, które znali albo wcale nie zwracali na nie uwagi, nocami wiodły drugie życie, spółkowały z królem piekieł i zadawały śmierć ludziom i zwierzętom?

Jutro Stary Dobosz będzie dalej opowiadał, lecz już dzisiaj trzeba postanowić, którą z bab biorących udział w tańcach z Szatanem sprowadzić przed oblicze sądu.

– Wdowę Villborn – decyduje von Kittlitz. – Razem z Doboszą sprowadziła chorobę na moją żonę, potem udawała, że ją leczy, a na koniec użyła czarów, by się zemścić za odmowę zapłaty. Z samego rana poślę po nią służącego. Niech się wytłumaczy.

Odkąd pan Kittlitz kazał zamknąć Starego Dobosza, Anny nie opuszcza łąk. Wieść o przybyciu kata pogłębiła go do tego stopnia, że prawie nie wychodzi z chaty. Dzisiaj z samego rana miała pójść z ziołami do Lipki, do starej Theilin, ale posłała Urszulę, a sama zajęła się robieniem sera.

– Po co kat? – mówi do siebie głośno. – Biedny Stary Doboszu, jakich głupstw musiałeś nagadać, że aż kata sprowadzili?

Najpierw Rotpilz zasiał w ludziach podejrzania, teraz całkiem się wystraszyli i siedzą w chałupach. Gdyby nie to, w dworskich wsiach huczałoby od plotek. Może nawet dałoby się jakoś dowiedzieć, co się dzieje w zamku i do czego kat potrzebny. A tak cisza jak makiem zasiał.

Głośny dźwięk tłukącego się garnca wrywa ją z zamyślenia. Anna załamuje ręce. Niechcący straciła ze stołu połowę dzisiejszego obiadu. Miała być polewka z serwatki z pokruszonym serem, a teraz musi wymyślić coś innego. Sprzątnąwszy gliniane skorupy, szmatą zbiera

z klepiska resztki serwatki. Słyszy, że ktoś wszedł do sieni, ale nie przerywa pracy. „Pewnie Paweł wrócił od rymarza – myśli. – Chyba uprząż jeszcze niegotowa”.

To nie wnuk. W otwartych drzwiach staje nieznany mężczyzna. Patrzy na kobietę klęczącą nad mokrą plamą, jakby się jej obawiał.

– Wdowa Villborn? – pyta niepewnie.

– A ty kto?

– Sługa z zamku.

– Nigdy cię nie widziałam.

– Nie musiałaś. – Mężczyzna wzrusza ramionami. – Jesteś Hansową Villborn?

– Jestem. – Anna podnosi się z kolan. – Czego chcesz?

– Masz przyjść do zamku.

– Nigdzie nie pójde. Pani jeszcze nie zapłaciła za tamte razy.

– Pan Kittlitz kazał cię przyprowadzić.

– Chce zapłacić?

– Nie wiem. Mam cię przyprowadzić.

– Dobrze, przyjdę, ale później. Teraz muszę ugotować polewkę. Moi niedługo wrócą z lasu.

– Teraz – upiera się sługa. – Pan kazał, żebyś przyszła od razu.

Anna czuje, jak niepokój, który w sobie nosiła od wielu dni, zaczyna rosnać. Wsuwa stopy w drewniane chodaki, sięga po chustę, wraca jeszcze do paleniska, by zasypać ogień popiołem, zamyka za sobą najpierw jedne, potem drugie drzwi i rusza za zamkowym sługą. Po kilku krokach, kiedy lęk jest tak wielki, że rozrywa piersi, ogląda się na chałupę, choć nigdy tego nie robiła. Idzie za mężczyzną z uniesioną głową. Jeśli ktoś patrzy zza węgła, niech nie domyśla się strachu.

Z Grünwaldu do Kolzig nie jest daleko. Anna, idąc, zwykle szeptała modlitwy. Dzisiaj też próbuje, lecz rosnący strach zajął już gardło i zmroził usta. Za to myśli tłoczą się w głowie, jakby chciały ją rozsadzić.

„Nie pożegnałam się. Nie ucałowałam córek i wnuków. Nie pobłogosławiłam. – Kobieta skarży się bezgłośnie. – Muszę na nich spojrzeć choć jeden raz. Muszę!”

Za tym polem las jest blisko. Można się w nim ukryć, poczekać, aż wszyscy wrócą do chaty. Anna zsuwa z nóg chodaki i bosu rzuca się do ucieczki. Biegnie co sił po nierównej grudzie, ale młody mężczyzna jest szybszy. Już słyszy jego świszczący oddech, a po chwili czuje żelazny uścisk na ramieniu.

– Mam cię, więdźmo! Myślałaś, że uciekniesz, starucho? Już pan Kittlitz się z tobą policzy.



Państwo Kittlitz siedzą przy kominku, pijąc wino z korzeniami. Dzień jest tak zimny, że trudno wytrzymać z dala od ognia.

– Powiedziała coś? – Czekając na odpowiedź, Barbara pochyła się w stronę męża i próbuje zajrzeć mu w oczy.

– Nic, ale była przesłuchiwana łagodnie. Sędziowie ją przepytawali, podając, co zeznał Kubisch. Ona zaprzeczała. Twierdziła, że Stary Dobosz jest znany z plotkowania i opowiadania niestworzonych historii.

– Kłamie!

– Nie jestem pewien. Nieraz słyzałem jego gadki. Przechwalał się wojennymi czynami i mówił o cudach widzianych w innych krajach.

– To co innego. Nie bądź naiwny – mówi zdenerwowana pani Kittlitz. – Sługi diabła są sprytne. Potrafią mydlić oczy, udawać i zwodzić takich jak ty.

– A jeśli ta kobieta i on są niewinni? Będę ich miał na sumieniu.

– Nie ty, a sąd. A jeśli masz wątpliwości, przypomnij sobie, ile nieszczęść spadło na okolicę w ostatnich latach. Nie pamiętasz już tej strasznej burzy nad Lipką trzy lata temu? Zniszczyła całe zbiory na tamtejszych polach. Zapomniałeś, ile dzieci umarło i że ubiegłej zimy

drzewo przywaliło drwali, spadając inaczej niż powinno? Nie pamiętasz o siostrze ławnika, którą nagle pokręciło i do dzisiaj nie podniosła się z łóżka? Nie słyszałeś o krowach, które przestały dawać mleko, i owcach, co je padłe znaleziono na moczarach?

– Dziwię się, skąd ty, moja droga, wiesz o tym wszystkim. Nie przypominam sobie, żeby cię wcześniej interesowały takie sprawy.

– Gdybyś posłuchał, co mówi służba...

– Zauważ, że oni mówią to dopiero teraz, kiedy zaczął się proces.

– Uważasz, że przesadzam?! – Pani Kittlitz zrywa się z krzesła. – Mówię prawdę! Nikt inny tak silnie nie odczuł działania czarownic jak ja! Skąd bóle głowy nie do wytrzymania? Skąd kaszel, reumatyzm? Z niczego? Bo taka już jestem? Pochodzę ze zdrowego, silnego rodu. Nie ma w nim słabych i chorowitych. Kobiety rodzą nawet po dziesięcioro dzieci. Tylko nie ja! Nie ja! Dlaczego akurat nie ja?!

Przestraszony stanem żony Kittlitz bierze ją w ramiona i głaszcze po plecach.

– Uspokój się, Barbaro, bo sobie zaszkodzisz. Masz rację. To wszystko jest trudne do wytłumaczenia. Jutro wdowa Villborn zostanie oddana katu.



Niesłychana jest krnąbrność tej kobiety. Biczowanie nie pomogło. Najpierw zacisnęła zęby i patrzyła na nich wielkimi oczami, aż dreszcze przechodziły po plecach. Dopiero za trzecim uderzeniem zaczęła krzyczeć, ale nie wołała, by przestać, bo już powie. Naradzili się, co robić dalej, bo przecież nie chcą, by umarła od bicia, póki wszystkiego nie wyzna.

Są trochę bezradni. Ławnicy to zwykli chłopcy i rzemieślnicy. Większość nie umie czytać, o pisaniu nie wspominając. Skąd mają wiedzieć, co robić? I te jej oczy! Mogłaby na nich nie patrzeć. Najlepiej, gdyby zeznawała z chustą na głowie. Bo jak patrzy, to myślą o dzieciach, którym pomogła się urodzić, o brzuchach uleczonych z krwawej biegunki,

o ukojonych febrach i zaklęciach na dobre kochanie. Każdy sam jeden puściłby ją wolno, ale boi się drugiego, żeby nie powiedział, że pomógł czarownicy. A może to jej sposób, żeby przez patwienie i przypominanie dobrego zmiękły im serca i darowali słudze Szatana?

Co dalej? Co robić?

Anna w koszuli przyklejonej do pleców przeciętych biczowaniem siedzi na stołku i trzęsie się z zimna i bólu. Czepek nie zakrywa już włosów. Rozpuszczone i potargane opadają na plecy i ramiona. Choć cała drży, patrzy na nich, zadając udrękę.

– Trzeba zapytać kata – decyduje wójt. – Miał do czynienia z czarownicą. Wie, jak ją rozpoznać.

Pytać kata? Miny mają nietęgę. Poniżyć się i oddać pole katu, jakby sami nie mieli rozumu?

Wójtowi też się nie widzi rozmowa z katem, a pan Kittlitz kazał osiodłać konia i pojechał do lasu. Niby że to nie jego sprawa, a sądu. On ma co innego do roboty, Piłat jeden.

– Panie Grundmann – przełamuje się wójt – mówiono o was, że jedna czarownica poniosła śmierć z waszych rąk. Prawda to?

– Prawda.

– Jak wyglądało śledztwo? Czy robiliście coś więcej niż tutaj?

– Pewnie. Tam był urzędnik znający się na czarostwie. On wiedział, jak rozpoznać sługę Złego.

– Powiedzcie nam, jak to było.

– Po kolei nie pamiętam, ale mówią, że czarownice mają na ciele znaki dane przez diabła. Trzeba taką rozebrać do gołego, ogolić i poszukać, czy gdzie nie ma diabelskiej pieczęci.

– Obcą babę rozebrać?

Naradzają się. Nie, o czymś takim nie będą decydować, postanawiają. Jeszcze potem ktoś ich samych posądzi o Bóg wie co.

– A co innego, tak żeby zaczęła gadać?

- Są zwykłe sposoby, dobre na zwyczajnych złoczyńców.
- Dzięki Bogu. Róbcie, co trzeba. Byle pręcej to skończyć.

Oczy Anny śledzą każdy ruch potężnego mężczyzny. Wodzą za nim, kiedy dorzuca polan do ognia, kiedy stoi nad rozłożonymi narzędziami i zastanawia się, które będzie odpowiednie, i kiedy wkłada do ognia cęgi, tak by żelazne szczęki doprowadzić do czerwoności.

Opiera się katu ciągnącemu ją ku dziwnej ławie. Patrzy jeszcze na sędziów, lecz nie spotyka niczyjego wzroku.

Żelazne obręcze zatraskują się na nadgarstkach, kostkach nóg i szyi. Na próżno się szarpie. Zimny metal kaleczy skórę, a plecy pocięte biczem znowu zaczynają krwawić. Anna nieruchomieje.

– Czekaście! – Jeden z ławników nie wytrzymuje napięcia. – Zapytam ją jeszcze raz. Może teraz powie i nie będzie trzeba... – Nie kończy. Głos mu się łamie. Siada z powrotem i ukrywa twarz w dłoniach.

Zamiast niego nad Anną rozciągniętą na ławie pochyła się wójt.

– Wdowo Villborn, wyznaj swoje winy, zanim oddamy cię katu.

– Jakie winy?

– Przeczytajcie jeszcze raz, co zeznał Adam Kubisch. – Wójt zwraca się do pisarza.

Anna słucha, wpatrzona w ceglane sklepienie.

– Przyznajesz się do tańców z diabłem, trucia dzieci i szkodzenia pani Kittlitz?

– Staremu Doboszowi robiliście to samo, co mnie? – Nie usłyszawszy odpowiedzi, kobieta dodaje: – Wszystko to kłamstwa wzięte ze strachu. Nie tańczyłam z diabłem i nie szkodziłam pani Kittlitz.

– Zatem się nie przyznajesz?

– Nie.

– Zapiszcie, że nie przyznała się po dobroci.

– To, co powiedziała o Kubischu, że kłamał ze strachu, też? – upewnia się pisarz.

– Po co? Wystarczy napisać, że nie chce mówić po dobroci. – Wójt się denerwuje.

Cęgi nagrzane. Można zaczynać.

Kat staje nad kobietą przytwierdzoną do łąwy żelaznymi obręczami. Zastanawia się, które miejsce na jej ciele nadaje się najlepiej. Jest chuda, sama skóra i kości. Zawsze można za coś cęgami chwycić, ale lepiej, kiedy ciało jest więcej.

Patrzy na nią, jakby nie była człowiekiem. Nawet nie zwierzęciem. Raczej kawałkiem drewna do ociosania.

Potężne łąpska zbliżają się do szyi. Anna nabiera powietrza. Niepotrzebnie. To, co miało być duszeniem, jest trzaskiem rozdzieranej koszuli.

Uwięzione obręczami ręce próżno się rwą, by zasłonić obnażone ciało. Wszyscy mogą patrzeć na pomarszczoną skórę, piersi opadnięte na boki i ciemne sterczące brodawki. Nikt nie widzi łez ginących w splątanych włosach.

Kat znowu jest przy niej. Odszedł tylko na chwilę, by włożyć rękawice i wziąć rozgrzane cęgi.

Anna już nie myśli o wstydzie. Jej wzrok skupia się na gorących szczękach zbliżających się do piersi.

Nagle o sklepienie uderza wycie.

Pisarz rzuca pióro i wybiega na zewnątrz. Kuca przy ścianie kuźni, zasłaniając uszy. To nie pomaga. Wciąż słyszy głos niepodobny do niczego.

Kobieta wyje, choć kat przerwał. Kawałki mięsa wyrwanego z obu piersi skwierczą w ogniu. Cęgi znowu się grzeją.

Wycie przechodzi w jęk. Anna rozciągnięta na ławie pragnie jedynie się skulić, otoczyć ból ciałem i zapaść w ciemność.

– Sama tego chciałaś. Mogłaś mówić po dobroci. – Mimo twardości słów pobladle usta wójta drżą. – Powiesz teraz wszystko czy znowu oddać cię katu?

Oczy kobiety niemal wychodzą z orbit. Chce coś powiedzieć, lecz z gardła wydobywa się jedynie charczenie.

– Dajcie jej pić.

Charczenie zamienia się w kaszel. Zimna woda chłodzi usta i moczy łąwę.

– Powiem, co chcecie.



Tytus jest zły na siebie. Nie powinien był pić tyle wina. Niby nic się nie stało. Dziewczyna zachowuje się, jakby nie było tamtej rozmowy i przytulenia jej dłoni do jego policzka. Prawdopodobnie wszystko zatarł list. Chodzi teraz zamyślona, uśmiecha się do siebie i często ucieka na górę, do swojej izby. Na pewno w kółko zachwyca się obietnicami Jakuba.

Cyrulik zerka na pacjenta. Przed chwilą udało się go nakłonić do wypicia naparu z ziół sprowadzających sen. Napój już działa. Powieki mężczyzny opadają. Wreszcie można sięgnąć do schowka za słojem z pijawkami i wyjąć stamtąd list od Jakuba, który dostarczono jednocześnie z tym dla Rozali. Po co czyta go po raz drugi lub trzeci? Przecież nie przeoczył niczego.

W piśmie przeznaczonym dla Tytusa syn markizy obiecuje, że zaraz po Zmartwychwstaniu przyjedzie do Zulich. Obecnie razem z matką przebywają w Paryżu. Jakub donosi, że kiedy po Bożym Narodzeniu zacznie się okres składania wizyt i balów, ma być przedstawiony Ludwikowi XIV. Dzięki temu będzie miał okazję do przedłożenia władcy skargi na stryja. W załatwieniu audiencji pomogła polska królowa, ale złote dukaty na cenne prezenty dla całego łańcucha pośredników matka sama wyłożyła. Uznała bowiem, że warto ryzykować, jeśli pomoże to odzyskać majątek i tytuły należne jej synowi. Na koniec, jakby mimochodem, Jakub wspomina, że zamierza rozmówić się z Rozalią.

„Rozmówić się z Rozalią? – denerwuje się Tytus, chowając list. – Co to

znaczy? Chyba nie myśli o niej jak o przyszłej żonie. Markiza nigdy się na to nie zgodzi. Gdyby nawet Jakub się uparł i postawił na swoim, jego matka zamieniłaby to małżeństwo w piekło. Szkoda dziewczyny”.

Chłodno. Cyrulik patrzy na swe białosine dłonie. Pacjentowi, choć przykryty pierzyną, także może być zimno.

– Helgo! – Tytus wystawia głowę za drzwi. – Przynieś drew i rozpal ogień!

Piec z ciemnozielonych kafli został postawiony niedawno. Wejście do komina znajdowało się w izbie od samego początku, ale dawny właściciel go nie wykorzystał. Dopiero Tytus uznał, że nie wypada zimnem męczyć ludzi, którzy będą płacić za łóżko i opiekę.

Głowa pacjenta spoczywająca na poduszce owinięta jest płóciennym bandażem. Krwawe plamy na twarzy przybrały fioletowozielonkawy kolor. Teraz mężczyzna śpi, ale jeszcze przed kwadransiem zrywał się z łóżka i wołał, że jest zdrow i gotów do dalszej podróży.

Kupiec handlujący suknem miał dwa dni temu wypadek. Tuż przed bramą wjazdową do miasta konie ciągnące wóz czegoś się wystraszyły. Mężczyzna spadł, uderzając głową o kamień. Tytus, który akurat wracał dwukólką ze wsi, zaopiekował się rannym, a towarem zajęli się słudzy kupca. Cyrulik opatrzył rannego, a że ten parę razy zwymiotował, kazał mu spokojnie leżeć, aż poczuje się lepiej.

Helga wchodząca z drewnem ma wiadomość:

– Przysłali po was z zamku. Kucharz się poparzył.

– Idę! Powiedz Rozali, żeby zeszła na dół i posiedziała z kupcem. Niech pilnuje, by nie wstawał.

– Jakbym ja nie mogła posiedzieć – narzeka gospodyni w stronę zamykających się drzwi. – Ja jestem do dźwigania drewna i do palenia w piecu, a do siedzenia ona.

Rozalki nie trzeba wołać. Kiedy tylko usłyszała, że Tytus wychodzi, zjawiła się na dole.

– Tamten ma nie wstawać. – Helga przekazuje polecenie cyrulika. –

I ognia pilnuj.

– Dziękuję! Lubię to robić – odgryza się dziewczyna.

Mistrz Haase zostawił niedokończoną robotę. Porcja jakiegoś proszku na jednej szalce wagi i małe odważniki na drugiej. Rozala wsypuje specyfik do przygotowanego słoiczka, myje szalkę i odstawia wagę. „Co by tu jeszcze...?” – zastanawia się.

– Podejdz, dziewko! – Mężczyzna, schowany dotąd pod pierzyną, właśnie się obudził. – Ktoś ty?

– Rozalia, pomocnica mistrza Haase.

– Ale chyba nie córka. Za młody przecież.

– Nie córka. Wychowanica jego żony.

– Zapal świecę. Chcę cię dobrze obejrzyć.

– Jestem tu do pomocy, nie do oglądania.

– Harda z ciebie dziewczka. Lubię takie – mówi z zadowoleniem fioletołowicy. – Chodź do mnie. Daj buzi, a dostaniesz szeląga. – Powiedziawszy to, siada, układając usta w dzióbek.

– Ropuchę wolałabym pocałować! – Rozala nie może opanować złości. – Mistrz kazał pilnować, żebyście leżeli, to i leżcie, bo jak nie, to wam w łeb przyłożę.

– Co to za krzyki? – Helga wsuwa głowę do izby i bacznie się rozgląda. – Powiem panu, że niestosownie się odzywasz do chorego człowieka – grozi. – Taka z ciebie pomocnica.

– Jak z was lepsza, to tu siedzicie. Ja pójdę do studni po wodę.

„Co mi się stało? – Rozala z wiadrami na nosidle maszeruje środkiem uliczki. Błoto ściągnięte mrozem, nie musi więc zbytnio uważać. – Mistrz Haase będzie zły. Mogłam trzymać język za zębami” – robi sobie wyrzuty.

Od tamtego wieczoru, kiedy cyrulik wypił za dużo wina, czuje nieustanne podenerwowanie. Nawet list od Jakuba nie rozwiązał niepokoju. Przeciwnie, ilekroć o nim myśli, denerwuje się jeszcze bardziej. O czym chce z nią rozmawiać? Po co to napisał? Nie mógł po prostu przyjechać?

Chce się pochwalić, że jest markizem? „Mam osiemnaście lat! – myśli Rozala ze strachem. – Pani Barbara wciąż mówi o zamążpójściu. A ja nie chcę nikogo, tylko Jakuba”.

Zrozumiała to wtedy, gdy spojrzeli sobie w oczy i splotły się ich palce. Chce Jakuba, lecz on nie dla niej. Gdyby pozostał tym, kim był kiedyś, pasowałiby do siebie. Teraz nie ma takiej mocy, która by ich połączyła. Nie ma znaczenia, że umie czytać, pisać, potrafi opatrywać rany, a nawet składać zwykłe złamania. Dla markizy i świata, z którego pochodzi, jest najwyżej wychowanicą żony cyrulika, czyli NIKIM.

„Z NIKIM Jakub nie może się ożenić. NIKT nie może być matką szlacheckich synów. Mimo to pragnę Jakuba!” – chciałaby wykrzyknąć, wyciągając ze studni wiadro pełne wody.

Nosidło wrzyna się w kark, ale ona dumnie unosi głowę. „Powiem mu, że ktoś się o mnie stara. Nie zniosę odrzucenia. Udam, że nic dla mnie nie znaczy” – postanawia.

W domu mistrza Haase też nie jest jak dawniej. Pan Tytus rozmawia z nią jakoś inaczej, jakby się gniewał. Nie marszczy brwi ani nie krzyczy, ale nie patrzy w oczy i nie mówi niczego miłego. Wszystko przez wino. Mistrz zgłupiał od niego i wziął ją za rękę. Nie tak jak kiedyś, kiedy ją uczył upuszczania krwi albo przecinania wrzodów. Tego wieczoru, kiedy byli sami w izbie, poczuła to samo, co do Jakuba. I wcześniej na schodach też. Nie może o tym zapomnieć. Mistrz chyba też. Dlatego na nią nie patrzy.

Ból karku jej się należy. Powinna go czuć bez przerwy. Będzie chodzić po wodę tam i z powrotem. Byle zgubić niepokój i grzeszne myśli.

– O co poszło? – Tytus poprosił Rozalę na korytarz i dopiero tam zadał pytanie.

– Chciał dać mi szeląga za pocałunek.

– Żartował.

– Nie. Usiadł w pościeli i wyciągnął ręce, żeby mnie objąć.

Na korytarzu jest ciemno. Nie widzi twarzy mistrza Haase, ale słyszy gniewne sapnięcie.

- Mogę go przeprosić.
- Nie trzeba. On się z tego śmieje.
- To czemu się gniewacie?

W ciemnościach łatwiej się rozmawia. Mogliby sobie wszystko wyjaśnić, lecz za drzwiami na pewno czai się Helga.

- Nie na ciebie. Na niego. Obraził cię – szepce.
- Nie obraził. Przywykłam. Przecież chodzę do żebraków – odpowiada mu równie cicho.
- Rano mu powiem, żeby zapłacił i przeniósł się do oberży.
- Nie trzeba. Straciecie zarobek. Nie będę do niego wchodzić. To wystarczy.
- Postanowiłem. Nie chcę go pod swoim dachem.

Gdyby Tytus mógł ją zobaczyć, ujrzałyby rumieniec oblewający policzki. Sam też ma wrażenie, że w mroku i szeptaniu we dwoje jest jakaś grzeszna intymność.

Gwałtowne otwarcie drzwi do kuchni i pojawienie się Helgi z latarnią w jednej i kubkiem w drugiej ręce sprawia, że czują się jeszcze bardziej skrępowani niż przed chwilą.

Gospodyni udaje, że niczego nie zauważyła. Jak gdyby nigdy nic niesie ciepłe mleko dla pani Barbary.

Najlepiej myśli się w nocy pod ciepłą pierzyną.

Rozala przytula się mocniej do siennika. Pod spodem, dokładnie na wysokości serca, ukryty jest list od Jakuba. Nie musiała go chować, bo jedynie Helga szpera w jej rzeczach, a ona nie umie czytać. List przy sercu jest trochę jak ramię Jakuba. Dodaje otuchy i pozwala marzyć.

Marzyć? O czym? O życiu w wielkim zamku w obcym kraju?

Wsuwa palce pod siennik i opuszkami gładzi szorstki papier. Im dłużej

go dotyka, tym większą czuje rozterkę.

Wędrująca dłoń sięga po Dorotkę. Gałgankowa kukła tuli głowę Rozali, a makowa spódnica jak zawsze pachnie owsianą słomą. Ale nie jest już mamą. Jest tylko lalką z zamkniętymi ustami i oczami bezdusznie wpatrzonymi w przestrzeń.

– Możesz jechać.

Rozala, klęcząca właśnie przed panią Barbarą, podnosi głowę. Jest zaskoczona, bo kiedy poprosiła opiekunkę o zgodę na wyjazd na wesele Tobiasza, wnuka Anny Villborn, usłyszała zdecydowaną odmowę.

– Co tak patrzysz? Możesz jechać.

– Dziękuję. Nie spodziewałam się, bo wcześniej...

– Jedź choćby jutro, a teraz rób swoje.

Pod kolanami pani Barbary urosło coś, co przypomina dorodne bułki. Rozala próbuje to rozmasować, ale bez rezultatu. Może dlatego pani Haase jest nieprzyjemna. Liczyła, że pomoże, a nie daje rady.

– Przywiozę wam maści od babki.

– Przywieź.

– Wrócę przy pierwszej okazji, a jak nie będzie wozu do Karge, pójdę przez las piechotą.

– Może cię wilki zjedzą.

Żartuje czy mówi poważnie? Na twarzy opiekunki nie widać cienia uśmiechu.

Dawno temu pani Barbara była miła i wyrozumiała. Czasem zdarzały się jej dni bez humoru, lecz tych dobrych było więcej. Od dwóch lat lepsze chwile zdarzają się rzadko. Najczęściej jest rozdrażniona.

Wejście Tytusa przerywa zabieg. Pani Haase obciąga spódnice, chowając gołe kolana.

– Wyjdź – mówi do dziewczyny. – Weź ze sobą nocnik.

Zostają sami.

– Czym tym razem zawiniła?

– Niczym. Skąd ta myśl? Pozwoliłam jej jechać do babki na Boże Narodzenie.

Barbara wpatruje się w twarz męża.

– Czyżbym cię zasmuciła?

– Nie. Przecież sam poparłem jej prośbę.

– Więc powinieneś być szczęśliwy.

– Jestem.

Zapada ciężkie, trudne do zniesienia milczenie.

– Trzeba coś postanowić. Ona nie może tu zostać.

– Rozalia jest twoim pomysłem. Ty ją zabrałaś od babki. Dobry uczynek tak naprawdę nim nie był. Wzięłaś ją, bo zaczęło ci się nudzić bez dziecka. – Tytus, który rzadko robi żonie wyrzuty, tym razem jej nie oszczędza. – Chciałaś ją lepić niczym glinę. Nie jest taka, jaką sobie wymyśliłaś, więc ją wyrzucasz!

– To twoja wina! Siedzę tu zamknięta, ale dobrze wiem, co się dzieje. Helga mówi mi o wszystkim. O szeptaniu po ciemku, przesiadywaniu do późna w izbie na dole i spotkaniach na schodach.

– Helga kłamie albo widzi to, czego nie ma. To ją powinnaś wyrzucić.

Barbara jakby nie słyszała ostatnich słów. Siedzi ze wzrokiem wbitym w półkę z książkami.

– Zrób coś – odzywa się już spokojniej. – Zostaw mi reszkę honoru. Ona nie może zostać pod naszym dachem. Jeśli do tej pory nic grzesznego między wami się nie zdarzyło, zdarzy się wkrótce. Nie będzie jej kilka dni. Masz czas, by postanowić, co dalej.

Lekkie kroki na schodach zapowiadają powrót Rozali.

– Mistrzu, przyszedł kupiec, którego niedawno leczyliście na głowę.

– Po co? Przecież zapłacił.

– Chce was widzieć.

Kupiec czekający w izbie cyrulika wygląda lepiej niż przed kilkoma

dniami. Kolory szpecące twarz mocno wyblakły, a bandaż, jeśli jest, to ukryty pod aksamitnym beretem. Młodość mężczyzny dawno przeminęła, lecz modny ubiór i zgrabna figura czynią go atrakcyjnym.

– Witaj, mistrzu! Przyszedłem się pożegnać. Jutro ruszam z wozami do Poznania. Na Boże Narodzenie chcę być w domu.

– Zatem niech was Bóg prowadzi, panie... Wybaczcie, zapomniałem...

– Jestem Wojciech Kotliński.

– Zatem... – powtarza Tytus, nie zamierzając przedłużać wizyty.

– Właściwie przyszedłem do panienki. Chciałem prosić o wybaczenie, a mistrz mi potrzebny, by nijakiej zniewagi niechcący nie uczynić. Taki już jestem, że na widok ładnej buzi głupieję, a wtedy jeszcze łeb mnie bolał i głupszy byłem niż zwykle. Mam dla panienki podarunek na przebłaganie. – Mówiąc to, kupiec wyciąga rękę, w której trzyma coś owiniętego w płótno.

Rozalka patrzy niepewnie na Tytusa. Ten w dalszym ciągu zachowuje się z rezerwą, ale skinieniem głowy zezwala na przyjęcie prezentu.

– Przyniosłem dla panienki kawałek sukna na spódnicę. Nawet na więcej, bo i na dwie wystarczy. Lecz nie tyle w suknie mój dar się zamyka, co w jego barwie. Rozpakujcie, panienko.

Rozala, położywszy pakunek na stole, ściąga płócienną osłonę. Jej oczom ukazuje się miękkie, delikatne, najlepszej jakości sukno.

– Makowe!

Przytłumiony wzruszeniem okrzyk mężczyzna bierze za wyraz uznania.

– Wiedziałem, że będzie się panience podobać. Takiej niepokornej dziewczynie inna barwa nie pasuje, tylko makowa. A sukno dobre, świebodzińskie – zachwała, nie zapominając, że jest kupcem.

– Dziękuję. – Tylko tyle potrafi powiedzieć Rozala.

– Nie dziękuj, dziewczyno. Dziwię się, żeś mnie wtedy nie trzasnęła po łbie. Gdyby moja Krysia, świętej pamięci, żyła, sama by mi po głowie nakładła.

– Mówiliście, że ruszacie w drogę z samego rana. – Tytus próbuje się

pozbyć gaduły.

– A mówiłem. Po drodze Unruhstadt, Wolsztyn, Grodzisk... Daleko, ale na Boże Narodzenie zdążę.

– Możecie nie zdążyć.

– Wiem, co chcecie powiedzieć. – Mężczyzna się śmieje, kłaniając się w pas. – Już wam daję spokój, mistrzu.

– Czekaście!

Tytus ogląda się na Rozalę zaskoczony.

– Weźmiecie mnie ze sobą do Unruhstadt?

– A nie boicie się mnie, panienko?

– Nie boję, a muszę się dostać do Unruhstadt. Mistrzu, pozwolicie?

W Tytusie złość aż się gotuje. „Ale wymyśliła!”

– Zanieś sukno do swojej izby i zaraz wróc.

– Ale...

– Powiedziałem.

Ledwie zamknęły się drzwi za dziewczyną, Tytus złapał gościa za poły kaftana i zbliżył twarz do jego twarzy.

– Spróbujcie ją tknąć albo obrazić, znajdę was choćby w piekle. Pamiętajcie, że jestem cyrulikiem. Wiem, jak zrobić krzywdę.

Kiedy Rozala zjawiała się z powrotem, mężczyźni wymieniali uwagi na temat pogody.

– Mistrzu, pozwolicie jechać z panem Kotlińskim?

– Jedź.



Droga do Karge jeszcze nigdy nie minęła Rozali tak szybko. Kupiec opowiadał o miastach, do których jeździł z tkaninami, o wielkich jarmarkach i rodzinnym Poznaniu. Dziewczyna nawet nie spostrzegła, kiedy zdradziła mu swoją przeszłość i uroniła łzę, mówiąc o matce.

O zasługach pani Barbary też wspomniała, i o tym, czego się nauczyła przy mistrzu Haase. Wtedy pan Kotliński powiedział, że kiedy był w Krakowie, słyszał o cyruliczce Magdalenie. Owa kobieta nauczyła się fachu od swego męża, a tak dobrze go wykonywała, że po śmierci małżonka król nadał jej przywilej zrównujący ją w prawach z innymi cyrulikami^[31].

Od tego momentu przestała słyszeć, co mówi kupiec. Myśl, że może zostać cyruliczką, była jak objawienie. Tak! Za tym tęskniła! To było jej przeznaczeniem!

Pożegnawszy w Karge kupca, wpadła do dworskiej kuchni, pragnąc podzielić się nowym marzeniem z panią Agatą. Kucharka nawet nie chciała słuchać. Miała inne, prawdziwsze wiadomości.

– Nie jedź do babki. Tam teraz niebezpiecznie. Wracaj do Zulich.

– Jak to?

– W niedzielę przed kaplicą tylko o tym mówili. Woźnica Adam Kubisch i stara Anna Villborn z Grünwaldu oskarżeni o czary.

– To nie może być prawda! – W jednej chwili wszystkie plany wywietrzały Rozali z głowy. – Ja ich znam. Stary Dobosz pięknie gra na okarynie, a ciotka Anna zna się na ziołach. Ona babkę Wigę wyuczyła...

– Co? O czym pomyślałaś?

– W tamtym roku w Grünbergu spalono wiele czarownic. O niczym innym przez całą jesień się w Zulich nie gadało, tylko o tym. Nikt ich nie żałował, bo jak się z diabłem zadawały i szkodziły ludziom, to trudno. Nawet pani Barbara mówiła, że dobrze. Ale... Jeśli to nie były żadne czarownice, tylko zwyczajne kobiety, jak ciotka Anna, a oskarżono je bez przyczyny?

– Nie wiem, dziecko. Od tego są mądrzejsi ode mnie. Ja tylko ciebie proszę, nie jedź tam. Wracaj do Zulich. Od kilku dni nie ma żadnych wieści. Nie wiadomo, czy jeszcze kogoś nie oskarżyli.

– Muszę. Może trzeba ratować babkę. Pojadę, zabiorę i do was przyprowadzę. Będziemy szły, chowając się przed ludźmi. Nikt się nie

dowie, gdzie się podziała. Pani Agato, przecież wiecie, że już raz babkę posądzili. Ktoś może sobie przypomnieć.

– A tu co? Gdzie ją ukryję? – Agata zaczyna się łamać.

– Coś wymyślicie, byle uciekła.

Lęk zaczyna ustępować. Agatę ogarnia chęć do działania.

– Weź sobie coś ze spiżarni i się najedz. Ja poszukam pana Baltazara.

Wraca już po chwili.

– Jest u nas handlarz końmi. Przyjechał po dwa źrebce zamówione wiosną. Rano wraca do Kontoppu. Możesz się z nim zabrać.



Dwa pojazdy wolno suną przez równinę, na której leży Kolzig. Są jak okręty na pełnym morzu zmierzające do tego samego portu. Ich pasażerowie jeszcze nie wiedzą, że wkrótce się spotkają, a wyboisty trakt jest drogą ku przeznaczeniu.

Ostre, choć niedające ciepła słońce świeci Rozali prosto w oczy. Nie ma sposobu, by się przed nim zasłonić, bo wisi nisko nad horyzontem i bezczelnie zagląda pod płócienną budę rozpiętą nad wozem.

Człowiek w czarnym, podobnym do skrzyni powozie ma słońce za plecami, lecz to bez znaczenia, bo topornie wykonane pudło broni dostępu jasnym promieniom. Mężczyzna zamknął oczy, ale gwałtowne wstrząsy i przechyły wehikułu nie pozwalają mu zasnąć. Przez małe okienka w drzwiach, zabezpieczone jedynie kawałkami brudnej tkaniny, wpadają lodowate podmuchy. Miał być na miejscu koło południa. Odchyła szmatę i patrzy na puste pole. Nikogo nie widać. Zniechęcony wraca do poprzedniej pozycji i zamyka oczy.



W domu babki pusto.

– Gdzie ona jest? Dokąd poszła? – Rozala mówi do siebie półgłosem,

rozglądając się po izbie w poszukiwaniu czegoś, co naprowadzi ją na ślad Wigi.

Dotyka dłonią popiołu w palenisku. Zimny. „Nie rozpałała, kiedy nie chciało się jej gotować dla siebie – pociesza się dziewczyna. – A może uciekła? Już raz to zrobiła, kiedy w Karge przyszli do niej z ogniem”.

Wychodzi na zewnątrz i staje w cieniu okapu. Coś powstrzymuje ją przed zrobieniem kroku ku przestrzeni oświetlonej słońcem. Patrzy na dachy chałup. Nad nielicznymi unosi się dym, a przecież to pora warzenia obiadu.

Delikatna smużka, ledwie widoczna na tle błękitnego nieba, płynąca z komina najbliższej chaty sprawia, że Rozala opuszcza bezpieczne schronienie i biegiem pokonuje odległość.

Tu płonie ogień i pachnie gotowaną rzepą, ale gospodyni nie widać.

– Katarzyno!

Najpierw słychać coś jakby westchnienie, potem z kąta przy palenisku wysuwa się kobieca postać.

– Jestem.

– Co ci się stało?

Katarzyna wygląda, jakby nie była sobą. Na zmizerniałej twarzy nie ma cienia dawnego uśmiechu. Oczy i nos zaczerwienione od płaczu, a pasma jasnych włosów, które młoda kobieta nieustannie poprawiała, wsuwając je pod czepek, teraz zwisają w nieładzie.

– Nasze matki oskarżone! – Wołając to, ze szlochaniem wpada w ramiona Rozalki. – Moja i Hansa. Obie zamknięte w zamku za czary. Jak nic je spalą.

– Nie wierzę. To niemożliwe. – Dziewczyna tuli płaczącą kobietę. – Wszystko się wyjaśni. Nie można spalić niewinnych.

– Kiedy one się przyznały!

– Co ty mówisz? Skąd wiesz?

– Wiem. – Katarzyna odsuwa się od Rozali, by zająrzeć jej w twarz. – Tobie powiem. Nie pójdziesz do zamku, żeby nas wydać.

W zimny grudniowy dzień trudno sobie wyobrazić miłsze zajęcie od grzania się przy palenisku, dokładania do ognia i zagładania, czy zupa w kociołku wiszącym nad ogniem już gotowa. Jednak tym razem światło płomieni rozjaśnia zatroskane oblicza. Dwie młode kobiety siedzące na krzesłach prawie dotykają się czepkami, tak poufne są sprawy, o których rozmawiają. Niezamięcione klepisko, przewrócona miotła i rozsypane polana nie mają znaczenia. Są sprawy wielokroć ważniejsze od porządku w izbie.

– W tym roku zręby zaczęły się wcześniej. Nie ma śniegu, ale mróz ściągnął błoto, ziemia twarda, dobrze się pracuje. Hans, jak większość mężczyzn, jest w lesie. – Katarzyna wyjaśnia nieobecność męża. – Wróci przed wieczorem, a jak się ściemni, pójdzie do Kolzig, do mego ojca. Potem razem odwiedzą zamkowego pisarza. Muszą uważać, żeby nikt ich nie widział. Ojciec dobrze się zna z pisarzem. Od niego wiemy, co się dzieje z naszymi matkami.

– Babka też tam jest?

– Hans nic nie mówił. Może się gdzieś schowała. Prócz Starego Dobosza, ciotki Anny, mojej matki i matki Hansa mają gospodynię pastora, ciotkę Urszulę i ciotkę Ewę, owczarzową Girgin i małą Girgin, kowalową z Kolzig i jej matkę. Nie spamiętałam wszystkich, bo są nie tylko z Grünwaldu. Co dzień kogoś biorą, a ja boję się chodzić na wieś, żeby się dowiedzieć. Wszystko wiem od Hansa, a on od chłopów, z którymi robi w lesie.

– Czy one naprawdę się przyznały?

– Tak mówił pisarz.

– Bili je albo grozili?

– Ach, bo ty nie wiesz! – Urszula odchyła się do tyłu.

– Czego? Mów!

– Mają kata. Pan Kittlitz specjalnie go sprowadził ze Zbąszynia. Żadnymi groźbami i biciem nie pokonaliby ciotki Anny. Jest z nich wszystkich najtwardsza. Nie wytrzymała dopiero, kiedy kat poszarpał ją

gorącymi cęgami.

– Tak nie wolno! Wiadomo, że kiedy boli, człowiek może skłamać. Ławnicy na to pozwolili?

– To ławnicy oddali ją w ręce kata.

– Przecież ciotka Anna wójta Kolzig uratowała kiedyś od śmierci! – Rozala jest oburzona. – Babka mi mówiła, że zmija go w przyrodzenie ukąsiła, kiedy usiadł na pniaku, pod którym miała legowisko. Ciotka cały zapas wężymordu na niego zużyła.

– On się jej zawsze trochę bał, tak jak wszyscy mężczyźni. Wiem od Hansa, że Johann, mąż Urszuli, wcale się nie zmartwił, kiedy ją zabrali. Poszedł do karczmy i kazał nalać sobie wina, chociaż zawsze pił piwo, bo mniej kosztuje.

– Powiedziałaś, że wszyscy się przyznali. Do czego? Co powiedzieli?

– Zaczęło się od Starego Dobosza. Kiedy kat parę razy smagnął go biczem, zaczął opowiadać, że od dawna z żoną nieboszczką mieli przymierze z królem piekieł. Często grał czarownicom do tańca na balach, co je diabeł wyprawiał na górcę niedaleko Lipki. Wtedy zaczęli go pytać, kto jeszcze tam był prócz niego i Doboszowej. I on powiedział o wszystkich babach, które mu się przypomniały. Najwięcej znał z Grünwaldu, to je wzięli pierwsze. Najpierw ciotkę Annę, drugiego dnia z rana gospodynię pastora, Urszulę i Ewę, a tylko co siedliśmy do obiadu, zabrali matkę Hansa.

– Gdzie je trzymają?

– W zamku, w piwnicach.

– Czemu Dobosza tylko bili, a ciotkę szarpali cęgami?

– Bo twarda, ale najbardziej przez panią Kittlitz. Pani uważa, że choroby ją prześladowają za sprawą ciotki Anny. Kazała ławnikom dopóty ciotkę przepytywać, dopóki się nie przyzna.

– Jak to? Przecież pani sama ją wezwała.

– Ale ciotka wzięta na męki się przyznała. Powiedziała, że moja matka ją w czary wciągnęła i że razem otruły dziecko wójta z Grünwaldu.

Chłopak pastora też umarł za jej sprawą. A co do łaskawej pani, to się przyznała, że zakopała kości i zioła, żeby na nią chorobę sprowadzić. I potem jeszcze różne bóle do pani zaklęciami przyciągała, bo chciała się zemścić, że pani jej nie zapłaciła.

– Twoja teściowa też mówi takie rzeczy?

– Jak inne przyznała się do tańców w diabelskim towarzystwie, wypluwania hostii, zakopywania kości i ziół na szkodę pani i pana. I że z ciotką Anną wielką burzę z gradem sprowadziła na Lipkę.

– Wszystkie tańczyły na górze i diabłu przysięgały?

– Tak mówią.

– Nie wierzę.

– Pisarz wszystko zapisuje. Mój ojciec sam widział w księdze.

– Niemożliwe, żeby je spalili. – Rozala próbuje pocieszać Katarzynę. – Przyznały się, bo wzięli je na męki.

– Pisarz powiedział, że jeszcze raz staną przed ławnikami i już po dobroci mają zeznawać.

– Oj, to dobrze. Sama widzisz, że jest dla nich nadzieja.

*

Powrót Hansa przerwał rozmowę, ale nie na długo. Mąż Katarzyny miał jeszcze dużo pracy w obejściu, a kiedy się ściemniło, poszedł do Kolzig.

Rozala tymczasem zajrzała do chaty Wigi. Babka się nie pojawiła. Jedyne niedojona koza beczała w szopce, a kur nigdzie nie było widać. Pewnie jakie dzikie zwierzę je poniosło.

Dziewczyna wróciła do sąsiadki, bo sama bała się nocować w pustej chacie. Przyprowadziła też kozę, którą dołączyła do dwóch krów Katarzyny.

– Chodź, połóż się ze mną pod pierzyną.

– Co powie Hans, kiedy wróci?

– Że jest ci wdzięczny za zagrzenie miejsca.

Rozala czekała na te słowa. Wciąż mają sobie tyle do powiedzenia, a trudno szeptać przez całą izbę. Siennik jest wyleżany na dwie osoby, toteż bez trudu wpasowała się w Hansowy dołek. Katarzyna jest ciepła i przyjazna. Nie taka jak Petra, z którą kiedyś przyszło jej spać. Przykryte po same brody mogą gadać choćby do rana.

– Czemu akurat teraz przyjechałaś do babki? Przecież zima.

– Nie pamiętasz? Na wesele Tobiasa.

– Już o nim zapomniałam. Wesela nie będzie. Rodzina narzeczonej zerwała umowę. Nie pozwolą na ślub córki z synem czarownicy.

– Biedny Tobias. Chyba ją bardzo lubił.

– A ty kiedy mnie zaprosisz na swoje wesele?

Spod pierzyny dobiegają teraz chichoty i przekomarzania. Rozali udało się nieco uspokoić Katarzynę. Wszystkie jej wykrzyknienia: „To niemożliwe! Tak nie wolno! Nie wierzę! Jest nadzieja!” zrodziły w sercu młodej kobiety odrobinę ufności, że nie będzie tak źle, jak przypuszczała. Poza tym, co może im kto zrobić, kiedy tak leżą w bezpiecznej ciemności, ramię w ramię, głowa przy głowie, i wciąż mają ochotę rozmawiać o chłopcach i o miłości.

Dopiero dźwięk kroków Hansa wracającego z Kolzig wygania Rozalę spod pierzyny. Twarda zimna ława i kozuch do przykrycia i tak są lepsze od samotności w pustej chacie Wigi.

Hans nie zapala świecy. Idzie prosto do łóżka. Coś mówi, ale tak cicho, że trudno zrozumieć.

– Możesz powiedzieć głośno. Rozalka nie śpi. – W ciemnościach odzywa się głos Katarzyny.

– Dzisiaj przyjechał jakiś czarny jegomość – powtarza Hans. – Przysłali go z Löwenbergu, z Urzędu Ławniczego, do pomocy. Ma księgę o czarownicach i zna się na łapaniu sług diabła.

– To dobrze! – odzywa się ucieszona Rozala. – Jak on się na tym zna, od razu zrozumie, że tutejsze baby zwyczajne i nie mają nic wspólnego

z diabłem.

– No nie wiem. Ja go nie widziałem, ale pisarz chyba się go boi.

– Wiadomo! Przecież mądrzejszy od niego i pokieruje procesem, jak trzeba.

– Śpijmy. Zmęczony jestem. – Hans ucina rozmowę.

Do uszu Rozali docierają słowa modlitwy, a potem szelest słomy. Sen zaczyna ją morzyć, lecz budzi ją cichy śmiech, szepty, a potem przyspieszone oddechy małżonków. Domyśla się, co się dzieje pod pierzyną. Naciąga kożuch na głowę, mimo to sen odchodzi. Wracają myśli o Jakubie i mistrzu Haase. O babce jakoś nie pamięta. Może dlatego, że sądzi, iż jest bezpieczna.



Gdyby któryś z podróżnych błędzących niegdyś po bezdrożach Brandenburgii i szukających schronienia w oberży spotkał dzisiaj mężczyznę unikającego wówczas towarzystwa, na pewno by go nie poznał. Tym bardziej nie poznałoby go ci, co w Karge daremnie próbowali zobaczyć jego twarz zakrytą liśćmi kapusty.

Tak dalece zmienił się jego wygląd, że może nawet rodzona matka, gdyby żyła, miałaby trudności z rozpoznaniem syna.

Człowiek, który dwa dni temu wysiadł z czarnego powozu przed zamkiem w Kolzig, nie przypomina mężczyzny w sile wieku. Chuda, przygarbiona sylwetka, wymizerowana twarz pokryta siwą szczeciną, policzki zapadnięte tam, gdzie powinny być zęby, i wysoka łysina okolona wianuszkami rzadkich włosów bardziej pasują do starca stojącego nad grobem.

Wystarczyłoby jednak spojrzeć w oczy przybysza, by zobaczyć w nich rzadko spotykaną siłę.

Johann von Kittlitz ujrzał ją w chwili, gdy w przyzamkowej kuźni odbywało się przesłuchanie małej Girgin. Nieznajomy wszedł pod dach z dumnie uniesioną głową, popatrzył wokół spod lekko przymkniętych

powiek, a napotkawszy spojrzenie Kittlitz, skinął lekko głową.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – rzekł na powitanie.

– Na wieki wieków – wybąkał nie wiedząc czemu wystraszony właściciel.

– Wy jesteście tu panem?

– Tak. Jestem Johann Christoph von Kittlitz. – Przez głos, nagle cienki i chwiejny, odpowiedź, która miała brzmieć dumnie, wypadła bardzo lichy.

– Mam dla was listy z Urzędu Ławniczego w Löwenbergu.

W kuźni zapadła cisza przerywana jedynie pochlipywaniem małej Girgin. Wszyscy prócz niej byli ciekawi, jakie to wieści przywiózł ten osobliwy posłaniec.

– Nie prosiłem o pomocnika – powiedział von Kittlitz po przeczytaniu pisma. Jego mina świadczyła o wielkim zakłopotaniu. – Wracajcie do Löwenbergu. Niepotrzebnie was przysłali, panie Radoszewski.

– Ależ potrzebnie! Mam wielkie doświadczenie w tropieniu czarostwa. Wy zaś żadnego. Inaczej nie ślalibyście listów z pytaniami. Nie oczekuję zapłaty, a jedynie utrzymania na czas procesu, jeśli o to chodzi. Nie będę też nadmiernie się wtrącał w przebieg rozprawy. Podpowiem tylko co nieco, wyjaśnię wątpliwości, a nade wszystko wytłumaczę ławnikom istotę tego, z czym się zmagają. Bo nawet nie przypuszczacie – tu zwrócił się do wójta i pozostałych sędziów – jak groźna i podstępna jest materia, nad którą pracujecie.

Wątpliwości nękały ławników od chwili oskarżenia Starego Dobosza, toteż przybycie kogoś, kto doradzi, przez co weźmie na swoje barki część odpowiedzialności, była im na rękę.

– Przydałby się ktoś taki. – Wójt głośno potwierdził słowa przybysza.

Kittlitz, który i tak niewiele miał do gadania w tej sprawie, skinął głową i wziął do ręki drugie pismo. To zrobiło na nim jeszcze większe wrażenie.

– Panowie ławnicy, wasz wyrok zatwierdzony. – Głos znowu zaczął mu się łamać. – Trzeba szykować stosy.

To było wczoraj.

Antonius Radoszewski modli się od świtu. W izdebce, którą mu przydzielono, nie ma pieca ani kominka, mimo to mężczyzna klęczy przed krucyfiksem w samej koszuli. Krzyż z brązu był pierwszym przedmiotem wyjętym z sakwy i uroczyście ustawionym na stole. Wszak nie ma cenniejszej rzeczy od niego.

Sześć lat temu, kiedy wracał do rodzinnego domu na Mazowszu, został pochwycony przez ludzi pewnego szlachcica. Niegdyś mu się naraził, posądzając jego żonę o czary. Sprawa się rozeszła po kościach, ale tamten mu nie darował. Niczego nikomu nie tłumacząc i nie bawiąc się w sądy, zamknął go w na wpół zrujnowanej rycerskiej wieży. To właśnie tam Radoszewski się postarzał i osłabł. Śmierć starego była jednocześnie końcem więzienia. Następca szlachcica go uwolnił, ale zanim pozwolił ruszyć w drogę, zawiózł do kościoła i kazał złożyć przysięgę, że nie będzie szukał zemsty ani żadnej innej satysfakcji.

Kiedy Antonius dotarł do domu, okazało się, że matka i siostra nie żyją. Szwagier przechował go u siebie przez kilka dni, ale jak tylko Radoszewski wspomniał o podziale majątku, kazał go poszczuć psami.

Nie mając niczego prócz krucyfiks z brązu i przekonania, że Szatan chce zawładnąć światem, Antonius Radoszewski wrócił do dawnego zajęcia, czyli tropienia czarostwa. Do urzędu w Löwenbergu dotarł z polecenia znajomego księdza. Tam wyciągnięto rękę do nieszczęsnego i skierowano do Kolzig.

Radoszewski uznał to za znak zesłany z nieba. Bóg każe mu wrócić do miejsca, gdzie uległ dziewczynie podsuniętej mu przez Złego. Nie pomoże spowiedź, leżenie krzyżem i samobiczowanie, dopóki żyje szatański pomiot, córka występnej istoty, która go uwiodła w noc świętojańską. Dowiedział się o niej, gdy kurował się w Karge po upadku z konia. W tym również upatruje działania niebios. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że chłopak ujrzał znamię na jego łopatce i powiedział, że jakaś mała diablica ma takie samo.

Niech tylko zakończy się proces, uda się do Karge, odnajdzie wiedźmę i jej wnuczkę i ostatecznie odkupi swój grzech.

Już nie w kuźni, gdzie hula wiatr, a w zamkowej świetlicy przy kominku i świecach obraduje sąd. Wyrok zapadł i został zatwierdzony przez Urząd Ławniczy. To, że po torturach kobiety nie odwołały poprzednich zeznań, jest dowodem ich winy. Co prawda wiedziały, że jeśli tego nie zrobią, znowu czekają je tortury, jednak w protokole napisano, że potwierdziły po dobroci. I nie ma w tym żadnego kłamstwa. Tego dnia nikt im nie zadawał bólu.

Spotkanie ławników dotyczy palenia winnych. Ma się odbyć jeszcze przed Bożym Narodzeniem, tak by państwo i ławnicy mogli resztę czasu przed świętem przeznaczyć na modlitwę i miłosierne uczynki. Co do stosów, ich układania i tego, jak podpalić, najwięcej wie Radoszewski.

Szlachcic jest w dobrym humorze. Już dawno nie czuł się tak potrzebny. Jednak twarze ławników, a nawet samego von Kittlitz, nie wyrażają triumfu. Są niepewni, zakłopotani, a może nawet przestraszeni tym, w czym przyjdzie im uczestniczyć. Pomoże im. W końcu po to tu jest. Mimo że ma przed sobą heretyków, jego oblicze staje się łagodne, wręcz dobrotliwe.

– Boicie się, że wiedźmy mogły wam coś zadać albo rzucić zaklęcie z zemsty? Niepotrzebnie. Już samo to, że ku chwale Bożej szukacie sług Szatana, chroni was przed urokami.

– Pewnie, że trochę strach z nimi przestawać, ale co innego mnie męczy – zwierza się ławnik, na co dzień zwykły zagrodnik. – Jakże to ludzi palić? To nie może być dobre. Nawet zwierzęcia się żywcem nie pali, tylko zarzyna.

– Dobry człowieku, wiem, że przemawia przez ciebie litość, ale wspomnij na to, co powiedziano w Piśmie. „Czarownicy żyć nie dopuścisz”! Odkąd skazane przysięgły służyć Szatanowi, są gorsze od zwierząt.

– Ale to zwykłe baby...

– Co mówisz, człowieku?! – Antonius, ogarnięty świętym oburzeniem, zrywa się z krzesła. – Słyszałeś, do czego się przyznały. Szkodziły ludziom i swoim panom. Najgorsze, że Boga Wszechmogącego się wyparły i Szatanowi przysięgły służyć. Hostię wynosiły z kościoła, żeby ją oddać diabłu. Jedynie kobiety są do tego zdolne! Tylko one potrafią mężczyznę opętać, odebrać mu rozum, odciągnąć od uczciwej pracy i nakłonić do lubieżnych czynów.

– A chłopcy nie? Czemu tylko baby?

– Wy, kacerze, mówicie o sobie, że lepiej znacie Pismo od nas, wyznawców słusznej rzymskiej wiary. Właśnie widzę, co warte są wasze słowa. Czyż nie wiecie, że kobieta pierwsza nadstawiła ucha wężowi? Kto namówił Adama do grzechu? Ewa! Kobieta! Bo im tylko grzech w głowie. Są bramą Szatana do świata sprawiedliwych. Wszak słyszeliście, że każda mówiła o tańcach, zabawach i diabelskich kochankach. Żałujecie ich, a nie wiecie, czy w waszych chatach nie rośnie diabelski pomiot.

– Panie Radoszewski! Miarkujcie się! – Tym razem wójt nie wytrzymał. – Zapominacie, że te, co z czartem tańcowały, siedzą w piwnicy. Od naszych bab i dzieci wara!

Radoszewski wie, że się zagalopował, ale nie może pozwolić, by ostatnie słowo należało do kogoś innego.

– Zobaczycie, że to nie wszystkie. Nie koniec to, a początek. Jeszcze się przekonacie, że mam rację.



Wiga się nie zgubiła. Razem z innymi siedzi w zamkowej piwnicy.

Przyszli po nią dzień przed przyjazdem Rozali. Nie mówiono o tym w Grünwaldzie, bo w tych dniach w ogóle ludzie bali się do innych odzywać. Może nawet nikt nie widział, jak szła przez wieś z człowiekiem przysłanym z zamku. Nikt też nie zauważył biegnącego za nią kota. I dobrze, bo choć z kota przydatne stworzenie, wiadomo, że jak nazbyt do

człowieka przywiązane, może się okazać chowańcem^[32].

Z początku w piwnicy było tak ciemno, że nie mogły się policzyć. Teraz jest lepiej. Uprosiły strażnika, by z małego zakratowanego okienka usunął liście i igliwie, którym zabezpieczono piwnicę przed zimą. Dzięki temu mogą się zobaczyć i odetchnąć świeżym powietrzem. Wcześniej smród z wiadra na odchody połączony z zapachem ich ciał i wonią stęchlizny był nie do wytrzymania.

Są wśród nich takie, które nie odzywają się do nikogo. Leżą na brudnej słomie albo siedzą oparte o ścianę i pustym wzrokiem patrzą przed siebie.

Niektórym przeszkadza zimno ciągnące od okienka, robią więc wyrzuty tym, przez które muszą marznąć. W ogóle kłócą się o wszystko, a najbardziej o to, kto kogo posądził.

Podczas pierwszych łagodnych przesłuchań, kiedy oskarżone wszystkiemu zaprzeczają, ławnicy każą pisarzowi odczytywać zeznania Starego Dobosza, wdowy Villborn i innych, którym kat otworzył usta. Niejedna baba, usłyszawszy, co sąsiadka o niej powiedziała, w złości rewanżuje się jakąś historią, zmyśloną lub zasłyszaną przy wspólnym przędzeniu.

Stary Dobosz siedzi osobno, dlatego po powrocie z przesłuchania najwięcej dostaje się Annie. Już się jej nie boją, więc głośno rozprawiają o niewyleczonych chorobach, nieskutecznych zaklęciach i źle dobranych małżeństwach. Dowodu na układy z Szatanem upatrują nawet w tym, że Annie jak żadnej zdrowo rosły dzieci i wnuki, mąż ją szanował, a zięć nigdy ręki na nią nie podniósł, choć wszyscy wiedzieli, że jej nie lubi.

Wigę, która raz stanęła w jej obronie, obrzuciły wyzwiskami i przypomniały, że nie na darmo w Karge spalili jej chałupę. Córki Anny i jej siostra również zostały uciszone. Siedzą teraz w piątkę blisko piwnicznego okienka, oddzielone od reszty niewidzialną zasłoną niechęci i wzajemnego żalu.

Ten dzień różni się od poprzednich. Zwykle za drzwiami panowała cisza. Dzisiaj od rana słychać kroki, szelesty i ciche rozmowy. Zaraz południe. Zdążą zmówić jeden pacierz, a niskie grudniowe słońce zajrzy

do piwnicy. Czekają na ten moment. Coś, na co dotąd nie zwracały uwagi, zajęte codziennymi obowiązkami, staje się najważniejszą, wytęsknioną chwilą.

Głośnie otwarcie drzwi burzy radość oczekiwania. Strażnik wywołuje wdowę Villborn, jej córkę Ewę, siostrę, która jest matką Katarzyny, kowalową i jej matkę oraz gospodynię pastora.

– Macie się stawić przed sędziami – dodaje, jakby mogło je czekać coś innego.

Nie prowadzi ich do kuźni. Idą do zamku. Poranione biczem, przypalone żelazem i szarpane cęgami nie mają już nadziei, że zdarzy się coś, co odmieni ich los.

W świetlicy za stołem siedzą ławnicy. Nieco z boku osobno von Kittlitz i jakiś człowiek, którego wcześniej nie widziały.

Wójt mówi, że ostatni raz stają przed sądem. Wyrok zapadł i został zatwierdzony przez Urząd Ławniczy w Löwenbergu. Jego odczytanie powierza pisarzowi.

Stoją na środku świetlicy z pochylonymi głowami. Bose, w płóciennych podartych koszulach poplamionych krwią, moczem i wymiocinami. Siwe włosy, zawsze ciasno zaplecione i schowane pod czepkiem, teraz zbite w strąki opadają na plecy. Ich wygląd nie pozostawia wątpliwości. To nic, że głośno wyrzekły się Szatana. Są czarownicami.

Jutro zostaną spalone na stosie.

Głośny lament kowalowej utrudnia dalsze czynności. Po chwili inna kobieta osuwa się na podłogę.

Pisarz przerywa czytanie, a ławnicy patrzą jeden na drugiego, bo nie wiedzą, co robić.

– To nic! – woła Radoszewski. – Zaraz się ocknie. Omdlenie to jeszcze jeden dowód na działanie Szatana.

Dlaczego? Tego nie tłumaczy. Poprawia się na krześle z pewnym siebie obliczem. Dawno zauważył, że milczeniem i odpowiednim wyrazem twarzy da się onieśmielić ciekawych, a nawet zyskać poważanie. „On wie

więcej od nas – myślą – tylko nie chce powiedzieć”.

Czekając, aż zemdlona dojdzie do siebie, Radoszewski przygląda się ławnikom. Jakże naiwni mu się wydają. Jak prości w porównaniu z sędziami w miastach obeznanymi ze sztuczkami diabła. Kittlitz też do niczego. Chwiejny, miękki i ulegający wpływom. Jedynie jego żona budzi sympatię. Skromna, zawsze w ciemnej, zapiętej pod szyję sukni, rozmodlona, dbająca o małżonka, a za najważniejsze w doczesnym życiu uważa posiadanie i właściwe wychowanie potomstwa. Gdyby nie to, że heretyczka, uznalby ją za ideał cnotliwej niewiasty.

Urszula czeka na powrót matki i siostry. Zamiast nich w drzwiach pojawia się strażnik.

- Wynieś wiadro – zwraca się do siedzącej najbliżej owczarzowej.
- Gdzie tamte? – Nie wytrzymała stara Theilin z Lipki.
- Zaprowadziłem gdzie indziej.
- Czemu?
- Nie wiem. Zrobiłem, co kazali. Jutro mają być spalone.

Radoszewski nieraz słyszał o przypadkach, gdy w ostatnią noc umierały, unikając spalenia. Dlatego znaleziono dla nich takie pomieszczenie, do którego nie wśliznie się diabeł, by uwolnić swe sługi.

Rzucili świeżej słomy i postawili wiadro. Chleba i wody nie dostały. Niedługo umrą, więc głód i pragnienie im nie zaszkodzą. Gdzie są, widziały tylko, gdy je wprowadzano. Potem drzwi się zatrzasnęły, a one poczuły się jak w grobie.

Anna nie może leżeć. Ból w piersiach pulsuje tak samo mocno, jak zaraz po szarpaniu cęgami. Chce jej się pić. Zlizuje wilgoć ze ściany, a potem przywiera do niej rozpalonym ciałem.

- Matko! – słyszy. – Matko, ratuj.
- Szuka córki po omacku.
- Gdzie jesteś?

– Tu, blisko.

Anna trafia na wyciągniętą rękę Ewy. Mimo przeszywającego bólu przytula córkę do piersi.

Niedługo potem odnajduje je matka Katarzyny. Ona także nie chce być sama w ciemnościach.

Kowalowa ze swoją matką też się do siebie tulą. Obie płaczą z żalu nad chłopcem terminującym u kowala w Kontoppie. Kto będzie go wypatrywał na drodze? Kto przygotuje smaczny obiad na jego przyjście? Jak sobie kowal poradzi bez kobiecych rąk w chałupie?

Gospodyni pastora milczy, bo nie jest pewna, czy oskarżenie nie było bez przyczyny. Kiedy smarowała maściami swe utrudzone ciało, śniły się jej różne cuda. Może to wtedy Szatan do niej przychodził i zabierał na tańce?

Zanim je wyprowadzili na śmierć, Anna zdążyła złapać w obie dłonie pęk słomy i zanurzyć w nim twarz. Nabrał już piwnicznej woni, ale dla niej wciąż pachniał słońcem, żniwami i polem. Trzymała w sobie ten zapach, aż ból nie otworzył ust do krzyku i nie wypełnił ich dymem.



Jedną noc Rozala spędziła u Katarzyny. Rano przyszło jej do głowy, że babka wróci tylko wtedy, jeśli będzie na nią czekała w chacie na łące. Dlatego, nim przyszedł następny wieczór, wróciła do chałupy Wigi i rozpałała ogień. Do rana leżała z otwartymi oczami, słuchała głosów nocy i czekała na babkę. Dopiero o świcie zamknęła oczy, ale nawet wtedy nie udało się jej zasnąć, bo przyszła Katarzyna i powiedziała:

– Wiga jest w zamku.

Odtąd czekanie zrobiło się inne.

Było w nim pragnienie działania. Najpierw chciała pójść do Kittlitz i powiedzieć, że babka nie jest czarownicą. Nie wie, co kto na nią nagadał, ale zna babkę od dziecka i nigdy nie widziała jej z panem piekieł. Kiedy Katarzyna jej uświadomiła naiwność tego pomysłu, w głowie zrodziły się

następne, równie nieprawdopodobne. Od pójścia do zamku i prośby o widzenie z babką też została odwiedziona.

Wszelkie próby znalezienia rozwiązania przeciął nocny powrót Hansa z Kolzig. Zaledwie podzielił się z żoną nowinami, ta zarzuciła chustę na koszulę i bosą pobiegła do Rozali.

– Będą je palić! – wykrzyczała i stanęła pobladła, jakby dopiero teraz do niej dotarło, co znaczą te słowa.

*

To stało się wczoraj. Na placu targowym niedaleko zamku. Kat zabrał, co z nich zostało, lecz osmalone pale i zwęglone gałęzie wciąż tu są. Rozala nadal czuje w nozdrzach odrażający smród palonych ciał, a w uszach brzmi zwierzęcy krzyk. Do końca życia nie zapomni tego dnia.

Mimo to dzisiaj znowu tu przysła. Nie może wejść do zamku i zrobić niczego, by oszczędzić babce losu Anny Villborn i innych kobiet. Nawet nie powinno jej tu być, bo ktoś może nabrać podejrzeń. Ryzykuje, lecz nie potrafi nie czekać.

Bo tylko w czekaniu jest nadzieja.

Zimno. Przechadza się tam i z powrotem. Czasem przystaje pod wielką lipą naprzeciwko bramy i patrzy, aż oczy łzawią. Potem znowu idzie. Dociera do młyna i wraca, by sprawdzić, czy w otwartych wrotach nie stoi babka.

Nagle dostrzega coś, czego wcześniej nie zauważyła. Przez niezamkniętą bramę widzi w oddali stajnię i chłopca wyprowadzającego konia. Lecz to nie on budzi jej zainteresowanie, a mały czarno-biały kształt na belce.

– Kocie! – woła, podbiegając bliżej. – Kocie! – krzyczy, zatrzymując się przy bramie.

Usłyszał. Na dźwięk znajomego głosu zeskoczył na ziemię i już mknie w jej stronę.

– Kocie. – Rozala szepce do czarnego ucha i szlocha nie wiedzieć

czemu, a kocisko na jej rękach wtóruje, skarżąc się żałości.

– Za nią tu przyszedł. – Od mężczyzny, który zatrzymał się obok, bije zapach konopnej czesanki.

– Panie Bartłomieju, widzieliście, jak babkę prowadzili?

– Widziałem. Akurat plotłem powróż koło drogi.

– Co teraz będzie? Wczoraj spalili sześć kobiet. W piwnicy siedzi ich więcej. Co, jak padnie na babkę? Przecież ona niewinna.

– Wiem.

– Czy naprawdę nic nie można zrobić?

– Chyba nie. To nie jest zwykły sąd jak o kradzież, nie przymierzając, gdzie pytają innych, czy widzieli, jak kradł. Tu, jak kogo pytają, wiadomo, że jest albo będzie oskarżony. Bo jeśli widział, że ktoś hostię wypluwa i z kościoła wynosi, a nie doniósł o tym od razu, tak samo winien świętokradztwa. Jeżeli zobaczył znaną sobie babę tańczącą z diabłem, znaczy, że sam był na górze, gdzie czart bale urządzał.

– To mam pozwolić, żeby babkę spalili?

– Nie wiem, co ci powiedzieć. – Bartłomiej wzdycha. – Chodź do mojej chałupy. Nie możesz tu stać bez końca. Zachorujesz i kota zostawisz na świecie samego. Michałka da ci ciepłej kaszy z omastą, żeby cię grzała od środka, kiedy będziesz wracała do Grünwaldu.

– Myślisz, że to już koniec? Więcej palenia nie będzie?

– Wciąż ktoś mnie o coś pyta – mówi zdenerwowany Bartłomiej. – Rozalka o babkę i co robić, żeby ją ratować, a ty, czy to już koniec. Zapytaj mnie o pszczoły, ile wosku sprzedałem albo czy kto zamówił powrozy.

– Kiedy takie czasy nastały, że do zwyczajnych pytań doszły inne, od których boli głowa i strach ściska serce.

– Wybacz, Michałko, że na ciebie burczę. – Bartłomiej zdejmuje z kolan córeczkę i podchodzi do żony. – Ciężko mi na duszy. Nie wiem, co się dzieje. Czy one słusznie skazane, czy zadano cierpienie niewinnym.

– I ja wciąż o tym myślę. Wczoraj słyszałam, jak ludzie gadali, że dobrze się stało. Gdyby nie ławnicy, współpracownicy diabła wciąż szkodząby ludziom. Ale rodziny spalonych i tych, co jeszcze siedzą w piwnicy, milczą. Oni chyba nie myślą, że sąd dobrze zrobił.

– Żebyśmy chociaż mieli wstęp do swojego kościoła i pastora, który powie, co jest słuszne. – Bartłomieja znowu ogarnia gniew. – Nasz zamknął się w chałupie i nosa za drzwi nie wystawia.

– Pan Kittlitz mu kazał. Ten ponury człowiek, co się nosi całkiem na czarno, może donieść cesarzowi, że pastor wrócił, a miał być na wygnaniu.

– Zatem zostaliśmy sami z naszymi troskami. – Zasmucony Bartłomiej bierze żonę za rękę. – Teraz ja chcę cię spytać o coś ważnego.

– Pytaj – odpowiada Michałka, lecz czuje, że ogarnia ją trwoga.

– Jest napisane w Piśmie, że kiedy Bóg miał zesłać zagładę na Sodomę i Gomorę, Abraham go zapytał, czy chce wygubić sprawiedliwych razem z bezbożnymi.

– Pamiętam.

– Na koniec rozmowy Abraham usłyszał, że jeśli Bóg znajdzie w tych grzesznych miastach choć dziesięciu sprawiedliwych, Sodoma i Gomora unikną zagłady.

– Tak było, mój mężu.

– Widzisz, chodzi o to, że nie wolno dopuścić, by sprawiedliwi ginęli razem z bezbożnymi.

– Myślisz o Widze?

W niebieskich oczach Michałki mieszają się lęk i odwaga.

– Wiem, że nie ma w niej winy. Wiga jest sprawiedliwa. Poznałem się na niej.

– Zatem rób, co musisz, mój mężu.

– Jutro. Dzisiaj pójdę do Kontoppu, do bartnika. Powiem mu, że jeśli mnie spotka co złego, ma się zaopiekować moimi pszczołami.



Za cztery dni Boże Narodzenie. W zamku trwają duchowe i materialne przygotowania do świąt. Radosne zazwyczaj oczekiwanie mąci świadomość, że tuż pod podłogą są te, które podejrzewa się o służenie diabłu.

Na razie procesy o czary przerwano.

Radoszewski pożyczył konia i wybrał się do znajomego księdza. Wróci najprędzej za dwa tygodnie.

Państwo Kittlitz spodziewają się gości. Ich pobyt się przedłuży, bo zaraz po Bożym Narodzeniu zacznie się okres karnawału, sąsiedzkich odwiedzin i polowań. Nie można pozwolić, by jakieś nieprzyjemne sprawy przeszkadzały w rozrywkach.

Kat dostał wolne. Właśnie wstawia do wozu pudło z narzędziami. Ławę z obręczami też już włożył. Nie chce niczego zostawiać, bo wkrótce może napadać tyle śniegu, że i do wiosny nie wybierze się z powrotem. A narzędzia mogą się przydać w rodzinnym Zbąszyniu. I tam nie brakuje złoczyńców, którym trzeba rozwiązać języki.

W piwnicy wiedzą o świętach. Każdego dnia strażnik mówi, ile dni zostało. Po spaleniu tamtych zrobiło się cicho i strasznie. Coraz więcej takich, co siedzą bez słowa i patrzą przed siebie. Urszula też do nich należy. Nie przyłącza się do religijnych śpiewów i głośnych modlitw. Jeszcze żyje, ale jakby umarła.

Wiga kaszle. Chłód ciągnący od okienka jej pierwszej zaszkoził. Nie ma nikogo, z kim mogłaby się wzajemnie ogrzewać. Kaszel rozrywa jej płuca i nie daje ciała odpocząć dłużej niż na chwilę. Niektóre kobiety to denerwuje. Odsuwają się od niej jak od zapowietrzonej i narzekają, że nie mogą spać.

Ściana jest zbyt zimna, by się o nią oprzeć. Wiga kładzie się na słomie i podciąga nogi pod brodę. Tak jest trochę cieplej. Próbuje zasnąć. Zbliżający się szelest wywołuje przyływ paniki. „Szczur!”

– Ciotko Wigo – słyszy. – Nie bójcie się, to ja, Uta. – Łysa głowa małej Girgin kiwa się nad leżącą garbuską. – Mogę się z wami położyć?

– Idź do matki.

Uta patrzy w stronę owczarzowej. Jej matka jest wśród zubożniałych na wszystko. Ich ciała nie dają ciepła.

– Kładź się.

Dziewczyna ostrożnie mości się na słomie i układa przed Wigą, a ta przysuwa się do jej pleców i obejmuje ramieniem.

– Będę kaszleć – uprzedza.

– To nic.

Uta jest ostatnią, którą torturowali. Inne dopiero będą albo od razu się przyznają, byle uniknąć bólu. Te, które nie były jeszcze przesłuchiwane, tak jak Wiga, mają na sobie zwykłe codzienne spódnice, koszule i kaftany. Te, które choć raz brali do kuźni, zostały pozbawione wierzchniego odzienia i zostawione w samych koszulach.

– To ja was wydałam – szepce mała Girgin.

Ciało Wigi sztywnieje. Już nie chce, by tamtej było ciepło.

– Co ja ci zrobiłam?

– Nic. Byliście dla mnie dobrzy.

– To czemu mnie oskarżyłaś?

– Chcieli, żebym jeszcze kogoś podała prócz tych, co już mieli. Jak mnie pytali po dobroci, nic nie powiedziałam, ale drugiego dnia ten czarny pan kazał mi zdjąć koszulę. Stałam przed sądem goła i płakałam, ale jak pytali, to mówiłam, że nic nie wiem i nigdy nie miałam do czynienia z diabłem. Wtedy on powiedział katu, żeby sprawdził, czy nie mam diabelskiego znaku na skórze. Wszyscy patrzyli, jak mnie oglądał.

Wiga czuje, jak ciało dziewczyny zaczyna się trząść. Ją samą chwyta kaszel. Trwa to trochę. Dopiero po długiej chwili mała Girgin znowu się odzywa.

– W każdą ciemną kropkę kat wbijał igłę, a ja krzyczałam. Ale

czarnemu panu nie było dość. Powiedział ławnikom, że diabelski znak może być ukryty pod włosami, i kazał je obciąć.

Widze się zdaje, że widzi nożyce do strzyżenia owiec tnące bujne loki Uty i złote włosy spadające na ceglana podłogę. Mocniej obejmuje drżące ciało i próbuje mu oddać całe swoje ciepło.

– Kat dalej mnie kłuł, a ja krzyczałam. Znowu mnie pytali, czy tańczyłam z królem piekieł. Chciałam, żeby już przestali. Powiedziałam, że tak. Byłam na diabelskim balu i tańczyłam. To oni chcieli wiedzieć, kogo jeszcze widziałam. Powiedziałam, że wszystkie, o których mi mówili, a oni na to, kogo jeszcze.

– Wtedy mnie oskarżyłaś? Nie bój się. Nie jestem na ciebie zła.

– Nie, wtedy jeszcze nie. Dopiero jak kat przypalił mi stopy gorącym żelazem. Oskarżyłam was i dwie inne.

Kobieta przytula małą Girgin jeszcze mocniej.

– Jak stąd wyjdziemy, zrobię ci maści na szybkie gojenie. Włosy też urosną. Jeszcze ładniejsze – szepce jej do ucha.

– Wierzę wam. Wtedy też mówiliście prawdę. Gęba zrobiła mi się gładka.

– Spodobałaś się jakiemu chłopcu?

– Chyba tak, bo jeden wziął mnie do tańca.

Kaszel na razie ustał. Ciepło małej Girgin sprawia, że Wigę ogarnia senność.

– Ciotko, a jak było na imię tamtej kobiecie?

– Której?

– Tej z Karge, co mówiliście, że nie lubiła, żeby ją nazywać po mężu.

– Brodowej? Czekał... – Wiga próbuje sobie przypomnieć. – Lotta. Miała na imię Lotta.



Bartłomiej pozatwiał wszystkie swoje sprawy, jak ktoś, kto szykuje się

na śmierć.

Do Bożego Narodzenia jeszcze dwa dni. Mógłby zaczekać i spędzić święta z żoną i córeczkami, lecz jest człowiekiem, który nie odwleka, kiedy coś postanowi.

Umyty, z wyczesaną brodą i odświętnie ubrany patrzy na pobladałą Michałkę i dwie małe dziewczynki trzymające się matczynej spódnicy.

– Pamiętaj – mówi do żony – jeśli mnie skazą od razu, idź do boru i zapukaj w drzewa, gdzie są barcie. Zamiast mnie podziękuj pszczołom za ich pracowitość i wszystko, co mi dały. Powiedz, że odchodzę, ale niech wiosną nie odlatują, bo będą miały nowego opiekuna.

Michałka nie ma siły, by odpowiedzieć, jedynie skinieniem głową potwierdza, że zrobi, co należy. Ostatni raz wpada w mężowskie objęcia, potem Bartłomiej pochyla się ku córeczkom, całuje je w czoło i wychodzi.

Zamek od domu bartnika dzieli odległość jednej modlitwy. Wraz z wyszeptanym „Amen” Bartłomiej przekracza próg zamkowej sieni.

– Ja do pana Kittlitz – mówi do sługi.

– Pan je śniadanie.

– Zaczekam.

– Ale...

– Zaczekam.

Mijają minuty, a bartnik stoi prawie nieruchomo. Słyszy, jak gdzieś w oddali von Kittlitz łaje sługę. Nie chce nikogo dzisiaj widzieć. Nawet bartnika. Sługa coś tłumaczy. Odgłos butów uderzających o kamienną posadzkę zapowiada nadejście rozgniewanego pana.

– Co to za pilna sprawa, że nie mogła zaczekać kilku dni?

Zachmurzona twarz von Kittlitz nie zapowiada łatwej rozmowy.

– Chcę stanąć przed sądem.

– Co? Zgłupiałeś? Kto dobrowolnie idzie pod sąd?

– Nie mogę inaczej.

– Bartłomieju – głos pana Kittlitz już nie brzmi gniewnie – dobry z ciebie bartnik. Twoja praca przynosi mi niemałą korzyść. Tobie też nieźle się powodzi. Masz dzieci i pracowitą żonę. Nie pojmuję, dlaczego chcesz mieszać się w sprawy, które są niebezpieczne i ciebie nie dotyczą.

– Muszę właśnie dlatego, że jestem bartnikiem.

Pan Kittlitz zaczyna pojmować, że dzisiaj nie pomogą żadne perswazje.

– Przyjdź po świętach. Może do tego czasu zmądrzejesz.

– Łaskawy panie, proszę o zwołanie sądu. Teraz. Muszę ocalić jedną sprawiedliwą.

– Kto to taki? – Kittlitz ledwie tłumi gniew.

– Wiga, córka Eliasa Neulinga z Grünwaldu.

– Nie znam... – Pan zamku się zastanawia. – Ta garbuska?

– Tak.

– Ośle jeden! Zamierzasz ryzykować dla starej garbatej baby, która winna być spalona za sam wygląd?

– Nie o nią tu chodzi, a o mnie.

– Mam tego dość. Chcesz, bym cię rzucił lwom na pożarcie? Proszę bardzo. Poślę po ławników. Niech się zbiorą. Ty tu stój.

Upłynęło dużo czasu, zanim wszyscy się zjawili. Żaden się nie spodziewał wezwania do zamku. Tyle spraw zaniedbali podczas procesu, że teraz nie wiedzieli, za co najpierw się chwycić. Przyszli zniecierpliwieni, poruszeni albo po prostu rozgniewani, bo musieli porzucić pilne, a niedokończone zajęcia.

– Czy wiesz, Bartłomieju, że Wiga została wskazana jako ta, co na górcie koło Lipki ucztowała z królem piekieł i usługiwała królowej, już osądzonej i spalonej gospodyni pastora? – Głos wójta drży z powstrzymywanej złości.

– Nic o tym nie wiem.

– Na własne oczy widziała ją mała Girgin, córka owczarzowej Girgin.

– Powiedziała to z dobrej woli?

Zakłopotanie malujące się na twarzach ławników starcza za odpowiedź.

– Nie ty, Bartłomieju, jesteś tu od zadawania pytań – obrusza się wójt. – Objasnij nam, czemu ty, uczciwy bartnik, chcesz stawać w obronie sługi Szatana. Zaczynamy podejrzewać, żeś sam mógł wpaść w jego sidła.

– Jak rzekliście, wójcie, jestem uczciwym bartnikiem. Przystaję z pszczołami, a nie od dziś wiadomo, że to święte owady.

– Owady święte, ale ty możesz być sługą Złego. Gospodyni naszego pastora, świątobliwego człowieka, okazała się królową czarownic – drwi jeden z ławników.

– Bartłomieju, czy znasz czary? – Pytanie zadane tak nagle przez wójta jest jak uderzenie biczem. Wszak od niego zaczynały się wszystkie przesłuchania.

– Nie!

– Od kogo się ich uczyłeś?

– Powiedziałem już, nie znam czarów!

– Czy uczyniłeś jakieś szkody ludziom lub zwierzętom? Jak to czyniłeś?

– Ja miałbym szkodzić zwierzętom? Przecież żyję z pszczoł.

– Czy zawarłeś pakt z diabłem i od niego uczyłeś się czarów?^[33]

Bartłomieja ogarnia panika. „Przecież oni nie słuchają, co do nich mówię. Zadają pytania i nie potrzebują odpowiedzi. Już mnie osądzili”. Ma wrażenie, że atakuje go rój rozgniewanych szerszeni. Jeśli zaraz czegoś nie zrobi, będzie po nim. Przystaje słuchać, co mówią. Bierze głęboki oddech i rzuca gniewnie:

– Więc zaprzeczacie, że pszczoły to święte owady?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Zaprzeczacie, że ich воск służy w kościele naszemu Panu Bogu Wszechmogącemu?

– Bartłomieju, zapominasz, kto...

– Jesteście sędziami, a nie wiecie, że pszczoły nie znoszą blisko siebie ludzi nieuczciwych, kłamców i zawistników?

– Nikt nie powiedział..

– A kto dopiero co rzucił na mnie podejrzenie, że jestem sługą Szatana, kto pytał o pakt z diabłem? Jacy z was sędziowie, że nie wiecie, że dawno by mnie pszczoły zabiły, gdybym służył panu piekiel. One, święte owady, wyczułyby Złego w mej duszy. Nie bałem się stanąć przed wami, bom prawy i wiem, że Wiga taka sama. Przyszedłem was prosić, byście zdjęli z niej podejrzenie rzucone przez przestraszoną dziewczynę.

– Nie możesz wiedzieć, czy nie zadawała się z Szatanem. Nie znasz jej dobrze.

– Znają ją moje pszczoły. Dwie wiosny i dwie jesienie chodziła ze mną do boru.

Zapada cisza. Wójt zerka na krzesło zajmowane zwykle przez wysłannika z Löwenbergu, jakby ono miało udzielić mu rady.

– Bartłomieju – odzywa się w końcu. – Odpowiemy ci po powrocie naszego doradcy, pana Radoszewskiego. Ma być za dwie niedziele. Przez ten czas Wiga zostanie w zamku.

– Nie! – Wszystkie głowy obracają się w stronę, gdzie siedzi von Kittlitz. Właściciel Kolzig, nawet jeśli był obecny, nigdy dotąd nie wtrącał się w przebieg przesłuchania. – Zróbcie to teraz. Pan Radoszewski nie jest ławnikiem. Możecie go słuchać, ale nie musicie.

– Chcemy się naradzić.

– Dobrze, ale najpierw chcę zadać Bartłomiejowi pytanie. Powiedziałeś – von Kittlitz zwraca się do mężczyzny nadal stojącego przed ławnikami – że przyszedłeś, by wstawić się za córką Neulinga, nie dla niej, a dla siebie. O co ci chodziło?

– Kiedy bartnik idzie do pszczół, musi mieć czyste sumienie. Nigdy więcej nie mógłbym chodzić do boru i robić kłeczby, gdybym pozwolił na spalenie Wigi. Jej śmierć na zawsze obciążyłaby moje sumienie. Wiem, że jest prawą niewiastą. Niech umrą moje pszczoły, jeśli jest inaczej.



Są domy, w których nie ma kto cieszyć się z przyjścia na świat Bożego Syna. W zagrodzie wdowy Villborn nie znajdzie się żywej duszy. Johann, mąż Urszuli, powiesił się dwa dni po tym, kiedy umarła Anna. Bliźniacy pożegnali się z młodszym bratem i powiedzieli, że idą się zaciągnąć do cesarskiego wojska. Paweł pochował ojca w niepoświęconej ziemi, rozejrzał się po pustej chałupie, potem oddał zwierzęta w opiekę sąsiadom i poszedł do Unruhstadt, do siostry. Powiedział Katarzynie, że wróci, kiedy wypuszczą Urszulę. Katarzyna Kunert, odkąd ujrzała swą matkę na stosie, nie potrafi się śmiać i nic jej nie cieszy. Jej mąż, Hans, myśli o swojej rodzicielce wciąż uwięzionej w zamkowej piwnicy.

Nigdy dotąd, od kiedy zamknięto w Kolzig kościół, tak wielu luteranów ze wsi pana Kittlitz nie udało się na nabożeństwo do Karge lub Wolsztyna. Tym razem nie było w ich trudzie radości i religijnej gorliwości. Jadąc do odległych świątyń, oglądali się, czy są dobrze widziani. Klękając i biorąc hostię do ust, starali się, by sąsiad zobaczył, że połykają, a nie wynoszą, żeby oddać diabłu bądź zbecześcić. Strach przed posądzeniem nie wygasł. Nadal zatruwał dusze i przeszkadzał w rozmowach.

Gdyby mierzyć prawdziwość radości z przyjścia na świat Bożego Syna, to tylko w chacie bartnika jest ona szczerą i niczym niezmaconą. Michałka i Bartłomiej z dziewczynkami siadają do świątecznego obiadu z jasnymi twarzami i sumieniami tak czystymi jak u dzieci, które dopiero co przyszły na świat.

ROZDZIAŁ IV





Nie zawsze dorosłość mierzy się latami. Są takie przeżycia, pod wpływem których człowiek dojrzewa wcześniej, będąc jeszcze dzieckiem. Inni nie dorastają, choć siwieje im głowa.

Tej zimy Rozala stała się dorosła. Nie przez jedną chwilę ani jeden dzień. Prawdziwa dorosłość wykiełkowała w niej przy pierwszym paleniu, kiedy, podtrzymując omdlewającą Katarzynę, patrzyła na śmierć jej matki i umieranie innych sióstr. Dorosłość pęczniała w Rozali przy drugim paleniu, kiedy ogień zabrał Starego Dobosza, Urszulę i trzy inne kobiety, i podczas trzeciego, gdy zginęła teściowa Katarzyny, owczarzowa Girgin oraz kolejne trzy siostry.

Siostry, tak o nich wszystkich myśli. Kiedyś ciotki albo całkiem obce. Dzisiaj to siostry, bo oddychała powietrzem wypełnionym ich krzykiem i popiołem ze spalonych włosów.

Dzień przed Bożym Narodzeniem stanęła obok bartnika naprzeciwko zamkowej bramy i razem z nim czekała. Brama otworzyła się w południe, a w otwartych wrotach ujrzała chwiejącą się babkę. Szybko, zanim ktoś się rozmyśli, podbiegli do niej, chwycili pod ramiona i zaciągnęli do chaty Bartłomieja. Potem, nakarmioną i przykrytą kożuchem, zawiózł bartnik do Grünwaldu.

Rozali zdawało się, że babka umiera. Czasami na pół dnia przenosiła się do innego miejsca, gdzie kąsały ją szczury albo szukała swojej Doroty. Szczęściem były też chwile, kiedy patrzyła przytomnie i między napadami kaszlu umiała powiedzieć, które zioła Rozala ma parzyć i dawać jej do wypicia. Poila więc babkę naparami z tymianku, liści maliny, lipy i kory wierzby na przemian z mlekiem zaprawionym miodem i borsuczym sadłem. Smarowała ją maściami, które Wiga zrobiła jesienią i jeszcze nie

zdążyła ich sprzedać. Przeganiając na chwilę kota, obracała raz na jeden, raz na drugi bok, byle się lżej oddychało, byle choroba szybciej z babki wylazła.

Ledwie Wiga trochę doszła do siebie, zjawiała się Uta. Stary Dobosz, zanim zawiedli go na stos, powiedział, że nie chce zabierać grzechu na tamten świat, dlatego prosi o uwolnienie małej Girgin. Wyznał ławnikom, że oskarżył dziewczynę, bo był na nią za coś zły. Naprawdę nigdy jej nie widział na diabelskich balach.

I tak pewnego dnia, brnąc w śniegu boso i w samej koszuli, Uta dotarła do chaty Wigi i już w niej została.

Przez zajmowanie się chorą babką i całkiem nową siostrą Rozala dojrzała do końca.

W chuście i kozuchu, z nogami schowanymi w niekształtnych butach wypchanych słomą, robi porządki w sieni. Bardzo tu zimno, ale musi sprawdzić, ile czego zostało z zapasów. Wiosna powinna przyjść niedługo, lecz nie wiadomo, kiedy przyjdzie naprawdę. Wiosna oznacza pustki w beczkach i garncach. Dobrze, kiedy można się poratować ptasimi jajami i pokrzywą, byle śnieg nie leżał zbyt długo na polach.

Mało. W beczkach ledwie dno zakryte. Trzy gęby do jedzenia to nie jedna. Skąd miała babka wiedzieć, że będzie ich więcej? Szykowała groch, kaszę, proso i warzywa tylko dla siebie. Dobrze chociaż, że żołądźci nzbierała więcej niż zwykle. Żołądźciowa mąka uratuje je od głodu.

Rozala zagląda do izby. Babka i Uta siedzą przy palenisku. Wiga uczy dziewczynę przędzenia. Tkać też nauczy i wszystkiego, co można robić w chałupie i w ogrodzie. Na pole na pewno już nie pójdzie. Stopy małej Girgin się goją, lecz nigdy nie będą takie jak kiedyś. Po przypalaniu żelazem i odmrożeniu podczas bosej wędrówki po śniegu zaczęły się zawijać do środka, jakby palce chciały się spotkać z piętami. Uta chodzi na zewnętrznych krawędziach stóp i nieważne, że dziwnie to wygląda. Gorzej, że takie chodzenie wywołuje ból bioder, kolan i reszty ciała.

– Idę do Katarzyny! – woła Rozala do zajętych pracą kobiet.

– Tylko nie siedź do ciemna – odzywa się babka, nawet się nie

oglądając.

Ścieżka w śniegu jest tak wydeptana, że aż śliska. Wnuczka Wigi codziennie chodzi do Katarzyny. Ona również jest jej siostrą.

Wchodząc do sieni, krzyczy na całe gardło:

– To ja!

Dopiero potem otwiera drzwi do izby. Zwykle Katarzyna, usłyszawszy, że ktoś nadchodzi, chowa się w kąt za paleniskiem. Dzisiaj jest inaczej.

– Pracujesz? – mówi Rozala do kobiety siedzącej przy krosnach.

– Jak zrobi się ciepło, pójdę w pole. Teraz też muszę się czymś zająć. To krosna teściowej. Zapytałam Hansa, czy mogę je wziąć. Pozwolił. Barwione nici też. Zobacz, jaki ładny chodniczek tkła. Nie zdążyła go dokończyć. – Nagle kobieta wybuchła płaczem. – Wybacz – szłocha. – Nie znoszę tej ciszy i pustej chaty.

Rozala nic nie mówi, tylko siada przy niej na ławie i otacza ramieniem. Trwają w uścisku, aż płacz ustaje.

– Dzisiaj się nie schowałam, chociaż słyszałam, że ktoś idzie po śniegu – zwierza się Katarzyna. – Siedziałam akurat przy krosnach. Nogi same rwały się do ucieczki, ale powiedziałam sobie, że nie mogę do końca życia się chować. A jak po mnie przyjdą, i tak znajdą.

– Nie przyjdą.

– Tego nie możesz wiedzieć. Czy w lato, kiedy tańczyliśmy nad rzeką, pomyślałaś, że coś takiego się stanie? Jadłyśmy czereśnie i rozmawiałyśmy o głupstwach, a połowy z nas już nie ma. Chyba już nigdy nie przestanę się bać. Nie będę się chować, ale strach nie minie.

– Uta też patrzy na drzwi.

– Ma szczęście, że ją przygarnęłyście. Nie miała dokąd pójść. Owczarz zniknął. Ktoś mówił, że widział go w Zulich.

– Babka ją lubi. – Powiedziawszy to, Rozala popada w zamyślenie. – Zobacz, Katarzyno – odzywa się znowu – jak to się w życiu plecie. Niedawno nie miałam żadnej siostry, a teraz mam dwie, ciebie i Utę. – O tych, co w niej krzyczą, przez delikatność nie wspomina.

– Niedawno miałam matkę i teściową. Gdyby nie ty, zostałabym sama.

– Masz męża.

– Dobry z niego chłop, ale całymi dniami go nie ma.

Rozala z westchnieniem wstaje z ławy.

– Pójdę już. Babka nie lubi, kiedy siedzę gdzieś za długo.

– Zdaje mi się, że masz jakieś zmartwienie.

– Mam, ale dam sobie radę.

– Powiedz. Ja ci wszystko mówię.

– Nie starczy nam kaszy i grochu, nawet zboże na mąkę się kończy. Do tego koza się nie doi. Już oszczędzamy, a musimy jeszcze bardziej – zwierza się Rozala.

– Czemu nic nie mówiłaś? Pomogę wam. U was dwie gęby więcej, u nas jednej zabrakło. Jakoś dotrwamy do nowego.

Rozala wraca ścieżką wydeptaną w śniegu. Uśmiecha się do siebie. W coraz śmielszym świergocie ptaków wibruje wiosna, a powietrze pachnie nadzieją.



Latem wieści przenoszą się szybko. Między miejscowościami, w których odbywają się targi albo jarmarki^[34], przemieszczają się ludzie, a z nimi wiadomości. Zimą, szczególnie gdy jest surowa, przepływ informacji jest wolniejszy. Nie ma jednak takiej możliwości, by nie było go wcale.

O paleniu czarownic w Kolzig Tytus usłyszał na początku stycznia. Już wtedy zaczął się niepokoić przedłużającą się nieobecnością Rozali, toteż wieść o tym, co dzieje się tam, gdzie przebywa, zmroziła mu krew w żyłach. Gotów był po nią jechać, ale akurat zaczął się okres wielkich śniegów i zamieci, a wtedy nikt rozsądny nie ruszyłby w podróż.

Ledwie pogoda się uspokoiła, miasto nawiedziła choroba. Od razu powiązano to z działaniem czarownic. Ci, którzy akurat nie leżeli z gorączką, popatrywali podejrzliwie na żebraków, a nawet na sąsiadów.

Pierwsze zaczęły umierać dzieci nędzarzy, a potem już choroba nie wybierała. Odchodzili starzy i młodzi, biedni i bogaci. Nie aż tak, jak podczas morowego powietrza, ale wystarczyło, żeby zaczęto głośno mówić, że i w Zulich należy rozejrzeć się za sługami Złego. Na szczęście na gadaniu się skończyło.

W domu Tytusa zaczęło się od Helgi. Tak ją rozłożyło, że nie miała siły wstać, by rozpalić w piecu. Potem przeszło na panią Barbarę. Petra i Tytus trzymali się najdłużej. Cyrulik wezwał medyka, który obejrzał panią Haase, uważając, by nadto się nie zbliżyć. Najpierw kazał wystawić język i zaglądnął w oczy, potem zajrzał do nocnika, powąchał jego zawartość, zadał jeszcze kilka pytań, a na koniec wizyty zaordynował upuszczenie krwi, picie wina z korzeniami i miodem oraz odżywianie się psim mięsem, które ma działanie rozgrzewające i wysuszające, a to z kolei pozwoli na pozbycie się z ciała nadmiaru wilgoci, który się objawia w postaci smarków. Zapytany przez Tytusa o zioła, łaskawie odpowiedział, że mogą być, ale nie ręczy za skuteczność. Przy okazji zrobił cyrulikowi wykład o czterech humorach istniejących w organizmie człowieka i konieczności zachowania między nimi równowagi. Mistrz Haase, który nieraz czytał o nich w księgach, uprzejmie słuchał, nie chcąc urazić medyka. Co do Helgi, za obejrzenie której również zapłacono, ona miała jeść cebulę i czosnek, czyli lekarstwa biedoty.

Zaledwie gospodyni zdołała wstać z łóżka, położyła się Petra, a w końcu sam mistrz.

I tak płynęły dni i tygodnie, aż choroba ustąpiła, i choć bladzi, wymęczeni kaszlem i gorączką, wszyscy wyszli z niej żywi, chociaż niejednakowo silni.

Żona mistrza Haase już nie wstaje z pościeli. Wysoka gorączka minęła, katar i kaszel również, lecz ani ciało, ani dusza nie mają ochoty na życie. Tytus się czegoś domyśla, więc zamiast jechać po Rozalę, siedzi przy żonie. Pielęguje ją nie gorzej niż Helga, rozmawia, czyta na głos albo drzemie na twardym krześle, kiedy i ona zamyka oczy. Często przychodzi

pastor. Wtedy mistrz zostawia Barbarę z duchownym, a sam idzie do miasta, sprawdzić, jak się mają pacjenci. Zagląda też do szpitala. Ci, co zdążyli poznać Rozalę, pytają, kiedy wróci. Nie wie, co im odpowiedzieć. Wzrusza ramionami i idzie do obowiązków.

Co wieczór, zanim uda się na spoczynek do swej izby na górze, zagląda do Barbary i zadaje zawsze to samo pytanie:

– Czy niczego ci nie brak, moja droga?

Ona coś odpowiada, ale coraz częściej udaje pogrążoną we śnie, choć o tej porze zaczyna się dla niej udręka bezsenności. Kiedy nie śpi, słyszy nad głową jego kroki. Niemal widzi, jak przechadza się od ściany do ściany. Wie nawet, gdzie się zatrzymuje. W końcu niedawno był to jej pokój. Teraz to izba Rozali.

Zbliża się kolejny wieczór. Tym razem nie zamierza udawać. Jej czas się kończy, nie ma co odkładać wyznania na jutro.

– Czy niczego ci nie brak, moja droga?

– Proszę, otwórz okno. Helga za dużo nakładła do pieca. Nie ma czym oddychać.

Do pokoju wpada powiew czystego powietrza pachnącego topniejącym śniegiem.

– Usiądź przy mnie – prosi pani Haase. – Chcę ci o czymś powiedzieć.

– Co takiego? Zrobię, co zechcesz.

– Wystarczy, że mnie wysłuchasz.

Barbara sypia oparta wysoko na poduszkach, przez co raczej siedzi niż leży. Jej szczupła, naznaczona chorobą twarz jest teraz prawie na wysokości twarzy Tytusa.

– Słucham cię, moja droga.

– Wolę, kiedy mówisz do mnie po imieniu.

– Słucham, Barbaro.

– Chciałam ci powiedzieć o sobie z czasów, kiedy cię poznałam. Pamiętam dzień, kiedy przyszedłeś do mego męża. Długo wędrowałeś do

rodziców, a kiedy dotarłeś do Wolsztyna, twój ojciec zmarł, a matka żyła w niedostatku. Prosiłeś o jakieś zajęcie, by jej pomóc. Namówiłam wtedy Haasego, by cię przyjął. Domyślaliśmy się oboje, że po czeladniczej wędrownicy wiele umiesz i twoja praca może nam przynieść korzyści.

– Pamiętam, jakby to było dzisiaj. – Tytus się uśmiecha. – Ty i twój mąż podaliście mi pomocną dłoń.

– W moim przypadku wcale nie o to chodziło.

– Jak to?

– Poeci często piszą o miłości od pierwszego wejrzenia. Wierzę, że jest możliwa, bo ja pokochałam ciebie w chwili, gdy cię ujrzałam. Kiedy poślubiłam Haasego, byłam młoda, a on ode mnie dużo starszy. Nie zaznałam z nim szczęścia w małżeńskim łóżu, więc się nie dziw, że myślałam o tobie, leżąc obok męża. Wyobrażałam sobie, jak zanurzam dłonie w twoich brązowych włosach, jak patrzę ci w oczy i mówię o miłości. Każdej nocy oddawałam ci się w marzeniach i nigdy nie miałam dość.

– Nie wiedziałem. Byłaś taka... – szuka właściwego słowa – oschła.

– Skrywałam swe uczucia i nigdy byś się o niczym nie dowiedział, gdyby mój mąż nie zmarł. Oplakałam go szczerze, bo był dobrym człowiekiem. Jego śmierć skomplikowała mi życie. Jako wdowa po mistrzu balwierskim mogłam zachować jego narzędzia i prawo do wykonywania fachu jedynie przez rok, i to pod warunkiem, że zatrudnię kogoś, kto nadal będzie robił to, co mój zmarły mąż.

– I wtedy dałaś mi pieniądze, bym mógł zdać egzamin i zostać mistrzem. Uznałem to za dar niebios.

– Ale ja nie przestałam cię kochać, dlatego po roku żałoby zaproponowałam ci małżeństwo.

– Mówiłaś, że to tylko umowa, że gdybyś tego nie zrobiła, musiałabyś sprzedać narzędzia, a cały dorobek twego męża by przepadł. Wiem, że to prawda. Takie są prawa cechowe.

– Co miałam mówić? Że pragnę chłopca, który mógłby być moim

synem?

– Zgodziłem się, bo to była dla mnie szansa. Nigdy sam bym się nie dorobił tego, co otrzymałem po twoim mężu. I matkę chciałem ratować. Była wtedy bardzo chora. Zmarła wkrótce po naszym ślubie.

– Mówię ci o mojej miłości, bo nie chcę odchodzić z grzechem na sumieniu.

– Miłość nie może być grzechem.

– Tytusie, ja ciebie oszukałam. Myślałeś, że mi pomagasz zachować spadek po mężu, a on nie był dla mnie tak ważny jak ty. Duma nie pozwoliła mi powiedzieć prawdy. Gorzej, bo ja, niemłoda już kobieta, oczekiwałam, że będziesz mnie kochał jak ja ciebie.

– Przecież... chyba było nam razem dobrze. Barbaro... – Tytus kładzie dłoń na dłoni żony. – Niczego nie żałuję. Jestem szczęśliwym człowiekiem.

– Tym razem to ty nie mówisz prawdy. – Pani Haase zabiera rękę i chowa ją pod pościelą. – Co noc słyszę twoje kroki w pokoju Rozali, od Helgi wiem jeszcze więcej. Byłam na ciebie zła, aż pewnego dnia uświadomiłam sobie, że to kara za tamto. Tak jak ja pożałowałam ciebie, tak ty teraz pragniesz tej dziewczyny. Niedługo umrę, jak kiedyś mój pierwszy mąż, a ty będziesz ją miał, jak wtedy ja ciebie.

– Nie! Nie możesz tak mówić! Chcę, byś żyła.

– Nie jesteś złym człowiekiem. Wierzę, że nie chcesz mojej śmierci, lecz kostucha już czeka za progiem. Nie będę ci dawać żadnych rad ani o nic prosić. Zrobisz, co zechcesz. Jeśli to może ci w czymś ulżyć, wiedz, że rozumiem, co teraz czujesz, bo przed laty czułam to samo.



– Panią boli głowa.

To przecież nic takiego, dlaczego więc na twarzach szepczącej służby widać trwogę?

– Boli tylko trochę czy tak jak kiedyś?

– Jak kiedyś. Nie tylko głowa. Ręce i nogi też. Dzisiaj na pewno nie wstanie. Kto wie, czy jutro się podniesie.

Von Kittlitz milczy przy śniadaniu. Antonius Radoszewski zerka na jego pochmurne oblicze, próbując zgadnąć przyczynę złego nastroju. Obawia się nawet, że on sam daje powód do niezadowolenia. Wszak obiecał opuścić zamek, jak tylko drogi obeschną. Śniegi stopniały, drogi przejezdne, można jechać. Tylko że Antonius jechać nie może, bo nie załatwił najważniejszej sprawy.

– Pani Kittlitz nie zaszczyci nas dzisiaj swoją obecnością? – zagaduje, by przerwać niezręczną ciszę.

– Moja małżonka jest chora. Została u siebie.

– Czy mogę spytać... To jakaś poważna niemoc?

– Taka jak zawsze. – Von Kittlitz ucina dociekania Radoszewskiego. Najwyraźniej nie ma dzisiaj ochoty na rozmowę.

– A wydawało się, że już wszystko dobrze. – Antonius głośno wzdycha. – Kiedy wróciłem po Bożym Narodzeniu, pani von Kittlitz była taka radosna. Cieszyła się, że dolegliwości minęły jak ręką odjął.

– Widać nie minęły.

– Ciekawe, jaka może być tego przyczyna... – To nie pytanie. Radoszewski jest mistrzem w sianiu wątpliwości. Tym razem w chorobie żony właściciela upatruje szansy dla siebie.

Von Kittlitz nie odpowiada. Poirytowany wstaje, żegna się skinieniem głowy i odchodzi. Mimo to gość nie uważa rzuconej uwagi za daremną.

Konne przejażdżki po okolicy służą podreperowaniu nadwątlonego zdrowia. Takie przynajmniej jest oficjalne wyjaśnienie codziennych wycieczek Radoszewskiego. Poznał już wszystkie osady należące do von Kittlitz, ale szczególnego upodobania nabrał do Grünwaldu. Chatę Wigi zwykle obserwuje z daleka, ukryty za kępą gęstych jałowców. Nigdy nie robi tego zbyt długo, ale wystarczy, by zobaczyć Utę wychodzącą czasem

za próg, Rozalę biegnącą do Katarzyny Kunert i Wigę wyganiającą kozę na dopiero co wzeszłą trawę. To, czego się dowiedział po powrocie do Kolzig i co zobaczył, śledząc kobiety z Grünwaldu, pozwoliło mu nakreślić sieć powiązań między różnymi osobami.

Otóż Antonius odkrył, że pod bokiem mało spostrzegawczego von Kittlitz zawiązał się diabelski spisek. Proces o czary z minionych miesięcy i zeznania sług księcia piekieł to wierzchołek góry lodowej. Gołym okiem widać, że zielarka Wiga, jej wnuczka i niska, dziwnie stawiająca stopy dziewczyna oraz Katarzyna są współniczkami. Nie ma tylko pewności, która spośród nich jest najważniejsza. Wyglądająca jak wiedźma Wiga, na której się poznał już w Karge? Jej wnuczka, rzadko osłaniająca ciemne włosy czepkiem? A może Katarzyna, córka i siostrzenica niedawno spalonych na stosie czarownic? Dziewczyna o nikczemnym wzroście nie wygląda na zbyt mądrą, więc na pewno odgrywa mniej ważną rolę.

Zagadką dla Radoszewskiego jest bartnik. Mało prawdopodobne, by stając przed sądem, zaryzykował życie, wstawiając się za garbuską tylko z naiwności. Na pewno go omotała zaklęciami i uczyniła swoim niewolnikiem. Wszak znawcy czarostwa twierdzą, iż Szatan kobiety wybiera na swoje pomoce, bo one łatwo mu ulegają. Drzemią w nich niespożyte żądze, które zdolny jest zaspokoić tylko książę piekieł. Bartłomiej zapewne jest kimś takim jak Stary Dobosz. Naiwnym, wciągniętym w spisek mężczyzną, który nie służy Szatanowi, a czarownicom. Cokolwiek by jednak robił, czeka go stos.

Antonius próbował dowiedzieć się czegoś o bartniku, lecz jest on chyba jedyną osobą, o której nikt nie śmie powiedzieć nic złego. Dlaczego? Trzeba to wyjaśnić.

Kiedy zaczyna wypytywać o Wigę, języki się rozwiązują. Zawsze lepiej odwrócić uwagę od siebie, rzucając cień na drugiego. Dzięki temu Radoszewski zna koleje życia Wigi od urodzenia aż do teraz. To, co zdarzyło się w Karge, w wersji ubarwionej domysłami, także. Sporo wie o Rozali. To ta sama dziewczyna, o której kiedyś powiedział mu chłopak

we dworze w Karge. Ta, której matka zniknęła i która ma na ramieniu znak identyczny z tym, jaki ma on.

Rozala jest jego niedokończoną sprawą. Nawet najbardziej okrutnym samobiczowaniem ani leżeniem krzyżem nie zmaże winy. Spółkował z czarownicą, pomógł jej w wydaniu na świat potomstwa – innej czarownicy.

Stoi za kępą jałowców, obserwując siedzibę sług Szatana. Na razie nic się tam nie dzieje. Może zdążyły już gdzieś pójść. Na pole, a najpewniej do lasu. Tam najczęściej przepada garbuska. Chętnie zajrzałyby do chaty. Jest pewien, że znalazłyby dowody na kontakty ze złymi mocami. Przeszkadza mu mała Girgin, która zawsze jest na miejscu. Jej też nie należało wypuszczać. Sędziowie to głupie chłopki, którym można wszystko wmówić. Gdyby był na miejscu, nigdy by nie dopuścił do zwolnienia Wigi i tej małej.

Tok myślenia przerywa otwarcie drzwi. W progu pojawia się dziewczyna z ciemnym warkoczem przerzuconym na pierś, a za jej plecami córka owczarzowej. Mniejsza wysuwa nos do przodu, jakby węszyła, mówi coś do ciemnowłosej. Ta się rozgląda, ale chyba niczego nie czuje, bo z wiadrem w ręce boso rusza ku rzece.

Jej chód przypomina tamtą wiedźmę, jej matkę. Idzie lekko, jakby nie raziły jej chłód ziemi, błoto i szorstka zeszłoroczna trawa. Dotarłszy do brzegu, pochyła się, by zanurzyć wiadro. Może coś dojrzała, bo odgarniając spódnicę, klęka i wpatruje się w wodę.

Zimny dreszcz przenika ciało mężczyzny ukrytego za jałowcami.

Radoszewski wraca do zamku okrężną drogą. Potrzebuje czasu na ochłonięcie. Obraz dziewczyny czerpiącej wodę wydobył na powierzchnię długo tłumione wspomnienie.

Tamta noc świętojańska, podczas której dał się uwieść służce diabła, wstrząsnęła nim do tego stopnia, że długo nie odwiedzał wuja w Babimoście. Dopiero po dwóch albo nawet trzech latach za namową matki znowu się ośmielił pojawić na plebanii babimojskiego proboszcza.

Nudził się okropnie, toteż zachęcony przez kościelnego wybrał się na jesienny jarmark do Karge. Zostawiwszy konia pod opieką karczmarza, udał się na plac targowy. Towar na straganach nie był szczególnie interesujący, dopiero wystąpienie wędrownego kaznodziei przyciągnęło jego uwagę. Mężczyzna powołujący się na słowa Lutra wzywał do pokory i porzucenia grzesznego życia. Za przykład braku skromności i umiłowania doczesnych dóbr podawał imiona gromadzących ziemskie bogactwa katolickich biskupów i samego papieża. Gniew ogarnął Radoszewskiego. Już miał zaprotestować, kiedy poczuł, że ktoś go szarpie za rękaw.

– Antoniusie, to ty? Nareszcie cię odnalazłam!

Odskoczył gwałtownie w bok i dopiero wtedy spojrzął na dziewczynę, która znała jego imię. Zdało mu się, że nigdy jej nie widział. Jasne, luźno splecione warkocze, oczy jak bławatki w zarumienionej twarzy i niepewny uśmiech nie przypominały tamtej półnagiej sobótkowej boginki patrzącej odważnie, wręcz zachęcająco, i szepczącej, że tej nocy wszystko wolno. Wiedział jednak, że to ta, która go uwiodła.

– Odejdź, dziewczko! – rzucił ze złością. – Nie znam cię.

– To ja, Dorota. Mieliśmy wziąć ślub.

– Oszalałaś. Jaki ślub? Nigdy cię nie widziałem.

Odwrócił się i szybkim krokiem zaczął się oddalać od natrętej dziewczyny. Ona jednak nie dawała za wygraną.

– Antoniusie, czekaj! – wołała, nie mogąc za nim nadążyć. – Chcę ci coś powiedzieć.

Sam nie wie, dlaczego się zatrzymał. Może dlatego, że bał się ciekawskich spojrzeń. Większość ludzi w tej części jarmarcznego placu nadal słuchała kaznodziei. Rozmowa nieznanego mężczyzny z dziewczyną wywołała jedynie ich zniecierpliwienie, gniewne syki albo upomnienia, by nie przeszkadzać.

Dogoniła go przy jednym ze straganów.

– Co chcesz mi rzec, dziewczko?

- Coś ważnego, ale nie tu i nie kiedy jesteś taki zły.
- Przecież cię nie znam. Nie możesz mi powiedzieć niczego.
- Nie kłam. Znasz mnie.

Zobaczył w jej oczach mieszaninę żalu i desperacji. Przestraszył się, że przy tych wszystkich ludziach wykrzyczy mu, co robili w sobótkową noc.

- Kiedy mi powiesz? – zapytał, by prędzej dała mu spokój.
- Jutro. Czekał tam – powiedziała, wskazując ręką w kierunku potężnych drzew o złotobrazowych liściach rosnących na skraju lasu widocznego w oddali. – Przyjdę przed zachodem słońca.
- A jeśli nie zechcę?

– To pożałujesz. – Powiedziawszy to, popatrzyła mu hardo w oczy i odeszła z dumnie uniesioną głową. Zrozumiała, że nic nie wskóra, mimo to z jakiegoś powodu zależało jej na spotkaniu.

Postanowił nigdzie nie iść. Od rana następnego dnia nie opuszczał plebanii. Nie udał się nawet na poranną mszę. Po nieprzespanej nocy bolała go głowa, a niepokój dręczył coraz bardziej. Wuj dopytywał o przyczynę niedyspozycji, ale zbył go jakimś kłamstwem.

Zamiast wyjechać, zapomnieć i przestać się dręczyć, zaczął przemyśliwać, jak odkupić chwilę słabości i zmazać grzech. Wspomnienie spólkowania z pomocnicą diabła rozgrzewało krew, budziło nową pokusę i prowadziło prosto do piekła. „Czarownicy żyć nie dopuścisz” – powtarzał, chodząc w kółko po izbie. Bał się tego, co postanowił zrobić, lecz nie widział innego wyjścia.

Zaraz po obiedzie wyruszył na konną przejażdżkę. W pobliżu dębów znalazł się zbyt wcześnie, ale o to mu właśnie chodziło. Konia zostawił nieco dalej, w zaroślach, a sam się schował za grubym pniem.

Ona także zjawiała się prędzej. Ujrzał ją, jak niemal biegnąc, przemierzała podmokłą łąkę. Musiał przyznać, że była piękna. Zaiste, nie byle jaką istotę wybrał sobie Szatan na służbę!

Poruszała się lekko, z wdziękiem i nieświadomą zalotnością. Jeszcze nie widział jej oczu, lecz pamiętał ich błękit i czerwień pełnych

ust. Wpatrywał się w piersi przy każdym kroku podrygujące pod białą koszulą i szyję, na której kiedyś składał pocałunki. Wspominał zapach skóry i trawy pod nimi. Tak jak wtedy wszystko w nim pulsowało i drżało w oczekiwaniu na spełnienie.

Minęła dąb, za którym się ukrył, zrobiła jeszcze parę kroków i stanęła, rozglądając się wokół. Pomyślała zapewne, że przyszła pierwsza. Otarła dłonią pot z twarzy i szyi i ruszyła przed siebie ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Szedł za nią. Miękka ściółka tłumiała jego kroki i żadna gałązka nie trzasnęła pod stopami.

Zatrzymał się na skraju wilgotnej polany. Klęczała na brzegu stawu i nabierała wody w dłonie, zmywając pot z twarzy. Kiedy się schylała, widział tylko jej biodra osłonięte czerwoną spódnicą. Pulsowanie i drzenie stały się nie do zniesienia. W kilku susach pokonał odległość dzielącą go od kusicielki. Niczym drapieznik rzucający się na ofiarę chwycił ją za kark i zanurzył jej głowę w ciemnej toni. Wyrывała się, szarpała, drapała i wierzgała nogami. Na próżno. Usiadł na niej i trzymał w żelaznym uścisku, aż przestała walczyć. Potem zostawił na brzegu z głową zanurzoną w wodzie.

Biegł co sił, uciekając, nie wiadomo, czy od strasznego czynu, który popełnił, czy może z obawy, że zjawi się Szatan, by pomścić śmierć swej pomocnicy.

Spokój skubiącego gałązki krzewu konia pozwolił mu ochłonąć. Przytulił głowę do jego boku i wdychając woń zwierzęcej sierści, rozpamiętywał to, co niedawno się stało.

Zabił sługę diabła. Postąpił słusznie. Opanował pokusę, by wziąć ją znowu i darować życie. Może być z siebie dumny. Teraz wystarczy wszystko wyznać spowiednikowi i uzyskać rozgrzeszenie. Przed nim czyste, piękne życie w służbie Najwyższego.

Wziął kilka głębokich oddechów, odpiął sakwę od siodła, znalazł kamień i wrócił nad staw. Wczoraj ktoś mógł na nich zwrócić uwagę. Zaczęto by snuć domysły i podejrzenia. Będzie lepiej, jeśli jej nie znajda.

Obciążone ciało szybko zniknęło w ciemnej toni. Gdyby ktoś przyszedł

tu nazajutrz albo za dwa dni, mógłby dojrzeć na dnie makową spódnicę. Wkrótce jednak drzewa zaczęły gubić liście, a wiatr przykrył staw złotem i czerwienią, ukrywając Dorotę przed oczami szukającej jej matki.

Wkrótce pożegnał wuja i udał się do Bawarii, gdzie miał wielu znajomych. Właśnie wtedy, w drodze, zatrzymał się w oberży. Tej samej, która na kilka nocy stała się schronieniem dla Unruga i jego kompanów. Nie przypuszczał, że po trzech latach, kiedy spadnie z konia, los znowu ich zetknie w Karge.

*

Wydarzenia sprzed lat tak mocno o władnęły umysłem Radoszewskiego, że stanąwszy przed bramą wjazdową na zamkowy dziedziniec, jest oszołomiony jak człowiek, który nagle został wyrwany z głębokiego snu. Kiedy jednak jego wzrok napotyka ledwo widoczne ślady po stosach, wraca do równowagi.

– Czarownicy żyć nie dopuścisz – mówi do siebie, oglądając się w stronę Grünwaldu.



Tej zimy Jakub stał się dorosły. Inaczej niż Rozalia. Dzisiaj na pewno nie uciekłyby do oberży, by pić wino i skarżyć się na zaborczość matki. Dzisiejszy Jakub podejmuje decyzje, w których w niewielkim stopniu uwzględnia pragnienia kobiety nazywającej siebie markizą de Fontenay-Trésigny. Robi to, co uważa za słuszne, choć nie przestał matki kochać.

Dorosłość w nim wykiełkowała, gdy znalazł się w Paryżu. Karnawał trwał w najlepsze. Matka, dalej ostrożna, lecz tu, pod bokiem króla, już nie tak jak kiedyś, odwiedzała z nim krewnych, przyjmowała zaproszenia na bale, na których nie bywał stryj Karol, i schlebiała każdemu, kto mógł poprzeć jej sprawę u władcy. Po latach spędzonych w oddaleniu od życia towarzyskiego, a nade wszystko od kobiet, Jakub czuł się zagubiony. Oszołomiły go śmiałe dekolty, powłóczyście spojrzenia i odwaga niewiast

w sięganiu po wszystko, czego zapragną. Po niego też sięgnęły. Nieśmiały i nieznający fizycznej miłości, przy tym bardzo przystojny młodzian był dla nich niczym baranek dla głodnych wilczyc. Jak się okazało, matka pilnie go obserwowała. Zauważywszy, że gubi się raz po raz z tą czy inną panną, mężatką albo wdową, zmieniła taktykę. Odtąd, z kimkolwiek by rozmawiała, musiała go mieć u boku. W każdym razie trochę dorosłości Jakub doświadczył.

Te, których ambicją było wprowadzenie go w świat miłosnych uciech, nie byłyby kobietami, gdyby przy okazji nie chciały się dowiedzieć czegoś więcej o rodzinie młodzieńca i nie dzieliły się z nim zdobytą wiedzą.

Poznał więc Jakub inne oblicze ojca. Przedstawiany przez matkę jako wzór cnót wszelakich, był podobny do swego brata. Hulał, zdradzał żonę, a podczas polowania zastrzelił naganiacza, bo uznał, że spłoszył mu jelenia. Właściwie poza markizą nikt nie powiedział o ojcu Jakuba dobrego słowa. Co prawda młodzieniec nie usłyszał potępienia dla niecznych czynów, a jedynie chęć podzielenia się ciekawostką, lecz wyidealizowany obraz rodziciela odpłynął w niebyt.

Obiecanej audiencji nie doczekali. Raz po raz wzywani do pałacu, bo może dzisiaj jego królewska mość zechce ich przyjąć, spędzili długie godziny w tłumie innych pragnących wyłuszczyć władcy swoje sprawy. To, co dla matki było kolejną okazją do odnawiania znajomości, on odczuwał jako upokorzenie.

Ostatecznie jeden z hojnie obdarowanych dworzan przedstawił im stanowisko króla wraz z dokumentem poświadczającym jego decyzję.

Wolą Ludwika XIV było, by Karol, markiz de Fontenay-Trésigny, zachował tytuł i włości do czasu wyjaśnienia kwestii następcy. Jeśli druga żona Karola, obecnie brzemienna, urodzi córkę, wszystko przejdzie na Jakuba. Jeśli będzie syn, on stanie się następcą, a do osiągnięcia przez potomka Karola stosownego wieku Karol dalej będzie markizem de Fontenay-Trésigny. Król w ogóle nie odniósł się do zamordowania Gabrielle ani próby pozbycia się Jakuba i jego matki.

– Karol więcej zapłacił – podsumowała załamana markiza.

Musiała czekać jeszcze dwa miesiące, aż żona Karola urodzi dziecko, a wcześniej modlić się, by to była dziewczynka.

Urodził się chłopiec.

Wtedy Jakub stał się całkiem dorosły.

Obiecał być w Zulich na Zmartwychwstanie, ale nie zdążył. Mury miasta ujrzał kilka dni po Wielkanocy. Zamierzał nocować w oberży. Pech chciał, że w mieście zatrzymała się żona polskiego magnata udająca się do Paryża traktem przez Magdeburg. Ona i towarzyszące jej damy i kawalerowie oraz służba zajęli wszystkie miejsca. Wkrótce towarzystwo miało się udać w dalszą podróż, ale czy to będzie jutro, czy za tydzień, nikt nie wiedział. Jedyne, co udało się załatwić, to spanie na słomie w stajni i obrok dla konia.

Od kilku minut Jakub kołacze do drzwi kamienicy mistrza Haase.

– Gdzie się wszyscy podzieli? – zastanawia się głośno, zadzierając do góry głowę. Okna zamknięte, nikt nie wygląda. Żadnego śladu życia.

Mija go właśnie wóz z cuchnącą zawartością. Obok idzie wesoło pogwizdujący mężczyzna. Żółta tkanina na rękawie oznacza, że to kat. Jego nie będzie o nic pytał, zresztą mało prawdopodobne, że coś wie.

Kobieta z koszem wracająca z targu z zaciekawieniem zerka na urodziwego młodziana.

– Szukacie cyrulika? – zagaduje. – Dzisiaj go nie zastaniecie. Musicie iść do innego.

– Wyjechał?

– To nie wiecie, że jego żona wyzionęła ducha? Wszyscy na pogrzebie.

– Pani Barbara nie żyje?

– No przecież mówię.

Kobieta odeszła, a Jakub nadal stoi, nie wiedząc, co począć. W końcu postanawia wrócić do karczmy. Liczył nie tylko na spotkanie z panem Tytusem i Rozalką, ale i na dobry obiad. Teraz będzie musiał posilić się byle czym.

Dwaj szlachcice, prawdopodobnie z orszaku żony polskiego magnata, grzecznie się posunęli na ławie, robiąc mu miejsce. Nie ma ochoty na rozmowę, zresztą tamci tak są pochłonięci omawianiem ostatnich wydarzeń w Rzeczpospolitej, że nie wykazują zainteresowania młodzieńcem. Tyle tylko, że się przedstawili. Czekaając na zamówiony posiłek, Jakub przysłuchuje się wymianie zdań przy stole.

Okazuje się, że podczas gdy on przebywał we Francji, w Polsce wybuchł rokosz. Na jego czele stanął magnat, były marszałek polny koronny Jerzy Lubomirski. Przyczyną wypowiedzenia posłuszeństwa królowi Janowi Kazimierzowi są, według rozmówców, podszepty Ludwiki Marii. Ich zdaniem przyjaciółka matki Jakuba jest podłą intrygantką dążącą do ukrócenia złotej wolności szlacheckiej. Z ust polskich szlachciców padają niepochlebne zwroty określające królową jako bezecną Jezabel^[35], francuską megierę czy też przeklętą harpię. Jeszcze niedawno Jakub prawdopodobnie by się obruszył i stanął w obronie matczynej powiernicy, ale gwałtowne, nierozsądne porywy ma już za sobą, więc dalej słucha o tym, jak wojska Lubomirskiego bawią się z królewskimi w kotka i myszkę albo taniec goniony, unikając większych walk i uciekając przed źle dowodzonymi i nieruchliwymi oddziałami Jana Kazimierza. Nie znaczy to jednak, że jest mu przyjemnie dowiadywać się o francuskim chłystku, któremu bezpotomna para królewska chciałaby zapewnić polski tron poprzez wybór *vivente rege*^[36].

Jakubowi się wydaje, że wzmocnienie władzy królewskiej i ograniczenie samowoli szlachty byłoby słusznym posunięciem, ale jego znajomość polskich spraw jest niewielka, więc nawet nie próbuje się odzywać.

Nareszcie się doczekał. Karczmarka stawia przed nim cynową miskę z jedynym serwowanym tego dnia daniem, czyli wieprzowiną duszoną w kiszanej kapuście. Jako że potrawa po spróbowaniu okazuje się słona, zamawia jeszcze dzban piwa i, starając się nie słuchać zaperzonych szlachciców, zabiera się do pochłaniania tłustego mięsa.

Przed kamienicą mistrza Haase ponownie staje późnym popołudniem.

Ma wrażenie, że znowu nikogo nie ma. Jednak kiedy dłużej stuka kołatką, zjawia się zapłakana Helga.

– Wstyd – gdera. – Co z was za człowiek, że nie umiecie uszanować żałoby. Mistrz dzisiaj nie przyjmuje. Idźcie gdzie indziej.

Próba zatrzaśnięcia drzwi się nie udaje. Jakub wstawia stopę w szparę, nie zamierzając pozwolić na odprawienie.

– Powiedz mistrzowi, że Jakub chce się z nim widzieć.

– Jaki Jakub? – Dopiero teraz gospodyni obrzuca go uważnym spojrzeniem. – A, to wy... Nie poznałam. Wejdźcie. – Ustępuje, ale nie ma w niej krzty życzliwości.

Tytus wygląda stosownie do okoliczności. Błady, smutny i szczuplejszy niż zwykle. Lecz nawet Jakub musi przyznać, że smutek czyni oblicze mistrza bardziej interesującym. Piuwe oczy zdają się większe niż zazwyczaj, a bladość cery ładnie kontrastuje z kasztanowymi bujnymi lokami.

Mężczyźni bez słowa padają sobie w ramiona. Dopiero po chwili młodzieniec składa kondolencje, co wywołuje ponowny wybuch wzruszenia. Uspokoiwszy się, cyrulik wydaje gospodyni polecenie, by przygotowała łóżko dla markiza i zrobiła coś dobrego na kolację.

– Nie jestem markizem – prostuje Jakub przy wieczerzy.

– Nie? To znaczy, że twojej matce nie udało się nic wskórać, a tobie dalej grozi niebezpieczeństwo.

– Z woli naszego władcy wszystko otrzymał syn stryja Karola. To już postanowione, więc stryj nie ma powodu czyhać na moje życie. Ja mam tyle, ile miałem, czyli niewiele. Matka się załamała i poszła do klasztoru, dzieląc resztki majątku między ów klasztor i mnie. Zamierzała jeszcze walczyć, a kiedy odmówiłem w tym udziału, chciała mnie wysłać do swoich możliwych krewnych. Liczyła, że powierzą mi jakieś dochodowe i wpływowe stanowisko w Bretanii. Nie zgodziłem się.

– Cóż zatem zamierzasz?

– Na razie chciałbym się zatrzymać w Karge. Czy Baltazar von Lest

jeszcze tam zarządza?

– O ile wiem, tak. Każdego roku się zarzeka, że odejdzie, ale wciąż trwa na stanowisku. Jest coraz słabszy. Stare rany odezwały się po latach.

– Tym bardziej muszę go odwiedzić. Wiele mu zawdzięczam.

– Może go wyręczysz w Karge. Pamiętam, że kiedyś był taki plan. Miałeś zostać następcą Baltazara.

– Miałbym zarządzać Karge? – Jakub zastanawia się tylko przez chwilę. – Gdyby majątek należał do mnie, mógłbym tam zostać choćby od razu. Kiedy myślę o rodzinnym domu, przed oczami staje mi dwór na wzniesieniu i trzy osady u jego stóp. W jedynym miejscu, do którego jestem przywiązany, jest Baltazar von Lest, kucharka Agata i Rozalka z Wigą. Lecz to nie moje miejsce, a Unruga. W każdej chwili może powiedzieć „Idź precz”.

Tytus pragnąłby zaprzeczyć, ale nie byłoby to uczciwe. Sam niejednym raz odmówił właścicielowi Karge, kiedy ten zachęcał go do osiedlenia się w Unruhstadt.

– Zatem wracasz do Francji? – pyta zasmucony.

– Myślę raczej o osiedleniu się niedaleko Zulich. To, co dostałem od matki, wystarczy, by kupić niewielką posiadłość. Byłbym panem siebie, a nade wszystko mógłbym w każdej chwili odwiedzić was, mistrzu Haase, i von Lesta.

– Jakubie! Niczym nie sprawisz mi większej radości! Jutro razem odwiedzimy pewnego kupca, który jest dobrze zorientowany w tym, kto sprzedaje, a kto chce kupić majątek ziemski. To uczciwy człowiek. Na pewno dobrze ci doradzi.

– Hola, nie tak szybko! Najpierw chcę do Karge.

– Dobrze, dobrze. Co nagle, to po diable. Najpierw jedź do von Lesta. Właściwie jedźmy razem – proponuje Haase. – Muszę odetchnąć innym powietrzem, spotkać się z Baltazarem, nawet dłużej pobyc w dworze. Odpocząć po tym wszystkim...

Jakub nie przerywa milczenia, które zapadło po ostatnich słowach

cyrulika. Dopiero kiedy ten sięga po kielich, ośmiela się zadać pytanie, które od początku miał na końcu języka.

– Gdzie jest Rozalka?

– To już nie Rozalka, a Rozalia. – Tytus uśmiecha się smutno.

– Wyszła za mąż? – Jakub nie potrafi ukryć rozczarowania.

– Jest u babki w Kolzig. Jutro ci wszystko opowiem. Nie spałem dwie noce. Oczy mi się same zamykają.

– Zaraz! Jeszcze chwila. Proszę... Czy ona kogoś ma? Może się zaręczyła?

– Chyba nie chcesz jej mieć małżeństwem? – Haase się niecierpliwi. – To nie jest dziewczyna dla ciebie. Co ty sobie wyobrażasz? Zamierzasz ją unieszczęśliwić? Ty, szlachcic ze starego rodu, i wnuczka zielarki? Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Najpierw muszę ją zobaczyć, potem pomyślimy oboje, co dalej. – Gniewny ton Tytusa nie zraża Jakuba. – Jest wnuczką zielarki, lecz nie można powiedzieć, że to prosta wiejska dziewczyna. W waszym domu wiele się nauczyła. Nie wiem tylko, czy nasze wzajemne przywiązanie nadal trwa.

– Mrzonki! Daj jej spokój. Nikt z okolicznych dworów nie uzna jej za równą sobie. Skrzywdzisz ją.

– Nie gniewajcie się, mistrzu. Pragnę tylko się z nią spotkać. Potem zobaczę, co dalej. Jestem ostatnim, który chciałby ją skrzywdzić.

– Zatem nie jesteś pewien swych uczuć?

– Jestem pewien, że jest mi droga. A jeśli tak, to chyba powinienem się o nią starać.

– Chyba powinieneś? – Tytus marszczy brwi. – Gdybym był zakochany, na pewno nie użyłbym takiego słowa. Robiłbym wszystko, żeby zdobyć jej przychylność. Z miłości, a nie z obowiązku.

– Mistrzu, nie pojmuję, o co wam chodzi. Najpierw mnie przestrzegacie przed małżeństwem, a teraz zarzucacie, że nie dość ją kocham.

– Wybacz. – Tytus się reflektuje. – Wtrącam się w twoje sprawy,

a przecież nic mi do tego – mówi chłodnym tonem.

– Nie ma czego wybaczać. Jesteście dla Rozalki jak ojciec. Rozumiem, że chcecie dla niej najlepszego losu.

*

Zapadła noc. W tym domu nie śpi jedynie Tytus. Odkąd Barbara wyznała, że słyszy nad głową jego kroki, pierwszy raz wszedł do dziewczęcej izby Rozalki. Wcześniej stoczył wewnętrzną walkę. Dopiero co pochował żonę, a już folguje tęsknocie za inną. Czuje, że zdradza Barbarę, lecz nie potrafi dłużej jedynie przystawać przed drzwiami, za którymi jest wszystko, co przypomina mu tamtą. Światło świecy wydobywa z mroku zarys skrzyni, łóżka i stołu, na którym leży oprawny w skórę szkicownik. Kiedyś znalazł w nim twarz Jakuba. Jest ciekaw, czy narysowała coś więcej. Przewraca kartki, oglądając szkice przedstawiające zioła, ptaki, dziwnie umaszczonego kota, a nawet szwy na ranach. W tym oryginalnym zbiorze jest również twarz Wigi i inna, bardziej przypominająca lalkę niż człowieka. Wreszcie dociera do portretu Jakuba. Teraz jest dokładniejszy, tak jakby stopniowo go uzupełniała, dodając szczegóły z pamięci. Znowu ogarnia go smutek. Po co tu przyszedł? Jaki sens ma zadawana sobie udręka?

Zdecydowanym ruchem przewraca ostatnią kartkę, by czym prędzej przestać myśleć o uczuciu tych dwojga.

Zdumiony spogląda w swoje oczy. Ich spojrzenie jest uważne i jakby zaprawione melancholią. Wokół szczupłej twarzy wiją się gęste włosy nakryte z góry miękkim beretem. Całość uzupełnia ciemny kaftan zapięty pod szyją.

Nie, jednak nie dokończyła pracy. Usta są zaledwie naszkicowane, jakby nie była pewna ich kształtu. Czegoś zabrakło – sepii albo pocałunku.

*

„Jesteście dla niej jak ojciec” – powiedział Jakub. To ukłuło Tytusa i kłuje do teraz. Wolno posuwają się do przodu drogą z Zulich do Karge. Nie wyruszyli od razu. Pierwsza wiosenna burza z niegroźnego, odległego pomrukiwania nagle stała się wichurą połączoną z ulewą i piorunami uderzającymi w ziemię raz za razem.

Helga się najpierw ucieszyła, bo burza w kwietniu wróży koniec przymrozków, ale w nocy, kiedy przez dobrą godzinę niebo rozświetlała niekończąca się seria błysków, przykryła głowę pierzyną i jej nie wystawiła, aż wszystko ucichło.

Ostatecznie to, co wydawało się groźne, skończyło się paroma dachami wymagającymi naprawy oraz błotem i drzewami leżącymi w poprzek drogi. Nie było wyjścia, musieli poczekać. Dzięki temu Tytus mógł pozałatwiać wszystkie pilne sprawy i zlecić opiekę nad swoimi pacjentami innemu cyrulikowi. W mieście trochę się dziwiono, że najlepszy, a zarazem najbardziej dbający o własne interesy fachowiec od upuszczania krwi oraz ran, złamań i wyrywania zębów nagle oddaje swoich podopiecznych w ręce konkurenta. Domyślano się jednak, że podróż ma być lekarstwem dla duszy zbolącej po śmierci żony. Co w innych okolicznościach byłoby trudne do wyjaśnienia, teraz spotkało się ze zrozumieniem, a nawet ze współczuciem.

Było w tych przypuszczeniach dużo racji. Ostatnie dwa tygodnie życia Barbary i jej śmierć naprawdę wstrząsnęły Tytusem i wyczerpały go fizycznie. Na zmianę z Helgą czuwali przy jej łożu, pielęgnując i niosąc wszelką możliwą pomoc w chorobie. Lecz kiedy w noc śmierci żony wrócił do swej izby, poczuł ulgę. Skończyło się bowiem cierpienie Barbary, a zarazem spadły kajdany, które niegdyś sam sobie założył.

Mistrz Haase rzadko jeździ konno. Częściej używa dwukółki. Młoda klacz, którą niedawno kupił, też nie nawykła do chodzenia pod siodłem. Gdyby Jakub jechał sam, byłby już w połowie drogi, ale nie ma wyjścia. Zwalnia, by zamyślony towarzysz za nim nadążył. Dzięki temu może się cieszyć przyrodą, która po burzy nabrała nieprawdopodobnego rozpędu.

Trakt prowadzący przez las, w którym przeważają ponadstuletnie

sosny, przypomina mu nawy katedr widzianych we Francji, a plamy słońca, z rzadka docierającego do samej ziemi, są jak światło przenikające przez witraże. Jakubowi kręci się w głowie od woni czeremchy, śpiewu ptaków i rechotu żab dobiegającego z niewidocznych leśnych stawów. Czuje, że wkrótce stanie się coś niezwykłego, co na zawsze zaważy na jego życiu, a uroczysty nastrój rozsadzający mu piersi jest tego zapowiedzią.

Do Karge docierają dopiero przed wieczorem. Obolały cyrulik zsuwa się z konia i z trudem prostuje na widok Baltazara. Von Lest nie wygląda dobrze. Choroba pomału zżera go od środka, odbierając mu siły. Mimo to zarządca szczerze się cieszy z odwiedzin, a szczególną radość sprawia mu przyjazd dawnego podopiecznego.

– Nareszcie jesteś! – woła, wyciągając ramiona do Jakuba.

Ten ze wzruszeniem obejmuje chude ciało.

– Jestem – odpowiada. – I za waszym pozwoleniem zostanę na dłużej.

Trzęsie się łysa głowa, a wyblakłe oczy napełniają się łzami.

Na progu starego dworu stoi Agata. Zatrokana obserwuje Baltazara. Ujrzawszy jego przejście, sama kryje twarz w fartuchu uniesionym do góry, a po chwili znika w ciemnym wnętrzu budynku.

Siedzieli, jedli i rozmawiali do świtu o przeszłości, przyszłości i o tym, co teraz. Von Lest coraz to chował w chustkę wydatny nos, przy okazji ukradkiem ocierając niemęskie łzy. Najmniej mówił mistrz Haase, ale nikt go nie nagabywał ani nie namawiał do kielicha. Szanowali jego prawo do smutku.

Agata jak zwykle im usługiwała, zachowując odpowiedni dla kucharki dystans. Dopiero nad ranem, kiedy się zjawiała, by sprzątnąć ze stołu, Baltazar ujął jej rękę i czule uścisnął.

– To moja żona – powiedział. – Jest nią od dawna, lecz przed Bogiem od miesiąca. Ma dom w Górnej Wsi. Niedługo i ja w nim zamieszkam.



Pewnego dnia Rozalę dopadła tęsknota. Gdyby nie Święto Zmartwychwstania, nawet by jej nie zauważyła. A było tak: po nabożeństwie odprawionym przez pastora w kwitnącym sadzie już nic nie miała do roboty. Usiadła więc na kłodzie przyturlanej niegdyś na brzeg rzeki przez wnuków ciotki Anny i się zamyśliła. I tak, zastanawiając się nad różnymi sprawami, zrozumiała, że tęskni. Tylko nie umiała sobie odpowiedzieć, za czym dokładnie.

Czy za Jakubem, który obiecał przyjechać na Zmartwychwstanie? Czy za księgami w izbie mistrza Haase? A może za chodzeniem po mieście z podniesioną głową albo nędzarkami próbującymi całować ją po rękach za ulżenie w bólu?

Jedyna odpowiedź, której mogła sobie udzielić bez wahania, to ta, że tęskni za byciem komuś potrzebną. Dzięki babkowym ziołom dawkowanym z umiarem Uta już nie rzuca się w nocy jak ryba wyjęta na brzeg. Babka nabiera sił i jak dawniej chodzi po zioła i do lasu z Bartłomiejem. Jeszcze trochę i będzie im całkiem zbędna.

Co wtedy?

Życie w Grünwaldzie między polem, lasem i chałupą? Jeden dzień podobny do drugiego, a rok do roku?

Rozalka siedziała na kłodzie, niby patrząc na płynącą wodę, lecz naprawdę patrzyła w siebie, szukając sposobu na pozbycie się tęsknoty.

Wiga i Uta wyniosły z izby zydle i postawiły je przed wejściem.

– Kwietniowe słońce dobrze służy starym kościom – tłumaczy zielarka małej Girgin. – Tobie też nie zaszkodzi. Co innego późniejsze. Przed nim trzeba się chować, bo krew może się zwarzyć od gorąca. Siadaj i patrz – mówi dalej, wskazując na rozłożone na płachcie pokrzywy o miękkich jasnozielonych pędach, mlecznice z korzeniami, młode liście brzozy i inne zioła zebrane niedaleko chaty.

Wiga wyjaśnia dziewczynie, kiedy co zbierać, jak dalej postępować i na co które pomaga. Uta słucha uważnie, choć nie wierzy, by kiedykolwiek ktoś przyszedł do niej po radę. Co innego Wiga. Odkąd zabrakło Anny

Villborn i jej córka, coraz częściej ktoś zagląda do chałupy na łące. Z początku zielarka odganiała ludzi. Bała się, że jak po tamte przyślą po nią z zamku, by postawić przed ławnikami i spalić. Mijają jednak tygodnie, a nic się nie dzieje. Nie można bać się bez przerwy. Toteż zarówno Wiga, jak i ludzie szukający pomocy zaczęli oswajać się ze strachem.

Lekcja zielarstwa trwa, a niepokierujący nauk czarno-biały kot przygarnięty w ubiegłym roku leży wyciągnięty na trawie i od czasu do czasu otwiera jedno oko, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Zauważywszy żółtego motyla, ożywia się, przybiera pozę łowcy i jednym susem spada na owada nieświadomego niebezpieczeństwa. Na szczęście dla niego kot okazuje się niezdarą. Żółta istota odfruwa, a niespełniony myśliwy z niezadowoloną miną znowu się kładzie w pobliżu płachty.

– Rozala wraca. Sprawdź, czy pokrzywowa polewka jeszcze ciepła. Jak nie, rozgarnij popiół i roznieć ogień.

Uta posłusznie kuśtyka do chałupy, a Wiga prowadzi wzrokiem zbliżającą się wnuczkę.

Rozala chodzi na dworskie pole. Von Kittlitzowi brakuje ludzi, jest więc okazja nie tylko odpracować dni należne panu, ale jeszcze coś zarobić. Od tygodnia Hans z pługiem i parą wołów oraz Katarzyna z Rozalą pracują na nowym polu w pobliżu Lipki, przygotowując grunt pod siew konopi. Zadanie kobiet polega na zbieraniu, wynoszeniu na miedzę i układaniu w kopce wyoranych przez Hansa kamieni. Jest ich mnóstwo i wciąż pojawiają się kolejne, jakby każdej nocy ziemia rodziła coraz to nowsze.

Idzie wolno. I nie kępy trawy i błoto na ścieżce są tego przyczyną, a praca ponad siły. Jeśli na polu Rozala dotrzymuje kroku mocno zbudowanej Katarzynie, to nie zasługa drobnego ciała, a mocy ducha drzemiącej w delikatnej dziewczynie.

Bez słowa mija babkę, siada na wysokim progu chaty, opiera głowę o ościeżnicę i zamyka oczy. Obojętna jej przekrzywiona chustka

i odzienie ubrudzone ziemią i pokryte kurzem.

Wiga z troską obserwuje wymizerowaną twarz wnuczki. Dobrze mieć ją blisko, ale nie chce dla własnej wygody dłużej trzymać jej przy sobie.

– Czas na ciebie, Rozalko – mówi.

– Co, babko? – pyta dziewczyna, nie otwierając oczu.

– Że czas na ciebie. Wracaj do miasta. Tam twoje miejsce. Tu się zmarnujesz.

– Nie martwcie się o mnie. Minie mi. Jutro niedziela, odpocznę. A z kamieniami już koniec. Pole czyste.

– Mówię ci, wracaj do miasta – nalega Wiga.

– Nie zostawię was samej.

– Jest Uta. We dwie damy sobie radę. Wracaj, dziecko, do swoich żebraczek. One też ciebie potrzebują.

Rozala nie odpowiada od razu. Wygląda, jakby spała, ale to tylko zmęczenie i trud skupienia się na myślach.

– Nie wiem, czy mnie jeszcze zechcą. Tyle czasu minęło, odkąd stamtąd wyjechałam.

– Może zechcą. Musisz się przekonać.

– Dobrze, babko. Po żniwach. Już się umówiłam. Odrobnię wasze daniny na dwa lata do przodu. Ekonom obiecał zapłacić, ale powiem mu, żeby zapisał, żeście swoje odpracowali.

– Pójdę z tobą. Jestem już silna jak kiedyś. Podołam pracy nie gorzej od ciebie. Potem wracaj do miasta.

Uta, która stanęła właśnie za plecami Rozalki, coś zauważyła. Wyciąga szyję, mruży oczy i w natężeniu wpatruje się w dal.

– Ktoś jedzie od strony Karge – oznajmia. – Dwóch konnych.

– To na pewno do Kittlitz. – Babka macha ręką na te rewelacje. – Rozala, podnieś się i idź jeść. Gotowaś zasnąć na progu.

– Ona naprawdę śpi – odpowiada Uta.

Gdyby Wiga na ich widok się nie zerwała i nie zawołała „Uta, biegnij po Rozalkę!”, nie domyśliliby się, że dziewczyna, która wyszła z chaty i stoi na progu, jest tą, której szukają.

Ona też patrzy na nich zmęczonym, rozczarowanym wzrokiem. Nie tak sobie wyobrażała spotkanie. Dłonie z brudem wżartym w każde zagięcie skóry, połamanymi paznokciami i krwawiącymi pęcherzami schowała pod fartuch.

– Zaraz... zaraz wrócę – mówi zakłopotana i jakby nagle przybyło jej sił, biegnie do rzeki.

– Wstydzi się – tłumaczy Wiga. – Dopiero co wróciła z pola.

Wraca po kilku minutach. Wygląda trochę lepiej. Do umytej twarzy przykleiły się pasemka mokrych włosów, a po szyi spływają krople wody, lecz brudny, przepocony ubiór jest wciąż ten sam.

Wszyscy są skrepowani. One, bo nie wiedzą, jak postąpić. Zaprosić ich do małej i ciasnej izby? Nakarmić? Tak, ale czym? Jajko, które było zapłatą dla Wigi za zakłęcie na miłość, razem z pokrzywową zupą dostało się Rozali, bo najciężej pracuje. Chleb podarowany przez Katarzynę skończył się rano. Jest trochę sera i kozie mleko. Może by chcieli...

Tytus i Jakub też czują się niezręcznie. Niby wiedzą, że życie na wsi jest ciężkie, ale co innego wiedzieć, a co innego stanąć przed biedną chatą i spojrzeć w oczy zmęczonym i wyraźnie niedojadającym kobietom.

Jakub chciałby podejść do Rozali, przywitać się, tak jak sobie wymarzył, lecz powstrzymuje go jej wzrok. Stoi więc niepewny, co powinien zrobić.

– Mamy tu coś od Agaty. – Tytus pierwszy odzyskuje trzeźwość umysłu. Z podróżnych sakw wyjmuje chleb, ciasto, wędzoną kielbasę, słoninę, woreczek z suszonymi owocami, świeże mięso obłożone pokrzywami, nawet kilka jajek w małym koszyku z pokrywą. Jakub również rzuca się do rozpakowywania. On ma woreczki z mąką, kaszą i grochem.

Wiga, patrząc na to bogactwo, kiwa głową i raz po raz powtarza:

– Agata, kochana Agata...

Wspólny posiłek sprawia, że czują się trochę swobodniej. Najpierw mężczyźni mówią o wszystkim, co ostatnio zdarzyło się w ich życiu, potem rozmawiają o procesach. Goście są ciekawi, co takiego się stało, że do nich doszło. One nie wiedzą, jak to wyjaśnić. Same tego nie rozumieją. Wiga w bardzo oszczędnych słowach opowiada o Annie Villborn, jej córkach i o tym, jaki los spotkał całą rodzinę.

Uta i zielarka nie zdradzają, że i one były w piwnicy. Mała Girgin nie wspomina o goleniu całego ciała, szukaniu diabelskich znamion i o przypiekaniu stóp. Krzyk palonych sióstr i smak popiołu zamyka usta Rozali. Nie chodzi o tajemnicę, a o to, że czegoś takiego nie pojmie ten, kto sam tego nie doświadczył.

Łamiąc chleb, Rozala czuje na swoich dłoniach spojrzenie Tytusa. Cyrulik zawsze dbał o ręce i jej nakazywał to samo. Teraz na pewno nie pozwoliłby jej dotknąć pacjenta. Chciałaby się przed nim wytłumaczyć, wyjaśnić, dlaczego tak się zapuściła, ale nie ma nawet chwili, by zostali sami.

Jakub przysuwa się na ławie do Rozali. Chce ją zapytać, czy mogłaby z nim pójść na spacer. Księżyc już wszedł, a wieczór jest jasny, pełen dźwięków i woni. Ona jednak go unika. Nie potrafi wyzbyć się wrażenia, że kolejne rozłuki i upływ czasu rozdzieliły ich bezpowrotnie.

Trzeba iść spać. Jutro o świcie wszystkie idą na nabożeństwo. Pastor zbiera swoje owieczki w sadzie za młynem. Po procesach nikt się nie wymiguje od uczestnictwa w modlitwie. Lepiej mieć Boga i pastora po swojej stronie.

W stodółce jest jeszcze słoma. To i dwa kożuchy gościom wystarczą. Nocują w jednym pomieszczeniu ze swoimi końmi. Jakub, choć rozczarowany, szybko zasypia, za to Tytus męczy się okropnie. Przeszkadzają mu kłujące źdźbła, chrobot w belce pod dachem, wołanie puszczyka i rechot żab. Gdyby nie było tego wszystkiego, też by nie spał, bo denerwowałaby go cisza.

Tymczasem kobiety najpierw przygotowały niedzielne koszule

i spódnice, umyły twarze i stopy i dopiero wtedy udały się na spoczynek. Podobnie jak Tytus, Rozala nie śpi. Czeka. Kiedy oddechy Uty i Wigi stają się równe i spokojne, wstaje z ławy i po cichu wychodzi na zewnątrz.

Babka zrugaby ją za włączenie się w ciemnościach. To pora nocnych duchów. Nie należy im przeszkadzać. Sama czasem wypuszcza się w księżycową noc po zioła, które muszą być zbierane właśnie wtedy, ale ona zna odpowiednie zaklęcia, którymi łagodzi ich gniew.

Świadcami kąpieli nagiej dziewczyny są księżyc i kot zdziwiony niespodziewanym pojawieniem się swej pani. Lodowata woda uwalnia od zmęczenia obolałe mięśnie i spłukuje z jej włosów i skóry pot pomieszany z brudem. Strach towarzyszący nocnej eskapadzie również mija, tak jakby duszy dręczonej troskami potrzebne było oczyszczenie.

Zimno. Ząb uderza o ząb, a skóra cierpnie od powiewów przenikliwego wiatru. Trzeba wracać do chaty.

Stojąc na brzegu, przechyla głowę, wykręcając wodę z rozpuszczonych włosów. Potrząsa nimi i znowu ujmuje w mocny uścisk. Nadal są całkiem mokre, lecz już nie może znieść chłodu. Wkłada czystą koszulę na mokre ciało i biegnie przez łąkę, by czym prędzej wsunąć się pod kozuch.

– Rozalia?

Męski szept zatrzymuje ją w miejscu.

– Jakub?

– To ja, Haase. – Tytus wyłania się z cienia rzucanego przez szopkę.

– Co tu robicie po nocy?

– Wyszedłem na drogę. Nie mogłem zasnąć. Ale co ty cała mokra robisz na łące?

Dopiero teraz Rozala sobie uświadamia, że jest w samej koszuli, w dodatku prawie całkiem przezroczystej od wody spływającej z włosów i klejącej się do ciała. Zawstydzona próbuje się zasłonić, ale księżyc się uparł, by oświetlić właśnie te miejsca, których widoku chciałaby skąpić Tytusowi.

– Kapałam się... Byłam brudna... – wyjaśnia, szcękając zębami. –

Wybaczcie, muszę... – Nie kończąc zdania, odwraca się na pięcie i wkrótce znika w chacie.

Od pierwszego niedzielnego posiłku Rozala i Jakub na nowo się ze sobą oswiają. Najpierw są nieśmiałe spojrzenia, zetknięcia palców podczas łamania chleba, minięcia w drzwiach i uśmiechy, wspólne patrzenie, jak płynie woda w rzece, i rysowanie znaków na piasku.

Upłynęło wiele godzin, zanim Jakub uznał, że nareszcie ją odnalazł – w splocie palców, zapachu rzecznej wody we włosach i wspomnieniach należących tylko do nich dwojga. Już od niego nie ucieka spłoszonym wzrokiem. Ma w oczach tę samą ciekawość, której zawsze jej trochę zazdrościł.

Są sami. Tytus powiedział, że musi odespać noc, a Wiga i Uta przygotowują wieczorny posiłek.

– Po tym, co się zdarzyło we Francji, nie chcę tam żyć – wyznaje Jakub. – Wolę zostać gdzieś tutaj. Kiedy z mistrzem Haase wrócimy do Zulich, rozejrzę się za jakimś majątkiem w pobliżu.

– Będziemy się częściej widywać! Jeśli zechcesz – dodaje Rozala zawstydzona wybuchem entuzjazmu.

– Jeśli zechcę? O niczym innym nie marzę. Pragnę cię widywać każdego dnia.

– Ale... ja chyba nie będę mogła. Muszę jakoś zarobić na życie.

– Rozalko... Rozalio – poprawia się, mocniej ściskając jej dłoń. – Przyjęłabyś ode mnie pierścionek?

– Pierścionek? – Dziewczyna patrzy na złocisty krążek z czerwonym oczkiem. – Dlaczego mi go dajesz? – pyta zawstydzona.

– Nie wiesz? Ja wiedziałem to zawsze.

– Co?

– Że tylko ty możesz być moją żoną.

– Żoną? – O niczym innym nie marzyła. Kiedyś. Teraz nie wie, czego pragnie i za czym tęskni. – To niemożliwe. – Cofa dłoń schowaną dotąd

w dłoni Jakuba.

– Miałem nadzieję, że nie jestem ci obojętny. – W głosie młodzieńca słyhać urazę.

– Och, Jakubie. Nie mów tak. Brakowało mi ciebie. Każdego dnia się zastanawiałam, czy żyjesz i czy wrócisz, lecz tak długo cię nie było. Byłeś mi potrzebny, a nie przyjeżdżałeś. Wiem, że nie mogłeś, ale dlaczego nawet nie napisałeś? Co mogłam myśleć, skoro przez trzy lata dostałam jeden list, i to niedawno. Inaczej sobie wyobrażałam miłość.

– Kochasz innego?

– Nie. Nie znam żadnego chłopca, który jest mi równie drogi.

– Więc dlaczego?

– Pytasz, jakbyś nie słyszał, co mówię. Nie było cię przy mnie i nie dawałeś znaku życia – powtarza z naciskiem. – Jesteś mi drogi, lecz rozłąka sprawiła, że coś we mnie ostygło.

– Tylko to? Sprawię, że będziesz mnie kochać jak niegdyś.

– A jak cię kiedyś kochałam? – Rozali się wydaje, że Jakub wciąż niczego nie pojmuje. – Jak dziecko, kiedy się widywaliśmy w Karge, czy potem jak nieznaną swych uczuć dziewczyna? Teraz się zjawiasz i chcesz, bym została twoją żoną, a ja ciebie nie znam. Mogłeś przez te trzy lata stać się innym człowiekiem, bo ja na pewno jestem inna.

– Nie wierzę własnym uszom! Powiedz wprost, że mnie nie chcesz! Co się stało, że przestałeś mnie kochać? – Jakub chwyta ją za ramiona i obraca ku sobie.

– Nie przestałam cię kochać. – Rozala patrzy w oczy Jakuba. Tak bardzo chce, by ją zrozumiał i nie miał żalu. – Potrzebuję czasu.

– Czasu? – Młodzieniec na powrót się uśmiecha. – Dobrze. Jutro też jest dzień. W południe ruszamy z powrotem do Karge. Dasz mi odpowiedź, zanim wyjedziemy?

Znowu rozczarowanie. Nie o tak krótkim czasie myślała.

– Dobrze. Jutro ci odpowiem – zgadza się jednak, lecz w jej głosie nie ma pewności.

*

Noc. Rozala siedzi na wysokim progu chaty i patrzy na księżyc. Wyszła na zewnątrz, by nie budzić babki i Uty. Przy każdym obrocie na ławie w izbie rozlegało się stukanie i skrzypienie. A że dziewczyna wciąż była niespokojna, hałasom nie było końca.

Najlepiej się дума, siedząc na kłodzie nad rzeką. Kiedy płynie woda, myśli też płyną, jakby ona im mówiła, dokąd mają zmierzać. Dzisiaj rzeka nie pomoże. Rozalka nie chce niepokoić babki. Wczoraj się obudziła i, ujrawszy mokrą wnuczkę, najpierw ją przepytowała, a potem upomniała, ostrzegając przed posądzeniem. Ludzie we wsi nadal boją się o dzieci, owce i zbiory. Wystarczy, że coś się wydarzy, a zaczną szukać winnego. A któż może być bardziej winny od dziewczyny kąpiącej się w świetle księżyca?

Rozala wstaje i wychodzi z cienia. Patrzy w kierunku opuszczonej zagrody Anny Villborn. Ona na pewno umiałaby jej doradzić. Wszak była znana ze szczęśliwej ręki do małżeństw.

Może powinna rano pójść do Katarzyny? Przyjaciółka jest mądra... Zbyt mądra. Zbyt dociekliwa. Nie, nie pójdzie do niej.

Uta od razu kazałaby korzystać z okazji. A babka? Jej pytań też Rozala się obawia.

Co robić? Jak postąpić? Może kocha Jakuba. Tylko boi się jego świata? Świata, w którym są książęta i damy, a ona byłaby tylko córką jakiejś Doroty i wnuczką zielarki? Dziewczyną bez ojca, godną pogardy i wyśmiania?

„Zaraz. Przecież nie jestem byle kim – myśli. – Babka mówi, że mam w głowie makową spódnicę. Mogę im udowodnić, że nie jestem od nich gorsza. Jakub mi pomoże. Mówi, że mnie kocha”.

Nie nad rzeką, a w cieniu chaty rodzą się jeszcze niezbyt silne postanowienia, od których babce i Ucie ma być lepiej, i jej samej również.

– Zgadzam się – mówi rano do Jakuba. – Zgadzam się, ale się lękam.

– Rozalko, nie bój się. – Drobną postać tonie w mocnych ramionach. –

Zawsze byliśmy razem, jeśli nie ciałem, to duchem. Nic nie może nas rozdzielić. Proszę – szepce jej do ucha. – Ze mną nie musisz lękać się niczego.

Głos Jakuba, jego łagodne spojrzenie i ciepłe dłonie powoli koją wszelkie obawy. W serce dziewczyny wstępuje nadzieja, że da się spełnić niedościgłe marzenia, a pragnienie lepszego losu będzie dość mocne, by przełamać odwieczne obyczaje.

Oszołomiona pozwala sobie włożyć pierścionek na palec i unieść ramionom Jakuba.

Uta, która korzysta z każdej okazji, by z daleka podejrzeć, co robią Rozala i Jakub, upuszcza cebrzyk z pomyjami na widok roześmianego młodzieńca podnoszącego do góry dziewczynę i wirującego z nią w radosnym tańcu.

Gdyby to nie był Jakub, Wiga krzyknęłyby: „Dziewczyno, czyś ty się blekotu najadła?!” i kazałyby natychmiast odwołać obietnicę. Gdyby to nie był Jakub...

Ale to właśnie o Jakuba chodzi. Chłopca, na widok którego mała Rozalka przestawała płakać i z którym była jak połowa glinianych dwojaków. Dlatego, kiedy zgodnie ze zwyczajem przyszedł zapytać ją o zgodę, uśmiechnęła się niepewnie i życzyła im szczęścia. Potem całą noc wzdychała i słuchała westchnień Rozali.



Tytus i Jakub wrócili do Karge. Wcześniej ustalono, że ślub odbędzie się na Boże Narodzenie. Pod warunkiem jednak, że do jesieni uda się znaleźć posiadłość dla obojga.

Zaledwie sylwetki jeźdźców zniknęły za zakrętem, Rozalka pomknęła do przyjaciółki, by oznajmić jej nowinę. Najpierw pokazała pierścionek, a później powiedziała o planach Jakuba.

– Ty też?!

– Co ja też? – Katarzyna Kunert patrzy na nadąsaną twarz Rozali, próbując zrozumieć przyczynę niezadowolenia dziewczyny.

– Przed chwilą uśmiechnęłaś się tak samo jak babka, kiedy rozmawiałam z nią o Jakubie.

– O co ci chodzi? Przecież pochwaliłam pierścionek i się ucieszyłam, że tak ci się poszczęściło.

– Słyszałam, ale uśmiechałaś się przy tym, jakby to nie była dobra wiadomość.

– Wymyślasz! – Katarzyna się obrusza. – Życzę ci tak samo dobrze jak babka, ale może ty sama nie jesteś pewna, czy dobrze zrobiłaś, dlatego szukasz u innych tego, co leży ci na sercu.

Rozalka wygląda na zmieszaną.

– Patrz, co przyniosłam. – Ratuje się, kładąc na stole pakunek owinięty płótnem.

Katarzyna rozchyła tkaninę.

– Jakie ładne! – woła na widok czerwonego sukna. – Skąd to masz?

– Mistrz Haase przywiózł ze sobą. Sukno dostałam na przeprosiny od kupca, który mnie nieobyczajnie potraktował. Powiedział, że najlepsze, świebodzińskie! – Rozala nadrabia miną, próbując zatrzeć pamięć o sprzeczce. – Przed wyjazdem tutaj zostawiłam je w swojej izbie na skrzyni. Miałam wrócić po Bożym Narodzeniu, a zobacz, jak długo zostałam.

– Co chcesz z tym zrobić?

– Uszyjesz mi spódnicę?

– Makową? Wiesz, jak będą na ciebie patrzeć.

– Będę żoną szlachcica. Wszystko mi jedno. – Rozala wzrusza ramionami, ale napotkawszy zdziwione spojrzenie przyjaciółki, opuszcza głowę. – Moja matka taką miała. Chciałabym i ja, przez pamięć o niej.

– A ja myślałam, że przez to, że jesteś inna. Nie taka zahukana jak inne kobiety. I przez to, że nie boisz się krwi ani kata z Zulich, i potrafisz zszywać rany, i że wyrwałaś zgnięty ząb żebracze. Sama mi mówiłaś.

– Przez to także. – Rozala się uśmiecha. – Tak! Dobrze mówisz. Przez to także – powtarza. – Chciałabym paradować w makowej spódnicy, idąc do żebraczek i do kupcowych żon. Niechby zobaczyły, że kobieta nie musi być tylko żoną i matką. Może być cyruliczką i aptekarką, i kim tylko jej się zamarzy.

– Chyba że zostanie żoną szlachcica.

– Co mówisz? – Rozala traci rezon. – Żona szlachcica może robić dużo dobrego. Pomagać biednym, uczyć czytać dziewczynki...

– Ale wrzodów żebraczkom nie będzie przecinać ani zszywać ich ran. Mąż na to nie pozwoli. To szlachciance nie uchodzi.

– Katarzyno!

– Dobrze, dobrze, nie złość się. Chcesz, bym uszyła ci spódnicę? – pyta przyjaciółka, rozkładając tkaninę. – Wystarczy na dwie i coś jeszcze. Co zrobić z resztą?

– Drugą uszyj dla siebie, a jak co zostanie, serdaczek dla Uty.

Brwi Katarzyny wędrują do góry.

– A mnie na co makowa spódnica?

– Może kiedyś zapragniesz zrobić coś niezwykłego i wtedy ją włożysz?

– Coś niezwykłego? Na przykład?

– Nie wiem. Musisz sama to wymyślić. Na razie szyj.

Rozalka zniosła sukno do Katarzyny, bo nie chciała go trzymać w chacie. Nie dlatego, że jej się nie podoba albo źle wspomina kupca. Zresztą nie jego pamięć przywołuje czerwona tkanina, lecz myśli o mistrzu Haase i pani Barbarze.

Śmierć opiekunki bardzo ją zasmuciła, a wyrzuty sumienia mącą radość ze spotkania z Jakubem. Tyle zawdzięcza pani Barbarze! To prawda, że ostatnimi laty żona mistrza bywała nieprzyjemna i samolubna, ale właśnie dzięki niej nauczyła się składać litery i tworzyć słowa. Pierwsze samodzielnie ułożone wyrazy zrosiła łzami wzruszenia, bo oto została dopuszczona do tajemnicy.

Wracając do siebie, Rozalka pochlipuje i wyciera oczy fartuchem.

„Jakąż niewdzięcznicą się okazałam. Najgorsze, że niczego już nie mogę zmienić, nie upadnę na kolana i nie poproszę o wybaczenie”.

Jest tak przygnębiona, że nie widzi Uty zmierzającej w jej kierunku.

– Znowu tu był! – woła dziewczyna z daleka.

– Kto?

– Ten czarny, co się chowa za krzakami.

– Jesteś pewna?

– Chodź, sama zobacz.

Uta prowadzi, z trudem pokonując odległość między łąką a kępą jałowców. Ślady kopyt i wyraźny zapach konia bijący od świeżych odchodów i żółtego kręgu pośród zielonej trawy nie pozostawiają wątpliwości.

– Widzisz? Mówiłam ci, że nas podgląda. Nie wierzyłaś.

– Bo na co mu to? Co możemy obchodzić jakiegoś obcego człowieka?

– Nie jest obcy. To ten, który kazał mnie golić i przypalać. On chce mnie z powrotem. – Uta zaczyna się trząść. – Rozalka, ja się go boję!



Na przednówku każdy ma dość jedzenia lebiody, perzu i pokrzyw. Mimo to mało kto traci nadzieję, bo wystarczy jeszcze trochę wytrzymać, a będą nowe plony.

Tym razem ludzie mieszkający na ziemiach Kittlitz mają w sobie mniej nadziei. Jak zwykle wstają skoro świt, obrządzają zwierzęta, posilają się, idą na swoje lub pańskie pole, orzą, sieją, plewią, nasadzają kwoki na jaja, zapędzają dzieci do pasienia krów i robią dziesiątki innych zwyczajnych rzeczy. Coś im jednak przeszkadza cieszyć się młodą marchewką, kapustą i nadchodzącymi zniwami.

Nie wystarczy zamieść popiołu po stosach, by świat był znowu taki jak przedtem.

Nie tylko Rozala nosi w sobie krzyk spalonych sióstr. Każdemu zatruł

on duszę, choć niejednako.

Są tacy, którzy przerywają robotę, bo im się zdaje, że słyszą melodię Doboszowej okaryny. Inni chcą się poradzić Anny w miłosnej sprawie, ale zatrzymują się nagle w połowie drogi i ze spuszczoną głową wracają do domu. Nie brakuje tych, co patrzą na ławkę przed chatą i puste miejsce po babce, która lubiła wygrzewać stare kości na słońcu, albo dzieci, co głodne biegną do matki, a w izbie czeka ich pusty garnek i zimne palenisko.

Nie wystarczy oddać katu garbatych, kulawych, mądrzejszych i głupszych, o oczach uroczych i ciętych językach, by pozbyć się lęku.

Ciemne chmury na horyzoncie budzą jeszcze większe obawy niż kiedyś. Nagła śmierć, wypadek, choroby zwierząt, plaga gąsienic i brak deszczu nie są jak dawniej karą za grzechy, a dowodem na to, że nie wystarczy...

*

Czas płynie, a Antonius Radoszewski tkwi niczym wrzód w dyskretnym miejscu i nie daje się go pozbyć. Von Kittlitz poza tym, że nie lubi swego gościa, ma go za cesarskiego szpiega. Pani Barbara, małżonka właściciela, przeciwnie. Znajduje w nim powiernika, interesującego rozmówcę i zatroskanego o jej zdrowie przyjaciela.

A ze zdrowiem pani von Kittlitz jest coraz gorzej. Kosztowni medycy sprowadzani z różnych miast niemal mijają się w drzwiach. Każdy ma swoją teorię, sprzedaje drogie medykamenty i nie mniej cenne rady. Jeden zaleca driakiew^[37], drugi mandragorę, a trzeci wierzy, że pomoc może wyłącznie oczyszczanie organizmu. Biedna kobieta męczy się i słabnie od lewatyw, prowokowanych wymiotów i puszczania krwi. Mimo poświęcenia bóle głowy, gardła, stawów i mięśni oraz inne, bardziej wstydlive dolegliwości nie ustępują. Nie ma też żadnych widoków na potomstwo.

Von Kittlitz niecierpliwi się i miota, a Radoszewski współczuje, pochyla się z troską, a czasem nawet całuje koniuszki chudych palców.

Dlatego wciąż mu wolno mieszkać w zamku, jeść i brać konia na przejażdżki.

Odkąd zauważył, że kuśtykająca dziewczka coś podejrzewa, przestał obserwować chatę zielarki. Nie na długo. Pewnej kwietniowej niedzieli wracał z Kopanicy, z katolickiego kościoła. Przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, co też się dzieje w siedzibie czarownic. Zmroził go widok pary całującej się na łące. „Córka diablity usidliła szlachcica” – pomyślał. Przestraszył się, że otumaniony zaklęciami młodzieniec zabierze Rozalę ze sobą. Na szczęście tak się nie stało. Ma jeszcze szansę się z nią rozprawić. Nie wolno jednak zwlekać zbyt długo. Szlachcic pojawia się od czasu do czasu. Młodzi nie unikają oczu ciekawskiej dziewczyny o nikczemnym wzroście, ale nie szczędzą sobie uścisków i pocałunków. W końcu przyjdzie dzień, że oddalą się między drzewa za rzeką. Historia Antoniusa, jego historia się powtórzy. Radoszewski chciałby się czegoś dowiedzieć o młodzieńcu, a nawet go przestrzec, ale nie wiadomo, jak by zareagował. Mógłby sięgnąć po szpadę albo namówić córkę wiedzy do ucieczki. Wtedy trudno byłoby ją dopaść. Należy działać ostrożnie albo szukać okazji.

– Może nie trzeba sprowadzać do łaskawej pani cyrulika aż z Wolsztyna – zagaduje von Kittlitz przy śniadaniu. – Słyszałem, że w Grünwaldzie jest dziewczka, która umie pomagać. Wychowywała się u cyrulika w Zulich.

– Wiem, ale nie oddam mej małżonki w ręce jakiejś dziewczyny.

– Nigdy bym się nie ośmielił narazić zdrowia pani Barbary. Jednakże stajenny opowiadał, że owa dziewczka synowi stolarza, który zranił się przy niej toporkiem, zatamowała krew i opatrzyła ranę. Mówią, że dobrze się goi.

– Jeszcze mnie stać, by nie korzystać z pomocy wiejskich dziewczuch.

– To oczywiste, ale warto wiedzieć, gdyby zaszła potrzeba.

Lekkie śniadanie zjedzone, przyszedł czas na poranną przejażdżkę.

Lipcowy dzień będzie upalny. Lepiej zawczasu skryć się w cieniu drzew. Tu powietrze jest rześkie i pachnące.

Najpierw od strony pobliskiej poręby usłyszał piosenkę. Dziewczyna na leśnym trakcie pojawiła się znienacka. W niedużym okrągłym koszyku czerwienią się poziomki. Usta też ma poziomkowe.

Zwykła chłopka w łapciach z lipowego łyka, szarej spódnicy z szorstkiego lnu, jasnej koszuli głęboko wyciętej pod szyją i lnianym luźnym kaftaniku narzuconym na koszulę.

Piosenka zamiera jej w gardle. Boi się. Wie, co ją czeka. Nic dziwnego, jest przecież córką wiedźmy.

Mierzą się wzrokiem. On nie obawia się niczego. Siedzi na koniu, ma przy sobie rapier i krzyż na piersi przeciw diabelskim mocom.

Nagle dziewczyna daje susa w zarośla. To zabawne. Chyba nie sądzi, że mu umknie.

Przewrócony kosz został na drodze, a na trawie niczym krople krwi czerwienią się poziomki.

Z wysokości konia widzi jej oddalającą się głowę. Rusza w pogoń. Szczęściem dla niego las nie jest gęsty. Co prawda jazda między drzewami nie należy do łatwych, ale z pewnością ją dopadnie. Nie będzie się spieszył. Bawi go pogoń.

Bolesny krzyk i dziewczyna nagle się zatrzymuje. Sucha gałąź złapała ją za warkocz. Antonius się cieszy. Gdyby była skromna, nosiłaby czepek. Ma nauczkę.

Słyszy jej świszczący oddech i trzask gałęzi. Uwolniła się i biegnie dalej. Na chwilę znika mu z oczu. Rozgląda się. Jest! Próbuje się ukryć w wysokich paprociach.

Dość tego. Czas zakończyć sprawę. Przyspiesza. Ona znowu zrywa się do biegu. Jest już tak blisko, że może dotknąć ją ręką. Kładzie się na końskiej szyi. Rozcapierzona dłoń chwyta lnianą tkaninę. Dźwięk rozdieranej materii i...

Przewróciła się. Leży skulona przy końskich kopytach. Czeka na cios.

Oślupiały patrzy na odsłoniętą skórę i znak na jej ramieniu. Taki sam jak jego i matki.

Rozala nie rozumie, dlaczego jeszcze żyje. Jego zaskoczenie dodaje odwagi. Podnosi się i patrząc mu w oczy, krzyczy:

– Czego chcesz? Co ci zrobiłam?

Nie jest podobna do jego matki. Ona miała szare oczy i włosy... Jakie miała włosy? Nie pamięta. Nigdy jej nie widział z odkrytą głową.

Nie jest podobna, ale mu ją przypomina. Gniewny ruch głowy, wyraz twarzy, zmarszczenie brwi, układ ust i głos. Głos najbardziej. Kiedy matka się złościła, wyglądała i krzyczała niemal tak samo. Potem chwyciła dyscyplinę i biła. Zawsze do pierwszej krwi.

Teraz to ona widzi lęk w jego oczach. Nie rozumie, co się dzieje. Prześladowca się cofa i wkrótce niknie za drzewami.

Antonius klęczy przed krucyfiksem z brązu i karze swoje ciało za słabość. Krwawe szramy znaczą nagie plecy, lecz on nie ma dość. Nie potrafi zabić córki więdźmy własnymi rękami. Musi to zrobić ktoś inny.

Kiedy Rozala wróciła do chaty, Wiga była jeszcze na dworskim polu. Ucie powiedziała, że w lesie natknęła się na lochę dzika z młodymi. Musiała uciekać, bo zwierzę gotowe było ją zaatakować.

Tylko Katarzyna wie, co się stało.

– Uta się go boi. – Rozala usprawiedliwia kłamstwo. – Trzęsie się ze strachu na samo wspomnienie o szlachcicu w czerni.

– Powinnaś jej powiedzieć – radzi przyjaciółka. – Lepiej, żeby była ostrożna.

– Przecież ona nigdzie nie chodzi – uspokaja Rozala. – A ostrożna jest bardziej ode mnie. Pierwsza spostrzegła, że ten czarny nas podgląda.

– Nie tylko was. Kobiety na polu mówiły, że kręci się po całej okolicy. Żona rybaka z Jeschane opowiadała, że poszła w krzaki za potrzebą, a on tam był. Co się wstydu najadła! Trzeba powiedzieć panu Kittlitzowi. Niech coś z nim zrobi, zanim zhańbi jaką dziewczynę.

– Myślisz, że jemu o to chodzi?

– A o co by innego?

– Nie wiem. Mógł mnie wziąć, a nawet nie zszedł z konia.

Powrót Hansa przerywa rozmowę. Wstyd przy mężczyźnie rozmawiać o takich sprawach. Rozala już jest za progiem, kiedy mąż Katarzyny woła, by zaczekała.

– Matka rymarzowej rozpowiada, że pod progiem zamku zakopała zioła i kości w glinianym garnku, żeby łaskawej pani zaszkodzić – dzieli się nowinami.

– Wszyscy wiedzą, że jej w głowie się pomieszało, jak córkę spalili. Nie mogą pomyłonej oskarżyć.

– Rozalka – denerwuje się Hans – jak moją matkę i matkę Katarzyny zabrali, też mówiłaś, że je wypuszczą, bo niemożliwe, żeby niewinne oskarżyli. Mnie się zdaje, że nic dobrego z tego nie będzie. Dworscy gadali, że na polecenie pana szukali tego garnka, ale nie znaleźli.

– No widzisz!

– A kości, co je niby ciotka Anna ukryła w dziupli, znaleźli? – włącza się Katarzyna. – Przeszukali dziuplę, chałupę, nawet pod progiem kopali, i nic. Ciotce Annie i tak nie pomogło.

– Ale... – Rozala szuka jeszcze jakiegoś argumentu, lecz go nie znajduje.

Wraca do chaty przygnębiona. Słońce jeszcze nie zaszło, a ona ma wrażenie, że zakryły je ciemne chmury.

Wiga siedzi na kłodzie. Moczy nogi w rzece i nad czymś rozmyśla. Dziewczyna siada obok babki i jak ona zanurza stopy.

– Coś taka podrapana? I spódnice masz poszarpaną. Stało się co?

– Stało, babko. – Rozala, która z początku zamierzała ukryć zdarzenie w lesie, czuje, że powinna powiedzieć prawdę. – W lesie gonił mnie ten człowiek, co nas czasem podgląda.

– I co? Uciekłaś mu?

– Nie. Dogonił mnie i złapał za koszulę. Kiedy się rozdarła, jakby piorun w niego trafił. Siedział na koniu i patrzył.

– Na ciebie?

– Na mnie i nie na mnie. On patrzył tylko na to. – Rozala odchyła brzeg koszuli, pokazując znamię. – Wyglądało, jakby się tego przestraszył. Wtedy zapytałam, czego ode mnie chce. Nawet gęby nie otworzył. Uciekł. Babko... czemu nic nie mówicie?

Wiga milczy. Myśli pełne trwogi zdają się rozsadzać jej głowę.

– Babko...

– Jeśli ci życie miłe, nigdzie nie chodź sama.



Odtąd zawsze są babka i Rozala, czasem tylko Rozala i Katarzyna. Bywa, że wnuczka Wigi nigdzie nie idzie, i wtedy jest Rozala z Utą.

Jakub, usłyszawszy tę historię, od razu chciał jechać do zamku, by wyzwąć człowieka w czerni na pojedynek. Dał się przekonać, że to mogłoby im tylko zaszkodzić. Poddanym von Kittlitza i tak wciąż się kotłuje w głowach, dlatego nie należy dostarczać im nowych przeżyć.

– W takim razie natychmiast cię stąd zabieram – oznajmia narzeczony. – Wracasz do Zulich. Twoja izba u mistrza Haase stoi pusta.

– Kiedy żyła pani Haase, mogłam tam mieszkać. Teraz nie. Nie uchodzi, żeby obca dziewczyna spała pod jednym dachem z wdowcem. Od razu by mnie wzięli na języki.

– Przecież ja też się zatrzymałem u pana Tytusa. Nie byłabyś z nim sama – przekonuje Jakub.

Rozala patrzy na niego jak na kogoś, kto postradał rozum.

– O co chodzi? Źle mówię?

– Źle mi życzysz? Wtedy dopiero by gadali.

– To cię zawiozę do Agaty.

– Nigdzie mnie nie zawieszysz. Zostanę w Grünwaldzie. Zgodziłam się na żniwa i drugie sianokosy. Pójdę, choćby nie wiem co. Babka zdrowa, ale nie taka silna jak kiedyś. Będziemy robić we dwie.

– A co, jeśli ten czarny nie da ci spokoju?

– Babka kazała zawsze z kimś chodzić. Nigdy nie jestem sama. Nic mi nie może zrobić. Po ślubie weźmiemy babkę i Utę do nas. Babka lubi swobodę. Trzeba będzie jej znaleźć blisko jakąś chatę. Uta pójdzie do niej albo zostanie z nami.

Jakuba chyba cieszą plany Rozali. Kto wie, czy nie najbardziej osobna chata dla Wigi. Szanuje babkę narzeczonej, ale nie wyobraża sobie jej siedzącej razem z gośćmi.

– Uta! – woła rozradowany w stronę stodołki. – Uta! Z kim chcesz być? Z babką czy nasze dzieci piastować?

Dziewczyna odkrzykuje:

– Trochę z babką i trochę z wami! Nie wiem, czy dzieciom podołam. Ile będzie?!

– Dużo!

– Jakubie! – Rozala ciągnie narzeczonego za rękaw. – Nie zawstydzaj mnie!

Z konfuzji ratuje ją kot, który idzie w ich stronę z szarym ptaszkiem w pyszczku.

– Oddaj ptaka, zbóju – woła, biegnąc w jego stronę. Kot przystaje zdziwiony, ale nie zamierza pozbyć się trzepoczącego łupu. – Kocie, oddaj ptaka – przekonuje Rozala, choć wie, że nie to, co mówi, jest ważne dla kota, a to, że z nim rozmawia. Ilekroć bowiem zagaduje łaciatego drapieżcę, ten nie może się powstrzymać przed odpowiedzią.

Podstęp się udał. Pyszczyk się rozwarł, a ptak, widać niezbyt raniony, uleciał w przestworza.

Rozbawiony tą sceną Jakub, śmiejąc się, wyciąga się na trawie, a obok siada Rozalka.

– Miałem ci to od razu oznajmić, ale zapomniałem, bo powiedziałaś o tym człowieku w lesie. – Młodzieniec poważnieje i się podnosi, a potem podaje rękę dziewczynie, pomagając jej wstać.

– Masz złe wiadomości? – Rozalka truchleje na widok poważnej miny

Jakuba.

– Chyba po wielu niepowodzeniach znalazłem dla nas odpowiednie miejsce. Jest bardzo blisko Zulich. Mistrz Haase bywał tam nieraz i wiem to właśnie od niego. Niedawno zmarł właściciel, a majątek dostała w spadku jedyna córka. Mieszka tam teraz z dwiema ciotkami. Owe ciotki chcą, by dziewczyna sprzedała albo wydzierżawiła posiadłość, a sama przeniosła się w okolice Breslau, gdzie znajduje się gniazdo rodu.

– Zatem to nic pewnego?

– Pan Tytus mówił, że dziewczyna już prawie urobiona. Ciotki nie chcą siedzieć z dala od dużego miasta i rodziny.

– Pozwól, że na razie nie będę o tym myślała. Byłoby mi smutno, gdyby twój plan się nie powiódł.

– Nie to, to inne miejsce dla nas znajdę. Nie smuć się, serce moje. – Mówiąc to, Jakub bierze Rozalę w ramiona i z czułością całuje w czoło.

Wiga patrzy na oboje z daleka. Wciąż nie pozbyła się wątpliwości. Nawet ten niewinny pocałunek ją niepokoi. Nie zna się na miłości, ale już dość długo chodzi po ziemi, by niejednych narzeczonych zobaczyć. „Kto widział, żeby zakochany chłopiec całował dziewczynę w czoło?”



Żniwa już powinny się skończyć, ale jak na złość znowu nie w porę zaczął padać deszcz. Z dworskiej ziemi zwieziono do spichlerzy mniej niż połowę żyta, a reszta moknie na polach. Gdzieniegdzie zboże zaczyna kielkować w kłosach, a w ludziach kielkuje strach przed głodem.

Wilgoć i zimne mury pałacu źle wpływają na zdrowie łaskawej pani. Ma tak silne bóle, że służba truchleje, słysząc jej jęki i narzekania.

Przez deszcz trudno sprowadzić medyka. Żaden nie opuści miasta z obawy przed ugrzęźnięciem w błocie. Zresztą chyba nie ma żadnego, który by nie poznał dolegliwości pani von Kittlitz i nie zrozumiał, że nie jest w stanie jej pomóc. To ostatnie powstrzymuje medyków najbardziej. Próba leczenia pacjenta, którego się nie da wyleczyć, ściąga na lekarza złą

sławę. „Widać, nie taki dobry, skoro nie uzdrowił” – mówią.

Gdyby nie deszcz, von Kittlitz uciekłby do lasu, na pole, do sąsiadów, gdziekolwiek, byle dalej. Deszcz wszystko komplikuje. Więzi w zamku, skazuje na szeptu służby, jęk żony i towarzystwo Radoszewskiego. Von Kittlitz jest na skraju załamania nerwowego. Dzisiaj przystałby na wszystko, cokolwiek uleczyłoby żonę, a jemu pozwoliłoby odetchnąć.

– Nie ma medyka, to może trzeba zawołać babę z ziołami – podpowiada Antonius von Kittlitzowi chodzącemu tam i z powrotem po komnacie.

– Jaką znowu babę z ziołami? Nie ma żadnej. Wszystkie okazały się czarownicami. Miast pomóc, spiskowały.

– Ale jedną ławnicy puścili wolno. Tę, za którą poręczył bartnik. Mówiliście, że on nie kłamie.

Von Kittlitz zatrzymuje się i marszczy brwi, próbując sobie przypomnieć imię garbuski.

– Wiga! Tak na nią wołają. Może warto spróbować...

– Nie zaszkodzi. Jeśli to uczciwa, bogobojna kobieta, wręcz pomoże. Warto po nią posłać, ale niech przyjdzie z wnuczką, tą, co wychowana u cyrulika. Może i ona coś doradzi.

W głosie Radoszewskiego nie ma niczego prócz troski i chęci niesienia pomocy, lecz w środku jego dusza się raduje, bo pomysł realizowany powolutku zaczyna nabierać realnych kształtów. Od niepowodzenia w leczeniu pani von Kittlitz do stosu krótka droga. Nareszcie uda się posłać do piekła córkę więdźmy i jej garbatą babkę. Za resztę weźmie się wkrótce.

Łąka, na której stoi chata Wigi, zamieniła się w grzęzawisko. Jedyne budynki woda oszczędziła, bo stoją nieco wyżej.

Odkąd Rozala zamieszkała w Grünwaldzie, tak mokro wokół jeszcze nie było. Nawet wiosną, kiedy topniał śnieg.

W zakasanej spódnicy i boso próbuje dojść do rzeki, by zaczerpnąć wody do cebrzyka. Nic z tego. Nawet nie wie, gdzie jest brzeg. Napętnia

wiadro tym, w czym stoi po kolana. To i tak dla kozy. Żal zwierzę wyganiać w błoto. Zanieś wodę do szopki i rzuci trochę siana.

Czeka, aż koza się napije. Gdyby zostawiła cebrzyk, rogata istota od razu by go wywróciła. Już! Można wracać do chaty.

– Kto to?

Przez szparę w ledwo uchylonych drzwiach Rozala patrzy na mężczyznę rozmawiającego z babką stojącą w progu. Gdyby nic do niego nie miała, nie pozwoliłaby mu moknąć w deszczu. Do szopki docierają podniesione głosy, ale szum ulewy zagłusza słowa. W końcu zniecierpliwiony mężczyzna odchodzi, ale babka stoi dalej. Rozgląda się. Na widok Rozali opuszczającej szopę pokazuje ręką, że ma się schować. Dziewczyna czeka jeszcze jakiś czas. Nagle drzwi się otwierają i w smudze wątego dziennego światła staje babka.

– Kto to był?

– Jakiś dworski. Chciał, żebym z nim poszła do pani Kittlitz i ciebie ze sobą zabrała.

– Po co?

– Kto go tam wie.

– Jak się go pozbyliście?

– Powiedziałam, że posłałam cię do Kontoppu po gęsi smalec, bo mi do maści zabrakło, i że mogę iść z nim sama.

– I co on na to?

– Że pan powiedział, że tylko razem. I jak wrócisz, to od razu mamy przyjść do zamku. Nawet jakby się ściemniło.

– Pójdziemy?

– Razem nie. Choćby nie wiem co, ciebie tam nie zabiorę.

– Czemu? – Rozala jest trochę rozczarowana. Chętnie by zobaczyła, jak mieszkają właściciele posiadłości. Dotąd widziała tylko wnętrza zamku w Zulich, i to jedynie korytarze i izbę malarza.

– Ten czarny tam jest. Kto wie, czy czego nie knuje przeciwko tobie.

– Nie zostałam z nim sama. Byłybyśmy we dwie.

– Dwie baby przeciwko strażom i kto wie jeszcze komu! – Wiga podnosi głos, ale zaraz wraca do szeptu. – Pójdę sama, a wy z Utą idźcie do Katarzyny. Przyjdę po was, jak wrócę z zamku.



Ostatnio tu była przed Bożym Narodzeniem. Najpierw w piwnicy, czekając na śmierć, a potem zabierana w pośpiechu przez bartnika i Rozalę. Teraz znowu stoi przed bramą wiodącą na zamkowy dziedziniec i zastanawia się, czy jeszcze stąd wyjdzie.

Deszcz szumi na dachu, spływa do rynien, by w paszczach gargulców zamienić się w małe wodospady. Wiga jest cała mokra, poczynając od odświętnego czepca przyklejonego żałośnie do włosów, po spódnicę, z której woda ucieka małymi strużkami. Bose powykrzywiane stopy ledwo wystają z otaczającego je błota.

Służący chyba nie wiedział, że ma się jej spodziewać. Na widok spływającej wodą garbuski chciał krzyknąć, by się cofnęła, bo zabrudzi podłogę, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Wiga powiedziała:

– Pani mnie wezwała. Miałam przyjść od razu.

Już wszystko jasne. Dziewczyna w śnieżnobiałym czepku, ciemnej sukience, fartuszku i trzewikach prowadzi Wigę do pani. Drogę zielarki znaczą ślady mokrych stóp i smugi wody. Przez uchylone drzwi w jednej z komnat dostrzega człowieka w czerni. Przez moment ich spojrzenia się spotykają. Mężczyzna szybkim krokiem wychodzi na korytarz. Patrzy za oddalającą się garbuską. Ze złością zagryza wargi. Nie ma tej, którą chciał tu ściągnąć.

W pokoju pani Barbary von Kittlitz jest bardzo ciepło. Ogień na kominku na pewno płonie od rana, bo gorąco czuje się od progu.

Na łożu z baldachimem spoczywa kobieta. Jest tak blada, że skóra zdaje się zlewać barwą z poduszką. Fartuszek czepca okala chudą twarz, w której jedynie oczy robią wrażenie żywych.

- Ty jesteś Wiga? Ta, za którą ujął się bartnik?
- Tak, pani.
- Mój mążzonek uważa, że nie jesteś czarownicą.
- Nie jestem.
- Pomóż mi.

Kiedyś Anna powiedziała Widze, że pani Kittlitz to dumna i niemiała kobieta. Teraz robi wrażenie godnej litości.

- Co was boli?
- Wszystko.

Długo słuchała Wiga o dolegliwościach łaskawej pani i o radach medyków, a także szkodach wyrządzonych jej zdrowiu przez Annę Villborn i inne czarownice. Na koniec obejrzała chude ciało chorej, zostawiła maści podobne do tych, które robiła dla Barbary Haase, i zioła do picia sprowadzające sen.

Deszcz trochę osłabł, ale Widze było wszystko jedno. Przyszła mokra i mokra wracała. Ciężko się szło w ciemnościach. Tym ciężiej, że przyszłość znowu nabierała ciemnych barw.

Na widok Wigi wchodzącej do chaty Katarzyny z ust obecnych tam osób wyrwało się westchnienie ulgi.

– Siadajcie, ciotko, przy ogniu. – Gospodyni podsuwa zydel do paleniska i prowadzi zielarkę, trzymając ją pod łokieć. – Dam wam coś na przebranie.

- Nie trzeba. Zaraz idziemy do siebie.
- Babko, czego od was chcieli? Mówcie – ponagła Rozala.
- Pani Kittlitz jest mocno chora.
- Co jej jest?
- Nie wiem. Gdybym w tym była od początku, może bym wiedziała. Najgorzej, że ona myśli, że to przez czary.

– Widzicie? – odzywa się Hans. – Licho nie śpi. Ludzie przy robocie

też gadają o czarach. Jak zboże zgnije, to się zaczniesz na dobre.

– Hans, nie strasz!

– Nie straszę. Najchętniej wziąłbym nogi za pas i uciekał stąd choćby do Karge.

Myśl o ucieczce chyba wszystkim siedzi w głowach, bo popatrują na siebie, jakby znaleźli wyjście.

– Babko, a tego czarnego widzieliście?

– Widziałam, ale z daleka. Pani o ciebie wcale nie pytała. Znaczący, że nie byłaś jej potrzebna. To na pewno sprawa tamtego. Chciał cię ściągnąć do zamku.

– Ale po co?

– Nie wiem.

Wiga się domyśla, lecz nie zamierza niczego Rozali mówić. Krótka chwila wystarczyła, by się upewnić. Odkąd mężczyzna w czerni osłupiał na widok znaku na ramieniu wnuczki, coś się zielarce przypomniało i dopasowała w myślach jedno do drugiego. Dzisiaj tylko na niego spojrzała i już wiedziała, że to ten sam, który kiedyś dochodził do zdrowia w Karge i miał to samo na plecach co Rozalka.

– Nie wiem, co ma do ciebie, ale to zły człowiek. Na pewno będzie próbował cię dostać. Musisz uciekać. Na razie do Agaty, potem niech Jakub myśli, jak cię obronić.

W nocy, kiedy Uta zasnęła, Rozala wślizgnęła się do łóżka babki. Przytuliła się jak w czasach, kiedy była dziewczynką.

– Babko, czy to mój ojciec? – zapytała.

– Jeśli tak, niech go piekło pochłonie.



Nie ma jej. Córka wiedźmy zniknęła! Wściekłość dusi Radoszewskiego. Jak mógł pozwolić, by uciekła!

Kolejne razy spadają na poranione plecy. Musi się ukarać za zwlekanie,

za naiwność, za darowanie życia w lesie... Nie wystarczy do pierwszej krwi. Trzeba mocniej i mocniej... Przysięga, że ją jeszcze dopadnie, obiecuje, klnie się na krzyż, prosi o przebaczenie.

– Czarownicy żyć nie dopuścisz! Czarownicy żyć nie dopuścisz!
Czarownicy żyć nie dopuścisz!

Kolejne dni mijają niby w malignie. Nie zauważa, że wyszło słońce i osuszyło ziemię, a zniwiarze znowu są na polach.

Część zbiorów się zmarnowała. Głód na pewno zajrzy ludziom w oczy. Niejeden, co teraz słaby i chory, nie przeżyje zimy.

Nie tylko Rozala zniknęła. Kilku młodych mężczyzn też się zapodziało. Może tak jak wnukowie Anny Villborn zaciągnęli się do wojska albo poszli tam, gdzie więcej chleba. Von Kittlitz nie może przeboleć utraty zbiorów i kolejnych poddanych. Zrobił się tak nerwowy, że strach do niego podchodzić. Natknąwszy się na Antoniusa, nie potrafi powściągnąć języka.

– Panie Radoszewski, tylko patrzeć, jak rok minie, a wy wciąż darmo tu siedzicie. Nie macie jakich pilnych spraw u siebie?

Zagadnięty mężczyzna zagryza wargi. Co ma powiedzieć? Że nie ma żadnego „u siebie”?

– Jestem już blisko – mówi do Kittlitz, patrząc ponad jego głowę. – Jestem blisko prawdy.

– Jakiej? O co wam chodzi?

– Wiem, kto stoi za chorobą pani Barbary i za innymi niepowodzeniami.

– Mówcie!

– Jeszcze nie mogę. Jeszcze muszę coś wyjaśnić.

– Panie Radoszewski! Jeśli mnie zwodzicie, byle tu siedzieć i próżno jeść mój chleb, to lepiej od razu znikajcie zamiast kłamać bez umiaru!

– No właśnie! Kłamać! Im bardziej sprzeczne z prawdą jest kłamstwo, tym skuteczniejsze. Oni wszyscy kłamią, a wy myślicie, że mówią prawdę. O to chodzi Szatanowi. Kłamstwo nie może być bliskie prawdy.

Ono musi jej być przeciwne.

– Człowieku, co tobie? Bredzisz! – Von Kittlitz zaczyna się bać. – Wracaj do siebie, bo ja nie będę do ciebie wzywał medyków. Jutro ma cię tu nie być.

– Dobrze. Jutro. W takim razie dzisiaj muszę to wyjaśnić.

„Dzisiaj to wyjaśnię. Muszę. Rozwikłałam spisek. Bo to jest diabelski spisek. Bez wątpienia”. Gorączkowe myśli przelatują przez głowę Antoniusa. Patrzy na ptaka kołującego nad ścierniskiem. Drapieżnik wypatruje ofiary – szkodnika zjadającego ludziom plony. On też musi się stać myszolowem i spaść na szkodzące ludziom sługi Szatana. O, tak! Rozgląda się w poszukiwaniu celu.

Zobaczył! Szeroki uśmiech rozjaśnia marsowe dotąd oblicze. „Dzięki Ci, Panie, za wskazanie mi drogi”.

Niczego nieświadoma Wiga zdąża do lasu. Bartnik pozwolił jej zbierać chrust w borze najbliższym Grünwaldowi. Wolno mu, bo jest dzierżawcą tego kawałka lasu. Dla zielarki to wielka ulga, bo nie musi niczego załatwiać z gajowym ani płacić. Odpracuje przy kłeczbie albo zimą będzie splatać dla bartnika krótkie powrozy.

Wiga zna tu każde drzewo i każdą ścieżkę leśnej zwierzyny. Idzie do Bartłomiejowego boru, ale myśli o czym innym. Zastanawia się, czy Rozalka jest bezpieczna i co czeka ją samą, jeśli straci przychylność pani Kittlitz. Na razie nie jest źle. Chora dużo śpi, a maści przynoszą ulgę. Podobno czasem nawet wstaje i je, jakby była zdrowa. Zielarka wie, że to chwilowe. Sucha, ciepła pogoda sprzyja dobremu samopoczuciu, ale wkrótce przyjdą deszcze, a ciało przywyknie do konopnych wywarów i ból wróci. Co wtedy?

Zamyślona nie wyczuwa niebezpieczeństwa. Śledzącemu ją mężczyźnie pomaga wiatr w koronach drzew. Dzięki temu Wiga nie słyszy szelestu trącanych gałązek ani przyspieszonego oddechu.

Koń został na skraju lasu. Radoszewski skrada się za garbuską, wierząc, że go doprowadzi do wnuczki. Nie przywykł do chodzenia, więc marsz

kosztuje go więcej niż starszą od niego kobietę.

Wysiłek został nagrodzony. Przed nim polana, a na niej buda. Serce Antoniusa przyspiesza. Wiedział! Odkrył prawdę! Tu się ukryła mała diablica.

Musi być ostrożny, żeby znowu niczego nie zepsuć. Poczekaj, aż stara pójdzie, wtedy gołymi rękami zadusi córkę wiedźmy. Potem przyprowadzi tu von Kittlitz. Będzie miał swój dowód. Garbuska, ta mała, bartnik i krewniaczka czarownic trafią na stos. Na pewno na tym się nie skończy. Tylko trzeba wynajść dobrego kata.

Wiga w poczuciu obowiązku wchodzi do budy. Każdy może z niej skorzystać, jeśli złapie go deszcz albo zabłądzi i musi spędzić noc w lesie. Nie wolno mu przy tym wyrządzić żadnej szkody albo zostawić nieporządku. Jednak ludzie bywają różni, dlatego Wiga chce sprawdzić, czy nie trzeba posprzątać.

Przez otwarte drzwi wpada dzieńne światło. Nikogo tu nie było. Może jedynie kuna weszła, korzystając z nieszczelności pod dachem. Zielarka zadziera głowę. W coś się wpatruje, a potem ostrożnie, cichutko zaczyna się cofać. Z biciem serca zamyka za sobą drzwi. „Jak tylko zaniosę chrust, od razu pójdę do Bartłomieja. Muszę go ostrzec” – postanawia.

Tymczasem Radoszewski czeka. Jest nad wyraz cierpliwy. Nawet mrówki wążące mu pod koszulę i komary nie są w stanie go zniechęcić.

Nareszcie poszła. By niczego nie zepsuć, czeka jeszcze trochę.

Ogarnia go radosne podniecenie, kiedy otwiera drzwi budy.

Czyżby tu nikogo nie było? To jakiś okrutny żart? Córka wiedźmy zniknęła?

Ze złością kopie drewnianą ławkę. Wali pięścią w ściany. Miota się po budzie, mszcząc się za niepowodzenie.

To nieprawda, że nie ma tu nikogo.

Mieszka tu ktoś, kto ceni ciszę i spokój. Ktoś, kto nie lubi drgań, krzyków i hałasów. Ktoś, kto potrafi pozbyć się intruza.

Spocony z wysiłku Antonius rozgląda się z satysfakcją. Zniszczył, co

się dało. Może wracać.

Coś brzęczy mu koło ucha. Osa? Odgania dłonią upartego owada.
Druga? Trzecia?

Radoszewski wypada z budy, machając rękami. Czuje bolesne ukłucia na karku, na twarzy, na dłoniach. Są ich dziesiątki, może setki.

Ucieka, lecz przed rozzłoszczonymi szerszeniami nie ma ratunku.



Johann Christoph von Kittlitz nie pamięta, kiedy ostatni raz się uśmiechnął. Zaczyna nawet zapominać, że kiedyś był szczęśliwy. Choroba żony i związane z nią wydatki, przymrozki wiosną i deszcz w żniwa, polityka cesarza, która sprawia, że ubywa poddanych, bo luteranie przenoszą się w inne miejsca, nie mogąc na Śląsku swobodnie oddawać czci Zbawicielowi, a teraz, tuż przed jesienną strzyżką, choroba dziesiątkująca owce. Jedyne dotąd pewny, obok hodowli bydła, dochód z rolnictwa przepadł. Von Kittlitz nie wie, z czego zapłaci podatek cesarzowi.

Człowiekiem, z którym może porozmawiać o swych troskach, jest pastor Rosenberg. Duchowny znowu często przebywa w zamku, cesarski szpieg odszedł bowiem z tego świata z pomocą szerszeni.

– Myślisz, pastorze, że to wszystko za sprawą Szatana? Pozbyliśmy się szesnastu jego sług, a on nadal działa?

– Niewykluczone. Jest przebiegły. Wystarczy posłuchać wieści z Grünbergu, by się o tym przekonać^[38].

– Zatem powinniśmy szukać dalej? Jeśli tak, to kiedy nastąpi kres tego wszystkiego? Powiedz mi, pastorze, czy mogę liczyć, że nadejdzie dzień, w którym na mojej ziemi nie będzie diabelskich pośredniczek?

– Tego nie mogę ci obiecać.

– Dlaczego Bóg sam nie pokona Złego?

– Luter uważał, że nie powinniśmy próbować zrozumieć Boga. Bóg jest

Bogiem, mamy go czcić i szanować, a nie dochodzić, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej.

– Kogo podejrzewasz, pastorze?

– Najpierw trzeba się zająć matką rymarzowej. Chodzi po wsiach i chełpi się, że zaszkodziła waszej małżonce.

– Każdy wie, że to szalona kobieta. Rozum jej odebrało po spaleniu córki.

– Nie wolno lekceważyć takiego tropu. Skoro córka była czarownicą, to matka tym bardziej. Szaleństwo może być udawane. Trzeba ją postawić przed ławnikami. Niech oni zdecydują.

– Która następna? – Kittlitz przestaje się wahać.

– Mam pewne podejrzenia, ale nie chcę nic mówić, zanim matka rymarzowej nie wyda współniczek.

– Zaraz każę wołać wójta. Niech ława zbierze się po niedzieli. Już dość tych nieszczęść. Muszą dojść, kto je na nas sprowadza^[39].



– Uta, naprawdę nie będziesz się bała sama w chałupie?

– Nie. – Dziewczyna nadrabia miną, ale Wiga wyraźnie widzi, że czuje się nieswojo.

– Katarzyna powiedziała, że cię przyjmie. Możesz spać u niej, a tu przychodzić tylko do kozy.

– Dajcie spokój, ciotko. Nigdzie nie pójde. Cały Grünwald śmiałyby się ze mnie, że jestem jak dziecko.

– Nic im do tego.

– Ale mnie będzie wstyd.

– To chociaż zaklęcia przeciwko nocnym strachom cię nauczę. I duszkom domowym codziennie dawaj kawałek sera. Nie zapomnij. A pilnuj, żeby kot im nie wyjadał.

Wiga wybiera się do boru. Bartłomiej zaczyna kleczbę. Roboty będzie

huk, lecz to piękna praca. Zielarce podoba się ona dużo bardziej od zbierania gąsienic, plewienia marchwi, a nawet od żniw. Tylko zioła lubi zbierać równie mocno.

Gdyby nie obawa o Utę, szłaby z lekkim sercem. Do Urszuli kozy już nie zaprowadzi, ale jest miejsce przy krowach u Katarzyny. Kot da sobie radę, jak wszystkie wiejskie koty, których prawie nikt nie karmi, a żyją. Tylko ta Uta. Rzadko mówi o piwnicy, ale widać, że strach wciąż w niej siedzi. Jak ją samą zostawić?

– Będę do ciebie zaglądać – mówi na odchodne. – I się nie bój. Byłam niewiele starsza od ciebie, kiedy mnie pan Żychliński zabrał do Karge i zostawił samą w chacie z dala od ludzi. Przeżyłam, i ty przeżyjesz.

Do matki rymarzowej kata nie trzeba było sprowadzać. Mówiła, co jej ślina na język przyniosła. Szalona kobieta wymieniała współpracownicy, podając imiona albo przydomki sąsiadek i krewniaczek. Nawet hodowca koni z Kontoppu jej się przypomniał.

Mając na uwadze stan umysłowej przesłuchiwanej, ławnicy działali ostrożnie. Za najbardziej podejrzane osoby uznali te, które już raz wskazał ktoś inny. Ruszyli więc zamkowi śludzy na cztery strony Kittlitzowego świata, by przyprowadzić przed oblicze sędziów niewiasty posądzone o tańce na górze koło Lipki, ucztowanie z księciem piekieł i za jego namową sprowadzanie chorób na ludzi i zwierzęta, ściąganie deszczowych chmur na zboże gotowe do zżęcia, uszkodzenie łaskawej pani i panu także.

Po Utę przyszedł piątego dnia o poranku. Kiedy zobaczyli jej stopy, kazali Hansowi zaprząć wołu. Potem związali krzyczącą i wrywającą się dziewczynę, wrzucili do wozu i powieźli do zamku.

Kobiety po kolei brane z piwnicy i stawiane przed ławnikami same nie wiedziały niczego o Szatanie. Były jednak takie, które, chcąc odsunąć od siebie podejrzenia, posądzały inne. Do wójta przewodniczącego ławie zgłosiło się też dwóch mężczyzn. Jeden dość stary, ale pragnący zmienić swarliwą żonę na inną, drugi młody, bo dziewczyna odrzuciła

oświadczyły. W tym przypadku ławnicy mieli wątpliwości, lecz postanowili je wezwać, a w razie czego dać na przesłuchanie katu. Tylko kat może pomóc. Poprzednio tak dobrze się sprawił.

Trzeba sprowadzić kata.

Bartłomiej pierwszy zobaczył Michałkę.

Żona bartnika to biegnie, to idzie szybkim krokiem między drzewami, a on już jest na dole.

– Co się stało? – woła pełen obaw.

Ona nie może mówić. Tak bardzo się spieszyła, że braknie jej tchu. Otwiera usta, dyszy, chce mówić, lecz słowa więzną jej w gardle.

Chwyta dzban podsunięty przez Wigę. Pije łąpczywie, a woda bokami spływa po spoczonej szyi i moczy koszulę.

– Coś z dziewczynkami? – Bartłomiej potrząsa ramieniem żony. – Mów!

– Nie – chrypi Michałka. – Są u sąsiadki.

– To czemu biegłaś?

– Zaczęło się... znowu.

– Co? Mów, kobieto!

– Szukanie czarownic. Wigo, wzięli waszą Utę.

Wiga nie jest z tych, co wiedzą. Anna Villborn zawsze mówiła, że to przechodzi z córki na matkę, a jej matka nie była z takich kobiet. Jednak o Ucie wiedziała. Odkąd dziewczyna przyszła do jej chaty boso po śniegu, wiedziała. Tak jakby miała swój los wypisany na twarzy. Mimo to chciała ją chronić przed nieuchronnym. Teraz też chce.

– Idę – oznajmia. – Bartłomieju, kogoś wam przyślę do pomocy.

– Dokąd?

– Ratować Utę.

– Raczej samej oddać się katu.

– Kata nie ma – wtrąca się Michałka. – Jedynie to dobre, że nie ma

kata. Mówią, że długo będą czekać, bo najbliżsi odmówili. Ten, co był zimą, też.

– Widzicie, Wigo, nie ma co się spieszyć. Może coś się poradzi. Póki nie ma kata, będą je pytać i odsyłać do piwnicy.

Bartłomiej ma rację. Właśnie tak to wygląda. Sama tam była, więc wie.

– Wigo, zostańcie w borze. Nie pomożecie dziewczynie, a sobie zaszkodzicie. Sam się ledwie wywinąłem, kiedy poszedłem za was ręczyć. Mało mi nie wmówili, że znam czary. Nauczyli się zadawać pytania i tak człowieka mamić, że byłem gotów przyznać się do wszystkiego. Uratowało mnie, że chłop, nie baba. Jak się pozbierałem, huknąłem na nich i się przestraszyli. Babie by nie darowali.

– Teraz też moglibyście huknąć. – Wiga zagląda prosząco w oczy bartnika.

– Nie mogę. Nie znam waszej Uty jak was. Nie wiem, co w niej siedzi. Was byłem pewien. Przysiągłem na pszczoły, żeście uczciwą niewiastą, i patrzcie, pszczoły nie umarły.

Wiga więcej nie prosi. Jak Bartłomiej coś powie, to wiadomo, że tak ma być i koniec.

Michałka ma rację. Jedyne nadzieje w braku kata. Póki go nie ma, wszystkie kobiety zamknięte w piwnicy mają szansę na przeżycie.



W Karge zamieszanie, jakiego dawno nie było. Ba! Nigdy za pamięci Agaty nie zdarzyło się tylu gości naraz. Akurat na jesienne strzyżenie owiec, traktując to jak wiejską, wartą obejrzenia atrakcję, pan Krzysztof Unrug zaprosił do siebie trzy zaprzyjaźnione rodziny, włączając w to ciotki, wujów i kuzynów. Sam też przybył ze starszymi synami, Jerzym i Janem. Wszystkim towarzyszy służba, niestety, niezbyt przydatna w obcym sobie miejscu.

Jeśli się uda, goście będą mogli zobaczyć jeszcze jedno wydarzenie. Po kilku latach przerwy ożył szlak, którym wędrują stada bydła pędzonego ze

wschodu do Brandenburgii. Doroczne spotkanie poganiaczy i zwierząt to dla Unruhstadt i Karge ważne wydarzenie. Wiadomo, że nie tej miary, co zakończenie najważniejszego szlaku w okolicy Breslau, ale też jest na co popatrzeć.

Za kilka dni wszystkie łąki wokół zaroją się od bydła. Najwięcej będzie tego o swojskim wyglądzie, przybyłego głównie z Wielkopolski, mlecznego lub mięsnego. Nie ono jednak przyciąga ważnych nabywców z Niemiec, Francji i Niderlandów. Ci szykują się przede wszystkim do kupna pędzonych z Mołdawii i stepów Ukrainy siwych albo płowych wołów z długimi, rozgałęzionymi jak lira rogami. Zwierzęta te osiągają na zachodzie wysokie ceny, bo są bardzo dobrą siłą pociągową.

Dzięki spotkaniu poganiaczy, sprzedawców, kupców i gapiów zarobi miasto i jego właściciel. To sprawia, że deszczowe nieudane żniwa nie są takim dopustem jak w Kolzig. Tu będzie za co kupić zboże i najeść się, choć nie zawsze do syta.

Szczyśliwie przybycie nowego zarządcy się opóźnia. Gdyby on i jego liczna rodzina zjawili się teraz, jak to zapowiadano, zamieszanie byłoby nieprawdopodobne.

Na razie z pomocą dziewcząt z Unruhstadt, które weszły w role sprzątaczek, kuchennych, a nawet pokojówek, daje się zapanować nad chaosem. Nie wszyscy wstają o tej samej porze, nie każdy siada do śniadania przy wspólnym stole, jeden potrzebuje kąpieli, inny odświeżenia garderoby. Goście, na razie lekko znudzeni, wchodzą w każdy kąt, patrzą, zadają pytania, chcą, by ich dokądś zaprowadzić, i tak od rana do nocy.

Rozala też się zaprzęła do pracy. Pomaga w pałacowej kuchni i wszędzie, gdzie tylko ją poślą. Wygląda też stosownie do okoliczności. Agata nie puściłaby jej nieochędożonej między ludzi. Świeży ubiór, włosy schowane pod czepkiem, biały fartuch, krótko obcięte czyste paznokcie to zdaniem kucharki taki sam obowiązek jak codzienna modlitwa.

Taką właśnie, nie do poznania, idącą szybko przez dworskie podwórze z koszykiem pełnym granatowych węgierek, ujrzeli Jakub, a zaraz po nim Tytus. Ona zaś na ich widok przystanęła, westchnęła i coś mruknęła pod

nosem. Na szczęście nie usłyszeli co.

– Jesteśmy!

W wołaniu Jakuba jest tyle radości, że Rozala nie potrafi się gniewać. A byłoby o co. Bez zapowiedzi, i to we dwóch, kiedy pałac pełen ludzi do obsłużenia, w stajni tłok, nawet we dworze śpi część służby i kucharz Unruga.

– Wybaczcie, muszę zanieść śliwki pani Górkowej. Zażyczyła sobie zjeść kilka zaraz po obiedzie. Potem porozmawiamy. Teraz znajdźcie pana Baltazara. Pewnie gdzieś się ukrył.

Spotkali się dopiero wieczorem w domu Agaty.

– Musiałem go tu przywieźć. – Jakub tłumaczy Rozali powód niespodziewanej wizyty. – Od śmierci żony jest jakiś nieswój. Nie sądziłem, że był do niej tak przywiązany.

– Rozumiem, ale sami musicie się czymś zająć. Może pan Baltazar weźmie was na pastwiska albo na pola. On ucieka od gości Unruga. Jak dla niego czynią za dużo hałasu.

– Nie będziemy się narzucać. Dwa, trzy dni i nas nie ma. Ale spaceru mi nie odmówisz? Tęskniłem do ciebie.

– Nie odmówię. – Rozala ujmuje dłoń Jakuba. – Też tęskniłam – wyznaje. – Chodźmy.

Tytus i Baltazar są sami. Agata musiała jeszcze pójść do pałacu, ale przygotowała gościom dużo jedzenia, a von Lest przyniósł z piwniczki dzban piwa. Jest przy czym wspominać.

– Dalej się nie otrząsnąłeś, Tytusie? Już czas. Jak się skończy żałoba, rozejrzyj się za młodą kobietą. Jesteś w sile wieku. Zdążysz wychować dzieci, może nawet wyuczyć syna na następcę.

– Na razie o tym nie myślę. Pracuję, a towarzystwo zapewnia mi Jakub.

– To towarzystwo na chwilę. Jakub z Rozalką wezmą ślub i zamieszkają u siebie, a ty zostaniesz jak palec.

– Dręczycie mnie, panie Baltazarze. Mówmy lepiej o młodych. Znalazłem dla nich ładną posiadłość niedaleko Zulich. Będą blisko was

i mnie. Niechby tylko ta panienska, która jest właścicielką, przestała się wahać.

Hałas w sieni zapowiada powrót zakochanych.

– Co tak szybko? – dziwi się Baltazar. – Zwykle narzeczeni spacerują do rana.

– Przyszli po mnie z pałacu. Ktoś stłukł wazon, a przy okazji się mocno skaleczył. Mam go opatrzyć – wyjaśnia Rozala.

– Ja pójdę – deklaruje Haase.

– Nie trzeba, mistrzu. Pozwólcie, że sobie przypomnę, czego mnie nauczyliście. Nawet nie wiecie, jak do tego tęsknię.

„Czy to było złudzenie? Czy coś jest między nimi? – Rozalia wyszła, ale w tonie głosu i w tym, jak na siebie z Tytusem spojrzeli, Baltazar dostrzegł coś niepokojącego. – Powiem Agacie, żeby zwróciła na nich uwagę. Może to za jej sprawą Haase taki cierpiący”.

Trochę jak za dawnych czasów, bo tym razem z dorosłym Jakubem, siedzą przy zastawionym stole, gaszą pragnienie piwem i toczą rozmowy o gospodarstwie, polityce, planach Jakuba i innych mniej lub bardziej ważnych sprawach. Baltazar ucina sobie króciutkie drzemki, ale nie opuszcza gości.

– Mistrzu Haase, ile mieliście lat wtedy, w oberży, jak ścinałście mi kołtun?

– Pamiętasz?

– Tego nie, to wiem od pana Baltazara. Zaraz powiem, co pamiętam, tylko mi odpowiedzcie.

Tytus się namyśla.

– Szesnaście, może siedemnaście...

– Wydaje mi się, że pamiętam chleb w wyciągniętej ku mnie dłoni i młodzieńca z zatroskanym obliczem. Pewnego dnia ten obraz skądś wypłynął. Nie wiem nawet, czy to się zdarzyło, czy to sen. Mistrzu, daliście mi wtedy ułomek chleba?

Tytusa ogarnia wzruszenie. Tamto spotkanie zaważyło na jego życiu

i życiu von Lesta, a także Jakuba.

– Dałem – odpowiada ze ściśniętym gardłem. – Byłeś tak głodny, że nie miałeś siły gryźć. Wyglądało, jakbyś go ssał.

– Nie widziałem tego – przyznaje się Baltazar, ale i on ma wilgotne oczy. – Domyślałem się, Tytusie, że to był twój ostatni kawałek chleba.

– Prawda, ale zaraz dostałem gorącej zupy i dzięki wam nie byłem głodny przez wszystkie dni, kiedy czekaliśmy, aż ustaną deszcz i wichura.

– Pamiętam ten smak. – Jakub dalej snuje wspomnienie. – Do dzisiaj lubię wąchać chleb, a potem rozpuszczać go w ustach. Mistrzu, może ten ułomek uratował mi życie?

– To wie tylko Bóg.

Odpowiedź Tytusa sprawia, że milkną i pogrążają się we wspomnieniach. Nie na długo jednak. Teraz Baltazar ma pytanie.

– Jakubie, kiedy czytałeś przy mnie Pismo, często wracałeś do Księgi Mojżeszowej...

– „A Set żył sto lat i pięć lat, i spłodził Enosa. I żył Set po spłodzeniu Enosa, osiem set lat, i siedem lat, i spłodził syny i córki”^[40]. – Jakub przytacza dobrze zapamiętane słowa.

– Pewnego razu powiedziałaś: „Oni wszyscy byli czyimiś synami i córkami, a czyj ja jestem?”. Powiedz mi, chłopcze, znalazłeś już odpowiedź?

Jakub patrzy to na Baltazara, to na Tytusa.

– Już sobie nie zadaję tego pytania, więc chyba znalazłem – odpowiada po namyśle. – Wiem, skąd pochodzę. Znam historię swego rodu i mam matkę, z którą często do siebie piszemy. To daje mi spokój. Wy też jesteście częścią mojego życia. Dzięki wam, panie Baltazarze, jestem z Karge. Jestem stąd i stamtąd. Brzmi to osobliwie, ale jestem pogodzony z jednym i drugim miejscem.

– A Rozalia?

– Czemu o nią pytasz, mistrzu?

– Kochasz ją dla niej samej czy dlatego, że jest częścią tego miejsca?

Napięcie w twarzy Tytusa wskazuje, że odpowiedź Jakuba jest dla niego bardzo ważna. Niestety, nie dane mu ją usłyszeć. Powrót Agaty i Rozali kładzie kres męskim rozmowom.



Kiedy poprzedniego dnia Jakub i Tytus zjawili się w Karge, pan Krzysztof był nieobecny. Później, gdy gospodarz zasiadł z gośćmi do wieczerzy, nie chcieli mu przeszkadzać. Dlatego dopiero rano, krótko przed wyjazdem, poszli pokłonić się właścicielowi majątku.

Unrug, piastujący z woli króla wiele urzędów, wyglądał stosownie do rangi. Postawny mężczyzna miał na sobie typowy strój polskiego szlachcica. Żupan zapinany z przodu na pętlice i guzy, na nim kontusz z wylotami przewiązany szerokim pasem, a na nogach wysokie buty z cholewami. Głowa też niepodobna do zachodnich. Kiedyś pan Krzysztof lubił bujne francuskie peruki, teraz jego czupryna była z tyłu i nad uszami podgolona, a twarz zdobiły sumiaste wąsiska.

Zachowanie też u Unruga mało niemieckie.

– Co znaczy, że wyjeżdżacie?! Nie ma mowy. Aresztować każę, jak nie posłuchacie. Pojutrze zasadzam się na byki jelenie. Wy dwaj idziecie ze mną. A dzisiaj chcę was widzieć na wieczerzy. Ciebie, Haase, też. Może wreszcie cię namówię, żebyś się osiedlił w Unruhstadt. Niewiele czasu upłynie, a moje miasto będzie większe od twojego Zulich. Jeszcze się przekonasz.

Opuszczając pałac, Jakub i Tytus nie wiedzieli, co ze sobą począć. Nikt nie miał dla nich czasu. Przeszli się więc po francuskim parku, który zdążył okrzepnąć i prezentował się bardzo pięknie, potem obejrzeni miasto.

Haase musiał przyznać, że rozwija się w imponującym tempie. Największe wrażenie robiły domy postawione w porządku, nowe, jeszcze nieuszkodzone zębem czasu, ulice proste i szersze niż w Zulich, i przestronny rynek, na którym brakowało jedynie ratusza.

Kogokolwiek spotkali, było widać, że nie próżnuje. Po trudnych latach w ludzi i miejsce wstąpił nowy duch. Niewątpliwa w tym zasługa Krzysztofa Unruga i względnego spokoju, który nastąpił po wojnach z Rosją i Szwedami.

W dwóch karczmach, do których po kolei zajrzeli, panował tłok, bo już zaczęli się zjeżdżać handlarze bydła. Głodni i spragnieni wrócili więc do domu Agaty w Górnej Wsi. Gospodyni nie było, ale resztek z wczorajszej wieczerzy zostało w spiżarni dość, by się posilić.

Wieść o cyruliku rozeszła się błyskawicznie, dlatego już po południu Tytus zapomniał, że się nudził. Jak zawsze, kiedy odwiedzał dwór w Karge, zaczęli się do niego schodzić naprawdę chorzy i tacy, którzy byli go ciekawi.

Rozala aż westchnęła z zazdrości, kiedy, idąc po ryby do lodowej piwnicy, zobaczyła przed świetlicą kolejkę bab z dziećmi i mężczyzn czekających na zjawienie się mistrza Haase. Wracając z rybami, natknęła się na niego samego.

– Przyjdiesz mi pomóc? – zapytał.

– Kiedy? – Jęknęła żałośnie i poszła dalej.

Jakub, czekając na obiecany spacer, wybrał się konno w stronę Kopanicy, a przy okazji obejrzał resztki spalonej chaty Wigi. Kamienny komin stał dalej, dzielnie opierając się burzom i wiatrom.

Dopiero tuż przed kolacją, kiedy wszystko było gotowe, Rozala dostała wolne.

– Byłaś kiedyś na pogorzeliisku?

– Nie miałam odwagi. Podobno nikt tam nie chodzi. Agata mówiła, że niektórzy opowiadają, że babka się wtedy nie spaliła, bo diabeł jej pomógł.

Wrześniowy wieczór jest chłodny. Weszli najwyżej, jak mogli, do miejsca, skąd rozciąga się widok na zamglone łąki, domy i warsztaty, przy których wciąż można dostrzec pracujących rzemieślników, i pola na wzniesieniu ciągnące się aż do czarnej linii lasu. Czas wracać. Wkrótce

kolacja, na którą są zaproszeni Jakub i Tytus.

– Zajrzę jeszcze do dworu, zobaczę, czy mistrz już skończył.

– Pójdę z tobą.

– Nie, Jakubie. Może będę musiała mu pomóc, żeby zdążył na wieczerzę.

– Rozalko, przecież pan Tytus sobie poradzi.

– Wiem, ale chcę mu pomóc.

Jakub czuje ukłucie zazdrości, mimo to proponuje:

– To chociaż cię odprowadzę. Nie chcę, żebyś sama szła o zmierzchu.

– Niedługo wracam do Kolzig – oznajmia niespodziewanie Rozala. – Niech tylko goście wyjadą.

– Już się nie boisz?

– Tego czarnego? Nie. Nie miałam kiedy ci powiedzieć... On nie żyje. Szerszenie go zabiły. Gniazdo było w budzie bartnika. Włazł tam nie wiadomo po co i go obsiadły. Bartłomiej znalazł go, jak już był nieświeży i napoczęty przez zwierzęta.

– Zatem spotkała go sprawiedliwa kara.

– Ludzie z Kolzig, od których to wiem, też tak mówią. Wciąż kogoś podglądał, mieli go dość.

– Dlaczego chcesz wracać? Żle ci u Agaty?

– Dobrze, ale tęskno mi do babki, Uty i Katarzyny. Kiedy długo nie mam o nich wieści, wyobrażam sobie, że coś się stało. Mówiłam ci przecież, że w Kolzig wciąż niespokojnie. Będzie ze dwie niedziele, jak nikogo z tamtych stron nie było w kaplicy na nabożeństwie. Nie wiem, co myśleć.

– Gdybyś jutro dostała wolne, wziąłbym cię przed siebie i pojechalibyśmy się przekonać.

– Jutro to niemożliwe. Może po tym polowaniu, co je pan Unrug szykuje. Do tego czasu uda mi się znaleźć jakąś dziewczynę z Unruhstadt, żeby mnie zastąpiła.

Tytus wciąż na posterunku. Na zewnątrz czeka jeszcze z pięć osób.

– Zostanę – decyduje Rozala. – Idź do Agaty. Musisz się przebrać – przykazuje Jakubowi.

– Nawet nie wiesz, czy Haase cię potrzebuje. – Jakub jeszcze próbuje zatrzymać ją przy sobie.

– Potrzebuje. Jestem tego pewna.

Zniknęła za drzwiami, a on nadal stoi. Zastanawia go zachowanie narzeczonej. Chyba nie powinna tak gorliwie pomagać panu Tytusowi. Jako jego żona nie będzie mogła zajmować się takimi rzeczami. Wiadomo, we dworze powinna być apteczka z ziołami i nalewkami. Tutaj, w Karge, też jest i Agata pomaga, jak kto przyjdzie. Ale żeby żona właściciela oglądała zepsute zęby albo upuszczała krew, tego jeszcze nie słyszał.



Unrug przedstawił Jakuba jako markiza de Fontenay-Trésigny i wyjawiał historię jego odnalezienia. Ta, mimo że opowiedziana oszczędnie, wycisnęła łzy z oczu dam. Ich spojrzenia z zaciekawionych natychmiast zmieniły się w czułe i opiekuńcze. Jedna z nich, dwa razy starsza od młodzieńca, próbowała nawet namówić go na *tête-à-tête* po kolacji, rzecz jasna w celu dokładniejszego poznania jego dziejów. Na szczęście Jakubowi udało się wykręcić. Przydało mu się doświadczenie nabyte na francuskich salonach.

Po wieczerzy, jak to zwykle bywa przy takich okazjach, goście siadają przy kilku stolikach do gry w karty. Jakuba przydzielono do poważnej matrony i dwóch młodych kobiet w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Stało się tak za sprawą opiekunki owych panien, której zależało na ćwiczeniu ich w konwersacji po francusku. Te, miast skupić się na grze w rewersyna^[41] i rozmowie, z zaciekawieniem zerkają na urodziwego młodzieńca, pochylają się ku sobie i szepczą. Czasem, pod wpływem surowego spojrzenia starszej damy, spuszczaają głowy ze skruchą

i przybierają skromne minki, ale po chwili znowu strzelają oczami.

– Czy we Francji panuje moda na spacery przy księżycu ze służącymi? – ośmiela się zapytać jedna z panien. Trwa właśnie krótka przerwa, podczas której podawane jest wino.

– Nie rozumiem. – Jakub udaje, że się nie domyśla, o co chodzi towarzysze gry.

– Widziałam, jak wczoraj szliście ze służącą za rękę.

– Agnieszko! – Rumieniec zalewa dostojną twarz opiekunki.

– Ciotuniu, mówię, co widziałam.

– Panno Agnieszko, widziałas mnie z narzeczoną. Jesteśmy z Rozalią po słowie, a w Boże Narodzenie bierzemy ślub.

Reakcja dziewczyny jest tak głośna, że rozmowy milkną, a wszystkie oczy obracają się ku niej. Ona jeszcze przez chwilę się śmieje, ale wyraz twarzy Jakuba sprawia, że chichot zamiera jej na ustach. Purpurowa ze wstydu matrona zrywa się z miejsca i rzuca hasło:

– Do łóżek!

Dziewczyna na odchodnym zatrzymuje się przy Jakubie.

– Wybaczcie, myślałam, że to żart – mówi zawstydzona.

Zakłopotanie gości znika, kiedy pada hasło:

– A teraz ślepa babka!

Przy tej zabawie wszystkich ogarnia dobry nastrój. Jakub także odzyskuje humor.

Tymczasem mistrz Haase i Rozala wracają do domu Agaty.

– Pan Unrug będzie się gniewał. Mieliście być na wieczery.

– Jakub na pewno przeprosił w moim imieniu pana Krzysztofa. A jeśli będzie się gniewał, to co może mi zrobić? Nie jest moim panem. Najwyżej nie pozwoli tu przyjeżdżać.

– Pan Baltazar was lubi. On najbardziej by żałował, gdybyście przestali go odwiedzać.

– A ty tęskniłaś choć trochę, kiedy całą zimę i wiosnę nie było cię

w Zulich? – Tytus popatruje z boku na dziewczynę.

– Czy tęskniłam? W Kolzig tyle się działo, że tamto miałam w głowie. Po każdą mogli przyjść i skazać na spalenie. Wzięli babkę i Utę. Siedziały w piwnicy razem z innymi. Matkę Uty spalili. Ją wypuścili, ale widzieliście, jak chodzi. To od przypalania rozgrzanym żelazem.

– Nic nie mówiłyście. – W głosie Tytusa słychać zawstydzenie. – Sądziłem, że was oszczędzono.

– Bo oszczędzono. Przecież żyjemy.

– Gdybym wiedział... W największy śnieg pognałbym ci na ratunek.

– Wy, mistrzu?

Haase się orientuje, że wyznał zbyt wiele. Zatrzymuje się i kładzie dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Błagam, zapomnij, co powiedziałem.

Nie zapomniała. Wróciły myśli, którym postawiła tamę, dając słowo Jakubowi. Gdyby żyła pani Barbara, wszystko byłoby jasne. Śmierć pani Haase, której przecież nikt nie pragnął, sprawiła, że niemożliwe stało się prawdopodobne. Dzisiejszy wieczór jej przypomniał, jak dobrze z mistrzem pracować, uczyć się i rozmawiać. Na tych kilka godzin opuściła ją tęsknota. Teraz znowu ją czuje. Wróciła, tyle że trudniejsza do zniesienia.



Chyba nie ma w Karge nikogo, kto o tej porze roku, wstając o świcie, nie usłyszałby rozlegających się z różnych stron niskich, basowych stękań przechodzących w grzmiące ryki. Owe dźwięki to miłosny zew jeleni odbywających doroczne gody. W pełnych dzikiego zwierza okolicznych lasach jest wiele miejsc, gdzie leśni mocarze staczają walki o łanie i panowanie w stadzie.

Na ziemiach Unruga największe rykowisko odbywa się w okolicy folwarku leżącego niedaleko traktu do Babimostu. Unrug, Jakub i Haase

spędzili noc w stodole nad jeziorem, niczym prości ludzie śpiąc na słomie. Zgodnie z życzeniem dzierżawca obudził ich przed świtem. Cokolwiek im potrzebne do polowania, zostało przygotowane wieczorem. Dlatego niemal od razu byli gotowi do wyjścia.

Prowadzi ich dzierżawca folwarku znający tu każde drzewo, wykrot i ścieżkę. Mają ze sobą dwa arkebuzy przeznaczone na grubego zwierza. Jeden dla Unruga, drugi dla Jakuba. Tytus i dzierżawca będą tylko patrzeć. Unrug wieczorem się odgrażał, że on też nie zamierza strzelać. Da szansę Jakubowi, który dotąd nie polował na jelenie.

Pan Krzysztof, doświadczony myśliwy, bada kierunek wiatru. Jest niekorzystny. Muszą przemierzyć jeszcze kawał drogi, żeby obejść rykowisko i tak się ustawić, by wiatr nie zdradził ich obecności.

Gdzieś, niby w innym świecie, wstaje słońce. Tu wciąż króluje mgła otulająca drzewa siwą zasłoną. W prześwicie między trzcinami widać jezioro. W jego szarosrebrnej tafli odbijają się kontury starych dębów i sosen. Wszystko jakby zamazane, nierealne i ginące w oddali, w kłębiącym się tumanie.

Poruszają się wolno i ostrożnie, stąpając po miękkich kobiercach utkanych z mchów, traw i wrzosów. Rwą ciężkie od rosy, misterne utkane pajęczyny, niosąc dalej ich smętne resztki na dłoniach i twarzach. W nozdrzach mają zapach grzybów, zbutwiałych liści i bagna. W oddali, między pniami sosen, mgła przybiera inną barwę. Siwa zasłona staje się złota, a drzewa, dla których jest tłem, całkiem czarne.

Jakub zaczyna się denerwować. Boi się, że nie zdążą. Nagle z krzaków wychodzi łania. Patrzy w ich kierunku. Stają, wstrzymując oddechy. Jeśli się przestraszy, da innym zwierzętom sygnał do ucieczki i cała wyprawa na nic. Chyba ich nie zauważyła. Spokojnie, tak jakby była tu sama, odwraca się i niknie między jasnożółtymi liśćmi kruszyny.

Jeszcze kilka minut marszu i Unrug uznaje, że są w odpowiednim miejscu. Za plecami mają ścianę lasu, dobry wiatr i czyste pole do strzału.

Unrug z Jakubem umieszczają w lufach swoich arkebuzów proch zaczerpnięty z rożka, przybitkę, kulę i znowu przybitkę, by kula

przypadkiem nie wypadła, i tak przygotowani czekają z bronią prawie gotową do strzału.

Gdzieś blisko słycać walkę jeleni, a jeszcze bliżej stękanie pojedynczego byka^[42]. W powietrzu unosi się piżmowy zapach.

Nagle tuż przed nimi pojawiają się łanie, a dalej młody byczek.

Jakub w pośpiechu sięga po rożek, by nasypać prochu na panewkę. Unrug powstrzymuje go gestem dłoni. „Nie”. – Kręci głową.

Miał rację. Niedługo potem między drzewami pojawia się samotny wielki byk. Idąc, porykuje niemal przy każdym kroku. Zatrzymuje się, słucha, łapie wiatr w chrapy i rusza dalej. Wszedł na polanę. Jest na linii strzału. Stoi, obracając głową zwieńczoną wspaniałym porożem. Czyżby zwierzył niebezpieczeństwo?

– Już. – Ledwo słyszalny szept dobiega uszu Jakuba. Teraz trzeba najciszej, jak się da, sypnąć prochu na panewkę, napiąć zamek kołowy, dokładnie wymierzyć i... – Strzelaj! – Lecz Jakub zdaje się nie słyszeć ponaglenia. Tymczasem jelen podnosi głowę, jakby zbierał się do ryku. Coś go jednak niepokoi. Unrug dostrzega napięcie mięśni. Nie czeka. Pada strzał.

Na chwilę las wypełnia się trzepotem skrzydeł, uderzeniami kopyt i trzaskiem gałązek.

Zawstydzony młodzieniec robi gest, jakby czym prędzej chciał oddać arkebuz Unrugowi. Ten nawet się nie ogląda. Idzie do zdobyczy. Tytus też za nim kroczy. Chce z bliska zobaczyć potężne zwierzę.

W połowie drogi zatrzymuje ich huk wystrzału.

Gwałtownie odwracają głowy.

Co ty zrobiłeś, Jakubie?!

Biegna w stronę ślaniającego się młodziana. Są już przy nim. Leży. Plama krwi na ubraniu z każdą sekundą robi się coraz większa.



Dworskie podwórze opustoszało. Goście, poruszeni wypadkiem na polowaniu, wyjechali, rezygnując z widoku wołów o rogach wygiętych niczym liry i innych wiejskich atrakcji.

W świetlicy, gdzie jeszcze niedawno cyrulik przyjmował chorych z Unruhstadt, rozpalono ogień w kominku. W pobliżu stoi balia, a w niej woda czerwona od krwi.

Na stole przykrytym prześcieradłem leży mężczyzna, jeszcze prawie chłopiec. Brzuch razem z udami osłania lniany ręcznik. Poza tym jest nagi.

W kącie na krześle siedzi stary człowiek. W jego łysej głowie odbija się blask płomieni, a oczy o czerwonych obwódkach śledzą ruchy Tytusa.

Baltazar nie ruszył się z miejsca od chwili, gdy Jakuba położono na stole. Teraz obserwuje kąpiel podobną do rytuału. Balwierz i młodzieniec są jedynymi aktorami niemego spektaklu, a scena jest oświetlona blaskiem ognia z kominka i świec palących się w lichtarzach. Tytus robi to, czego się kiedyś nauczył podczas czeladniczej wędrówki i później, jako mistrz, zajmując się ludźmi szukającymi u niego pomocy. Wszak nie tylko golibrodą jest balwierz. Każdy jednocześnie jest cyrulikiem, musi więc umieć kąpać chorych, nacinać i leczyć wrzody, rwać zęby, nastawiać złamania, zszywać rany i puszczać krew.

Rzadko można ujrzeć kogoś tak oddanego swej profesji jak mistrz Haase. Jego dotknięcia są uważne i delikatne. Raz za razem zanurza zakrwawioną szmatę w balii, wykręca ją i wraca do obmywania.

– Niech zmienią wodę – rzuca, nie odrywając się od pracy.

W pewnej chwili nieruchomieje, pochylony nad młodzieńcem.

Baltazarowi ten widok przywodzi na myśl dzieło mistrza z Lejdy, które oglądał podczas podróży z Unrugiem po Niderlandach. Na owym obrazie niemal całe światło koncentrowało się na nagim mężczyźnie leżącym na stole, na jego białej, niemal szarej skórze. Kilku obserwatorów w czarnych strojach i białych kryzach pochylało się nad martwym ciałem. Twarze niektórych kryły się w cieniu, innych dosięgła jasność płynąca z niewidocznych świec. Ich policzki, rozpalone zainteresowaniem,

wydawały się ciepłe. Wszak oni byli żywi.

– Niech zmieniają wodę! – Zniecierpliwiony Tytus podnosi głos.



Czy można stać się dorosłym więcej niż jeden raz?

Bo takie wrażenie ma dziewczyna błędząca niczym duch po domu cyrulika w Zulich.

Położyła się na chwilę, by odpocząć po wyczerpującym dniu, lecz gdy zamknęła powieki, stanęły przed nią obrazy, o których chciałaby jak najprędzej zapomnieć.

Akurat nabierała wody ze studni, kiedy na dworskie podwórze wjechał wóz z folwarku, a nieco z tyłu konno mistrz Haase i pan Unrug z koniem bez jeźdźca. Puste siodło mówiło zbyt wiele. Skoczyła do wozu. Nikt nie zdążył jej zatrzymać.

– Jakub! – krzyknęła na widok białej twarzy, zamkniętych oczu i zakrwawionej odzieży.

– Zostaw! – Tytus szarpnął ją za ramiona. – Żyje. Trzeba szybko na stół.

Nieśli go, a ona szła za nimi, załamując ręce.

– Ty nie. – Tytus odepchnął ją brutalnie, kiedy siłą chciała się wdrzeć do świetlicy. – Niech ktoś jej pilnuje! – krzyknął i poszedł, a z nim tylko Baltazar i służący z pałacu.

Może nawet nie trwało to bardzo długo, ale jej się wydawało, że całe wieki.

– Nie mogę wyjąć kuli – powiedział Haase, kiedy znowu się pojawił przed drzwiami. – Tymi narzędziami, które zabrałem ze sobą, nie dam rady. Musisz jechać do Zulich. Tylko ty wiesz, czego potrzebuję.

I pojechała dwukółką ze służącym Unruga. Przed północą stanęli pod zamkniętą bramą miasta. Straże wpuściły ich boczną furką. Długo łomotała w drzwi, zanim obudziła Helgę. Gospodyni, myśląc, że to ktoś

do cyrulika, otworzyła z gniewną miną. Kiedy uniosła latarnię i zobaczyła przejętą twarz dziewczyny, zrozumiała, że stało się coś złego.

Rozala musiała jej wszystko opowiedzieć. Potem przygotowała narzędzia, destylaty i zioła, a kiedy już nic nie było do roboty, poszła na górę. Potrzebowała snu, lecz ten nie przychodził. Sięgnęła pod siennik. Lalka w makowej spódnicy, mimo że wtulała w nią twarz, nie potrafiła jej uspokoić.

Teraz jest na dole. Znowu w izbie cyrulika. Świeca się dopala, a ona wciąż myśli. Nie tylko o Jakubie. O Tytusie także, i o tym, dlaczego tęsknota, którą wciąż w sobie nosi, rośnie zamiast mijać.

Wkrótce w izbie zapada ciemność. Rozali to nie przeszkadza. Czuje, że coś w niej dojrzewa, a druga dorosłość nabiera kształtu.



Kata sprowadzono do Kolzig z daleka. Miał tak samo zimne i obojętne spojrzenie jak poprzedni i jak tamten przywiózł ze sobą narzędzia pomocne w wydobywaniu zeznań z oskarżonych. Niestety, okazał się znacznie droższy. Dla będącego w tarapatkach Kittlitza procesy to kolejne wydatki, które chciałby ograniczyć.

– Macie sądzić sprawiedliwie, ale nie zwlekać. Niech to się nie ciągnie w nieskończoność – polecił ławnikom i wybrał się w kilkudniowe odwiedziny do krewnych.

I nie zwlekali. Po pierwszym łagodnym przesłuchaniu, jeśli nie było wyczerpujących zeznań bądź istniało podejrzenie, że oskarżona ukrywa swój udział w służbie diabłu, następnego dnia oddawano ją katu, który miał otworzyć jej usta.

I tym razem niektóre nadużyły cierpliwości ławników. Na przykład taka żona owczarza Christopha nawet przypalana nie chciała się przyznać. Dlatego poddano ją próbie wody. Trzy razy ją pławiono przy młynie koło Jeschane. Za każdym razem innego dnia i za każdym razem wypływała jak kaczka na powierzchnię, mimo że kat żerdzią przyciskał ją do dna.

Jeszcze przed końcem jesieni ławnicy mogli wrócić do swych zajęć, choć nikt nie był pewien, czy to koniec.

Już w następnym roku miało się okazać, że skazanie na stos kolejnych siedmiu czarownic nie wystarczy.

Wiga nie ocaliła małej Uty. Serc sędziów nie poruszyły zdeformowane stopy, dziecięcy wzrost, nawet aureola wokół głowy złożona z setek złotych pierścionków.

– Nie siedźcie tak, ciotko, na progu. Zima idzie, a u was tyle chrustu, co kot napłakał. I żołądźcie trzeba zbierać, bo zboża na mąkę starczy tylko do Bożego Narodzenia. Co potem zrobicie?

– Umrę.

– Rozalka by się zapłakała.

– Niech sobie układa życie bez babki. Jest dorosła.

Katarzyna najchętniej siadłaby obok Wigi i jak ona bezradnie opuściła ręce, ale ma Hansa, zagrodę i jest młoda.

– Myślicie, ciotko, że ja nie chcę umrzeć? Tak raz i dokładnie, zamiast umierać za każdym razem, kiedy słyszę kroki w sieni. Mało brakuje, a zwariuję od tego umierania po kawałku i jak matka rymarzowej będę chodzić po wsiach i gadać, że sprowadziłam suszę albo chorobę na łaskawą panią.

Wiga się nie odzywa. Siedzi bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

– Ciotko, wy się nie boicie?

– Czego?

– Że po was przyjdą?

– Niech przyjdą.

– Idźcie do Karge, do Rozali.

– Już ci powiedziałam. Jest dorosła, a dla mnie lepiej, bym umarła.

– To sobie umierajcie! Idę. W niedzielę skoro świt jedziemy do Karge

na nabożeństwo. Mam coś powiedzieć Rozalce?

– Żeby pamiętała o makowej spódnicy.

Pobożni luteranie wracają z niedzielnego nabożeństwa w Karge. Pierwszy jedzie wóz, na którym siedzą Michałka, Bartłomiej, ich córki oraz sąsiadka. Na drugim Katarzyna z Hansem, a na trzecim rodzina zagrodnika z Lipki.

Mimo strasznych wydarzeń, jakie ostatnio dotknęły poddanych Kittlitz, są odrobinę mniej przygnębieni niż jeszcze kilka godzin temu. Dopiero co wysłuchali kazania. „Wszystko, czego dokonano na świecie, zrodziło się z nadziei, mówił Luter. Nie traćcie więc nadziei, choćby otaczała was najczarniejsza noc” – dodawał otuchy pastor. Czyżby chciał im coś powiedzieć? Coś specjalnego, skierowanego tylko do wiernych z Kolzig? Przecież pastor nie jest głuchy ani ślepy. Wie o czarownicach i stosach.

Wozy suną po ziemi usłanej liśćmi w jesiennych barwach. Prawie nagie drzewa stoją przy drodze niczym kolumny. Zza chmur wychodzi słońce. Świeci im prosto w twarz i odbija się w złoto-czerwonym dywanie.

– Spójrz, Hans, jak pięknie! – zachwyca się Katarzyna, kładąc głowę na ramieniu męża.



Przez nagle otwarte drzwi wpada do izby chłodny powiew.

Jakub siedzi na krześle wyściełanym kozuchem. Nogę, która była zraniona, trzyma prosto przed sobą. Od pieca bije miłe ciepło, lecz młodzieniec nie jest zadowolony. Nudzi się tak strasznie, że najchętniej ruszyłby do lasu albo gdziekolwiek, byle wyrwać się z czterech ścian.

– Śpisz, Jakubie?

– Nie. Czekam na pana Baltazara. Obiecał, że pogra ze mną w warcaby.

– Poszedł do tartaku. Ktoś tam robi awanturę, bo pijany i nie dopuścili go do pracy. Jest list do ciebie. – Rozala podaje zapieczętowane pismo. –

Goniec przyniósł przed chwilą. Powiedziałam, żeby zaczekał. Przeczytaj od razu. Może trzeba odpowiedzieć.

– Od kogo to? – zastanawia się Jakub, rozwijając rulon. Czyta. – Co dzisiaj mamy?

– Poniedziałek.

– Jutro przyjadą.

– Kto?

– Panna, od której kupuję posiadłość, i jej ciotki. – Jakub robi niezadowoloną minę. – Przecież pisałem, żeby przysłały plenipotentą. Nie chcę, żeby mnie oglądały w takim stanie!

– Nie przyjadą się z tobą żenić, tylko sprzedać dom i ziemię. Poza tym nie rozumiem, co ci się w sobie nie podoba. Bardzo drażliwy zrobiłeś się ostatnio.

– Bo się nudzę. A nie podoba się to, że poruszam się jak starzec.

– Mistrz Haase powiedział, że z każdym dniem będzie lepiej.

– Ale ślub chcesz odwołać. Nie podoba ci się kuternoga.

– Przestań! Powiedziałam, że muszę pomyśleć. A ślub trzeba było przesunąć, bo nie doszedłbyś do ołtarza.

– Nie nosisz pierścionka.

– Jakubie, mam dość twych humorów. Miast narzekać, pomyśl, że dostałeś drugie życie. Gdyby nie mistrz Haase, już by cię z nami nie było.

– Uratował mnie i od razu wyjechał, zostawiając samego.

– Nie od razu. Dopiero kiedy był pewien, że rana dobrze się goi. I nie samego, a ze mną. Przecież chodzę koło ciebie, zmieniam bandaż, oglądam ranę... Czego chcesz jeszcze?

– Byś nie uciekała, kiedy nie masz nic do zrobienia. Posiedź ze mną, porozmawiaj.

– Znowu nie mówisz prawdy. Czasem jestem z tobą przez pół dnia.

– Za mało.

– Jakubie, po niedzieli w końcu przyjeżdża nowy zarządca. We dwie

z Agatą sprzątam cały dwór. Nawet ściany w kuchni pobieliliśmy. Nie mogę poświęcać ci więcej czasu. Jestem tu na łasce obcych. Muszę pracować, żeby darmo nie jeść chleba. Ty jesteś gościem pana Unruga. Pozwolił ci zostać, bo czuje się winny, żeś się postrzelił.

– Rozalko. – Jakub się mityguje. – Droga moja, wybacz, że myślę tylko o sobie. Kiedy już zostaniesz moją żoną, nie będziesz na niczyjej łasce. I pracować też nie będziesz musiała. Wystarczy, że wskażesz palcem, a służba w mig zrobi wszystko.

– Tego chcesz dla mnie? Bym nic nie robiła?

– Niezupełnie. Będę cię uczył francuskiego. Pamiętasz, jak rysowaliśmy znaki na piasku?

– Pamiętam. To było kiedyś.

Jakub, szukający spojrzenia Rozali, widzi, jak nagle jej oczy napęniają się łzami.

– Co powiedziałem, co zrobiłem? – woła za dziewczyną uciekającą z izby.



Listopadowy dzień jest chłodny, ale słoneczny. W sam raz na podróż. Toteż damy, których spodziewano się po południu, zjawiły się akurat w porze obiadu. Nie same. Wzięły ze sobą urzędnika, który ma dopilnować formalności. Wieść o przybyciu gości zastała Jakuba w chwili, gdy sięgał po drugie udko kurczaka.

Agata, natrafiwszy na kogoś, kto docenia jej talent kulinarny, dogadza rannemu młodzianowi, czym tylko może. Dzisiejszy pieczony kurczak to skromne danie w porównaniu z tym, co kucharka potrafi przygotować. Mimo to mięso pachnie wybornie i rozpływa się w ustach. Kilka tygodni bezruchu i kuchnia Agaty sprawiły, że oblicze i figura młodzieńca są teraz pełne dostojeństwa.

– Jakubie, już są! – woła od progu Rozala.

– Co? Nie jestem gotowy.

– Szybko, umyj ręce, bo tłuste – ponagla dziewczyna. – Pomogę ci włożyć czysty kaftan. – Krzątając się wokół narzeczonego, jednocześnie zdaje relację. – Czekają w świetlicy. Dwie damy i panienka. Te starsze od razu zaczęły szukać pajęczyn. Na próżno. – Rozala uśmiecha się z satysfakcją. – Baltazar posłał po pisarza. Będzie pilnował twoich spraw.

– A panna?

– Jak panna. Sam zobaczysz.

– Że też musiały przyjechać teraz, kiedy jestem chory – narzeka Jakub, sięgając po kulę wystruganą przez stolarza z Unruhstadt. – Chodź ze mną – prosi. – Kupuję dom dla nas.

Rozala, jako narzeczona szlachcica, a jednocześnie zwykła służąca, zdaje sobie sprawę z dziwaczności swego położenia. Toteż nie wchodzi razem z Jakubem. Pomaga mu tylko przejść przez próg, a potem, ku jego zaskoczeniu, zamyka drzwi z drugiej strony. Na szczęście razem z gośćmi w świetlicy czeka Baltazar.

Wszyscy siedzą prócz panny. Widać zmarzła, bo stoi przodem do kominka z rękami wyciągniętymi w stronę ognia. Usłyszawszy, że ktoś wszedł, odwraca się z ciekawością. Na widok Jakuba, zamiast skromnie spuścić oczy, uśmiecha się promiennie.

„Jakie urocze dołeczki” – zachwyca się młodzieniec. Jeszcze parę słów wyszczebiotanych po francusku i gotów jest zapłacić za posiadłość dwa razy więcej, niż jest warta.

Ciotki niewiele się odzywają. Chcą, by transakcja dokonała się szybko. Cena już dawno uzgodniona. Teraz wystarczy sprawdzić wcześniej przygotowane dokumenty, kolejny raz przyjrzeć się mapom i wyliczeniom, a na końcu dopełnić formalności. Najchętniej wyjechałyby jeszcze dzisiaj i od razu zaczęły przygotowania do przeprowadzki. To jednak niemożliwe. Dzień jest zbyt krótki.

Rozalia czeka na Jakuba w jego izbie.

– Już? – pyta.

– Już. – Jakub dawno nie był taki radosny. – Mamy dom, Rozalko!

– Ty masz.

– Po ślubie będzie nasz. Jak tylko wydobrzeję, pojedziemy obejrzeć posiadłość. Kupiłem kota w worku. – Śmieje się z siebie. – Nawet nie rzuciłem okiem na pałac i pola.

– Pan Tytus mówił, że to przyjemne miejsce, a pałac mniejszy od tego w Karge.

– Zobaczymy, czy mistrz Haase mnie nie zwiódł.

– Na pewno nie.

– Wiem, tak tylko gadam.

Jakub odstawia kulę i ciężko opada na krzesło.

– Bardzo cię boli? – pyta dziewczyna na widok grymasu na twarzy.

– Boli, ale to nic takiego. Rozalko, zapal świecę i usiądź przy mnie. A teraz – mówi, patrząc na jej twarz oświetloną ciepłym blaskiem – powiedz, dlaczego płakałaś. Nie zaprzeczaj. Przecież widzę.

– Przypomniała mi się Uta.

– Myślałem, że już opłakana.

– Nie wystarczy raz. Zawsze, kiedy mi się przypomina, myślę, jaka spotkała ją krzywda. Była mi jak siostra.

– Kiedy miałaś wieści od babki?

– W niedzielę. Katarzyna była na nabożeństwie. Potem zaszła do Agaty. Z babką dalej źle. Nie wiem, czy nie wrócić do niej na zimę.

– Strach tam jechać. Lepiej, żeby babka przeniosła się do Agaty.

– Byłoby ciasno. A babka i tak nie chce. Uparła się, że nigdzie nie pójdzie. Katarzyna obiecała, że nie da jej zginąć.

– Dobra z niej kobieta.

– Babka kazała, żebym pamiętała o makowej spódnicy.

– Nie wzięłaś jej ze sobą?

– Wzięłam. Jest w skrzyni u Agaty.

– To nie rozumiem. Wiesz, o co jej chodziło?

– Wiem.

Resztę wieczoru spędził Jakub w towarzystwie Baltazara i trzech dam. Urzędnicy zjedli coś naprędce i poszli odwiedzić miejscową karczmę. Po wieczerzy towarzystwo we dworze postanowiło spędzić długi listopadowy wieczór przy stolikach. Niestety, Baltazar nie wytrwał. W świetlicy zostały tylko ciotki, panna Henrietta i Jakub.

W wyniku manewrów sprytnych dam doszło do podziału grających w karty. I tak ciotki bliżej kominka przy jednym stoliku, a młodzi w lekkim mroku przy drugim oddawali się grze w pikietę.

Kładąc się do łóżka, Jakub miał w głowie taki mętlik, że pierwszy raz od dawna nie mógł zasnąć.

Po silnym nocnym przymrozku ziemia jest twarda jak kamień. Spacer w błocie byłby zbyt trudny dla Jakuba. Dzisiaj może bez obaw, podpierając się kulą, obejść podwórze, a nawet pokonać parkową aleję. Rozala towarzyszy narzeczonemu, uważając na każdy jego krok.

– Widzisz, jak dobrze mi idzie? – Młodzieniec jest uradowany. – Niepotrzebnie odwołaliśmy ślub. Doszedłbym do ołtarza o kuli, a może nawet bym się bez niej obył.

– Dobrze zrobiliśmy, Jakubie.

– Jak to?

– Nie bierze się ślubu, kiedy nie jest się pewnym uczucia.

– Co ty mówisz? Powodem większości ślubów jest interes, a nie uczucie. – Jakub wybuchł śmiechem, jakby udał mu się żart.

– Pozwól mi wierzyć, że miłość też bywa ich przyczyną.

– Och, Rozalko. Nie bierz moich słów poważnie. Miłość jest najważniejsza. Odpocznijmy, proszę. Jednak się zasapałem.

Ławeczka jest oszroniona i zimna, mimo to siadają.

– Jakubie... jeśli miłość jest najważniejsza... zwróć mi słowo.

Opuściła głowę. Ledwie usłyszał, co powiedziała, a teraz nie może zajrzeć jej w twarz. Dotyka palcami jej rumianego policzka, a potem

ujmuje pod brodę i delikatnie podnosi do góry. Ona już nie ucieka spojrzeniem. Patrzy nieśmiało, przepaszająco.

– Dlaczego? Przestałaś mnie kochać?

– Nie przestałam, ale nie Kocham cię jak męża. Prędeż jak brata.

Dlaczego w jego spojrzeniu nie ma rozczarowania? Jest tylko smutek. Lecz nawet on nie wydaje się wielki. To jednak trochę boli.

– Jak brata, powiadasz? – Dalej czegoś szuka w jej oczach. – Czy jest ktoś, kogo Kochasz jak męża?

Rumieniec wstydu oblewa jej twarz, ale nadal pozwala mu trzymać się pod brodą.

– Byłem głupcem – wyznaje Jakub, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Dopiero teraz rozumiem to, co cały czas miałem przed oczami. Dziwne pytania mistrza Haase i twój zapal, by mu pomagać. Kiedy leżałem ranny, patrzyłem na was oboje, a byłem ślepcem. Widziałem coś dziwnego w waszym zachowaniu. W tym, jak daleko od siebie się trzymaliście, jak unikaliście swego wzroku i odsuwaliście się od siebie po przypadkowym dotknięciu, jakby parzyła was skóra. Za to, gdy myśleliście, że to drugie nie widzi, patrzyliście na siebie ukradkiem. Przypuszczałem, że się posprzeczaliście, i stąd to wszystko. Byłem głupcem – powtarza.

Ona nie zaprzecza. Już dawno opuściła powieki, chcąc ukryć prawdę, której się wstydzi.

Gdzieś w oddali niesie się odgłos rąbania drewna, krzyki dzieci i raban czyniony przez przestraszone gęsi. W parku panuje cisza. I oczekiwanie.

– Nie gniewaj się – przerywa je pełen skruchy głos Rozali.

– Kiedyś mistrz Haase oddał mi ostatni kawałek chleba. Jak mógłbym się gniewać? – Jakub stara się mówić spokojnie, lecz każdy by zauważył, że to tylko poza. Tłumiony żal i uraza są łatwe do odczytania.

– Obiecuj, że mu nie powiesz.

– Zamierzasz cierpieć w milczeniu?

– Jakubie!

– Nie powiem, jeśli nie chcesz.

Znowu siedzą w ciszy. Skurczeni, osobni i obcy.

Zimno przenika przez ubranie. Po skórze przebiegają dreszcze. Mimo to ani drgną, jakby nie wiedzieli, co powinni uczynić. U ich stóp przysiadło stadko wróbli. Nie przejmują się obecnością ludzi podobnych do parkowych rzeźb. Ruch głowy dziewczyny płoszy ptaki. Odfruwają, by za chwilę usiąść w innym miejscu i tam kontynuować hałaśliwą dyskusję.

– Co teraz? – Rozala zdobywa się na odwagę. – Co pocniemy?

– Każde pójdzie w swoją stronę. Nie wiem, co ty uczynisz, ale ja wyjadę do swojej posiadłości. Nigdy dotąd nie miałem niczego, co należało tylko do mnie.

– Mówiłeś, że panna Henrietta jeszcze nie całkiem spakowana.

– Nie będzie mi przeszkadzać. Może zostać, jak długo zechce. Na razie wystarczy mi jeden pokój.

Znowu cisza. Nie pyta, co z nią, jakby już nic go nie obchodziła. Nie tak powinna się kończyć dziecięca przyjaźń. Łzy napływają do oczu dziewczyny. Siedzi z pochyloną głową, nie zwracając uwagi na kroplę, która się zatrzymała na koniuszku nosa.

On patrzy z ukosa. Rozczuła go ta kropla i zaczerwieniony nos. Niespodziewanie wyciąga rękę i opuszką palca strąca niezdecydowaną łzę.

Rozala posyła mu spojrzenie pełne nadziei, a on odpowiada smutnym uśmiechem.

– Podaj mi rękę, siostró – odzywa się pierwszy.

Palce obojga nieśmiało się splatają. Pomału obcość mija. Znowu są siostrą i bratem. Od zawsze. Jak gliniane dwojaki.



Krewni Barbary zaprosili Tytusa na świąteczny obiad. Podziękował i odmówił. Po nabożeństwie ma cały dzień dla siebie.

Helga przygotowała mu świąteczny posiłek, a sama poszła do siostry za

mury. Dopóki żyła pani Haase, usługiwała jej nawet w święto. Teraz nie chce sama siedzieć, jeśli może być z rodziną.

Petra ma już męża. Niedawno ją widział. Wkrótce zostanie matką.

Rozalia i Jakub przesunęli, a może nawet odwołali ślub, ale na pewno spędzają czas razem. Dawno nie miał od nich wieści.

Niedługo skończy trzydzieści pięć lat, a sam siada do świątecznego obiadu. Jak pokierował swym życiem, że w sile wieku nie ma przy sobie żony i gromadki dzieci? Czy to kara za kierowanie się rozumem miast sercem?

Trudno mu cokolwiek przełknąć. Wyrusza na codzienną wędrowkę po pustym i zbyt dużym domu. Jest jedno miejsce, którego nigdy nie omija. To izba, w której na stole leży szkicownik, a na skrzyni śnieżnobiały czepek, czysty fartuch i szara spódnica.

Wie, że czekają na próżno, lecz nie pozwoli ich dotknąć.

Znowu jest na dole. Sięga ręką za słój z pijawkami. Coś wyjmuje. W dłoni ma suche, pomarszczone jabłko, które kiedyś wypadło z ręki zawstydzonej dziewczynie. Znalazł je w ciemnym kącie, otarł z kurzu i schował. Jakimś cudem nie zgniło.

Słyszy, że ktoś wszedł z ulicy. Dlaczego Helga wróciła tak szybko? Dał jej wolne do jutra. Czemu stoi na korytarzu?

– Co się stało, Helgo? – pyta, otwierając drzwi.

To nie ona. Ma przed sobą Rozalę. Na chuście i ramionach kożuska błyszczą płatki pierwszego śniegu. Wygląda żałośnie. Jest zziębnięta i zmęczona.

– Rozalia? Co tu robisz?

– Przyjmiecie mnie z powrotem, mistrzu?

– A Jakub? Mieliście brać ślub.

– Poprosiłam, by zwrócił mi słowo. Kocham go jak brata.

Oszołomiony Tytus nadal trzyma klamkę. Próbuje zrozumieć, co to wszystko znaczy.

– Chcę być z wami, mistrzu.

Uwierzył, że to nie sen. Puszczą klamkę i wyciąga ku niej dłoń, tak jakby przyjmował od losu świąteczny prezent. Najcenniejszy i wymarzony – ukochaną kobietę.

Nie wiadomo, skąd ma w sobie tę pewność, że może to zrobić. Tak jakby co roku w Boże Narodzenie w drzwiach domu samotnego mężczyzny stawała dziewczyna w kozuszkach i makowej spódnicy. I jakby, o nic nie pytając, można było wziąć ją w ramiona, bo przecież przyszła do niego, właśnie jego wybrała.

Dziewczyna w drzwiach Tytusa ma zimny nos i chłodne usta. By nie odeszła, rozgrzewa je pocałunkami. Najpierw delikatnymi, potem gorącymi, a na końcu palącymi jak żar. Płomiennym oddechem burzy krew w żyłach, aż dotyk odzieży staje się nie do wytrzymania. Spełniają się na jawie senne marzenia nawiedzające ich w samotne noce, a niewypowiedziana tęsknota znajduje ukojenie.

Rozala drzemie wtulona w ramiona Tytusa. On zaś nie byłby sobą, gdyby nie zaczął myśleć o przyszłości.

– Jutro, zanim wróci Helga, pójdziemy za mury. Wynajmę ci izbę u gospodni, u której trzymam konia – odzywa się, burząc spokój świątecznego wieczoru.

– Nie będzie zazdrosna?

Czyżby słyszał w jej szepcie ironię?

– Wiedziałaś?

– O żonie piekarza też. – Senne mruczenie odziera go ze złudzeń.

– To dawno skończone. Ma nowego męża.

– Wiem.

– Skąd? Po cóż pytam? Jesteś wnuczką wiedźmy.

– Jestem.

– Jutro...

Palce Rozalii delikatnie zamykają mu usta.

– Nie myśl o jutrze – szepcze. – Ono i tak nadejdzie. Jest dzisiaj i my tutaj. Zrób coś, bym znowu nie zaczęła tęsknić.



Wiga zniknęła w Boże Narodzenie.

Kiedy Katarzyna i Hans wrócili z nabożeństwa, zobaczyli ślady na cienkiej warstwie śniegu, a potem znaleźli kozę w swej oborze.

Katarzyna od razu pobiegła do Wigowej chaty, ale tam już nikogo nie było.

Przed wieczorem śnieg zasypał wszystkie tropy zwierzęce i ludzkie.

Nikt więcej Wigi nie zobaczył, choć byli tacy, co mówili, że szła z kotem w stronę górki koło Lipki, gdzie spalone baby tańczyły z diabłem. Drwale pracujący przy wyrębie twierdzili, że widzieli ją, jak stała na Draszkowym Ostrowie i patrzyła w stronę Karge. Wiosną Bartłomiej zauważył, że ktoś przebywał w jednej z bud. Czy to była ona, czy ktoś inny, nie da się odgadnąć.

Z upływem lat coraz częściej gadano, że zamieniła się w borsuka i mieszka w norze w starym lesie niedaleko Grünwaldu. Albo że jest gągołem i ma gniazdo na cyplu wrzynającym się w Jezioro Orchowe. Najliczniejsi byli pewni, że stała się krzakiem dzikiego bzu i wystarczy go odnaleźć i położyć się pod nim, by odzyskać zdrowie.

EPILOG

1669



Katarzyna Kunert umiera po kawałku od niemal pięciu lat. Tyle czasu trwa na ziemiach Kittlitz polowanie na czarownice. Spłonęło już ponad trzydzieści kobiet i dwóch mężczyzn. Czy ktoś jest w stanie położyć temu kres? Czy można coś zrobić, by zacząć normalnie żyć miast wciąż umierać na nowo?

Kobieta klęczy przy skrzyni i czegoś szuka.

– Zgubiłaś coś?

– Nie. Nie pamiętam. – Katarzyna bezradnie rozkłada ręce. – Szukam czegoś, ale zapomniałam czego.

– Zaraz sobie przypomnisz – pociesza mąż. – Kathie, muszę iść. Jeśli boisz się zostać sama, idź do sąsiadki.

Dalej klęczy. Naprawdę nie pamięta, dlaczego otworzyła skrzynię. Sięga jeszcze raz. Ręka natrafia na tkaninę. Nie tego szukała, ale ciągnie złapany kawałek materiału. Po chwili ma przed sobą spódnicę ze świebodzińskiego sukna od Rozali.

Była tu niedawno z Tytusem. Jest szczęśliwa i taka radosna. Katarzyna myśli, że dawniej sama taka była. Dla niej wszystko się skończyło, kiedy zapłonęły stosy.

Przyjaciółka pogodziła się z odejściem babki i już jej nie szuka. Przyjechała w odwiedziny. Pochwaliła się, że wkrótce stanie przed

elektorską komisją, która ją przeegzaminuje, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie kobietą wykonującą zawód cyrulika. To zdarza się niezwykle rzadko, dlatego Rozala bardzo się denerwuje.

– Po co ci to? – zapytała ją Katarzyna. – Przecież i tak robisz wszystko, tyle że pod kontrolą męża.

– Chcę być cyruliczką. Nie jestem gorsza od mężczyzn. Ciężko pracowałam, żeby się wyuczyć. Zasłużyłam na to – odpowiedziała Rozala. – Cyruliczki są potrzebne innym kobietom – dodała. – Bywa, że one umierają, bo się wstydzą wołać o pomoc albo ich mężowie uważają, że nie uchodzi, by obcy mężczyzna zaglądał żonom pod spódnicę. Wolą, żeby umarła.

– Jednak... – Katarzyna wciąż nie mogła pojąć.

Wtedy Rozala ujęła ją za ręce i poważnie popatrzyła w oczy.

– Pragnę tego dla ciebie i dla naszych sióstr. Tych, które żyją, i tych spalonych, które wciąż we mnie krzyczą. Chcę pokazać, że niewiasta nie jest gorsza ani głupsza od mężczyzny i że zasługuje na takie samo uznanie jak on. Chcę tego dla ciotki Anny i jej córek, z którymi jadłyśmy czereśnie, dla twojej matki i teściowej. Dla babki Wigi także. Sama powiedziałaś, że kazała mi pamiętać o makowej spódnicy.

Z początku Katarzyna nie rozumiała, o co chodzi z tą spódnicą. Teraz już wie.

Podnosi się z klęczek i przykłada do talii czerwoną tkaninę. „Schudłam, na pewno wisiałaby na mnie jak na patyku”. Rzeczywiście, nie wygląda dobrze. Nerwy zjadły kobietę ze szczętem. Z rumianej dziewczyny o pełnych biodrach zrobiła się sucha tyczka.

„Może kiedyś zapragniesz zrobić coś niezwykłego i wtedy ją włożysz” – powiedziała Rozala, dając jej makowy materiał. „Co niezwykłego mogę zrobić? – Katarzyna zadaje sobie pytanie. – Teraz pragnę tylko jednego. Chcę żyć w spokoju”.

Wkrótce wieczór. Kos śpiewa w zaroślach. Tej wiosny bocian uwił gniazdo na stodole. To dobry znak. Mówią, że tam, gdzie zamieszkał,

będzie się dobrze działo.

– Hans... – Katarzyna zwraca się do męża jedzącego kolację. – Muszę coś zrobić, bo inaczej umrę naprawdę. Przez cały dzień o tym myślałam. Posłuchaj...

– Słyszeliście, co się stało w Grünwaldzie?!

Plac targowy przed zamkiem w Kolzig jest pełen ludzi. Niedługo Zmartwychwstanie. Nawet jak niczego nie chce się kupić, to można chociaż obejrzeć.

– Co takiego? – Wokół stolarzowej natychmiast zbiera się grupka ciekawskich.

– Czarownice podeszły pod dom Katarzyny Kunert i chciały ją ze sobą zabrać. Wołały, że ona też czarownica.

– I co? Poszła z nimi?

– Chciała, ale Hans całą noc ją trzymał. Nawet oblał ją zimną wodą. Nie pomogło. Rano narobił krzyku, na co przybiegła rybakowa, ta, co po Widze mieszka. Katarzyna akurat do rozumu doszła. Powiedziała rybakowej, że czarownice chciały ją zabrać na sabat.

– Dobrze, że Hans czuwał. Byłoby po niej. Trzeba by palić.

– Ludzie! Patrzcie! – krzyczy ktoś stojący z tyłu. – Hans i rybakowa idą do zamku.

Rzeczywiście, oboje zbliżają się do kutej bramy. On z miną zdecydowaną, ona trochę niepewna.

Trudno sobie wyobrazić, by ktoś teraz zechciał iść do domu. Czekają na ich powrót.

– Są! – Ktoś ich dostrzegł. – O! Widać ich w bramie.

– Po co szliście do zamku? Co z Katarzyną? Będą zwoływać ławników? – zasypują pytaniami Hansa i rybakową.

– Byliśmy u łaskawych państwa powiedzieć, że czarownice chciały się wdrzeć do chaty. Nie wiemy, co dalej.

Cierpliwość poddanych von Kittlitz wystawiono na próbę, przez kilka

dni nic się bowiem nie dzieje. Kittlitzowie pierwszy raz mają do czynienia z samooskarżeniem, jeśli nie brać pod uwagę szalonej rymarzowej.

Nie o taki spokój Kunertom chodziło. Spektakl musi jednak trwać dalej.

– Znowu chciały ją zabrać! – niesie się po wsiach. – Czarownice otoczyły nocą dom, ale Hans i rybakowa czuwali. Wydzierała się im, wołała do wiedźm, jęczała, krzyczała...

– I co?

– Hans dał jej do ręki modlitewnik i zrobiło się trochę lepiej.

Tydzień później znowu słyhać na targowym placu:

– Patrzcie! Patrzcie! Katarzyna idzie!

Boją się jej. Rozstępują się przed kobietą kroczącą ze spuszczoną głową, a ona niknie za wielkimi drzwiami. Idzie prosić o pomoc, ochronę przed diabłem i ratunek dla duszy. Jak odmówić takiej prośbie?

Kittlitz zwołuje sędziów. Sam nie zamierza o niczym decydować. Ławnicy chcą, by opowiedziała o spotkaniach z Szatanem.

Ona mówi. Potok słów wypływa z jej ust, czasem składnych, czasem zupełnie bez sensu. Wzywa księcia piekieł na przemian z modlitwą. Sędziowie widzą, że jej dusza nie jest stracona. Nie potrafią odmówić kobiecie błagającej o wsparcie w zmaganiu ze złymi mocami. Modlą się, kiedy woła o modlitwę, cucą mdlejącą i znowu się modlą, bo prosi. Nawet łaskawi państwo obecni przy tym wszystkim padają na kolana i nie ustają aż do wieczora.

Mrok już za oknem, kiedy podnosi się po omdleniu.

– Nie bójcie się – mówi, odważnie spoglądając im w oczy. – Dzięki waszym modlitwom Szatan odstąpił! Moja dusza jest zdrowa! Ocaliliście mnie!

Potem przy wszystkich na kolanach wymienia swe złe uczynki i błaga o jeszcze jedną łaskę. Żeby państwo zawieźli ją do Ullersdorfu^[43], do księdza, któremu pragnie wyznać grzechy. Chce przyjąć komunię, by pojednać się z Jezusem.

Wróciła! Hans wybiega żonie na spotkanie.

– Udało się? – szepce pytanie do ucha.

– Udało – równie cicho odpowiada kobieta. – Już mnie nie tkną. Dziękuję, mężu, że mi pomogłeś. Teraz znowu mogę żyć, miast konać codziennie po kawałku.



– Rozalio! – Z dołu dobiega wołanie.

Głos męża ponagla, a ona wciąż walczy z zapięciem przy spódnicy.

– Jesteś gotowa?

Tytus wsuwa głowę do izby. Rozalia stoi przed wąskim wysokim lustrem i usiłuje naciągnąć materię, której nie starcza w pasie.

– Spójrz, nie mogę się zapiąć.

– Masz przecież inne spódnice.

– Innej nie włożę.

– Nie rozumiem, dlaczego się upierasz.

– Babka kazała włożyć makową.

– Babka kazała? – Tytus się śmieje. Podchodzi do żony i obejmuje ją w pasie. – Odmienny stan miesza ci w głowie.

– Przyszła do mnie we śnie.

– Cóż, jeśli Wiga wpadła do naszego łóża z wizytą, nie będę się sprzeciwiał.

– Byle tylko on się nie domyślił, że jestem brzemienna. Każe mi siedzieć przy dzieciach.

– Nie bój się. Nic nie widać – uspokaja, pomagając Rozalii dopiąć ulubioną spódnice. – Chodźmy. W zamku nie będą na nas czekać.

Mistrz Haase i jego żona, którą wszyscy nazywają cyruliczką Rozalią, kroczą ulicami Zulich. Idą obok siebie, a ich dłonie, choć niezłączone, raz

po raz delikatnie się dotykają.

Elektor brandenburski jest z wizytą w Zulich. Zapowiedział ją dawno, toteż, korzystając z okazji, za radą i z pomocą pana Jeremiasa Reimanna można było przygotować zeznania kobiet, którym pomogła pani Tytusowa Haase, opinie innych cyrulików i świadectwo moralności od pastora.

Serce Rozalii bije jak szalone, bo sam książę, zapewne z ciekawości, zasiadł za długim stołem. Boi się, mimo to patrzy odważnie w oczy Fryderyka Wilhelma. Władca się nie odzywa. Pytają inni, a ona odpowiada zgodnie z wiedzą i umiejętnościami. Potem na polecenie komisji bierze do ręki narzędzia i po kolei wymienia, do czego służą. Każą jej opuścić salę. Czas na zeznania. Rozalia nie jest cudotwórczynią. Nie zawsze potrafiła pomóc, lecz tak dobrano pacjentki, by ich słowa brzmiały wiarygodnie. Trudne porody, składanie złamań, walka z czyrakami, czyszczenie i opatrywanie ran to sprawy, z którymi cyruliczka ma do czynienia niemal każdego dnia.

Jeszcze nie cyruliczka!

Kobieta nie może zostać mistrzem i członkiem cechu tak jak mężczyzna. Potrzebna jest zgoda elektora. A on jej udzieli tylko pod pewnymi warunkami.

Rozalia chodzi po zamkowym korytarzu tam i z powrotem. Makowa spódnica furkoce przy każdym energicznym obrocie.

– Tytusie, kiedy oni skończą?

– Bądź cierpliwa.

– Kiedy nie mogę!

Głowa w białej peruce wysuwa się przez uchylone drzwi.

– Możecie wejść.

Ceremonia nie trwa długo. Przewodniczący komisji stwierdza, że w obliczu wiedzy, umiejętności i zasług Rozalii Haase, żony mistrza balwierskiego i cyrulika Tytusa Haase, otrzymuje ona przywilej samodzielnego wykonywania zawodu.

Elektor Fryderyk Wilhelm, który cały czas z zainteresowaniem

obserwował młodą kobietę w czerwonej spódnicy, zaszczyca ją skinieniem głowy i łaskawym uśmiechem.

– Mam! Mam to! – woła Rozalia, unosząc w ręku rulon z pieczęcią. – Mam! – Cieszy się, wirując w makowej spódnicy na zamkowym dziedzińcu. A w myślach dodaje: „Dla naszych sióstr, Katarzyno, i dla ciebie”.

– Uspokój się, bo gotowi ci odebrać papier. Cyruliczce nie przystoi tak się zachowywać – upomina mistrz Haase.

– Kiedy to takie niezwykle! Tytusie, ja, córka Doroty i niewiadomego ojca, wnuczka zielarki Wigi, jestem cyruliczką! – Nagle ogarnia ją smutek. – Szkoda, że nie ma z nami Jakuba. Akurat teraz musiał pojechać do matki.

– Będzie się zenił. Nie wypada, żeby zawiadomił ją przez posłańca.

– Ale chciałabym mu to pokazać. – Znowu triumfalnie podnosi cenny rulon z pieczęcią.

– Jeszcze pokażesz, a tymczasem schowaj papier, bo się podrze. Byłoby żal. Dużo za niego zapłaciłem. Teraz musisz to odpracować. Idziemy do domu. Może tam jaki bogaty pacjent czeka.

Miał rację. Pod drzwiami czekał podenerwowany Michael.

– Mistrzu – najpierw zwrócił się do Tytusa – moja Magdalena nie może urodzić, a nikt nie chce przyjść do domu kata. Wasza żona kiedyś powiedziała, że się mnie nie boi. Pozwólcie, by ze mną poszła.

– Od dzisiaj moja żona sama wybiera, do kogo idzie. Mnie nic do tego. Ją pytaj.

Syn kata przyszedł na świat nad ranem. Rozalia wzięła go z rąk wyczerpanej matki i podała Michaelowi. Dzieciątko spało w potężnych ramionach ojca, a on szeptał do małej główki:

– Nikomu życia nie odbierzesz. Będziesz je ratował jak ona.

POSŁOWIE

Zdarza się, że temat sam znajduje pisarza. Właśnie tak było z historią opowiedzianą w obu częściach *MAKOWEJ SPÓDNICY*. Przyszła do mnie ukryta w książce Stefana Petriuka *Kolsko i Konotop – historia nieznanego pogranicza*^[44].

Najpierw zobaczyłam listę kobiet, z których nieliczne miały imiona albo imiona i nazwiska. W wykazie dominowały określenia typu: stara kowalowa, średnia kowalowa, stara kobieta od Kubensa, stara praczka, owczarzowa Girgen, mała Girgen (albo Girgin), stara rymarzowa, młoda rymarzowa, stara Polatzken, wdowa po Macieju Fliegerze i tak dalej. Akapit wyjaśniający to zestawienie zaczynał się od zdań: „W 1664 r. Johann Christoph v. Kittlitz wytoczył pierwsze procesy przeciwko swoim poddanym, które przeobraziły się w największe polowanie na czarownice w Księstwie Głogowskim. Do roku 1670 ofiarą tych procesów padło co najmniej 39 osób. Była to największa fala polowań na tym terenie i druga co do wielkości na Śląsku”^[45].

Przeczytałam te słowa i natychmiast porzuciłam poprzednie plany. Wiedziałam, że muszę napisać o czasach, gdy prostym kobietom można było zabrać prawo do imion, a bliscy sobie ludzie zaczęli się wzajemnie podejrzewać o związki z szatanem.

Fabułę obu części powieści zbudowałam wokół autentycznych wydarzeń rozgrywających się na pograniczu Rzeczypospolitej i Niemiec (Brandenburgia, Śląsk). Jednak nie wszystko, co wygląda na fakt, jest nim w rzeczywistości. Na przykład nic nie wiadomo, by królowa Ludwika Maria odwiedziła Sulechów albo że na sulechowskim zamku miało

miejsce spotkanie elektora brandenburskiego z cyruliczką Rozalią.

Pracując nad *Makową spódnicą*, wielokrotnie korzystałam z pomocy innych osób. Tak już jest w przypadku moich książek, że każda ma swojego człowieka, do którego mogę się zwrócić z jakimkolwiek pytaniem dotyczącym tworzonego świata. W przypadku pierwszej części, powstającej w pandemicznej atmosferze, takimi osobami były panie bibliotekarki pomagające zdobyć trudno dostępne wówczas publikacje. Nieocenionym człowiekiem dla drugiej części stał się Paweł Zapeński, przewodniczący Rady Gminy Kolsko. Usłyszawszy, że ma powstać powieść z kolskim wątkiem, napisał do mnie, oferując pomoc. Jako osoba pełna energii od razu przystąpił do działania, organizując kilkugodzinną wycieczkę po miejscach, w których rozegrały się wydarzenia opisane później w powieści. Dzięki temu mogłam między innymi wybrać łąkę, na skraju której postawiłam chatę Wigi, i podumać nad wolno płynącą wodą w Wigowej rzece. Z wieży kolskiego zamku popatrzeć w stronę wzniesień w pobliżu Lipki, gdzie jakoby odbywały się spotkania czarownic z księciem piekieł, i stanąć tam, gdzie prawdopodobnie płonęły stosy. Wreszcie mogłam napisać albo zatelefonować do pana Pawła z każdym pytaniem, nawet o to, gdzie w jego gminie jest kamieniste pole.

Dzięki Pawłowi Zapeńskiemu poznałam Agnieszkę i Rafała Liśkiewiczów, właścicieli Miodowego Spichlerza w Kolsku. Pani Agnieszka razem z Kamilą Florczak prowadzą na Facebooku profil *Wiedźmy z Kolska*, a tytułowe wiedźmy to mądre i aktywne kobiety, które mówią o sobie: „Określamy się potocznie Wiedźmami, ponieważ przełamujemy schematy, chcemy doświadczać i nieszablonowo realizować swoje pomysły”. Wiedźmy spotykają się regularnie, uczestniczą w warsztatach i dzielą się doświadczeniami. Rafał Liśkiewicz jest pszczelarzem, ale w Polsce to przede wszystkim znany bartnik. Jego wiedza w tej dziedzinie pozwoliła na stworzenie postaci bartnika i przemyślenie między wierszami wiadomości o tym zapomnianym zawodzie. Państwo Liśkiewiczowie nadali imiona swoim literackim odpowiednikom, a ich Miodowy Spichlerz jest jednym z patronów

medialnych drugiej części *Makowej spódnicy*.

Akcja innego ważnego wątku powieści toczy się w Zulich, czyli dzisiejszym Sulechowie. Dzięki Irenie Podsiadły ze Starostwa Powiatowego w Zielonej Górze i Agnieszce Łukaszenko-Woźnicy, dyrektorce Sulechowskiego Domu Kultury, mogłam zwiedzić zamek, a przede wszystkim poznać Marcina Stajkowskiego, pasjonata historii i znawcę dziejów sulechowskiego zamku. Z przyczyn obiektywnych nie udało się spotkać Marka Maćkowiaka, prezesa Sulechowskiego Towarzystwa Historycznego, lecz jego artykułom zamieszczonym na stronie internetowej STH zawdzięczam wiele wiadomości o siedemnastowiecznym Sulechowie.

Nie mogę tu nie wspomnieć o inspirujących rozmowach o tamtych czasach z prof. Bogumiłą Burdą i prof. Jarosławem Kuczerem, o wskazówkach dotyczących broni myśliwskiej na grubego zwierza uzyskanych od Włodzimierza Kwaśniewicza, opowieści o polowaniu na jelenia podczas rykowiska przekazanej przez mego brata, Bogumiła Łysiaka, i wsparciu męża Tadeusza we wszystkich sprawach, poczynając od niekończących się rozmów w trakcie pisania, na instrukcji ładowania arkebuza kończąc.

Dziękując wszystkim wymienionym osobom, pragnę jeszcze wyrazić wdzięczność paniom pracującym w bibliotekach za pomoc, życzliwość i wyrozumiałość. Dziękuję za podtrzymywanie na duchu, wsparcie i rozmowy o książce moim koleżankom z Dyskusyjnego Klubu Książki w Mediatece Światowid w Kargowej oraz burmistrzowi Kargowej Jerzemu Fabisiowi i dyrektorowi Gminnego Ośrodka Kultury w Kargowej Tomaszowi Furtakowi.

Szczególne podziękowanie składam Aleksandrze Chytróń-Kochaniec, menedżerce projektów literackich w wydawnictwie Książnica, za zaangażowanie w powstawanie czwartej pod jej kierunkiem powieści, wysłuchiwanie autorskich rozterek oraz wskazówki i opiekę daleko wykraczającą poza zawodowe obowiązki.

Literatura oraz strony internetowe, które w największym stopniu pomogły mi w tworzeniu świata przedstawionego w powieści:

Delumeau Jean, *Strach w kulturze Zachodu XIV–XVIII w.*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1986.

Górski Adam, *Procesy czarownic w Kolsku*, Wydawnictwo Eternum, Zielona Góra 2013.

Pasaż Wiedzy – Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, <https://www.wilanow-palac.pl/pasaz>.

Petriuk Stefan, *Kolsko i Konotop – historia nieznanego pogranicza. Die niederschlesischen Gutsherrschaften Kolzig und Kontopp*, Wydawca Stefan Petriuk, Uście – Kolsko – Konotop – Langballigholz 2016.

Sulechowskie Towarzystwo Historyczne, <http://www.sth-stowarzyszenie.c0.pl/>.

PRZYPISY

[1] Kolsko, obecnie wieś w województwie lubuskim. Nazwa Kolzig w powieści oznacza konkretną miejscowość oraz wsie należące do obszaru dworskiego będącego wówczas własnością Johanna Christopha von Kittlitz.

[2] Tkaniny lniane zwykle bielono na słońcu późną wiosną, rozkładając je na łąkach w pobliżu rzek.

[3] W 1652 roku cesarz Ferdynand III Habsburg wydał decyzję o rekatolizacji Śląska, nakazującą usuwanie luteranckich kapłanów i obsadzanie parafii duchownymi katolickimi. Wszystkim poddanym polecono odstąpić od nauki Lutera. W Kolsku, pobliskim Konotopie i w innych okolicznych miejscowościach decyzję wykonano w 1654 roku. Pastorów wygnano, a kościoły zostały zamknięte, garstka katolików nie była bowiem w stanie ich utrzymać.

[4] Kolzig (Kolsko) oraz Grünwald (Jesiona) leżały wówczas w granicach Śląska. Karge i Unruhstadt (dzisiaj obie miejscowości tworzą Kargową) były w Rzeczypospolitej tuż przy granicy ze Śląskiem i Brandenburgią. Obie wymienione krainy należały do Rzeszy. Pierwsza Rzesza Niemiecka to inna nazwa Świętego Cesarstwa Rzymskiego istniejącego w latach 962–1806. Był to obszar, na którym leżały autonomiczne regiony i państwa regionalne pozostające pod zwierzchnictwem władcy noszącego oficjalny tytuł świętego cesarza rzymskiego. W czasie, w którym dzieje się akcja tego tomu powieści, cesarzem był syn Ferdynanda III, Leopold I Habsburg. Zwierzchnictwo cesarza miało różny charakter w zależności od regionu, np. nad Brandenburgią było symboliczne, a nad Śląskiem bezpośrednie.

[5] W 1622 roku, podczas wojny trzydziestoletniej (1618–1648), Kolsko i okolice zostały najebrane i zniszczone. W źródłach wini się za to kozaków. Kozakami często nazywano lisowczyków, będących wówczas w służbie katolickiego cesarza. Za jego zgodą lisowczycy najeżdżali, łupili i mordowali protestantów. Niewykluczone więc, że to właśnie lisowczycy byli sprawcami nieszczęść, jakie spotkały mieszkańców Kolska i okolicznych wsi.

[6] Sulechów, obecnie miasto w województwie lubuskim.

[7] Brandenburgia wchodziła w skład Pierwszej Rzeszy. Faktyczną władzę sprawował w Brandenburgii elektor, czyli ten, który miał prawo wyboru cesarza.

[8] Fizykiem miejskim był zwykle medyk, do którego kompetencji w zamian za wysokie wynagrodzenie należały m.in.: nadzór nad szpitalem, czystością ulic, regularnym wywożeniem śmieci, kontrola sprzedawanej żywności i leków. Na fizyku miejskim spoczywał też obowiązek

bezpłatnego leczenia ubogich.

[9] Konotop, wieś w województwie lubuskim. W czasach, w których dzieje się akcja powieści, należała do innego właściciela niż Kolsko.

[10] Fryderyk Wilhelm Hohenzollern, książę pruski, elektor brandenburski. Zamek w Sulechowie był jednym z zamków elektorskich. W tamtym czasie święty cesarz rzymski (wtedy Leopold I Habsburg) władający Pierwszą Rzeszą był wybierany przez elektorów Rzeszy, czyli władców kilku spośród wielu autonomicznych państw regionalnych. Brandenburgia była jednym z nich.

[11] „Merkuriusz Polski Ordynaryjny” powstał z inicjatywy Ludwika Marii Gonzagi. Po raz pierwszy ukazał się w styczniu 1661 roku. Wychodził raz, czasem dwa razy w tygodniu.

[12] Maria Ludwika Gonzaga imienia Ludwika jako pierwszego zaczęła używać dopiero, kiedy została żoną króla Władysława IV. Chodziło o zdobycie przychylności poddanych, gdyż imię Maria zdaniem polskich katolików było zarezerwowane dla Matki Boskiej.

[13] Tu: metalowa kołatka.

[14] Historię miłości kata Michaela z Breslau i Magdaleny czytelnik może lepiej poznać w powieści Magdaleny Knedler *Dziewczyna kata*, Wydawnictwo Mando, Kraków 2019.

[15] Tu: naczynia.

[16] W tamtych czasach w okolicy wydobywano i przetapiano rudę darniową.

[17] Prawdopodobnie na obszarze kargowskich posiadłości kupionych przez ojca Krzysztofa Unruga mieszkało co najmniej pięćset osób. Od założenia miasta Unruhstadt liczba ludności stale się powiększała, wyjąwszy okres zarazy podczas potopu szwedzkiego. Obszar dworski Kolzig to niespełna trzysta osób rozproszonych w kilku osadach.

[18] W owym czasie Austria, wchodząca w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego (Pierwszej Rzeszy), znajdowała się u progu kolejnej wojny z imperium osmańskim.

[19] Nazwa tej wsi, leżącej nieopodal Kolska, inaczej niż nazwy innych miejscowości, nie została zgermanizowana. W późniejszym okresie w dokumentach występuje forma Lipke.

[20] Tu: Krosno Odrzańskie.

[21] Lampy albo latarenki były używane podczas wędrówki ciemnymi ulicami miasta. Były to najczęściej świece umieszczone w obudowie ze szklanych płytek.

[22] Bór bartny obejmował zwykle około sześćdziesięciu drzew z barciami.

[23] Leziwo – przyrząd uszyty najczęściej z konopnych lub lnianych lin, którymi należy tak umiejętnie oplatać drzewo, by, tworząc kolejne pętle, można było wspinać się do barci na wysokość kilku metrów.

[24] Zatwór – deseczka służąca do zakrywania otworu w barci. Usuając go, bartnik może zajrzeć do wnętrza barci.

[25] Panieńskie ziele to jedna z ludowych nazw bylicy piołunu.

[26] Jesionka, wieś w województwie lubuskim.

[27] Tu: gorączka.

[28] Drewniane naczynia do miodu powstałe z wydrążonego kawałka lipy lub świerku.

[29] Odpowiednio uformowany воск po zważeniu mógł być wymieniony na pieniądze lub na inny towar.

[30] Lwówek Śląski, obecnie miasto w województwie dolnośląskim.

[31] W rzeczywistości cyruliczka Magdalena Bendziszawska otrzymała ten przywilej w 1697 roku. Pracowała głównie w środowisku górników kopalni soli w Wieliczce.

[32] Istota pomagająca czarownicy, często miała przyjmować postać kota.

[33] Powyższy zestaw pytań pochodzi z książki Adama Górskiego *Procesy czarownic w Kolsku*, Wydawnictwo Eternum, Zielona Góra 2013.

[34] Słowa *targ* i *jarmark* często bywają używane zamiennie, jednak pierwotnie była między nimi różnica. Targ to lokalne wydarzenie odbywające się raz w tygodniu. Jarmarki miały ponadlokalne znaczenie, odbywały się w ustalonych z góry terminach, najwyżej kilka razy w roku. Prócz kupców, rzemieślników i rolników przybywały na nie rzesze żebraków, wędrowne trupy aktorskie, kaznodzieje, sprzedawcy cudownych leków itp.

[35] Tu: synonim kobiety podstępnej i okrutnej.

[36] Za życia poprzedniego króla.

[37] Według ówczesnych przekonań driakiew była panaceum na wszystkie choroby, zawierającym osiemdziesiąt dziewięć składników różnego pochodzenia. Były to m.in. suszone sproszkowane żmije, opium, szałwia, mięta, gorczyca i cynamon.

[38] W Grünbergu, czyli ówczesnej Zielonej Górze, procesy o czary toczyły się nieprzerwanie przez niemal trzy lata, od 1663 roku.

[39] W rzeczywistości procesy o czary w Kolzig (Kolsku) zostały wznowione nie w 1665, a w 1666 roku.

[40] Biblia gdańska, 1 Mj 5, 5–11, <http://biblia-online.pl> [dostęp: 30.04.2022].

[41] Gra w karty popularna na dworze królewskim i wśród magnaterii. Należała do ulubionych rozrywek Marysieńki Sobieskiej.

[42] Tu: samiec jelenia.

[43] Mirostowice Dolne, obecnie wieś w powiecie żagańskim.

[44] S. Petriuk, *Kolsko i Konotop – historia nieznanego pogranicza. Die niederschlesischen Gutsherrschaften Kolzig und Kontopp*, Wydawca Stefan Petriuk, Uście – Kolsko – Konotop – Langballigholz 2016.

[45] Tamże.

W XVII-wiecznej Europie ogarniętej szaleństwem polowań na czarownice nawet niewinność może okazać się zbrodnią

Jest rok 1661. Przez Rzeszę Niemiecką przetacza się fala procesów o czary. Podejrzane są głównie zielarki i akuszerki, kat nie próżnuje, płoną stosy. Wiga powraca do rodzinnej wsi w pobliżu Kolzig i opiekuje się umierającym ojcem. Jej wnuczka Rozalka dorasta w Zulich, w domu cyrulika Tytusa. W życiu obu kobiet nie brakuje małych dramatów, nierozwikłanych tajemnic oraz lęku. Jednak prawdziwe niebezpieczeństwo dopiero nadciąga.

Ktoś czyha na córkę „wiedzmy w makowej spódnicy” oraz jej babkę – „czarownicę”. Okazją do wyrównania osobistych porachunków stają się procesy o czary w Kolzig.

Wiga i Rozalia muszą stawić czoła trudom codzienności i zmierzyć się ze śmiertelnym zagrożeniem. W tej walce najważniejsze okażą się inne kobiety – wspierające siostry – oraz mężczyźni, dla których prawość i przyzwoitość nie są jedynie pustymi słowami.

Siostry – drugi tom przejmującej dylogii MAKOWA SPÓDNICA



Pierwszy tom serii



Patronat medialny:



lubimyczytać.pl



SPADŁO
MI Z REGAŁA



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6285-4

EAN 9788327162854

U.KS.HIS054.1.01.01

